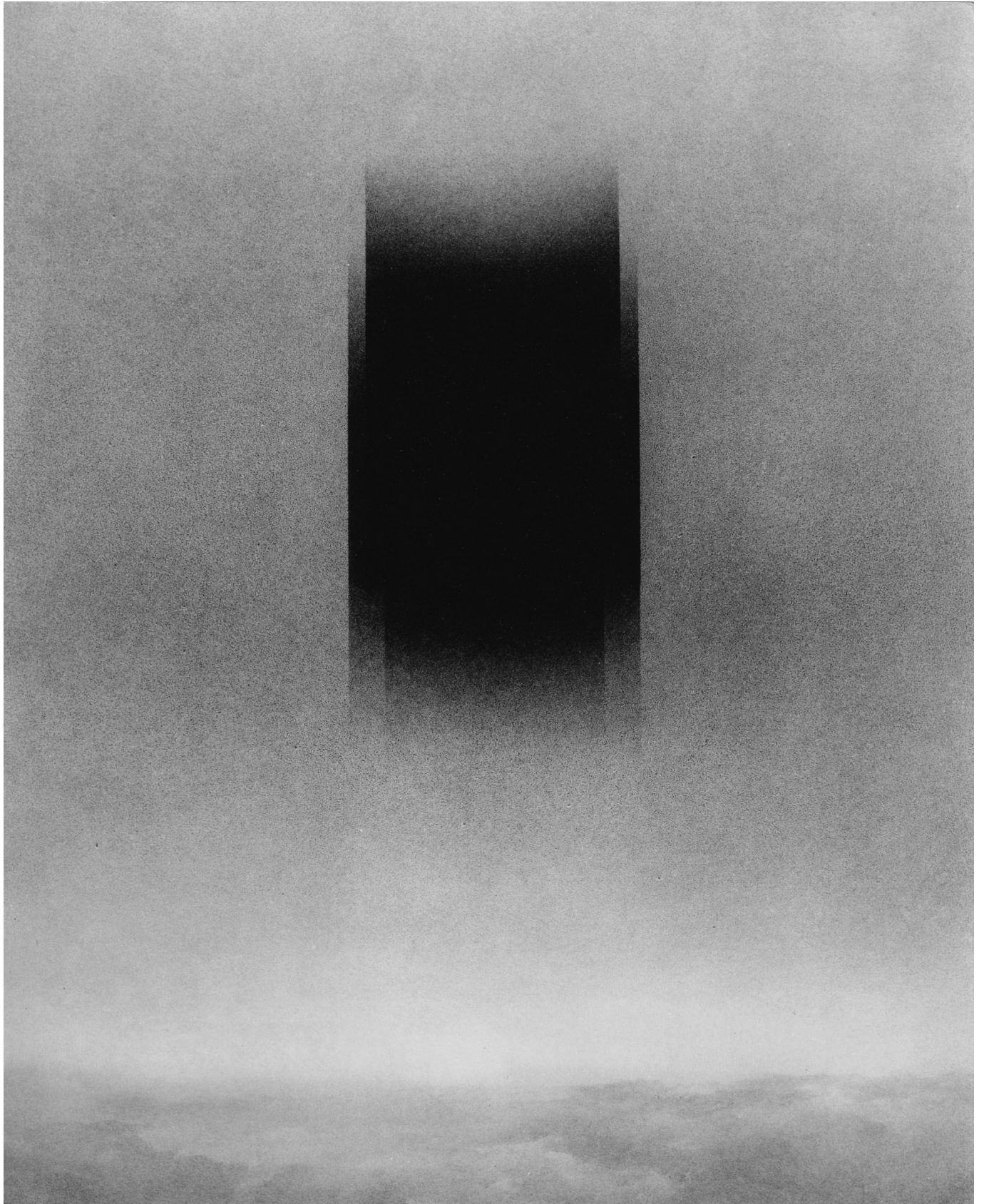


HYBRYDA

Pismo Artystyczno-Literackie Stowarzyszenia Twórczego POLART

Nr 40 /2021





• Joanna Krupińska-Trzebiatowska Słowo od redaktora	3
• Józef Lipiec Aspiracje i przekleństwo imperializmu	5
• Józef Baran Wiersze	8
• Anna Adamus-Matuszyńska i Piotr Dzik Polski Ład jak Cyberpunk 2077, czyli rządzenie w stylu gamedev	9
• Ewa Okoń-Horodyńska Kryzys a innowacje. Pomagają czy pogrążają	13
• Artyści dla Ukrainy: Kaja Solecka, <i>Bliskodaleko</i> , olej na płótnie	22
• Joanna Krupińska-Trzebiatowska Kiedy miłość była zbrodnią	23
• Wojciech Zalewski Między filozofią a historią czyli kilka uwag o warsztacie filozoficzno-historycznym	27
• Małgorzata Müller "Eros paraliżuje me członki". Miłość i jej oblicza w starożytnej Grecji	31
• Irena Kaczmarczyk Muzeum Polskie w Rapperswilu	35
• St.I.Witkiewicz Portret M. Choromańskiego	40
• Marek Sołtysik Prawda nie lubi niedyskretnych świadków. Ukraińskie reminiscencje Michała Choromańskiego	41
• Rafał Skąpski Wielkanoc u Zofii Skąpskiej	53
• Krystyna Habrat Polubić wycie wiatru jesienią	59
• Barbara Korta -Wyrzycka Aleja Róż	65
• Poezja ukraińska w oprac. I.ST. Fiuta	74
• Ostap Sływynski Wiersze	74
• Hałyna Tkaczuk Wiersze	74

HYBRIDA

• Katrina Haddad	74
Wiersze	74
• Hałyna Kruk	
Wiersze	75
• Bolesław Faron	
Sylwester w Beskidzie Niskim	79
• Edward Kurleto	
Polscy współcześni pisarze i poeci w Australii	86
• Ignacy Fiut	
Poezja na ciężkie czasy	87
• Wanda Łomnicka-Dulak	
Wiersze	89
• Małgorzata Kulisiewicz	
Wiersze	89
• Barbara Wrońska	
Wiersze	91
• Wojciech Antoni Sobczyński	
Kubek gorącej zupy i koktajl Mołotowa	93
• Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska	
Piękne kobiety rewolucji	101
• Wiktoria Dziasek	
Rozmaitość form i kierunków estetycznych w sztuce skandynawskiej	106
• Zdzisława Tołłoczko	
Śladami pomników skandynawskiej kultury architektonicznej	107
• Jacek Romański	
Freski Fra Angelico z Klasztoru św. Marka we Florencji - problem oryginału i kopii	110
• Agata Chrzanowska	
Między abstrakcją a figurą. O malarstwie Renaty Bonczar	114
• Wiesława Wierzchowska	
Anna Jelonek-Socha <i>Ścięte drzewo III</i>	115
• Zyta Misztal von Blechinger	
Wojna o obraz człowieka. Wystawa "Cytaty poezji polskiej w malarstwie Marcina Telegi"-	118
• Szczęśny Wroński	
Gdybym był pociskiem	

SŁOWO OD REDAKTORA



Nigdy wcześniej, wychodząca od 1999 roku i oscylująca niemal wyłącznie wokół zagadnień związanych z kulturą i sztuką, HYBRYDA nie mierzyła się z tak tragiczną rzeczywistością, co raz wybuchającymi aferami na polskiej arenie politycznej, pandemią, a wreszcie z toczącą się tuż obok nas i na oczach całego świata wojną, której skutki odczuwa nasz kraj na co dzień. Obserwując napływającą falę uchodźców z należnym im współczuciem i troską, mimo woli zastanawiamy się, czy niebawem nie podzielimy ich losu. Jakiej jeszcze broni użyje Putin, by zmieść stary świat z powierzchni Ziemi, a wreszcie czy nie zagrozi istnieniu całej planety. Wprost trudno zrozumieć, że nasz los zależy od jednego szaleńca, którego niemal cały skonsolidowany świat nie jest w stanie powstrzymać. Nie wystarczą sankcje gospodarcze ani te zastosowane przez Unię Europejską, Stany Zjednoczone, czy Wielką Brytanię, grzmi w swoich wystąpieniach prezydent Ukrainy Zełenski, w sytuacji gdy przeciwnikiem jest człowiek zdeterminowany do granic ostateczności i nie mający już nic do stracenia, uznany przez społeczność międzynarodową za zbrodniarza wojennego, porównywany powszechnie do Hitlera, Mussoliniego i Stalina.

Wydając 40. jubileuszowy numer Pisma, w tych niezwykle a zarazem przerażających czasach jakie nastały, trudno się do nich nie odnieść. Robi to Józef Lipiec w artykule *Aspiracje i przekleństwo imperializmu*, Wojciech Sobczyński w swojej relacji z Londynu *Kubek gorącej zupy i koktajl Mołotowa*, ja, przywołując fragment niepublikowanej powieści *Kiedy miłość była zbrodnią*, a także Józef Baran w wierszu *Ukraina*.

Trudno przewidzieć, co przyniesie najbliższa przyszłość, ale wyrażam szczerą nadzieję, że uda nam się nadal celebrować kulturę i sztukę, cieszyć muzyką i żyć normalnie.

JOANNA KRUPIŃSKA -TRZEBIATOWSKA

**X MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL
ZWIĄZKI POMIĘDZY KULTURĄ POŁUDNIA A PÓŁNOCY
SCHUBERT-CHOPIN-GRIEG
WZAJEMNE INSPIRACJE I REZONANS W MALARSTWIE I LITERATURZE
POLART**



WRZESIEŃ - PAŹDZIERNIK 2022

**MUZEUM ŻUP KRAKOWSKICH W WIELICZCE
SALON SZTUKI POLARTU
WYSTAWA MALARSTWA I RZEŹBY
RECITAL FORTEPIANOWY
15 września g. 17.00**

**ZAMEK KRÓLEWSKI W NIEPOŁOMICACH
WYSTAWA MALARSTWA
KONCERT
1 września g. 17.00**

JÓZEF LIPIEC



ASPIRACJE I PRZEKLEŃSTWO IMPERIALIZMU

1. Przeminięła niepostrzeżenie atmosfera nadziei, wpisanych w debatę o konieczności i pożytkach globalizacji i jej skutków. Efektem finalnym miała stać się ogólnogatunkowa uniformizacja strukturalna w technologii i polityce, zaś spoiwem całości kultura współdziałania, mierzona intensywnością udziału pierwiastka perfekcjonizmu jako siły napędowej ludzkich ambicji, wciąż przecież zlokalizowanych w poszczególnych krajach, z automatycznym zaś osłabieniem prostych tendencji rywalizacyjnych. Program globalnej partycypacji z początku nowego tysiąclecia uległ zawieszeniu, głównie pod wpływem atawizmów kultury militarnej oraz rozbudzonych pretensji nowych i przegranych starych graczy.

Powróciła idea zamknięcia zamiast otwarcia, rozproszenia miast scalenia, prymatem bezpieczeństwa lokalnego względem powszechnego. W dalekim tle majaczy niewzruszalna prehistoryczna zasada panowania silnych nad słabymi. Mówiąc inaczej, po bolesnych lekcjach dwóch wojen światowych, na plan pierwszy wysunęła się znowu grupa wartości charakterystycznych dla kultury militarnej, czy jak kto woli prostsze skojarzenia, usprawiedliwienia, a może nawet apoteozy zabięcia jako środka i celu samego w sobie. Dzieje ostatnich siedmiu dekad nie pozwoliły zapomnieć o naturalnych, historycznie ugruntowanych fundamentach wszelkich praw silniejszego wobec słabszych.

Ostatnie wydarzenia na Ukrainie stanowią pogładową lekcję stanu samoświadomości gatunkowej: kim jest człowiek w wersji Putinowskiej, wyzuty z podstawowej wrażliwości moralnej, kim jest społeczeństwo powierzające swój los nieobliczalnym Fuehrerom i pospolitym watażkom, kim są szlachetni oportuniści, zawsze gotowi do umycia rąk, bo ich chata z kraja?

Kim zatem jest nasz gatunek, który miast racjonalnych i etycznych, musi sięgać do specjalnych, twardych argumentów, aby zmiękczyć sumienia, przede wszystkim usunąć z realnie inicjatorów i sprawców zła.

2. Aby żyć – trzeba z konieczności zniszczyć inne życie, roślinne lub zwierzęce. Wojna międzygatunkowa wpisana została w twarde, przyrodnicze zasady możliwości i konieczności egzystencjalnych w sensie najogólniejszym. Ostatecznie chodzi o darwinowską regułę właściwej pozycji w powszechnej konkurencji w ramach łańcucha pokarmowego. Wszystkich uczestników tego zakłętego kręgu obowiązują te same prawa i przywileje. Nie mają z tym porządkiem żadnego kłopotu przyrodnicy, ale już humaniści różnych orientacji i zakresów egzemplifikacji salwują się ucieczką od istoty spornych problemów. W największym uproszczeniu idzie o to, że człowiek sam wyznaczył dla siebie miejsce szczytowe w hierarchii życia, znajdując także wyjątkowe

miejsce dla myśli etycznej i politycznej pospołu. Dotyczy to zwłaszcza przekonani osadzonych w wierzeniach w mądrych i sprawiedliwych bogów. Człowiek nie tyle sam przyznał sobie uprzywilejowaną pozycję, ile przyjął wyróżnienie jako słuszny werdykt niebios, jak na razie niepodważalny, co więcej, wzmocniony racją „szóstego dnia stworzenia”.

3. Człowiek w ogóle, jako taki, czyli każdy człowiek bez wyjątku, czy też człowiek konkretny, wyróżniony i n d y w i d u a l n i e, czyli władca, heros, geniusz, najlepiej nasz cesarz, faraon, car, przywódca, prorok, mesjasz, *generalissimus*? Każdy pojedynczo, niezastępowalny nigdy i przez nikogo, niczym nomada Leibniza? A może jednak c z ł o w i e k z b i o r o w y, wskazany do spełnienia misji dziejowej i kosmicznej zarazem? Człowiek jako wybrany naród, rasa, kasta, cywilizacja, zbiorowość religijna, albo ideologiczne ugrupowanie? Kandydatur do odgrywania mesjanistycznych ról akurat nigdy nie brakowało, zawsze w imię przeświadczenia o własnej, godnej kulturowania wyjątkowości, bądź wprost monopolu gatunkowych przymiotów. Napływające zgłoszenia wpisywane są w kultury plemienne i narodowe, tworząc notabene wielce powikłaną siatkę sprzecznych ofert (polski mesjanizm, na przykład, zgłosił swą poetyczną wizję zbiorowego cierpiętnictwa w wieku powstających właśnie nowożytnych imperializmów, z jawnie destruktywnym wielkoruskim na czele). Kolejnych zgłoszeń wciąż jest wiele, jednym służąc ku pokrzepieniu serc, innych wprawiając w kompleksy i gromadne nerwice. Kiedyś przodowała w tym względnie Europa, dzisiaj budzi się Azja, z Chinami w czołówce rozwojowych napięć, jak na razie z tendencją do pragmatyzmu gospodarczego.

4. Widać to wszystko w społecznych zachowaniach i prywatnych emocjach, przede wszystkim zaś w zasobach poszczególnych kultur, zwłaszcza nacechowanych plemiennym irracjonalizmem pradawnych zaklęć i przesądów. Reprezentowanie człowieczeństwa było i jest wciąż przypadłością trudną do opanowania i niebezpieczną w skutkach, w szczególności w przypadkach posiadania obiektywnie groźnych narzędzi ekspozycji przewag, na przykład w niszczącej wersji imperialnej. Tylko artyści i filozofowie ufają w moc sztuki pojęć i symboli, z edukacyjną szansą na rozbudzanie uspiętej wrażliwości moralnej, a może nawet skłonienia ogółu ludzi do trwałej przebudowy sumień i oddania się trudnym, bo bezinteresownym powinnościom.

5. Niemało ludów, nacji i państw zgłaszało swe uprawnienia do panowania nad światem. Wiele z nich znalazło zdolnych i skutecznych realizatorów ambitnych wizji, aczkolwiek zapewne jeszcze więcej pozostawiło po sobie ruiny i zgłiszczca, powszechny niesmak oraz pogardę dla tych, którzy uwierzyli (z rzadka przeplatanych okrzykami zachwyty bezpośrednich uczestników rewolucyjnych eksperymentów).

Czy wolno i czy wypada występować przeciwko prawu do własnej uzurpacji, jednostkowej, grupowej lub gatunkowej? Dzień szósty, wyłaniający człowieka, a przynajmniej potencjał realnej mocy człowieczeństwa, wydaje się nienaruszalny w swym dziejowym przebiegu i jego skutkach. Człowiek staje się panem stworzenia bez potrzeby jakichkolwiek usprawiedliwień, innych, niż konieczność egzystencjalna. Problem polega nie tylko na kwestii przyszłego b e z p i e c z e ń s t w a, czyli tak zwanej ochrony życia, ściślej: k a ż d e g o ż y c i a, bez żadnej selekcji. Schemat dnia szóstego wszelako przenosi się automatycznie na teren rywalizacji i walki wewnątrz gatunku. Życie – zarówno jednostkowej, jak i społeczne – zostaje zrelatywizowane i poddane różnym, czasem tragicznym wyborom. Adam czy Ewa? (patriarchat czy matriarchat?), Kain czy Abel? (prawo czy namiętność zemsty?), Jafet, Sem czy Cham (równość czy selektywność rasowo – polityczna?). Błogosławieństwo dla walczących Filistynów, czy tylko dla wybranych najeźdźców? Ziemia niczyja, a więc równie cenna dla wszystkich, czy też przeznaczona dla najbardziej agresywnych i bezwzględnych? Tylko dla Rosji, czy również błogosławiona dla Ukrainy?

6. W ten sposób objawia się problem p r e d e s t y n a c j i, zarówno w wymiarze wierzeń i przekonań potocznych, zupełnie banalnych, niczym wróżenie z kart, jak i w sensie filozoficznym, znanym od czasów Aureliusza Augustyna. Mędrzec ten głosił pogląd, iż zbawienie zależy od przeznaczenia, ono zaś od łaski boskiej. Szczęścia wiekiustego dostąpią tedy ci jedynie, którzy otrzymali łaskę wytrwania w cnocie i prawowierności. Jak się wydaje, przeznaczenie dotyka nas znacznie wcześniej, mianowicie w normalnym życiu na ziemi, prywatnym i publicznym, owocując wszelką pomyślnością, albo równie niezrozumiałą falą nieszczęść. Jesteśmy zatem przeznaczeni z góry albo do wielkości, władzy i pełnej swobody, albo też do egzystencji niskiej rangi, wypełnionej biedą, krzywdą i cierpieniem. Idąc krok dalej, odnową uznania prawa do życia w ogóle. W skali arbitralnie rozszerzonej przyznanie sobie p r z y w i l e j u b e z k a r n e g o l u d o b ó j s t w a.

7. Kryterium decydującym okazuje się presja jakiejś tajemniczej racji wyższego, e w o l u c y j n e g o p l a n u. Nie jest wykluczone wszakże, iż owo Fatum stanowi efekt gry przypadków (lub, jak kto woli, kapryśnych, boskich bądź ludzkich upodobań). Krzyk rozpaczonych jednych przeplata się z euforią ciemiężycieli, kto wie, czy nie dlatego wywyższonych właśnie, by przeżywać rozkosz poniżenia lub zbrodni zniszczenia innych ludzi? Warto spojrzeć na twarze ze scen batalistycznych albo oblicza dziś oglądanych na ekranach organizatorów zbiorowej śmierci. Galeria historycznej pamięci wzbogaca się o kolejne eksponaty. W kolekcji znalazł się następny, ambitny ochotnik, Władimir Putin, fundujący swe przeznaczenie do wielkości na wojnie z dzielną Ukrainą. Występuje on wprost z *quasi* historiozoficzną wizją a p o l o g i i i m p e r i a l i z m u, równolegle także pełnej aprobaty

dla stosowanych metod i środków realizacji imperialnych celów. Dokładniej: środków przemocy totalnej (ludobójczej). Lista jego osobowych ideałów zawiera trzy postacie, znane w świecie, Europie, w Polsce zaś szczególnie: Piotr I, Katarzyna II i Józef Stalin, twórcy imperialnej potęgi Rosji, spadkobierczyni ortodoksyjnego Bizancjum, choć zapewne też mitu Wielkiego Stepu z epoki Dżyngis Chana. W zestawie tym brakuje oczywiście, Iwana Groźnego, tudzież paru innych prymusów imperialnej ideologii i politycznej struktury. Zarezerwowane zostaje miejsce także dla autora tej kolekcji, pod warunkiem spełnienia kryterium własnej, imperialnej aktywności, potwierdzającej predestynacyjne aspiracje.

8. Tak bywa w relacjach między ideą a ofiarą, składaną na ołtarzu władców i bogów. Nie inaczej w rozlicznych odniesieniach między carem (fuehrerem) a ludem (prostym i uczonym po równi). Niewykluczone, iż obie strony wzajemnie się stymulując, tworzą nową jakość rozciągającą się w czasie i przestrzeni, w postaci k u l t u r y m i l i t a n e j, gdzie najwyższą cnotą jest oddanie życia, uprzednio zabierając życie cudze. Dotyczy to uświęconego tradycją sposobu rozstrzygania wszelkich sporów i konfliktów, dokonującego się ostatecznie na polach bitewnych. Siła, sprawność, uzbrojenie oraz bezwzględność w walce są głównym argumentem także w sprawach prawdy, dobra i piękna.

Odkrywa tę dziejową, heglowską prawidłowość właśnie kultura militarna (w uniwersalnej i narodowej postaci), potwierdzają ją zaś epepeje i pomniki, zdobiące miasta, nauczyciele kolejnych pokoleń. Wartość idei mierzona jest z zasady krwią za nią przelaną.

9. Rygorom kultury militarnej podporządkowują się wprost i bez ogródek wszelkie rozstrzygnięcia w obrębie wyposażenia naturalnego. Silni, sprawni i bezwzględni dysponują odziedziczoną lub nadaną przez los przewagę nad ludźmi słabymi i pełnymi moralnych skrupułów i wątpliwości. Cyniczni wiarołomcy górują nad naiwnymi partnerami łamiącymi umowy i przyrzeczenia. Bierność i bezradność w egzekwowaniu zasad potęgują poczucie niemocy u jednych, bezkarność u drugich, wraz z jawnym żądaniem specjalnej taryfy w ocenie postępowania, wagi interesów, żądań i kaprysów. Tendencja ta, wypróbowana na Kongresie Wiedeńskim a potem w Jałcie i Poczdamie, stała się też podstawą działania Rady Bezpieczeństwa, ze specjalnymi przywilejami dla grupki wielkich mocarstw, gdzie nie obowiązuje demokratyczny ład wspólnotowy, gwarantując nienaruszalne prawo do pojedynczego weta. Podobne efekty przyniosła „zimna wojna”, oparta przecież nie na równowadze r a c j i i w a r t o ś c i, lecz r ó w n o w a d z e s i ł, właśnie.

10. Historia przekazała nam w spadku kilkanaście wyrazistych portretów i legend o władcach i strukturach politycznych, spełniających warunki stawiane p a ń s t w o m i m p e r i a l n y m.

Klasyycznym przykładem jest rozległe terytorialnie imperium Aleksandra Macedońskiego, krótkotrwałe, bo oparte na więzi personalnej, ciekawe zaś na pewno w aspekcie wielokulturowej organizacji. Inną charakterystykę miało imperium rzymskie, zajmujące obszar niemal całej Unii Europejskiej. Zmienne dzieje wiodły imperia azjatyckie – chińskie, perskie i oryginalne imperium stepowe Dżyngis Chana. Imperialny charakter miało Bizancjum, a potem osmańska Turcja i królestwo Maków za Atlantykiem, a w Europie cesarstwo Karola Wielkiego. W czasach nowożytnych pojawiły się imperia kolonialne, z Wielką Brytanią, Francją i Hiszpanią. Stopniowo wzrastała w siłę wielka Rosja, prowadząca ekspansję drogą lądową na wschód (podobne próby podjęła napoleońska Francja, a prawie wiek później hitlerowskie Niemcy). Na Zachodzie powstało nowoczesne imperium USA, na Wschodzie aspiracje zgłosiły Japonia i odradzające się szybko Chiny.

11. Dzieje świata nie pokrywają się, oczywiście, z historią imperiów, warta odnotowania jest wszakże uniwersalna tendencja do tworzenia konstrukcji, spełniających trzy warunki. Po pierwsze, względna i bezwzględna wielkość terytorialna, współmierna do potrzeb gospodarczych i komunikacyjnych, zapewniających sprawność jednolitej administracji. Po drugie, potęga militarna własna i sojusznicza. Po trzecie, bezpieczeństwo, gwarantowane przez wcielenie do imperium spacyfikowanego, wrogiego otoczenia. Celem każdego imperium było utrzymanie panowania politycznego i ekonomicznego, zdolnego zachować stałą przewagę w centrum i na peryferiach nastawionych na permanentne rozszerzanie pola zdobyczy.

12. I m p e r i a l i z m jako kategoria filozoficzna i politologiczna ma bogatą literaturę. Dość przypomnieć opinie, że obie wojny światowe pojmowano jak efekt nieusuwalnych pokojowo napięć między imperiami i narastającej skłonności do zmiany mapy całego globu. Jako pojęcie opisowe, imperializm może być taktowany jako program, albo sposób budowy świata współczesnego, który składa się po prostu z kilku imperiów, zaciekle rywalizujących o prymat, aż do kolejnego, wielkiego przewrotu całej struktury.

Imperializm, ma i owszem, ustąpić miejsca globalizmowi, ale w praktyce tylko wtedy, kiedy jedno imperium albo jakaś ich koalicja, zwyciężając konkurencję, wyprze ją całkowicie z rozgrywki. Pomniejsze państwa i narody stanowią jedynie drugi, niewiele znaczący plan, stopniowo zlewający się z figurami poszczególnych imperiów. Ewentualnym ratunkiem dla scen zbiorowych mogą się stać s i l n e s o j u s z e s ł a b s z y c h. Takie choćby, jak federacyjnie zjednoczona Europa (wspomagana przez pokrewne wartościami imperium amerykańskie). Inne koncepcje imperialne nie budzą zaufania. Przeciwnie, strach i groźbę.

JÓZEF BARAN

UKRAINA UKRAINA

Ukraino Ukraino
cierpienia kraino
szkielety domów rozburzonych
miliony
bezdomych
wypędzonych
płyną drogami ulicami
kobiety z dziećmi z psami
tobołkami
ich żywe miasta oślepione
obrócone w perzynę
na kamieniu
kamień

Ukraino Ukraino
cierpiętnicza kraino
Chrystus na krzyżu umiera
ty we mnie Ukraino śpiewasz
pieśń o dzielności
sen o potędze
czy nigdy bez ofiarnej ceny
się nie obędzie
przemiana brzydkiego kaczątka
w łabędzia

Ukraino Ukraino
otwarta brocząco krwią rano
całaś nią już zalana
gdy wypuszczasz z siebie skrzydła
stale obcinane
mieczem najeżdźcy

Ukraino Ukraino
ile jeszcze musisz wybroczyć
z siebie krwi i potu
by do kielicha historii
mogła się wtoczyć
ta upragniona kropla
miodu
a może tylko
goryczy

14 marca 2022

JESZCZE JEDEN WIERSZ O WOJNIE

często
ostatnie słowo
należy
do martwych bohaterów

nie do ich żywych
zwycięzców

szkoda że o tym
nigdy się nie dowiedzą

byliby pewnie
bardzo szczęśliwi

7 marca 2022

ANNA ADAMUS-MATUSZYŃSKA i PIOTR DZIK



POLSKI ŁAD JAK CYBERPUNK 2077, CZYLI RZĄDZENIE W STYLU GAMEDEV

W 2021 roku Natalia Hatałska, ceniona specjalistka zajmująca się nowymi technologiami i ich wpływem na społeczeństwo napisała interesującą książkę pt. *Wiek paradoksów. Czy technologia nas ocali?* Autorka stawia w niej tezę czy, by nazwać rzecz właściwiej, prorocstwo, że przyszłością naszego świata jest tzw. *mirrorworld*, czyli świat lustrzany, który autorka charakteryzuje: „Rzeczywistość, w której świat cyfrowy będzie całkowitym odwzorowaniem świata rzeczywistego...”. Hatałska zna się na wielu zagadnieniach, jednak chyba mniej zna się na Polsce, a nasz kraj to takie miejsce, gdzie prorocтва spełniają się w dziwnie perwersyjny sposób. Obserwacja pozwala dostrzec ciekawą prawidłowość. Otóż w Polsce to rzeczywistość naśladuje świat cyfrowy, a nie odwrotnie.

Strzelisty wstęp o metodologii nauk

Ponieważ od czasu do czasu uprawiamy tzw. naukę, to – siłą rzeczy – ogarnia nas czasem przekonanie, że to co robimy nie ma sensu, ponieważ podstawy metodologiczne dyscypliny są wątle, wnioski niezasadne, a opasłe książki podpisane przez szacowne grono profesorów pełne są abstrakcyjnych rozważań nie mających wiele wspólnego z tym, co można zobaczyć za oknem. Konsekwencje takiego poczucia bezsensu własnej pracy bywają różne. Czasem powstają na ten temat poważne i mniej poważne artykuły (jako autorzy mamy też taki na koncie) czy nawet książki. W tym miejscu warto wspomnieć pracę Sabine Hosenfelder pt.: *Zagubione w matematyce. Fizyka w pułapce piękna*, w której to autorka udowadnia, że przeróżne metodologiczne choroby trapią nie tylko nauki społeczne, ale dotyczą także nauk ścisłych. Hosenfelder jasno pokazuje, że w fizyce mniej liczą się wyniki eksperymentalne, a znacznie bardziej – matematyczne piękno modelu.

Przeróżne kontrowersyjne przekonania dotyczące sposobu uprawiania nauki dyplomatycznie podsumowuje przedstawiciel austriackiej szkoły ekonomii Fritz Machlup w eseju pt.: *Kompleks niższości nauk społecznych*. Autor ten pokrótce omawia 10 z nich, jasno przy tym stwierdzając, że jest ich więcej. Pisze (Machlup 2013, s. 6): *Mimo iż zapewne jest ich trochę więcej, zajmujemy się tu następującymi: (1) Historyzm, (2) Instytucjonalizm, (3) Holizm, (4) Behawioryzm, (5) Operacjonizm, (6) Metromania, (7) Predykcjonizm, (8) Preskrypcjonizm, (9) Matematyka,*

(10) Eksperymentomania. Rzecz jasna, większość dotkniętych owymi przypadłościami nie będzie w stanie rozpoznać, że ich stanowisko jest aberracją, natomiast będą nalegać, iż to właśnie oni (i tylko oni) dysponują właściwymi spostrzeżeniami, a pozostali działają w sposób nienaukowy. Nawiązując do Hosenfelder, do listy austriackiego ekonomisty można dodać 11 - modelozę. Tę chorobę opisuje Danielewiczowa (Danielewiczowa 2018, s. 23): *Współcześnie na gruncie językoznawstwa, podobnie zresztą jak i w innych gałęziach humanistyki, obserwuje się prawdziwy wyścig do tworzenia coraz to nowych teorii i modeli. Bardzo ciekawą rzeczą byłoby notabene przebadanie częstości użycia i zakresów pojęciowych w humanistycznym żargonie naukowym tych właśnie słów: teoria i model. Można odnieść wrażenie, że obecnie w nauce liczy się tylko ten, kto przedstawił swoją teorię, przy czym wcale niekoniecznie musi mieć ona jakikolwiek sens. Chodzi o to, by zaistnieć na naukowym rynku.*

W polskich realiach istotną chorobą, wymuszoną właściwie wyłącznie przez biurokratyzację i pseudomenedżerskie projekty w zarządzaniu nauką, są ściśle podziały międzydyscyplinarne, które w zasadzie uniemożliwiają prowadzenie jakichkolwiek badań inter- czy międzydyscyplinarnych, w każdym razie uniemożliwiają prowadzenie takich badań w ramach oficjalnych struktur polskiej nauki. Badacze więc unikają takich kontrowersyjnych badań, bo po co je robić, skoro nie da się przypisać danych rozważań do urzędowo zdefiniowanej dyscypliny. A co do tego, że podziały dyscyplinarne i próby dokładnego zdefiniowania wymagań metodologicznych dla uznania czegoś za „wiedzę naukową” są, łagodnie rzecz ujmując, mało sensowne, zgodni są wcześniej cytowany, i – dodajmy – prawicowy w swych poglądach, Machlup oraz także, lewicowy Immanuel Wallerstein¹. Dlatego, wzorując się na przekonaniu Machlupa, wyrażonym w cytowanym eseju, że (Machlup 2013, s. 3): *Wiedza jest „naukowa”, jeśli jest bezstronna, usystematyzowana i bardziej kompletna lub dokładna niż „potoczna” wiedza w danym czasie,* oraz opinią Wallersteina, że potrzebne jest „odmyślenie” (*unthinking*) dotychczasowych praktyk nauk społecznych, pisząc ten esej kierowaliśmy się ideą tego drugiego autora, że (Klimczak 2017, s. 25): *Wallerstein postuluje unidyscyplinarność nauk społecznych jako jedyną właściwą drogę ujęcia przebiegających procesów w systemie-świecie.*

Postulat ten oznacza łączenie perspektyw różnych nauk społecznych w celu uchwycenia właściwego obrazu badanego zjawiska.

A ponieważ, z racji pracy w konsultingu i marketingu, czasem dopada nas rzeczywistość w postaci praktyk biznesowych, a tak się składa, że Śląsk jest jednym z centrów polskiego gamedevu, zauważyliśmy pewną, nawet dla nas zadziwiającą analogię. Kierując się więc wyżej zasygnalizowanymi metodologicznymi postulatami, uznaliśmy ją za ciekawą, że warta bliższego opisanie.

Praktyki gamedevu

Osobom nieobeznanym z tworzeniem gier komputerowych trzeba wyjaśnić, że *gamedev* oznacza po prostu *game development*, czyli biznes tworzenia, dystrybucji i sprzedaży gier. W działalności tej dzieją się czasem historie, które dla osoby postronnej mogą wydawać się „śmieszno-straszne”. Podsumowanie tej ponurej farsy zawiera niedawno wydana po polsku fundamentalna praca naukowa pt. *Gry imperium. Globalny kapitalizm i gry wideo*, której autorami są Nick Dyer-Witheford i Grieg de Peuter. Osobom poszukującym nieco mniej naukowego (a przyznać trzeba, że w warstwie teoretycznej książka łatwa nie jest i wymaga, choćby pobieżnej, znajomości – tu termin wyklęty – współczesnego neomarksizmu, w szczególności koncepcji „imperium” Antonio Negriego i Michaela Hardta) warto polecić niedawno wydane po polsku książki Jasona Schreiera *Krew, pot i piksele* oraz *Weicij reset. Triumfy i fakapy w przemyśle gier wideo*². A to, co zrobiło CD Projekt Red z „Cyberpunkiem 2077” rewelacyjnie podsumowuje praktyki tego biznesu, opisane w przywoływanych pracach, które można streścić w kilku następujących etapach rozwoju tego produktu, i – dodajmy – właściwie wszystkich innych gier:

Etap 1: Fantazyjne zapowiedzi. Gra, na podstawie różnego rodzaju działań marketingowych jawi się przyszłym odbiorcom jako coś cudownego, rewelacyjnego, przełomowego i w ogóle „WOW”. Pojawiają się rozbudowane prezentacje, balon pompowany jest do granic jego możliwości.

Etap 2: Prace się wloką, bo produkt jest skomplikowany i trudniejszy niż optymistycznie zakładano, ludzie zaczynają się niecierpliwić, firma, więc ogłasza datę, kiedy zapowiadania rewelacyjna gra wejdzie na rynek. Ponieważ, jak wyżej, prace się wloką, w firmie zaczyna się crunch time czyli praca w pośpiechu, po 20 godzin na dobę, byle zdążyć na czas. Przemęczeni pracownicy popełniają błędy i powstaje produkt nie do końca taki, jaki miał być, no i w rezultacie powstaje wyrób (gra) wadliwie wykonany, czyli – tu jakże piękny polski kolokwializm – niedoróbka.

Etap 3: Ponieważ data jest już powszechnie znana, zaczyna się agresywny marketing. Gra jest promowana np. na billboardach, targach i kongresach czy w mediach, w tym w społecznościowych. Zaczyna się także medialne szaleństwo, jednak, na wszelki wypadek, firma dostarcza recenzentom tylko specjalnie opracowane materiały ukrywające faktyczny stan rzeczy.

Etap 4: Czas start i ... kłapa. Produkt zawiera mnóstwo błędów, które odbiorców doprowadzają do szału. Burza w mediach, reklamacje, groźby procesów, pojawiają się problemy finansowe firmy.

ETAP 5: Firma się kaja. Zwalnia jakiegoś niezbyt ważnego człowieka (prezes zawsze jest niewinny, potrzeba kozła ofiarnego), powołuje „zespół kryzysowy” i zaczyna się „Cyberpunka” łątać, pojawiają się tzw. patche, czyli poprawki w formie pakietu instalacyjnego wprowadzające zmiany poprawiające lub uaktualniające daną grę.

ETAP 6: Po jakimś czasie, a z grubsza zajmuje to od 6 miesięcy do roku, gra zaczyna działać dobrze (w przypadku Cyberpunka zajęło to dokładnie 6 miesięcy, od grudnia 2020 do czerwca 2021) burza cichnie, firma zarabia, gracze są zadowoleni.

Czasem jednak bywa tak, że wypuszczona na rynek i wielokrotnie poprawiana gra jest fakapem, czyli wpadką, zwłaszcza wizerunkową, a w rezultacie jest przez developera i producenta porzucana. Dogorywa gdzieś w zakątkach obrotu wtórnego, w obiegu kolekcjonerskim, no i oczywiście w analizach naukowych. Jak pisze Schreier działa tu trudny do jednoznacznego opisu i właściwie nie poddający się operacjonalizacji czynnik nazywany „fajnością”. Pytanie „Czy gracze uznają grę za fajną?” dręczy każdego w przemyśle gierczanym, każdy też w tym biznesie wie, że rzetelna odpowiedź na to pytanie jest możliwa jedynie post factum, czyli po wypuszczeniu gry na rynek. Można oczywiście (i to się robi) testować, badać i analizować, ale i tak zadecyduje rynek. Omówione etapy rozwoju produktu jakim jest gra komputerowa przypominają politykę, czyli sztukę rządzenia państwem, choć niestety nie jak chciał Arystoteles w celu budowania wspólnego dobra, ale w innych celach, których możemy się tylko domyślać. Żaden polityk nie wie, by posłużyć się podobno powszechnym w tym biznesie określeniem „co zażre”, czy też co okaże się „politycznym złotem” (z kogo cytat – zainteresowani politycznymi skandalami zapewne wiedzą).

Spróbujmy więc porównać świat gier komputerowych i „Polski Ład” czyli plan odbudowy polskiej gospodarki po pandemii COVID-19 stosując te same kroki jak w rozwoju produktu jakim jest gra.

Etap 1: Fantazyjne zapowiedzi. Polski Ład na podstawie różnego rodzaju działań marketingowych jawi się przyszłym odbiorcom (wyborcom aktualnie panującej władzy) jako coś cudownego, rewelacyjnego, przełomowego i w ogóle „WOW”. Balon pompowany jest do granic jego możliwości w mediach i na kongresach zwanych programowymi przez rząd, polityków, a także dziennikarzy zachwyconych nową perspektywą rozwoju społeczno-ekonomicznego w Polsce.

Etap 2: Prace się wloką, produkt (plan odbudowy) jest bardziej skomplikowany i trudniejszy niż optymistycznie zakładano, ludzie (wyborcy) zaczynają się niecierpliwić, partia (rząd) więc ogłasza datę od kiedy Polski Ład wejdzie w życie. Ponieważ, jak wyżej, prace się wloką, w ministerstwach zaczyna się tzw. *crunch time*, czyli praca w pośpiechu, czyli po 20 godzin na dobę. Przemęczeni pracownicy popełniają błędy i powstaje produkt nieukończony oraz w rezultacie wadliwie wykonany, czyli – tu jakże piękny polski kolokwializm – niedoróbka.

Etap 3: Ponieważ data jest znana (konkretna, ogłoszona), zaczyna się agresywny marketing. Polski Ład jest promowany np. na billboardach i w innych mediach (nawiasem mówiąc często tych samych, na których reklamowano Cyberpunk 2077). Zaczyna

się także medialne szaleństwo, jednak, na wszelki wypadek, rząd dostarcza dziennikarzom politycznym tylko specjalnie opracowane materiały ukrywające faktyczny stan rzeczy.

Etap 4: Czas start i ... kłapa. Produkt zawiera mnóstwo błędów, które odbiorców (wyborców) doprowadzają do szału. Burza w mediach, skargi, przerażenie księgowych, groźby procesów, problemy finansowe (budżet się nie spina), opozycja ma pożywkę do ataków, wyśmiewania, oskarżania, itp.

Etap 5: Partia (rząd) się kaja. Zwalnia jakiegoś niezbyt ważnego człowieka (prezes zawsze jest niewinny, trzeba kozła ofiarnego), powołuje „sztab kryzysowy” i zaczyna Polski Ład łączyć, pojawiają się tzw. patche, czyli korekty, poprawki, uaktualnienia, itp., w efekcie których nikt już nic nie wie i niczego nie rozumie.

Etap 6: Po jakimś czasie, z grubsza od 6 miesięcy do roku, jak przewidują analitycy (znów zadziwiająco porównywalny przebieg wydarzeń), Polski Ład zaczyna działać dobrze, burza cichnie, partia zyskuje, wyborcy zadowoleni. W ten sposób partia zapewnia sobie poparcie w nadchodzących wyborach.

Ale – i tu następuje punkt ostatni – zarząd (*menedżment*) dochodzi do wniosku, że „nie zażarło”. Zyski, czy to pieniężne, czy to sondażowe są zbyt małe. Wraca się więc do źródeł, do tego, co przyniosło sukces wcześniej. Jak wynika z - nie do końca jasnych - zapowiedzi medialnych, studio deweloperskie CD Projekt RED wraca do swojego najbardziej udanego projektu, czyli serii „Wiedźmin”. Polski Ład został zamieniony w Nowy Polski Ład, którego najbardziej istotną częścią jest powrót do korzeni, to znaczy do „niskich podatków”. Projekt ustawy przewiduje obniżenie stawki podatku PIT z 17% do 12%.

Czyli podsumowując

Rzecz jasna analogie są zawsze podejrzane, a porównanie zawsze można uznać za nieuprawnione, niemniej podobieństw pomiędzy gamedev a Polskim Ładem jest wiele, a mechanizmy zbyt zbieżne, by uznać to za czysty przypadek. Podsumujmy rozważania posiłkując się wyjaśnieniami Schreiera (Krew, pot i piksele, s. 12-15):

- Gry są interaktywne, reagują na ruchy gracza. Polityka tak samo, przynajmniej w demokratycznym społeczeństwie – gra polityczna musi reagować na ruchy elektoratu. Rzecz jasna marzeniem, ośmielamy się napisać, każdego polityka, jest panoptikon, tj. zamknięcie całego społeczeństwa w czymś będącym połączeniem wojska i zakładu karnego, gdzie każdy ruch obywatela będzie obserwowany, nadzorowany, a obywatel popychany w jedynym właściwym kierunku (nasuwa się tu od razu skojarzenie z *nudge theory* Richarda Thaler'a i Cassa Sunsteina). Nawiasem mówiąc świat gier jest i w tej sytuacji właściwą analogią – niby interaktywność, otwarty świat i swoboda decyzyjna, ale i tak finał (rozwiązanie) ma być takie jakie przewidział producent gry.

- Technika się zmienia. Robienie gier i robienie polityki wymuszają reakcję na nowe wyzwania techniczne. A zarówno politycy, jak i politolodzy bywają zaskoczeni, dajmy na to Tik Tokiem, który od dawna nie jest już serwisem ze śmiesznymi filmami i,

tak przy okazji, jesteśmy ciekawi, kiedy to ktoś ze środowiska polskiej polityki ten fakt zauważy.

- Narzędzia nigdy nie są takie same. Każdy developer gier pracuje po części na własnym oprogramowaniu. Tak samo jest w polityce – partie, NGO czy lobbyści mają własne narzędzia badawcze, analityczne i instrumenty wywierania wpływu. Jednak tych narzędzi potrzeba potrafić używać. Innymi słowy o zaplecze trzeba dbać. Schreier pisze, że w produkcji gier chodzi o to, by przenieść pomysł z papieru na produkt. A do tego potrzeba odpowiednich narzędzi. Czyż nie o to samo chodzi w polityce?

- Planowanie jest niemożliwe. Ta teza nie wymaga komentarza, gdyż gry to dzieła sztuki (jednak!) tworzone przez artystów. A sztuka nie toleruje planowania. W polityce też czasem mówimy o pięknym albo o pokracznym rozwiązaniu, które powstało w głowie polityka albo jest reakcją na tak zwaną bieżączkę, czyli konieczność natychmiastowego reagowania, a nie przemyślaną strategią zgodną z zasadami nauki o zarządzaniu i jakości. Zawsze można się odwołać do Arystotelesa, który postrzegał politykę jako sztukę rządzenia państwem, czyli jednak sztukę.

- Po ostatnie i dla przypomnienia – nie sposób powiedzieć, czy gra jest „fajna” zanim się w nią nie zagra, by za Schreirem zacytować Emilię Schatz (tamże, s. 15): *Każdy z nas znalazł się w sytuacji, kiedy włożył w coś naprawdę dużo pracy, a grało się koszmarnie. Można sobie rozrysować w głowie misterne plany, wyobrazić sobie jak gra będzie pięknie działać, a w końcu, gdy przychodzi co do czego, wszystko okazuje się nie tak.* W polityce jest tak samo, trzeba w nią grać, by okazało się, co jest skuteczne, a co wydawało się, że skuteczne będzie.

Pozostaje, rzecz jasna, pytanie o przyczyny tego stanu rzeczy, to znaczy o przyczyny politycznej gry, która bardziej przypomina gry służące rozrywce (choć jest wiele gier, które służą edukacji i wychowaniu), niż sztukę rządzenia państwem. Można snuć różne hipotezy, że to ogólne trendy cywilizacyjne, że to nasz rodzimy geniusz loci ze swojską skłonnością do improwizacji, bałaganu i wiecznej prowizorki, a także, że to nieumiejętne zarządzanie projektem.

W przypadku polskiej polityki, to chyba jednak jest brak owej umiejętności zarządzania projektem, jakim jest państwo, gdyż kwalifikacje uprawniające do tego zarządzania polskiej klasy politycznej są, łagodnie rzecz ujmując, stosunkowo niskie. Dość popularne jest powiedzenie, że „najinteligentniejsi poszli do biznesu, głępsi do nauczania, najgłępsi do polityki”. Ale przecież w opisywanym cyfrowym przypadku zaważyła sprawę pełna błyskotliwych umysłów firma.

Zwrócić jednak wypada uwagę na drobne słówko „program”. Gra komputerowa jest programem (zbiorem poleceń, których wykonywanie ma doprowadzić do założonego rezultatu). Kliknięcie czy ruch myszką mają doprowadzić do zwiększenia zysków CD Projekt RED. Rzecz jasna po drodze jest zadowolenie gracza. Polski Ład, w tym podstawowym znaczeniu także jest programem – polecenie „składka zdrowotna 9%” ma doprowadzić do rezultatu „wygramy wybory”. Identyfikacja, jak w przypadku gry komputerowej, po drodze ma być zadowolenie wyborcy.

Kluczowe jest jednak to, o czym pamięta każdy aktywnie działający w świecie gamedevu i o czym w Polsce pamięta partia PiS, ale nie pamięta aktualna opozycja. Otóż trzeba złożyć graczom (w przypadku polityki - elektoratowi) propozycję. Dać grę (ofertę, program 500+ czy cokolwiek innego). Zadziała albo nie, ale to developer (polityk) ma być aktywny. Nigdy, właściwie piszą o tym wszyscy co znają się na gamedevie, żadna wielka, pamiętna, kultowa gra nie powstała w standardowy, opisywany w podręcznikach marketingu, sposób tj. w odpowiedzi na potrzeby rynku. Ludzie nie wiedzą, że potrzebują *Deus Ex*, *The Last of Us*, *Wiedźmina* czy *This War of Mine* zanim nie zobaczą i nie zagrają. Można oczywiście ograniczać ryzyko. Robić gry w piłkę nożną czy koszykówkę, można robić sequele, spin-offy i prequele. Ale u źródeł sukcesu prawie zawsze stoi jakiś wizjoner, któremu księgowi i specjaliści ds. marketingu mówią, że to nie ma sensu i się nie zwróci. I rzecz jasna często tak jest. Ale czasem świat zatyka i pojawia się niebieski rycerz z łopatą (tak, istnieje i jest bardzo ceniona gra *Shovel Knight*).

By nawiązać do czynności związanych z rozwojem nauki, można na zakończenie sformułować hipotezę do dalszych badań. Dzisiaj w XXI wieku, mamy do czynienia z kombinacją neoliberalnego *Zeigeistu* (termin zapożyczony od Shosany Zuboff) z polskimi kodami kulturowymi, czyli sarmackim *genius loci*. To pierwsze to przekonanie, dominujące obecnie w naszym życiu społeczno-gospodarczym, że nie liczy się nic innego jak zysk. A chciwość zaślepia. Żądza pieniądza i żądza władzy są w gruncie rzeczy podobne, wizja gór pieniędzy i wiecznej władzy niejednego pozbawiła zdolności do logicznej i racjonalnej oceny stanu rzeczy. To drugie to kombinacja anarchii, nieodpowiedzialności, ścisłych hierarchii (to ważne – skłania to do głuchoty na głosy tych, co na dole), sobiepaństwa oraz przekonania, że *furda realia* – wszystko ma się dostosować do woli magnata, a dawanie czegokolwiek „ludowi” jest nieodpowiedzialne (to ideologiczne uzasadnienie braku jakichkolwiek ofert nazywa się dyplomatycznie, że „wolny rynek zdecyduje”). Wątpiących się przekupi (damy Ci za darmo nową wersję gry, pozwolimy się rozliczyć według korzystniejszych zasad), zastraszy procesami i groźbami tychże. No i mamy ‘polski gamedev’.

Proroctwo

Skoro rozważania rozpoczęło proroctwo, to na takimż wypadu je zakończyć. Polski gamedev rozwija się nad podziw. Mamy wiele wysoce dochodowych biznesów w tej dziedzinie, także polscy programiści i programistki, graficy i graficzki pracujący w wielkich światowych korporacjach dowodzą, że tworzenie gier komputerowych jakoś nam Polakom wychodzi. To dość zastanawiające, bo żyjemy w kraju, w którym jednolicie szare niebo wygląda jakby Matrix się zawiesił i nie załadował grafiki.

Skoro nam to wychodzi to wyjrzymy poza opłotki opisanego pokrótce Cyberpunka. Jest taka, po szczegóły odsyłam do Press 1/2022, do artykułu Grzegorza Kopacza, mało znana, chociaż bardzo dochodowa, firma Ten Square Games (TSG), tworząca proste gry mobilne. Na przykład, dla zafiksowanych na rybkach, wirtualnych wędkarzy. Skądinąd wiemy, że wędkarstwo jest sportem – tak, wędkarze uważają, że to sport – uprawianym w Polsce przez ok. 2 mln osób. Jest więc kogo na tę grę „łowić”. No i łowią osiągając imponujące zyski. Sęk w tym, że

ich sztandarowa gra „Fishing Clash” jest zaprojektowana tak, że nie da się w niej wiele osiągnąć nie płacąc, choć podobno pracują nad tym, by można było wchodzić na wyższe poziomy oglądając reklamy.

No to prorokujemy. Mechanizmy wypracowane przez TSG zostaną zastosowane w życiu politycznym. Większe prawa obywatelskie, jeszcze nie wiemy jakie, ale np. 2 głosy zamiast jednego, będą przysługiwać tym, którzy wesprą daną partię finansowo, albo – dla pozyskania nieco biedniejszych – tym, którzy regularnie będą oglądać właściwy program telewizyjny lub prenumerować właściwe czasopismo. I to udowodnią logując się do systemu. Przeróżające? Smutne? Dramatyczne? – to nie jest ważne. Obserwacja rynku gier komputerowych i sceny politycznej w Polsce pozwala na sformułowanie proroctwa, realnego jak niektóre z biblijnych proroctw. Widać przy tym, że już tak działa system wyborczy na Węgrzech – głosy oddane na Fidesz i opozycję nie są równoważne, te pierwsze znaczą więcej. Więc – kiedy to wymagać będzie rejestracji? I – na przykład – głosowania przez aplikację gierzaną? Na to pytanie nie znamy odpowiedzi, ale wystarczy obserwować rynek gier komputerowych, by dowiedzieć się jak potoczyć się mogą (oby nie) dalsze losy polskiej polityki.

Przypisy:

1 Jego stanowisko w tej sprawie kompetentnie omawia Andrzej W. Nowak w przedmowie do polskiego wydania *Utopistyki* (2008).

2 Czytanie książek Schreiera wymaga podstawowej znajomości terminów stosowanych w gamedevie. Warto wiedzieć co to *pipeline*, projektowanie *questów*, *loot-boxy*, czym się różni silnik gry od tego w samochodzie (to akurat Schreier doskonale wyjaśnia) i parę podobnych. Wiedza jest łatwo dostępna w internecie i przystępnie wyłożona. Zaznaczyć należy, że warto obie książki przeczytać razem i w kolejności ich wydania i napisania, są czym w rodzaju dyalogi.

3 <https://www.komputerswiat.pl/gamezilla/artykuly/nowy-wiedzmin-na-unreal-engine-5-zamiast-redengine-wyjasniamy-decyzje-cd-projekt-red/1th9kpy>, wpis z 29marca 2022

Źródła wykorzystane w tekście

Arystoteles (2010), *Polityka*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.

Danielewiczowa M. (2018). „Terminomania i terminofobia we współczesnej lingwistyce” [w:] *Terminy w językoznawstwie synchronicznym i diachronicznym* pod redakcją Tomasza Miki, Doroty Rojszczak-Robińskiej, Olgi Ziółkowskiej. Poznań: Rys, s. 11-30.

Dyer-Witheyford, Nick; de Peuter, Grieg (2019, oryg. 2009). *Gry imperium. Globalny kapitalizm i gry wideo*. Toruń: Wydawnictwo UMK. Tłum.: K. Abriszewski, P. Gąska, A. Zabielski, redakcja naukowa oraz naukowe opracowanie przekładu: K. Abriszewski i P. Gąska.

Hatałska N. (2021). *Wiek paradoksów. Czy technologia nas ocali?* Znak: Kraków.

Hosenfelder S. (2019). *Zagubione w matematyce. Fizyka w pułapce piękna*. Copernicus Center Press: Kraków. Tłum: Tomasz Miller.

Klimczak J. (2017). *Transformacja gospodarcza jako marginalizacja. Gospodarcze i społeczne skutki polskiego czasu przemian*. „Progress. Journal of Young Researchers”, 1/2017, s. 22-36.

Kopacz G. (2021). *Złowić graczy*, „Press”, 1-2/2022.

Machlup F. (2013). *Kompleks niższości nauk społecznych*. Esej na stronie mises.org (dostęp 31.03.2022), tłum: D. Świonder. Oryginalnie jest rozdziałem XII książki *On Freedom and Free Enterprise: Essays in Honor of Ludwig von Mises* (1956) - <https://mises.org/library/freedom-and-free-enterprise-essays-honor-ludwig-von-mises>

Nowak A. W. (2008). „Przedmowa” [w:] Immanuel Wallerstein, *Utopistyka. Alternatywy historyczne dla XXI wieku*. Tłum: I. Czyż. Poznań: Oficyna Bractwa Trojka, s. 5-27.

Schreier, Jason (2018). *Krew, pot i piksele. Chwalebne i niepokojące opowieści o tym jak robi się gry*. Kraków: SQN. Tłum: B. Czartoryski. (2022). *Wcisnij reset. Triumfy i fakapy w przemyśle gier wideo*. Kraków: SQN. Tłum: B. Czartoryski.

EWA OKOŃ-HORODYŃSKA



KRYZYS A INOWACJĘ POMAGAJĄ CZY POGRAŻAJĄ

Wprowadzenie

Ktoś bezduszny mógłby stwierdzić, że pandemia pojawiła się w ostatnim dobrym momencie, by opuścić zasłoną dymną, i ukryć za nią wszystkie niezałatwione wcześniej kumulujące się głębokie kryzysogenne przyczyny systemowe. Od słabości w usuwaniu przyczyn kryzysu finansowego z lat 2008-2009, poprzez wciąż dominujące wpływy neoliberalnej doktryny radykalnego posthumanizmu z równoczesnym populizmem, nierównościami społecznymi i degradacją środowiska. Problemu tego nie opisuje tradycyjna teoria ekonomii, a więc i w tej przestrzeni pojawiło się zapotrzebowanie na innowacje. Złożone wielokrotnie problemy wymagają rozwiązań o charakterze interdyscyplinarnym, a nie wycinkowym, taką jest m.in. ekonomia innowacji. Bada ona, dzięki ukierunkowaniu behawioralnemu i ekonomii wartości, jak i dlaczego ludzie zmieniają swoje zachowania i sposoby myślenia o przyszłości, czy i co ich motywuje do kreatywności, skłonności do nadzwyczajnego ryzyka i podejmowania decyzji o współpracy w tworzeniu i wykorzystaniu innowacji w celu nowego skomponowania ograniczonych zasobów i wytworzenia dóbr i usług, które mogą być w różnorodny sposób zastosowane w gospodarce i społeczeństwie prowadząc do poprawy jakości życia i biznesu. Na gruncie ekonomii innowacji z jej wielowymiarowym instrumentarium - modelem pięcioramiennej helisy (Carayannis, Barth, Campbell, 2012) analizowany może być kryzys Covid-19 z jego unikatowym sprzężaniem się megatrendów i powstawaniem kryzysowych innowacji granicznych. Stawia się tezę, iż otwarcie społeczeństwa i gospodarki na potencjał zróżnicowanej, elastycznej ale i dynamicznej niepodlegającej dotychczasowym wzorcom aktywności kryzysowej staje się niezbędnym warunkiem utrzymania zdolności do sprostanania wymogom zrównoważonego rozwoju po kryzysie. Śledzenie i analizowanie tematycznej bibliografii wyznacza specyficzne pole badawcze, źródło weryfikacji i antycypowania przyszłych rozwiązań łagodzenia kryzysów, które znajdują zapewne swe miejsce w teorii. Celem artykułu jest, mimo wielu zdań przeciwnych wykazanie, iż aktywność innowacyjna może stać się kluczem do odblokowania wzrostu gospodarczego pokryzysowego. Podstawą dla przedstawionych w tym opracowaniu analiz jest

polska i zagraniczna literatura przedmiotu, raporty z prowadzonych w różnych ośrodkach badań oraz własnych obserwacji dzięki aktywności w Radzie Innowacji Społecznych. Zawarte tu oceny i wnioski w znacznej mierze oparte są na hermeneuetyce, mają one też podłoże w analizach danych statystycznych cytowanych badań. W opracowaniu sygnalizuje się następujące wątki badawcze: 1) rzeczywistość kryzysu w aspekcie pandemii Covid-19 i innych kryzysów w studiach literaturowych i praktyce; 2) innowacje, jako siły motoryczne wychodzenia z kryzysu Covid-19; 3) wsparcie covidowe: aktywność państwa a oczekiwania społeczne.

Rzeczywistość kryzysu w aspekcie pandemii Covid-19 i innych kryzysów w studiach literaturowych i praktyce

Wg Web of Science, bezprecedensowa liczba publikacji obejmujących w latach 2019-2021 badanie relacji innowacje – Covid-19 sięgała 56%, zaś 44% relacji: globalny kryzys finansowy (GFC), Covid-19 i innowacje, co sugeruje rozważania w 3 segmentach: 1) innowacje, jako przyczyna kryzysów ekonomicznych, 2) specyfika kryzysu finansowego w aspekcie innowacji i 3) innowacje a możliwość wychodzenia z kryzysu Covid-19. O ile dwa pierwsze segmenty znalazły już swe teoretyczne odzwierciedlenie, w trzecim operować można przede wszystkim doświadczeniem praktyki społeczno-gospodarczej. Ze względu na ograniczenia objętościowe opracowania analiza bogatej literatury obejmuje wybrane wątki. Znaczenia innowacji w społeczeństwie i teoretyczne tego uzasadnienie sięga wieku co najmniej XVIII, kiedy to klasycy ekonomii dostrzegali korzyści płynące z ludzkiej ciekawości, okazji do nowatorstwa i usprawniania pracy na różne sposoby, (Smith, 1904), obniżenia kosztów produkcji, ale i cen produktów cechujących się precyzją (Say, 1855), wzrostu efektywności handlu zagranicznego (Mill, 1874), zaś następcy zauważając pewne negatywy, jak degradację człowieczeństwa i nierówności w korzystaniu z innowacji (Marx, 1906), kontynuowali pozytywny obraz roli wynalazków i innowacji, jako udogodnień w codziennym życiu i pracy (m.in. Marshall 1920; Veblen 1994; Kalecki 1986). Ale to J. Schumpeter, który wprowadził innowacje do teorii ekonomii (1934), uważany jest za pierwszego teoretyka uznającego

innowacje za źródło kryzysów. Za „zdrową” gospodarkę uważał nie tę, która jest w równowadze, lecz gospodarkę ciągle zakłócaną przez technologiczne innowacje, za każdym razem reprezentujące jednak inną branżę (Schumpeter, 1994, s. 82), tworząc cykl zmieniającym warunki funkcjonowania gospodarki raz na destrukcyjne, a raz na twórcze falowanie innowacji. Uznanie innowacji za przyczynę kryzysów nie do końca oznaczało pograżenie gospodarki w chaosie, ponieważ po fazie negatywnej pojawiają się nowe możliwości na osiągnięcie efektywności nadchodzącego ożywienia (Solow, 1999) napędzającego wzrost gospodarczy, a prawidłowość ta została sprawnie wykorzystana przez badaczy w różny sposób interpretujących wpływ kreatywności, innowacji, zmiany zachowań ludzi, ich kompetencji, zmian technologicznych, opatentowania wiedzy, przeinwestowania, B+R, instytucji, czy całego NSI na wzrost gospodarczy (m.in. Swan 1956; Arrow 1962; Lucas 1988; Ayers, 1989; Romer 1990; Drucker, 1992; Tylecote, 1994; Okoń-Horodyńska 1998; Asteriou & Agiomirgianakis 2001; Freeman&Louçã, 2001; Perez, 2002; Aschhoff & Sofka, 2009; Šmihula, 2009; Piech 2009;).

O ile kryzysy inspirowane innowacjami technologicznymi uruchamiały równocześnie szanse wzrostu gospodarczego nowej jakości, o tyle trójwymiarowy, bo bankowy, walutowy i zadłużeniowy GFC z lat 2007-2010 nadwyreżył mocno zaufanie do pozytywnej roli innowacji. Chichotem historii jest fakt, iż swoisty „wybuch” innowacji finansowych, niestety wyłącznie inkrementalnych a nawet quasi innowacji dokonał się wskutek przełomowych zmian technologii w telekomunikacji i przetwarzaniu danych. Innowacje w sektorze bankowym, takie, jak: sekurytyzacja, kolateralizacja, emisja instrumentów o charakterze ubezpieczeniowym czy instrumenty strukturyzowane (Fabozzi&Goodman, 2008; Ghosh, 2008; IMF, 2009; Blanchard, 2009) stały się bezpośrednią przyczyną jednej z największych baniek spekulacyjnych i amerykańskiego kryzysu subprime, a poprzez tzw. efekt zarażania przyczyniły się do silnej niestabilności sektora bankowego w skali globalnej. Globalny kryzys finansowy wiąże się z trwałymi spadkami produkcji przemysłowej, inwestycji i produktywności a dotyczy to zarówno firm, branż, jak i skali makroekonomicznej (Cerra & Saxena, 2017; Kołodko, 2020). GFC doprowadził bowiem do ograniczenia kanału zewnętrznego finansowania B+R, aktywności patentowej oraz innowacji, blokując inwestycje długoterminowe firm, utrudniając powrót aktywności gospodarczej na pierwotną ścieżkę wzrostu (Cerra & Saxena, 2008, 2017; Furceri & Zdzienicka, 2011; Reinhart & Rogoff, 2009; Teulings & Zubanov, 2014). Zaobserwowano wręcz realokację kredytów bankowych z firm innowacyjnych do nieinnowacyjnych bowiem aktywność innowacyjna stała się zbyt ryzykowna (Hall&Lerner 2010; OECD, 2012; Benoliel & Gishboliner, 2015; Markatou & Vetsikas, 2015; Nanda & Nicholas, 2014; Aghion, Askenazy, Berman, Cette, & Eymard, 2012; de Ridder, 2019; Peia, 2019). Badanie aktywności patentowej i jej efektów przeprowadzonych w 32 krajach OECD (Hardy&Sever, 2020) z uwzględnieniem danych z 52 kryzysów finansowych na przestrzeni lat 1976-2006 (Laeven &

Valencia, 2018) wykazało, iż na skutek GFC aktywność patentowa danego kraju spada w ciągu 4 lat po kryzysie, średnio o (-2,6%), podczas, gdy przy braku kryzysu finansowego rośnie w tym samym okresie średnio o 0,6% (Hardy&Sever, 2020, s.3). Branże bardziej zależne od zewnętrznego finansowania (np. w 75%) odnotowały większe spadki aktywności patentowej, (3-5 pp), niż branże, w których ta zależność jest mniejsza (Hardy&Sever, 2020, s.4). Przeciwnicy wykazują z kolei, iż, co prawda w 37 wiodących gospodarkach OECD globalny spadek PKB w latach 2008-2009 wyniósł niecałe 2%, w Europie (UE-28) odnotowano spadek o 2,1%, ale utracone wartości z 2008 roku już w 2010 roku ponownie osiągnięto, w UE były nawet o 1,45% wyższe niż w 2008 r.; (EBM, 2020, s.65). Globalne wydatki na B+R, w 2009 r. zmniejszyły się jedynie o 1,13% w relacji do roku 2008, by już w 2010r. powrócić do wielkości sprzed GFC. Liczba wniosków patentowych spadła w Europie o 5,7% w 2009 r.w stosunku do roku 2008, ale w 2010 roku wzrosła o 7,6%. Pojawiło się też wiele nowych rodzajów innowacji (m.in. przełomowa technologia iPS, umożliwiająca terapię komórkową, OECD, 2012). GPF nie zahamował też powstawania innowacyjnych firm, na przykład, wg 2010 Dow Jones Industrial Index, 18 z 30 firm założono właśnie w kryzysie (Chakravorti, 2010), zaś w najgłębszej recesji 2009 r., w USA liczba start-upów była wyższa, niż w okresie boomu technologicznego z lat 1999-2000.(KIEA 2014). Dane obrazujące zachowania inwestycyjne firm podczas GFC wskazują, iż pomimo ogólnego strachu przed inwestowaniem i antymotywowym działaniem banków, 50 najbardziej innowacyjnych przedsiębiorstw z listy Boston Consulting Group z 2007 r. zainwestowało w innowacje w kryzysie, zapewniając akcjonariuszom o 4% wyższy roczny zwrot z inwestycji, niż rynek aż do 2012r. (BCG, 2020), kryzys z 2008 roku, wymusił więc stan umysłu, przyspieszający rozwój wielu ważnych innowacji (Scott, 2009).

Kryzys Covid-19 z kolei, cechuje skomplikowana symptomologia, w swej etiologii – jest zmultiplikowanym kryzysem zdrowotnym i gospodarczym, w obrazie - dotyka wszystkich obszarów funkcjonowania jednostek, społeczeństwa i gospodarki, cechuje go brak panaceum i szybkich rozwiązań, oraz dwie sprzeczne jakości, uniwersalność i idiosynkrazja. Uniwersalność ujawnia się w pewnej dezorganizacji, braku równowagi i w propozycjach rozwiązań antykryzysowych, opisanych już w teorii ekonomii. Zaś idiosynkrazja oznacza tu aspekt wyjątkowości, osobliwości, indywidualizmu, nieprzydatności strategii i przykładów zachowań znanych z innych sytuacji kryzysowych. Kryzys ten jest akceleratorem ograniczania podaży i popytu, kombinacją znanych z teorii cech oraz wielu nieznanych, które wciąż się pojawiają (Brown, 2019), nieładu instytucjonalnego bez metodycznej możliwości antycypowania prawdopodobnego obrazu zjawiska w przyszłości. Zalicza się on więc do tych, które wymagają od decydentów podjęcia drastycznych środków a od społeczeństwa porzucenia wcześniejszych praktyk i nieodwracalnej zmiany sposobu życia. W miarę utrzymywania się kryzysu wzrasta skala nieracjonalnych zachowań wobec takich zjawisk, jak to, iż: 1) wiedza o przenoszeniu choroby, infekcji,

wykrywaniu i leczeniu pojawiała się stopniowo i nadal ewoluuje; 2) wiele praktyk w terenie zmieniło się w odpowiedzi na nowe środki zaradcze; 3) koronawirus nadal mutuje, tworząc warianty, które rozprzestrzeniają się w różnym tempie w przestrzeni i czasie; 4) stosowane rozwiązania łagodzące skutki kryzysu mają charakter tymczasowy, obarczone są dużym ryzykiem, którego nie da się oszacować; 5) tzw. dobre praktyki są odrzucane a dotychczasowe sposoby realizacji zadań są kwestionowane; 6) warunki kryzysu pandemicznego jawią się jako narastająca spirala niepewności zakłócającej sposoby organizacji, wykonywania pracy, edukacji, kultury a przede wszystkim ochrony zdrowia; 7) oczekiwania społeczne przekraczają racjonalne możliwości ich realizacji, co wywołuje często chaos instytucjonalny i naraża społeczeństwo na poważne konflikty społeczno-polityczne; 8) wspólnym mianownikiem w warunkach kryzysu pandemicznego dla wszelkich aktywności ludzi i funkcjonowania gospodarki powinno być uczenie się (Weick, 1988; Hoff, 2021).. Kryzys pandemiczny wyznaczył więc jakiś graniczny czas i przestrzeń - przerywając znane praktyki i obowiązki, ale też spowodował nowe otwarcie wymuszając niekonwencjonalne, liminalne, sprzyjające kreatywności aktywności (Czarniawska i Mazza, 2003). Liminalność działania oznacza tu zacieranie się i łączenie granic, pozycji, rozróżnień, kategorii i pojęć, które tworzą nieustalony, otwarty i niejednoznaczny stan, z którego mogą powstać „nowe konfiguracje idei, relacji, wytworów” (Turner, 1967, s. 97). W badaniach nad pandemią wykorzystanie liminalności pozwala na zbadanie, w jaki sposób różni aktorzy społeczni (na przykład konsultanci, pracownicy, wolontariusze, agenci zmiany, koordynatorzy wiedzy o wirusie, służby medyczne, przedsiębiorcy, decydenci lokalni i centralni, itp.) zmagają się, wykorzystują lub nawet tworzą okresy niejasności, aby ułatwić zmiany ról, projektów, trajektorii, kultur i efektów pracy, norm i procesów, a więc, jak uczestnicy pandemii eksperymentują z alternatywnymi sposobami strukturyzacji swoich działań, co ostatecznie umożliwi nowatorskie sposoby organizowania się i działania. (Garsten, 1999; Howard-Grenville, Golden-Biddle, Irwin & Mao, 2011; Swan, Scarbrough & Ziebro, 2016). Kryzys pandemiczny pozwala na natychmiastowe zastosowanie nowych rozwiązań w praktyce, poprzez powstawanie rekonfiguracji rozwiązujących problem, bowiem w tych warunkach jedna innowacja staje się rozrusznikiem dla innej (Mertens 2018, s.290). Socjomaterialne akty dotychczasowych praktyk znacznie się zmieniły, ale dla wielu organizacji są to zmiany generatywne oznaczające ciągły proces niwelowania napięć i tworzenia możliwości, by stać się twórczym w czasach kryzysu (Orlikowski & Scott, 2021).. Studia nad symptomologią różnych konfiguracji kryzysów z innowacjami w roli głównej, w pamięci pozostawiają dwa skrajne stanowiska:

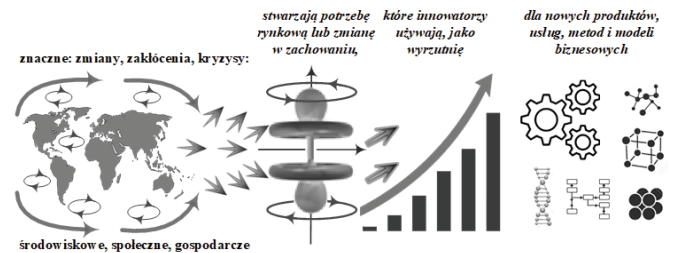
1) W czasie kryzysu innowacje cierpią (Kris Østergaard, 2020)

2) Kryzysy są adrenaliną dla innowacji (McKinsey&Company,2020)

Oba są prawdziwe, jednak w przypadku Covid-19 uwagę skupić należy na szansach przezwyciężenia pandemii, bo skoro walka o

przetrvanie zawsze była najbardziej palącym problemem ludzkości (Keynes, 1963), to innowacje mogą być tu siłą napędową łagodzenia kryzysu a wdrażający je dziś przedsiębiorcy mierząc się z nadzwyczajnymi wyzwaniem staną się liderami innowacji jutro. Historycznie rzecz biorąc kryzysy wyznaczyły pewien wzorec (Rys.1) wymuszania innowacji, (Sutter, 2009; EBM, 2020) i zarazem zmieniających trendy rozwojowe.

Rysunek 1. Historyczny wzorec powstawania kryzysowych innowacji



Źródło: opracowanie własne

2. Innowacje jako siły motoryczne wychodzenia z kryzysu Covid-19

Praktyczne podejście do radzenia sobie z ograniczeniami pandemii Covid-19, zaobserwowano w następujących segmentach badań:

1. Nowe wyzwania dla innowacji
2. Argumentowanie innowacji, jako siły motorycznej wychodzenia z kryzysu Covid-19
3. Lokowanie aktywności innowacyjnej Covid-19 na nowej trajektorii wzrostu gospodarczego

Nowe wyzwania dla innowacji wynikają w pierwszym rzędzie z wielowymiarowego charakteru kryzysu Covid-19, który stanowi niejako mikrokosmos dla przyszłych trudności, bowiem pandemia wykazuje coraz większą dynamikę transgraniczną, powodując łączenie się różnych problemów w wielu systemach społecznych. Innowacje przybierają tu nową rolę, niezbadaną jeszcze, społecznego mechanizmu pogodzenia pojawiających się wyzwań. Rozwój pandemii można więc postrzegać przez pryzmat analizowania treści innowacyjnych projektów i zachowań, które odpowiadają na podstawowe ludzkie potrzeby konsumentów i biznesu. W tych nieznanym dotąd warunkach strukturalny model działalności innowacyjnej i jej ukryte siły napędowe mogą pomóc decydentom politycznym i innowatorom w osiągnięciu systemowej reakcji na podobne kryzysy w przyszłości (Dahlke et al, 2021). Konieczna do odnotowania jest zmiana krajobrazu innowacji, w związku z modyfikacją w praktyce pojęcia megatrendy, do których zalicza się: styl zdrowia, gospodarkę użytkowników, cyfrowe sieci, połączenie światów offline i online, bezproblemowy handel, urbanizację, erę danych, społeczeństwo nieufne, sztuczną inteligencję, przyszłą pracę, wirtualizację, indywidualizm, Przemysł 4.0

(Ebersberger B. & Kuckertz, 2021). Innowacje Covid-19, jako graniczne, rodzą się na styku megatrendów, (np. styl zdrowotny przed pandemią traktowano głównie, jako luksus, po wybuchu pandemii wyraża on zaspokojenie podstawowych potrzeb). Wyzwaniem stały się drastyczne zmiany w reżimach społeczno-technicznych, skutkujące niedoborami zasobów, upadkiem łańcuchów dostaw a tym samym zagrożeniem w zaspokojeniu podstawowych potrzeb ludzi. Luki te wypełniano nowymi pomysłami, ze zróżnicowanym zestawem domen i koniecznością nowych typologii innowacji, od najważniejszych technologicznych do oszczędnych, szybkich, prospołecznych. Powiązaniem z tym wyzwaniem dla innowacji jest osiągnięcie potencjału dużej szybkości określanego przez czas reakcji innowacji na rozwiązanie problemu, czyli na przykład zaspokojenie potrzeb w warunkach izolacji, którego osiągnięcie pretenduje do nowego wskaźnika oceny innowacyjności organizacji. Ze względu na priorytet praktyczności w minimalizowaniu skutków pandemii ważne są wskazania światowych innowatorów zgodnych co do tezy, iż tylko innowacje mogą rozwiązać problemy kryzysu Covid-19 (Gates, 2020). Warty rozważenia jest tu pakiet 8 praktycznych zasad innowacji, czyli tzw. DROGOWSKAZU do poruszania się po wielowymiarowym kryzysie Covid-19. Zawiera on następujące wyznaczniki : Aspirowanie; Wybieranie; Odkrywanie; Ewolucja; Przyspieszanie; Skalowanie; Poszerzanie; Zmobilizowanie, zaś zdolność i szybkość realizacyjna tych wyznaczników stanowi także miarę innowacyjności organizacji w kryzysie (McKinsey&Company, 2020). Identyfikując system potrzeb człowieka i włączenie tej perspektywy do strategii reagowania i podejmowania decyzji wg wskazanych wyznaczników można budować adekwatny do wyzwań system zarządzania kryzysowego i zapobiegać znacznym szkodom społecznym (Ryan et al, 2020). Badania wykazują, iż duże organizacje o ugruntowanej pozycji mają względną przewagę innowacyjności w czasach kryzysu (BCG, 2020; Archibugi&Filippetti&Frenz 2013; McKinsey&Company 2020; EPO 2020). Większe firmy dysponują znaczną pulą zasobów, własności przemysłowej, bardziej zrównoważonym profilem ryzyka dzięki dywersyfikacji, a w konsekwencji większą zdolnością do finansowania inwestycji z własnych przepływów pieniężnych, co zwiększa szanse na rozwój innowacji, przy niedrożności zewnętrznego kanału finansowania innowacji. Kryzys pandemiczny zdecydowanie odświeżył współpracę między instytucjami badawczymi, uniwersytetami i dużymi firmami. Współpraca ta przybiera formuły niekonwencjonalne dzięki czemu stanowi tzw. sprint w projektowaniu, znajdowaniu nowych metod, produktów i procesów a także modeli biznesowych służących potrzebom konsumentów i biznesu. W nowych strukturach współpracują też wcześniejsi rywale rynkowi, np. firmy farmaceutyczne - wypracowują nowe szczepionki i leki, (White Paper, 2020, s.10 i dalsze), - tworząc innowacje radykalne, które – gdyby nie kryzys Covid-19 odblokowujący kreatywność (Fretty, 2020), może nigdy by się nie pojawiły. Grupą niezwykle aktywną

w pandemii są start-upy - szybkie, elastyczne, z niewielkimi budżetami są otwarte na ryzyko, drapieżne na nowe pomysły, wykorzystujące ogólnodostępność rynku wywołaną pandemią stały się odważnym i najszybszym aktorem efektywnej logiki i ograniczania autotematyzmu (Ebersberger &Kuckertz, 2021;Technology Pioneers 2020).

Przez wielu badaczy i praktyków kryzys Covid-19 uważany jest więc za kluczowy moment dla przedsiębiorstw, chcących, dzięki nowym pomysłom i działaniom chronić życie oraz źródła utrzymania społeczności i branż na całym świecie.Dla przykładu:

- Badania BCG (2020) na próbie 1200 menedżerów, wykazują, iż 65% liderów korporacji określiło innowacyjność, jako jeden z trzech najwyższych priorytetów zarządzania, 45% zaangażowało siły i środki w innowacje, niestety kolejne 20% takich decyzji nie podjęło; ale aż 90% firm uruchomiło kanały cyfrowe jako nowy sposób interakcji z klientami;
- Badania McKinsey&Company (2020) na próbie 2000 organizacji z różnych branż wskazują, iż 90 % firm wierzy, że kryzys Covid-19 spowoduje w ciągu najbliższych 5 lat fundamentalną zmianę i sposób prowadzenia biznesu; 21 % firm posiada wiedzę fachową, zasoby i cechuje się zaangażowaniem do kontynuacji innowacyjnego wzrostu z sukcesem; ponad 70% menedżerów uważa, że kryzys Covid-19 będzie jedną z największa szans na wzrost w ich branży, aż w 85% oczekuje tego branża technologiczna, w 79% branża farmaceutyczna i medyczna.
- Innowacje w zakresie zdalnych usług – modyfikacja znanych dotąd Zoom czy Skype, zaowocowała nowymi możliwościami videokonferencji w obszarze biznesu, telemedycyny, edukacji i zdalnych usług fitness (firmy Peloton i Hydrow) oraz rozwoju kontaktów społecznych; rozwinęła streaming cyfrowy z muzeów, teatrów, targów i pokazów mody oraz rozgrywek sportowych; (White Paper, 2020)
- Badania EYP arthenon (2021) wykazują, iż 21 największych firm farmaceutycznych na świecie zwiększyło swoje inwestycje w B+R, w 2019r.o ponad 14%, co procentuje w kryzysie, EBIT firmy Bayer wzrósł w 2020r. aż o 53%, zysk przed opodatkowaniem firmy Boehringer Ingelheim wzrósł o 31%, Merck odnotował 28% poprawę wskaźnika EBIT.
- Ultra szybkie innowacje powstały przede wszystkim dzięki ekspansji konkurencji z różnych obszarów, głównie sztucznej inteligencji (AI), robotów, ICT w sferę produktów medycznych, ochrony zdrowia, wielu usług i zmianę modeli biznesowych (White Paper, 2020)
- W Polsce (Raport ALK 2021) badania wykazują, iż wśród 100 ankietowanych firm, w czasie pandemii 60% wdrożyło choć 1 innowację; 27% firm opracowało strategię innowacyjności, a 32% uważa, że takiej nie potrzebują; 93% firm finansuje B+R z środków własnych; 73% firm promuje postawy innowacyjne pracowników; 50% firm finansuje innowacje

za pomocą dotacji krajowych, 38% rozlicza ulgę na B+R, spada zdolność do twórczego myślenia, rośnie niechęć do inwestycji, rzadko podejmowano próby zmian modelu biznesowego; rośnie aktywność start-upów realizujących innowacje społeczne (MRIS, 2021)

Powstawanie innowacji kryzysowych wynika z prawdziwego poczucia pilności, co procentuje w sięganiu do przydatnych teorii, np. teorii perspektyw (Kahneman & Tversky 1979), i wynikającej z niej galwanizacji działań prowadzących do zmniejszenia strachu przed porażką, czy ryzyka „awarii”. Pandemia jednoczy ludzi wokół jednego celu, któremu dedykowane są ograniczone zasoby, wychwytuje słabe punkty w systemie, powoduje uelastycznienie organizacji i przewyższenie luk infrastrukturalnych, pozwala na rozwój innowacji przez lata niewdrażanych z przyczyn biurokratycznych (np. e-edukacja, telepraca, telemedycyna). Tymczasowość kryzysu wyzwala większy wysiłek a wtedy

procentuje idea sprintu, eksperymentowania, kamieni milowych, (Amabile & Kramer, 2011). Najważniejsze innowacje technologiczne pandemii i ich konsekwencje zestawiono w Tab. 1.

Istnieje duże prawdopodobieństwo aktywizacji wskazanych innowacji po pandemii. Szacuje się na przykład, iż transformacja cyfrowa dokonała się w ciągu 2 miesięcy zamiast planowanych 2 lat (Sparato 2020). Wyniki szacowania siły wpływu logiki innowacji technologicznych wdrożonych podczas kryzysu Covid-19 na społeczeństwo są niezwykle ważne, bowiem znając efekty innowacji wdrażanych podczas Covid-19, można będzie ocenić ich przydatność także w przypadku innego kryzysu.

Ze względu na zbyt krótki okres trwania zjawiska (krótkie szeregi czasowe), można na razie dokonywać jedynie pewnych ocen opisowych. Do wiodących zmian zachowań należą:

Tab.1. Konsekwencje krótko i długoterminowe wiodących innowacji kryzysu Covid-19

Lp.	Innowacja technologiczna w pandemii	Krótkookresowe konsekwencje (1-18 miesięcy)	Długookresowe konsekwencje (powyżej 18 miesięcy)
1.	Drukowanie 3D	Szybka produkcja wyrobów i sprzętu medycznego Nowy projekt opieki zdrowotnej (urządzenia).	Akwizycja drukowania 3D, ułatwienie lokalnej produkcji. Zwiększona adopcja 3D w przemyśle, szybsze prototypowanie i krótsze serie. Rozwój od B2B na rynek B2C, osobiste drukarki 3D.
2.	Elastyczne systemy produkcji	Adaptacja procesów produkcji w trybie pilnym wg potrzeb sektora medycznego i jakości życia Przenoszenie części laboratoriów i produkcji farmaceutycznej z Chin i Indii do Europy i USA	Przeprojektowanie medycznych urządzeń i globalnej podaży. Łańcuchy dostaw do wielu produktów, odporne usługi (rolnictwo, energia itp.).
3.	Big Data, AI	Szybki rozwój i dystrybucja nowych szczepionek. Wykorzystanie AI i Big Data do zrozumienia klucza choroby, personalizacja leczenia.	Wykorzystanie danych do automatycznego monitoringu dla firm i rząd w zapobieganiu przyszłym epidemiom. Wzrost popytu na oprogramowanie dla bezpieczeństwa cybernetycznego. Wzrost ofert dla ochrony biznesu i danych osobowych, walki z „cyberprzestępczością”.
4.	Urządzenia w służbie zdrowia, Internet rzeczy medycznych	Przyspieszona inkorporacja, więcej urządzeń i funkcji możliwych w opiece zdrowotnej (smartfony, smartwatche) do szybkiego komunikowania się. Diagnostyka na odległość, telemedycyna.	Inteligentne zdrowie w ramach ubezpieczenia zdrowotnego. Akceptacja „inteligentnej” odzieży przez Konsumentów. Rozwój wirtualnych klubów fitness i siłowni.
5.	E-learning	Nauczanie w czasie pandemii.	Zastąpienie bezpośrednich zajęć przez oferty cyfrowe. Wzrost udziału w rynku programów online i konkurencja z programami nauczania offline. Wpływ nauczania <i>online</i> na treść i wartości pedagogiczne programów nauczania.
6.	E-gaming	Wzrost w turniejach udziału gier elektronicznych wzorowanych na sport offline.	Wirtualna gra w zastępstwie gry offline (profesjonaliści ligowi, gwiazdy, najwyższe wynagrodzenia dla <i>merchandisingu</i> , itp.).
7.	Wideokonferencje	Zastępstwo osobistego spotkania z powodu kwarantanny.	Pełna praca w biurze w środowisku domowym. Zredukowanie podróży służbowych. Upowszechnienie ICT wśród użytkowników z awersją do technologii (np. osoby starsze).
8.	Internet streaming	Zablokowanie funkcji przemysłów kreatywnych, opóźnienia z prezentacją nowych artystów i dzieł.	Punkt zwrotny na korzyść konsumpcji wiadomości i rozrywki w domu. Zanikanie tradycyjnych mediów (gazety, telewizja). Wzrost przepustowości Internetu.
9.	Płatności bezgotówkowe	Spadek wskaźnika infekcji wywołanej używaniem gotówki.	Rozwijanie systemów bezgotówkowe online. Prawdopodobna dominacja mobilnej metody płatności.
10.	E-commerce i dostawa do domu	Wzrost popytu na e-commerce we wszystkich dotkniętych pandemią krajach	Wzrost udziału w rynku e-commerce w handlu detalicznym. Wzrost robotyzacji w pakowaniu i dronów w realizacji dostaw.
11.	Przemysł 4.0	Analiza danych, szybka diagnoza i leczenie, monitorowanie hospitalizowanych pacjentów, organizacja kwarantanny.	Zmiana struktur i sposobów produkcji. Współpraca człowiek-maszyna. Nowe kompetencje, nowe modele biznesowe.
12.	Blockchain	Integracja różnych danych, analizy statystyczne, wykorzystanie rejestracji transakcji do weryfikacji działania zespołu opieki zdrowotnej. Użycie łańcuchów dostaw do ograniczania pandemii.	Zmiana funkcjonowania podmiotów gospodarczych i społeczeństwa, nowe wybory dokonywania transakcji, korzystania z informacji, osiągania nadzwyczajnych dochodów.

Źródło: Na podstawie Brem&Viardot&Nylund, 2021, pp.4-5; WHO 2020; CB Insight 2020

Tab.2. Przykłady łączenia wsparcia covidowego z priorytetami rozwoju

Lp.	Kraj	Opis wsparcia i priorytetów rozwoju	Wagi wyprzedzania/ podążania po kryzysie w stosunku do sytuacji przed Covid-19 skala od (-5) do (+5)
1	AUSTRALIA	bezpłatny dostęp do danych patentowych, przyspieszenie wdrożeń wiodących technologii, witryna Job Hub do poszukiwania pracy w wiodących sektorach, <i>Export Hub Initiative</i> dofinansowanie eksportu wiodących technologii.	(+3)
2	AUSTRIA	badania i innowacje do walki z COVID-19, 26 mln Euro, badania nad lekami 23 mln Euro, cyfryzacja firm 8 mln Euro, kompetencje cyfrowe 4,4 mln Euro, cyfrowa przyszłość dla MSP 4 mln Euro, <i>AI Ideas Lab</i> 1,2 mln Euro, <i>start-ups</i> i <i>spin-off - PHÖNLX</i> .	(+4)
3	CHINY	transformacja przedsiębiorstw - cyfryzacja i sztuczna inteligencja, technologie chmurowe, Big Data, modele biznesowe gospodarki cyfrowej, zdigitalizowany ekosystem całego łańcucha przemysłowego, przedsiębiorstwa platformowe, inteligentne technologie oszczędności wody, <i>start-ups</i> i inkubatory innowacji.	(+5)
4	CZECHY	Czech Rise Up 2.0 -technologie inteligentne do walki z Covid-19, B+R, TREND - badania przemysłowe, kupony na innowacje Covid-19.	(+3)
5	DANIA	Pakiet wsparcia - 13%PKB dla gospodarki na wychodzenie z kryzysu.	(+3)
6	ESTONIA	<i>Knowledge-based Estonia</i> -rozwój innowacyjny 2021-35, digitalizacja danych zdrowotnych, <i>Enterprise Estonia</i> - innowacje dla firm, ICT 15 mln Euro.	(+2)
7	FINLANDIA	zrównoważona gospodarka, cyfrowa gospodarka i społeczeństwo, zielony pakiet naprawczy - inwestycje infrastrukturalne ekologiczne.	(+5)
8	FRANCJA	<i>Bpifrance</i> - 90% gwarancji na pożyczki, (30 tys. firm), innowacyjne <i>start-ups</i> 2 mld Euro, branża motoryzacyjna - 8 mld Euro, B+R dla młodych firm.	(+3)
9	HISZPANIA	Zakaz zwolnień pracowników.	(-2)
10	IRLANDIA	Digital School of FOOD - produkcja innowacyjnej żywności, <i>Enterprise Ireland</i> - zatrudnię niedoświadczonych w innowacjach menedżerów, mapa drogowa wsparcia firm o dużym potencjale wzrostu.	(+2)
11	IZRAEL	cyfrowe zdrowie Lab, „ <i>Start-Up Now</i> ” przedsiębiorczość innowacyjna -3 mln. Euro, rozwój technologii medycznych z USA, Niemcami, sektor <i>high-tech</i> 180 mln USD.	(+4)
12	JAPONIA	inwestycje w OZE - 24% energii w r.2030, gospodarka wodorowa, prąd prawie za darmo, finansowanie naukowców, „ <i>moonshot</i> ” 6 celów dla zdrowia, roboty sztucznej inteligencji, 830 mln Euro, zrównoważona produkcja żywności.	(+5)
13	MALEZJA	cyfryzacja MSP, cyfryzacja terenów wiejskich, 20 narzędzi wsparcia <i>anty covid</i> , odliczenia kosztów szkoleń nowoczesnych kompetencji, cyfryzacji, platformy e-handlu bezpośrednio ze wsi do miast, zielona transformacja.	(+4)
14	NIEMCY	Biogospodarka, informatyka kwantowa, <i>Q System One</i> pierwszy w Europie system komputerów kwantowych 40 mln Euro, internacjonalizacja <i>start-ups</i> , innowacyjny transport, <i>Karzarbeitergeld</i> , sojusze <i>start-ups</i> w energetyce, szybkie pożyczki dla MSP do 800 tys. Euro, wsparcie dla cyfryzacji w transporcie 102 mln Euro.	(+5)
15	NORWEGIA	2,1 mld NOK na dotacje na innowacje (podwojenie), pakiet dla zielonej gospodarki, obniżenie podatków dla innowacyjnego biznesu, technologie środowiskowe 750 mln NOK, pakiet Covid 5 mld NOK, badania klimatyczne i społeczne 1 mld NOK.	(+4)
16	POLSKA	ok.7% PKB wsparcia, Antykryzysowa Platforma Rozwiązań Technologicznych, Inkubator Włączenia Społecznego, system STEAM dla edukacji, „Kultura Odporna”, Skrócenie łańcuchów dostaw (<i>nearshoring</i>), „Polski Ład”.	(+1)
17	USA	partnerstwo publiczno-prywatne dla medycyny i leków, szybkie testowanie, społecznościowe finansowanie innowacji, badanie wiodących technologii 2 mld USD, platformy społecznościowego finansowania innowacji.	(+2)
18	SZWAJCARIA	9% PKB na wsparcie, MSP i -100% finansowania projektów, program „Switzerland Innovation”, obniżenie i ulgi podatkowe dla konsumentów, „SI Tech4Impact” otwarta współpraca partnerów innowacji.	(+3)
19	SZWECJA	42 mln SEK (4,1 mln E) dla 141 innowacyjnych <i>start-ups</i> , 52 mln SEK (5,1 mln E) dla MSP, współpraca z Tajwanem i Izraelem w projektach badawczych i innowacyjnych.	(+4)
20	W. BRYTANIA	1,25 mld funtów dla wdrażających innowacje, innowacje COVID-19 84 mln funtów: szczepionka, leki i biznesowe innowacje w <i>Business Improvement Districts</i> - 6,1 mln funtów, 250 mln funtów na Future Fund - <i>start-ups</i> .	(+3)

Źródło: Na podstawie Brem&Viardot&Nylund, 2021, pp.4-5; WHO 2020; CB Insight 2020

- Realokacja zasobów w kierunku przyszłości, z wykorzystaniem teorii gier umożliwiającej racjonalne miksowanie funduszy i ludzi wg możliwej puli zysków, w wyniku czego wyodrębni się podmioty, tzw. „lepsi w całym cyklu”, korzystający z „wyrzutni innowacji”
- Procesy hakerskie promujące priorytet prędkości nad precyzją, i koncentracją na szybkich wynikach, nie na procesach, co oznacza zmianę kultury działania; (White Paper 2020)
- Inkluzywność w kulturze innowacji, polegająca na miksowaniu „marzycieli” - siewców idei z „wykonawcami” w procesie innowacji, co umożliwi skrócenie jego faz (Okoń-Horodyńska et al. 2017)

- Inwestycje w „zuchwałe przedsięwzięcia” – jako wynik umiejętności skutecznego zarządzania ryzykiem, a także eksperymentowania na potrzeby pandemii (EY Parthenon, 2021)
- Uświadomienie przedsiębiorcom wyższych korzyści z inwestycji w B+R w kryzysie.
- Łączenie tradycyjnych zadań z wiodącymi technologiami (np. AI, ToT) i koncentracja na ekspertach nowych idei, wyszczuplenie modeli organizacyjnych

3. Wsparcie covidowe: aktywność państwa a oczekiwania społeczne.

Niemal we wszystkich państwach świata w 2020 r. skupiano się na walce ze skutkami pandemii Covid-19. Zapotrzebowanie na innowacje dotyczy nie tylko ochrony przed pandemią, czy wychodzenia gospodarki z kryzysu pandemicznego, ale także całej przestrzeni reagowania na zagrożenia na szczeblu krajowym, unijnym czy globalnym w obszarach priorytetowych, w tym oceny i nadzoru ryzyka, komunikacji i informacji publicznej, zarządzania i ram prawnych (PANDEM, 2020). Według szacunków Uniwersytetu of Cambridge koronawirus może kosztować globalną gospodarkę nawet 82 bln USD w ciągu 5 lat – to czterokrotność rocznego PKB USA (WHO, 2020). Wieloletni monitoring trendów innowacyjności na świecie będący wynikiem pracy badaczy z wielu krajów a przygotowany m.in. przez PARP (2020), PIE (2020), TATIFE(2020), WEF, (2020), pozwala na wyselekcjonowanie krajów, które covidowe wsparcie aktywności przedsiębiorczej i zatrudnieniowej łączą z antycypowaniem trendów innowacji technologicznych zapewniających wysoką pozycję w światowych rankingach innowacyjności po kryzysie. Na przykład, ultra szybkie innowacje z początków pandemii powinny dać asumpt do rozwoju i zabezpieczenia produkcji towarów i usług w strategicznych segmentach rozwoju, poprzez inwestycje w zdrowie, edukację, naukę i kolejne innowacje. W kryzysie, wymuszony relatywnie duży rozmiar inwestycji publicznych i właściwa ich organizacja mogą przyczynić się do zwiększenia finansowania innowacji także w sektorze prywatnym. Instrumentarium połączenia wsparcia covidowego z polityką rozwoju w wybranych krajach przedstawiono w tabeli 2.

Rządy państw niemal na całym świecie starają się minimalizować straty związane z lockdownem, również te, jakie wyrządza kryzys ich narodowym systemom innowacji. Aktorzy społeczni w pierwszym okresie kryzysu mieli głównie oczekiwania roszczeniowe, uważając, że kryzys pandemiczny, co do zasady nie jest wynikiem ich działań ani ich zaniedbań. W kolejnych jego fazach odpowiedź na kryzys przyniosła nowe idee, pomysły, niekonwencjonalne rozwiązania i odnajdywanie szans na nową przedsiębiorczość przy racjonalnym wsparciu państwa.. Już z wczesnego kompendium odpowiedzi technologicznych na Covid-19 (White Paper 2020) wynika, iż dzięki wsparciu covidowemu państwa, ponad trzykrotnie zwiększyła się liczbę rozwiązań, zapewniających lepsze wykorzystanie i zróżnicowane na nowo zastosowania posiadanych i zmodyfikowanych technologii

na świecie. W kryzysie, skuteczność pomocy państwa w rozwój innowacji okazuje się więc wyższa, co warto wykorzystać w interesie państwa i społeczeństwa.

Dyskusja i konkluzje

Nie są niezbędne głębokie analizy porównawcze aby wykazać, iż kryzys Covid-19 nie ma precedensu w historii współczesnych systemów gospodarczych, a stosowane dotychczas narzędzia polityki gospodarczej (fiskalnej czy monetarnej), na niewiele się zdają w walce ze zmnożonym kryzysem zdrowotnym i społeczno-gospodarczym. W dyskusji naukowców i praktyków panuje raczej konsensus, co do sensu działań krótkoterminowych, pozwalających na przezwycięzenie recesji, co świat doświadczył w końcu 2021 roku. Oczywiście, tylko ogólnie i przeciętnie, gospodarka światowa wróci na ścieżkę wzrostu gospodarczego, ponieważ także w następnych etapach kryzysu, niektóre firmy, sektory i gospodarki narodowe odnotowywać będą spadek wartości produkcji i usług. Dlatego, ważne aby w dyskusji o sytuacji pocovidowej nie ulegać złudzeniu, że istotą rozwiązań i punktem odniesienia jest wyłącznie reset i odbudowa tego, co było. Kryzys, jakim jest pandemia Covid-19, choć skłania zarządzających przede wszystkim do ograniczania strat, stwarza też okazje, zmienia sposób myślenia i podejmowania decyzji, a to otwiera drogę do innowacji, także, w krótkim okresie. Wymuszona pandemią „wyrzutnia do innowacji” wyznaczyła priorytety w ważnych planach i programach szeroko rozumianej aktywności innowacyjnej w średnim i długim okresie (tab.2). Analizowana literatura okresu Covid-19 ujawniła wiele patologii w polityce naukowej i innowacyjnej na wszystkich szczeblach gospodarki (w przerażającej skali w instrumentarium unijnym), co z pewnością wymusi zmiany w kształcie i działaniu narodowych systemów innowacji po pandemii. Cytowane i własne badania wykazały nieracjonalność, jaką jest redukcja wydatków na B+R, ograniczanie inwestycji w innowacje, (powszechne cięcie kosztów) czy przerywanie projektów innowacyjnych w kryzysie, bowiem oznacza to niekorzystne położenie konkurencyjne po wyjściu gospodarki z kryzysu. Tym bardziej, iż w czasie kryzysu rosną inwestycje publiczne, szczególnie zdrowotne, rekomendowane w całym świecie (Mazzucato, 2020), wspierające inwestycje prywatne, zmniejszając skalę ryzyka. Pandemia wykazała ogromne znaczenie przemyślenia w gospodarce, który stał się herosem w szybkim reagowaniu na zagrożenie zdrowotne, kryzys Covid-19, o kilka lat przyspieszył cyfryzację (w Polsce o 5-7 lat), przybliżył społeczeństwu zalety sztucznej inteligencji, i z pewnością uruchomił nowe pokłady zapotrzebowania na innowacje technologiczne. Wnioski z cytowanych w opracowaniu badań nie pozostawiają złudzeń co do pojawiania się kolejnych kryzysów o różnym podłożu sprawczym. Przygotowanie się na nie będzie wymagało budowy zapasów strategicznych, tworzenia warunków organizacyjno-infrastrukturalnych i instytucjonalnych ściśle w oparciu o rekomendacje centrów bezpieczeństwa narodowego i światowego. Uświadomienie sobie ogromnych potrzeb w zakresie innowacji wymaga skokowego wzrostu nakładów na B+R, zmiany ukierunkowania inwestycji, w edukację, nowe

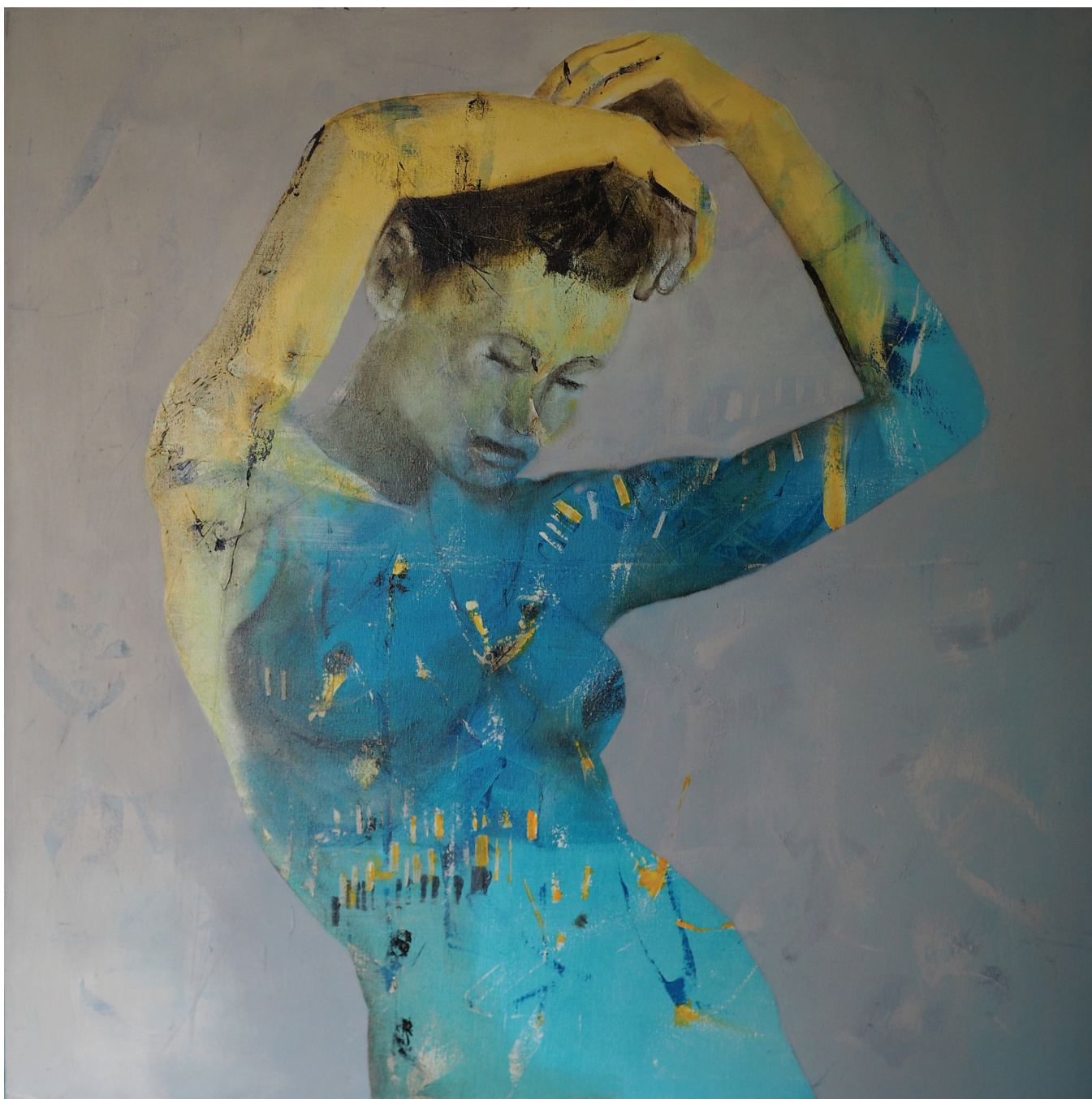
kompetencje, naukę, kulturę, w przemyśle 4.0, we wzrost kadry badawczej i operacyjnej w ochronę zdrowia. Warto przygotować uniwersalny wzorzec zestawu narzędzi ochrony i wspierania aktywności innowacyjnej w warunkach kryzysu, inwencja kryzysowa różnych aktorów społecznych stanowi bowiem nowe źródło rozwoju innowacji. Na skutek przymusowych oszczędności spowodowanych zamknięciem gospodarki światowej, zgromadzono ogromne środki poszukujące miejsca do inwestowania, warto je sprawnie przekierować na rozwój innowacji. W tym wątku, aby nie zmarnować cennych wyników dotyczących rozwoju innowacji okresu Covid-19, warto je wykorzystać do badania ich wpływu na zrównoważoną transformację konsumpcji, firm i gospodarek, bo megatrend – zrównoważony rozwój znajduje się wciąż na peryferiach obecnej działalności innowacyjnej.

Bibliografia:

- Aghion, P., Askenazy, P., Berman, N., Cetto, G., & Eymard, L. (2012). *Credit constraints and the cyclical nature of R&D investment: evidence from France*. Journal of the European Economic Association, 10(5), 1001–1024
- ALK Raport (2021, 12 February), *Polski Biznes w czasie pandemii*, VRaport badawczy, <https://www.kozminski.edu.pl/pl/review/polski-biznes-w-czasie-pandemii-podsumowanie-v-turybadan-listopad-2020-styczen-2021>
- Amabile, T. & Kramer S. (2011, August). *The power of Small Wins in times of panic*, Harvard Business Review, <https://hbr.org/2011/08/the-power-of-small-wins-in-tim.html>
- Archibugi D., Filippetti A. & Frenz M. (2013), *The impact of the economic crisis on innovation: Evidence from Europe*, Technological Forecasting and Social Change, Elsevier, 80(7), 1247–1260
- Arrow K. J. (1962), *The economic implications of learning by doing*, The Review of Economic Studies, 29, 155–172.
- Aschhoff B. & Sofka W. (2009), *Innovation on demand: can public procurement drive market success of innovations*, Research Policy, 38, 1235–1247.
- Asteriou A. & Agiomirgianakis G. M. (2001), *Human capital and economic growth: Time series evidence from Greece*, Journal of Policy Modeling, 23, 481–489.
- Ayres R. (1989). *Technological Transformations and Long Waves* (PDF), International Institute for Applied Systems Analysis, Laxenburg, Austria
- BCG (2020, 13 April), *Tomorrow's Innovation Leaders are made today*, <https://www.bcg.com/publications/2020/six-moves-for-innovation-during-recovery>
- Benoliel, D., & Gishboliner, M. (2015). *The effect of economic crises on patenting activity across countries*. Chicago-Kent Journal of Intellectual Property, 14(2)
- Blanchard O. (2009, April), *The Crisis: basic mechanisms, and appropriate policies*, IMF Working Paper, WP/09/80, International Monetary Fund, Washington
- Brammer L.M. (1985) *The helping relationship: process and skills*, Prentice Hall: Upper Saddle River, New York
- Brem A. & Viardot E. & Nylund Petra A. (2021), *Implications of the coronavirus (COVID-19) outbreak for innovation: Which technologies will improve our lives*, Technology Forecasting & Social Change, Elsevier, 163, <https://doi.org/10.1016/j.techfore.2020.120451>
- Brown J. (2019), *Grypa. Sto lat walki*. WUJ, Kraków
- Carayannis, Elias G., Barth, Thorsten D. & Campbell David F. J. (2012) : *The Quintuple Helix innovation-model: Global warming as a challenge and driver for innovation*, Journal of Innovation and Entrepreneurship, Springer, Heidelberg, 1, 1-12, <http://dx.doi.org/10.1186/2192-5372-1-2>
- CB Insight (2020), *Alphabet's Next Billion-Dollar Business: 10 Industries to Watch*. <https://www.cbinsights.com/research/report/industries-disruption-alphabet/>
- Cerra, V., & Saxena, S. (2008). *Growth dynamics: the myth of the economic recovery*. American Economic Review, 98(1), 439–457.
- Cerra, V., & Saxena, S. (2017). *Booms, crises, and recoveries: a new paradigm of the business cycle and its policy implications*. IMF Working Paper, WP/17/250.
- Chakravorti B. (2010), *Stakeholder Marketing 2.0*, Journal of Public Policy & Marketing, 29(1), 97–102
- Claessens S., Kose M.A. (2013), *Financial Crises: explanations, types, and implications*, IMF Working Paper, WP/13/28, International Monetary Fund, Washington
- Czarniawska B. & Mazza C. (2003) *Consulting as a Liminal Space*, Human Relations, 56(3), 267–290
- Dell'Araccia, G., Detragiache, E. & Rajan, R. (2008). *The real effect of banking crises*. Journal of Financial Intermediation, 17(1), 89–112.
- de Ridder, M. (2019). *Intangibles investment and the persistent effect of financial crises on output*. Cambridge INET Working paper.
- Dahlke J., Bogner K., Becker M., Schlaile M.P., Pyka A. & Ebersberger B. (2021), *Crisis-driven innovation and fundamental human needs: A typological framework of rapid-response COVID-19 innovations*, Technological Forecasting & Social Change, Elsevier, 169(2021)120779
- Diamond D., Dybvig P.H. (1983), *Bank runs, deposit insurance, and liquidity*, The Journal of Political Economy, 91(3), 401–419.
- Donatiello D. & Ramella F. (2017), *The innovation paradox in Southern Europe. Unexpected performance during the economic crisis*, South European Society and Politics, 22(2)
- Drucker P.F. (1992), *Innowacje i przedsiębiorczość. Praktyka i zasady*, PWE, Warszawa
- EBM (2020), *What happens to innovation in a crisis*, European Business Magazine, <https://europeanbusinessmagazine.com/innovation-and-education/happens-innovations-crisis/>
- Ebersberger B. & Kuckertz A. (2021), *Hop to it! The impact of organization type on innovation response time to the COVID-19 crisis*, Journal of Business Research 124, 126–135 EPO (2020), *European Patent Office Report 2004–2019*, https://ec.europa.eu/eurostat/databrowser/view/sdg_09_40/default/table?lang=en
- Erikson E., (1994, 13 May), *Psychoanalyst Who Reshaped Views of Human Growth, Dies*. The New York Times [on-line]. [nytimes.com](https://www.nytimes.com), EY Parthenon, (2021), *Czy szybkość zmian strategii korporacyjnej twojej organizacji może wyprzedzić Globalną dynamikę zmian?* https://www.ey.com/pl_pl/strategy/four-ways-to-rethink-how-you-develop-strategy
- Fabozzi Frank J. & Goodman Laurie S. (2008), *Subprime mortgage credit derivatives*, Wiley and Sons Inc., New Jersey
- Filippetti A. & Archibugi D. (2011), *Innovation in times of crisis: National systems of innovation, structure and demand*. Research Policy, 40, p.179–192
- Freeman, Ch.; Louçã, F. (2001). *As Time Goes By. From the Industrial Revolutions to the Information Revolution*. Oxford: Oxford University Press.
- Fretty P. (2020, 25 March), *Tale of COVID-19: Crisis Inspiring Innovations*, Industry Week
- Furceri, D., & Zdzienicka, A. (2011). *The real effect of financial crises in the European transition economies*. Economics of Transition, 19(1), 1–25
- Garsten C. (1999), *Betwixt and between: temporary employees as liminal subjects in flexible organizations*, Organization Studies, 20(4), 601–617
- Gates B. (2020, 30 April), *Pandemic I: The first modern pandemic*. <https://www.gatesnotes.com/Health/Pandemic-Innovation>.
- Ghosh S. (2008), *The composition of government spending and growth: is current or capital spending better?*, Oxford Economic Papers, 60(3)
- Gilliland B. E. & James R. K. (2013), *Crisis intervention strategies*, Brooks/Cole Cengage learning, Boston
- Hall, B., & Lerner, J. (2010). *The financing of R&D and innovation*. Handbook of the Economics of Innovation, 1, 609–639.
- Iansiti M. Lakhani K.R., (2020), *Przełom, który prowadzi do zderzenia: nowa dynamika konkurencji*, Management Review Polska, 5(2020)
- Hardy B. & Sever C. (2020), *Financial crisis and innovation*, BIS Working Papers, 846., Monetary and Economic Department, He, H. & Harris, L., (2020), *The impact of Covid-19 pandemic on corporate social responsibility and marketing philosophy*. Journal of Business Research, 116, 176–182. <https://doi.org/10.1016/j.jbusres.2020.05.030>.
- Hoff T. (2021), *Covid-19 and the study of professionals and professional work*, Journal of Management Studies, 58(5), 1395–1399
- Howard-Grenville, J., Golden-Biddle, K., Irwin J & Mao, J. (2011), *Liminality as Cultural Process for Cultural Change*, Organization Science, 22(2), 522–539
- IMF (2009, April), *Global Financial Stability Report*. Washington DC
- Kalecki M. (1986), *Teoria dynamiki gospodarczej: rozprawa o cyklicznych i długofalowych zmianach gospodarki kapitalistycznej*, PWN, Warszawa.
- KIEA (2014), *Kaufman Index of Entrepreneurial Activity 1996–2013*, https://www.kauffman.org/wp-content/uploads/2019/12/kiea_2014_report.pdf
- Kaufman G.G. (1988), *Bank Runs: Causes, Benefits and Costs*, Cato Journal, 7(3), 559–594.
- Keynes J.M. (1963), *Essays in Persuasion*, New York: W.W. Norton & Co., 358–373, original: <http://www.econ.yale.edu/smith/econ116a/keynes1.pdf>
- Kondratiew N.D. (1928), *oryg. (ang. The Long Wave Cycle*. NY: Richardson & Snyder. New York, 1984)

- Kołodko G. (2020, 20-27 December), *Globalizacja może być inna*, Myśl Polska
- Lucas R.E. (1988), *On the Mechanics of Economic Development*, Journal of Monetary Economics, 22, 3–42
- Laeven, L., & Valencia, F. (2018). *Systemic banking crises revisited. IMF Working Paper*, 18/206
- Korotayev A., Zinkina, J., Bogevolnov, J. (2011). "Kondratieff waves in global invention activity (1900–2008)", Technological Forecasting and Social Change. 78(7)
- Kroszner, R., Laeven, L. & Klingebiel, D. (2007). Banking crises, financial dependence, and growth. Journal of Financial Economics, 84, 187–228.
- Kuckertz A., Brandle L., Gaudig A., Hinderer S., Reyes, C.A., Morales, Prochotta A., Steinbrink K. M., Berger
- Elisabeth S.C. (2020), Startups in times of crisis – A rapid response to the COVID-19 pandemic, Journal of Business Venturing Insight, Elsevier, 13(2020) e00169, Lucas R. E. (1988), On the Mechanics of Economic Development, Journal of Monetary Economics, 22, 3–42.
- McKinsey&Company(2021), Innovation: Your launchpad out of the COVID-19 crisis, <https://www.mckinsey.com/business-functions/strategy-and-corporate-finance/our-insights/innovation-your-launchpad-out-of-the-covid-19-crisis>, Mertens M.(2018), Liminal innovation practices: questioning three common assumptions in responsible innovation, Journal of Responsible Innovation, 5(3), 280-298
- Marshall A. (1920), Industrial Organization, Continued. The Concentration of Specialized Industries in Particular
- Localities. In Principles of Economics, Macmillan and Co., Ltd., <http://www.econlib.org/library/Marshall/marP.html>
- Marx K. (1906), *A Critique of Political Economy. The Process of Capitalist Production*, t. 2, Charles H. Kerr and Co., Chicago, <http://www.econlib.org/library/YPDBooks/Marx/mrxCpB.html>.
- Mazzucato M. (2016), *Przedsiębiorcze państwo*, Heterodox, Warszawa
- Mill J. S. (1874), Of the Laws of Interchange between Nations; and the Distribution of the Gains of Commerce among the Countries of the Commercial World. In Essays on Some Unsettled Questions of Political Economy, Longmans, Green, Readers, and Dyer, London, <http://www.econlib.org/library/Mill/mlUQP1.html>
- Minsky, P.H.(2008), Securitization notes prepared for discussion. The Jerome Levy Economics Institute of Bard College. Working Paper 2(2008)
- Morse, J.(2020), Ventilator Manufacturers Aren't Impressed By Elon Musk's Offer. Mashable, March. <https://mashable.com/article/experts-doubt-tesla-elon-musk-manufacture-ventilators/?europa=true>.
- MRIS (2021), Nabór na innowacje w obszarze włączenia społecznego, rops.krakow.pl
- OECD (2012), Innovation in the crisis and beyond. OECD Science, Technology and Industry Outlook
- OECD(2020), Research and Development Statistics <https://www.oecd.org/sti/inno/researchanddevelopment-statisticsrds.htm>
- Okoń-Horodyńska E. (1998), *Narodowy system innowacji w Polsce*, AE Katowice
- Okoń-Horodyńska E., Wisła, R., Sierotowicz, T. & Zachorowska-Mazurkiewicz, A. (2017), *Institutional Surrounding of Innovative Activity – Based on Opinions of Women and Men Engaged in the Process of Innovation*, International Journal of Contemporary Management, 16(1), 11–35
- Orlikowski W.J. & Scott S.V. (2021), *Liminal innovation in practice: Understanding the reconfiguration of digital work in crisis. Information and Organization*, Elsevier, 31(1)
- Østergaard K., (2020, April), *How to navigate the Coronavirus Crisis with Innovation in Warp Speed*, SingularityU Nordic, <https://singularityhub.com/2020/04/17/how-to-navigate-the-coronavirus-crisis-with-innovation-at-warp-speed/>
- PANDEM (2020), Pandemic Risk and Emergency Management, HORIZON2020 <https://cordis.europa.eu/project/id/652868/pl>
- PARP (2020), Monitoring trendów w innowacyjności, Raport 8, Warszawa
- Peia, O. (2019). Banking crises and investments in innovation. mimeo
- Perez C. (2002). *Technological Revolutions and Financial Capital: The Dynamics of Bubbles and Golden Ages*. UK: Edward Elgar Publishing Limited..
- PIE(2020), Pandemics. *Zestaw narzędzi fiskalnych i monetarnych w dobie kryzysów*, Warszawa,
- Piech K.(2009), *Wiedza i innowacje w rozwoju gospodarczym: w kierunku pomiaru i współczesnej roli państwa*, Instytut Wiedzy i Innowacji, Warszawa
- Reinhart, C., Rogoff, K. (2009). The aftermath of financial crises. American Economic Review: Papers and Proceedings, 99(2), 466–472
- Romer P. M. (1990), Endogenous Technological Change, The Journal of Political Economy, 98, 71–102.
- Rothbard M.N. (1984), The Kondratieff Cycle: Real or Fabricated?, LewRockwell.com, <https://www.lewrockwell.com/1970/01/murray-n-rothbard/business-cycles-real-and-fabricated/>
- Ryan, B.J., Coppola, D., Canyon, D.V., Brickhouse & M., Swinton, R. (2020), COVID-19 community stabilization and sustainability framework: an integration of the Maslow hierarchy of needs and social determinants of health. Soc. Disaster Med. Public Heal. Inc. 1–7. <https://doi.org/10.1017/dmp.2020.109>.
- Sampol, C., (2020, 19 March), Covid-19: Developing High Tech Protective Masks. E-magazine MedicalExpo.. <http://emag.medicalexpo.com/covid-19-development-of-high-tech-protective-masks/>.
- Say, J. B. (1855), Of the Labour of Mankind, of Nature, and of Machinery Respectively. In C. C. Biddle (ed.), *A Treatise on Political Economy*, Lippincott, Grambo & Co., Philadelphia, <http://www.econlib.org/library/Say/sayT7.html>
- Schumpeter, J. A. (1934), *Theory of Economic Development: An Inquiry into Profits, Capital, Credit, Interest, and the Business Cycle*, Oxford University Press, London.
- Schumpeter, J. A. (1994), *Capitalism, Socialism and Democracy*, Routledge, London and New York.
- Scott, D.A. (2009), After Lehman: How Innovation Thrives in a Crisis, Harvard Business Review, 09/2009, https://hbr.org/2009/09/how-innovation-thrives-icr?referral=03759&cm_vc=rr_item_page_bottom#comment-section
- Smith, A. (1904), Of the Division of Labour. In E. Cannan (red.), *An Inquiry into the nature and Causes of the Wealth of Nations*, Methuen & Co., London, <http://www.econlib.org/library/Smith/smWN1.html>
- Solow, R. M. (1999), Catch the wave: the long cycles of industrial innovation are becoming shorter, The Economist, 8107, 7–8.
- Sparato, J., (2020), 2 Years of Digital Transformation in 2 Months. Microsoft 365. <https://www.microsoft.com/en-us/microsoft-365/blog/2020/04/30/2-years-digital-transformation-2-months>.
- Swan T. W. (1956), Economic Growth and Capital Accumulation, Economic Record, 32, 334–361.
- Sutter J.D (2009, 23 December), The Top 10 tech trends of 2009, CNN, <https://edition.cnn.com/2009/TECH/12/22/top.tech.trends.2009/index.html>,
- Swan, J., Scarbrough, H., & Ziebro, M. (2016), Liminal roles as a source of creative agency in management: The case of knowledge-sharing communities, Human Relations, 69(3), 781–811
- Šmihula, Daniel (2009). The waves of the technological innovations of the modern age and the present crisis as the end of the wave of the informational technological revolution. Studia Politica Slovaca. 1/2009, 32–47
- Taalbi J. (2017), Development blocks in innovation networks, Journal of Evolutionary Economics, 27, 461–501
- TAFTIE (2020), ANI led the establishment of the new TAFTIE strategy, The European Network of Innovation Agencies, <https://www.ani.pt/en/news/ani-news/ani-led-establishment-new-taftie-strategy/>
- Technology Pioneers (2020), World Economic Forum, <https://widgets.weforum.org/techpioneers-2020>
- Teulings, C. N., & Zubanov, N. (2014), Is economic recovery a myth? robust estimation of impulse responses. Journal of Applied Econometrics, 29(3), 497–514.
- Thornhil, J., (2020, 23 March), Coronavirus Monitoring Poses Dangers For Civil Liberties. Financial Times, <https://www.ft.com/content/d6c877cc-6cfa-11ea-9bca-bf503995cd6f>.
- Tylecote, A. (1994). Long waves, long cycles, and long swings. in the World Economy. Journal of Economic Issues, 28 (2), 477–488.
- Turner V. (1967), Betwixt and between: The liminal period in Rites de Passage. In V. Turner (Ed.), *The Forest of Symbols: Aspects of Ndembu Ritual*. Ithaca: Cornell University Press.
- Veblen T. (1994), *The Engineers and the Price Systems*, Routledge/Thoemmes, London.
- Weick K. (1988), *Enacted Sensemaking in Crisis*, Journal of Management Studies, 25(4), 305–317
- WHO (2020, June), Coronavirus disease.. Situation Report -136, 152 <https://markets.businessinsider.com/news/stocks/coronavirus-pandemic-cost-global-economy-82-trillion-cambridge-study-2020-5-1029218887>
- White Paper (2020, July), Critical Frontier: Leveraging Technology to Combat COVID-19, World Economic Forum, <https://www.weforum.org/whitepapers/critical-frontier-leveraging-technology-to-combat-covid-19>

ARTYŚCI DLA UKRAINY



Kaja Solecka, *Bliskodaleko*, olej na płótnie, 100x100 cm, 2022
Open Gallery Monika Krupowicz - pomocdlaUkrainy

JOANNA KRUPIŃSKA-TRZEBIATOWSKA

KIEDY MIŁOŚĆ BYŁA ZBRODNIĄ

Są tacy, którzy uważają, że winę za zbrodnie wojenne i za holokaust ponoszą wszyscy Niemcy, cały naród, który nie potrafił przeciwstawić się Hitlerowi. Niemiecki Duch, który od zarania dziejów wzniecał wojny i parł na Wschód.

Wskrzesał go Dietrich Eckart, szalony dramaturg i poeta a przy tym wizjoner i okultysta o skrajnie prawicowych poglądach wyrażonych w książce *Poprawnie po niemiecku*, który nade wszystko pragnął odbudowy kraju po pierwszej wojnie światowej. Związany był z tajnym Towarzystwem Thule wywodzącym rasę aryjską od Atlantydów i to on, jako pierwszy dostrzegł w osobie Adolfa Hitlera mesjasza, gdy ten – jako szpieg nasłany przez armię – zjawił się w jednej z monachijskich piwiarni na zgromadzeniu Niemieckiej Partii Pracy. Szybko wykreował go na przywódcę zdolnego porwać masę, bo w kraju powalonym na kolana, pełne pasji przemówienia Hitlera padały na podatny grunt i zdobywały mu popleczników, takich jak Rudolf Hess, czy bohater wojenny Hermann Göring.

Eckart za wszystkie nieszczęścia, jakie spotkały Niemców po klęsce odniesionej w pierwszej wojnie światowej winił Żydów, twierdząc, że rasa aryjska została osłabiona przez mieszanie się krwi. Zarzucał, że międzynarodowy spisek bolszewików, komunistów i Żydów, odpowiadający za upadek kraju, opanował rząd nowopowstałej Republiki Weimarskiej i wezwał nazistów do walki o władzę. Eckart z całą pewnością nie był z gruntu złym człowiekiem i zapewne nie przypuszczał, że swoimi działaniami na rzecz przybyłego znikąd Hitlera stworzy z niego potwora.

Zagadnienia mitu, czystości rasy i biologii fascynowały w tamtym czasie wielu młodych Niemców, a w tym niespełnionego żołnierza Heinricha Himmlera, który wnet znalazł się na orbicie rosnącego w siłę Hitlera, aspirującego już teraz do roli przywódcy – Führer a. Jego buńczuczne wystąpienia przyciągały sfrustrowanych poniesioną klęską zdemobilizowanych żołnierzy, którzy podobnie jak Hermann Göring i Himmler, widzieli w nim przyszłość Niemiec. Wkrótce Narodowosocjalistyczna Partia Robotników (NSDAP), obiecując odzyskanie ziem utraconych po Traktacie Wersalskim oraz położenie kresu reparacjom wojennym, zaczęła tworzyć zbrojne bojówki pod dowództwem Ernsta Röehma, które wykorzystane zostały w 1923 roku do przejęcia władzy. Jednakże nieudany pucz zakończył się rozwiązaniem partii i aresztowaniem Hitlera. Wydawać by się mogło, że będzie to koniec nazizmu.

Tymczasem gdy przyszły Führer pisze w więzieniu, z pomocą również zapatrzonych weń Rudolfa Hessa, „Mein Kampf”, a jednocześnie wpada na pomysł idei lebensraumu, zwolniony z więzienia Ernst Röehm zaczyna tworzyć przykrywkę dla zdelegalizowanej NSDAP; własne prywatne wojsko. Jednocześnie Heinrich Himmler zostaje szefem partii nazistowskiej

w południowej Bawarii i wspólnie z Röehmem kontynuuje dzieło mistrza. Pomimo że Hitler i Hess przebywają w więzieniu, a Hermann Göring na wygnaniu, tworzy się piekielny krąg zła jednoczący nazistów wokół idei holokaustu, choć ta, w wykrystalizowanej postaci działającej maszyny śmierci, miała urodzić się później, głównie za sprawą obsesyjnie nienawidzących Żydów Josefa Goebbelsa, Himmlera i Heydricha.

I pomyśleć, że kula która o włos minęła Hitlera w czasie monachijskiego puczu mogła zmienić bieg historii.

Analizując okoliczności w jakich naziści doszli do władzy w Niemczech, można dojść do wniosku, że Hitler zawarł pakt z diabłem, aby zdobyć władzę nad światem. Diabeł odwiedził go w więzieniu i dyktował „Mein Kampf”? Szalonego poetę Dietricha Eckarta zastąpił nienawidzącym Żydów a przy tym obdarzonym talentem krasomówczym doktorem Goebbelsem, który niebawem jako szef propagandy miał wygłaszać płomienne przemówienia do mas? Podpowiedział zmianę taktyki: odejście od polityki wyrotowej i walkę o swoje idee w wyborach, co nie wszystkim zresztą się podobało i prowadziło do tarć pomiędzy Hitlerem a jego zausznikami. Musiał przekonać dysponującego siłami SA Ernsta Röehma, że najpierw konieczne jest przejęcie władzy a dopiero potem możliwa będzie rewolucja. Zamienił się w technokratę w garniturze zabiegającym w wpływy w różnych środowiskach, a jednocześnie po reorganizacji partii z pomocą Himmlera utworzył SS – rycerzy mających go ochraniać na wzór rzymskich pretorianów. Ambasadorem partii został korzystający już teraz z amnestii Hermann Göring, lecz pomimo tych wszystkich działań partia poniosła klęskę w wyborach parlamentarnych. Trzeba było cudu, aby odwrócić upadek partii i cud się zdarzył, gdy w 1929 roku w Stanach Zjednoczonych nastąpił krach na giełdzie i wciągnął Niemcy w recesję gospodarczą. Amerykanie zażądali spłaty pożyczki, a wierzyciele zaczęli egzekwować należności wynikające z postanowień Traktatu Wersalskiego.

W rezultacie wielu niekorzystnych zmian gospodarczych doszło do reorientacji politycznej wielu ludzi i walka o wyborców przyniosła nazistom pełen sukces w 1930 roku i 107 miejsc w parlamencie. Ale ciągle nie była to władza absolutna, bo większość w Reichstagu wciąż stanowili komuniści. Powołany na stanowisko ministra spraw wewnętrznych Prus Göring przekształcił pruską policję w Tajną Policję Państwową GESTAPO. Nieco wcześniej Himmler utworzył Służbę Bezpieczeństwa SD wewnątrz SS, na czele której stanął Henryk Heydrich.

Ostateczna rozgrywka miała się jednak dokonać dopiero w marcu 1933 roku, po pożarze Reichstagu. Rzekome podpalenie przez komunistów Reichstagu pozwoliło na ostateczne pokonanie opozycji i zdobycie przez nazistów większości w parlamencie.

cie. Wówczas też prezydent Hindenburg mianował Hitlera kanclerzem Niemiec. Równocześnie powołany na stanowisko dowódcy sił powietrznych Göring, rozpoczął zbrojenie Niemiec. Po śmierci Hindenburga, Hitler połączył funkcję prezydenta i kanclerza i był już nie do zatrzymania.

Oceniając z perspektywy czasu ludzi zgromadzonych wokół Hitlera, można zauważyć, że nie wszyscy z równą łatwością jak Goebbels, Himmler czy Heydrich, wpisywali się w piekielny krąg zła. Odstawał od nich pod wieloma względami Göring, a nie pasował wręcz obarczony piętnem homoseksualizmu Ernst Röhm. Nie homoseksualizm był jednak powodem jego wyeliminowania, a siła wiernych mu oddziałów szturmowych SA, którymi dysponował i dążenie do zastąpienia nimi armii. W czerwcu 1934 roku, podczas nocy długich noży, doszło do ostatecznej rozgrywki z Röhmem, który stał się ofiarą spisku Göringa, Himmlera i Heydricha, pomawiających go planowanie zamachu na Adolfa Hitlera.

Zastanawiające z jaką łatwością przyszło Hitlerowi skazać na śmierć wiernego niegdyś sojusznika i przysłać mu w geście łaski do więzienia rewolweru z jedną tylko kulą, z którego notabene Röhm nie skorzystał. Czy był to przejaw wdzięczności, że Röhm szedł z nim niegdyś ramię w ramię, czy współczucia, a może nawet szacunku?

Nastała era terroru i antysemitycznej kampanii Goebbelsa skutkującej masowymi aresztowaniami Żydów i powstaniem obozu dla "wrogów narodu" w Dachau. Doszło do nacjonalizacji mediów, przejścia kontroli nad wszystkimi rozgłośniami radiowymi, które stały się narzędziem faszystowskiej propagandy, a propaganda „Arbait und Brot”, okazała się nad wyraz skuteczna, bo kto nie potrzebował pracy i chleba, a że w dobie kryzysu gospodarczego nie mogło starczyć go dla wszystkich, trzeba było pozbawić majątku Żydów. Wezwanie do bojkotowania żydowskich sklepów, wskazanie na nich jako wewnętrznego wroga odciągając miało uwagę społeczeństwa od kryzysu gospodarczego.

W 1935 roku podczas zjazdu NSDAP w Norymberdze, doszło z inicjatywy Goebbelsa, do wydania *Ustaw Norymberskich*, pozbawiających Żydów obywatelstwa, prawa do własności i edukacji. Zakaz zawierania małżeństw mieszanych w imię obrony czystości rasy rozdarł wiele rodzin.

„Każdy, kogo troje pradziadków było Żydami jest Żydem”.

Wielu ludzi, po dziś dzień zastanawia się skąd ta patologiczna nienawiść? Jak doszło do ucieleśnienia zła?

Początkowo Hitler marginalizował ten problem, ale z czasem uległ sile przekonywania decydującego o życiu kulturalnym Goebbelsa budując obraz zjednoczonego społeczeństwa opartego na poczuciu tożsamości: *Volksgemeinschaft*, co było równoznaczne z wypowiedzeniem wojny Żydom. Kiedy w marcu 1938 roku niemiecka armia dokonała aneksji Austrii, od razu Himmler zabrał się za wypędzenie stamtąd Żydów. Podczas Nocy Kryształowej doszło do niewyobrażalnego aktu przemocy, spłonęły setki synagog, podpalono wiele domów, splądrowano siedem tysięcy żydowskich sklepów. Napadano ludzi na ulicach, bito ich pałkami, zamordowano ponad stu Żydów, a potem nałożono na nich karę jednego mi-

liarda marek, aby pokryć wyrządzone szkody. W przeddzień wkroczenia przez Niemców do Czechosłowacji, rzekomo w obronie ciemionych tam mniejszości narodowych, doszło w Monachium do spotkania przywódców Anglii i Francji z Hitlerem, który deklarował utrzymanie pokoju. Jednocześnie Goebbels kreował Niemcy na ofiarę obcej agresji, zwłaszcza Polski, szukając pretekstu do ataku. 31 sierpnia 1939 roku sfingowano napaść polskich żołnierzy na niemiecką radiostację w Gliwicach, a 1 września 1939 a armia Wehrmachtu wkroczyła do Polski, zaś samoloty Luftwaffe zrzuciły bomby na cele cywilne.

I pomyśleć, że bieg historii mógł zmienić zamach na Hitlera dokonany rzekomo przez służby obcych wywiadów 13 listopada 1939 roku w Monachium.

Zorganizowanie przestrzeni życiowej, lebensraumu, dla nowej rasy panów stało się priorytetem dla Reichsführera-SS, Himmlera, planującego wysiedlenie milionów Polaków na Wschód. Obergruppenführer Heydrich – wyrzucony niegdyś z marynarki wojennej z powodu uwikłania się w trójkąt miłosny – otrzymał zadanie przygotowania terenów pod germanizację, zaczął tworzyć getta na zarządzanych przez gubernatora Francka terenach okupowanych. W ślad za armią posuwały się oddziały SS tropiące Żydów, ale że tych stale przybywało, na konferencji w Wannesee w 1942 roku zapadła decyzja „o ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej” – *Endlösung der Judenfragen* – co przesądziło o eksterminacji narodu żydowskiego, ugruntowało holocaust. Dymyły kominy krematoriów na oczach całego świata, ale ten wołał tego nie zauważać, bo kogo tak na prawdę obchodził los narodu wybranego? Rozpędzonej maszyny śmierci nie powstrzymał nawet dokonany przez Czechów 27 maja 1942 roku zamach na Heydricha, w rejonie Pragi, po którym w niedługi czas później zmarł w szpitalu. Wojna totalna wymagała siły roboczej w przemyśle zbrojeniowym, a tej dostarczały głównie obozy koncentracyjne nadzorowane przez dowódcę SS Himmlera. Kiedy jesienią 1943 roku ministrem do spraw zbrojeniowych został Albert Speer, nadworny architekt Hitlera, wprowadził zakaz produkowania jakichkolwiek dóbr luksusowych oraz plan wykorzystania do produkcji broni V-2 więźniów, choć ci padali jak muchy z wycieńczenia. Holocaust, ludobójstwo na masową skalę, skutkowało eksterminacją w obozach zagłady prawie sześciu milionów Żydów.

Nie wyprzedzając jednak biegu wydarzeń, trzeba powiedzieć, że w 1940 roku Niemcy – pomimo że po inwazji na Polskę wojnę wypowiedziały im Anglia i Francja – okupowali już Danię i Norwegię, a następnie wojska Göringa wkroczyły do Belgii i Holandii, by na koniec podbić całą Francję. W Paryżu pojawili się Hitler, Goebbels, Himmler, Bormann, oraz Albert Speer.

Trzy tygodnie później rozpoczęła się bitwa o Anglię, i choć ta poniosła dotkliwe straty pod Dunkierką, była nie do pokonania, bo Niemcom brakowało myślicy i bomb-

bowców dalekiego zasięgu, niezbędnych do pokonania sił powietrznych RAF. Pomimo że Anglia skutecznie odpierała atak, Hitler postanowił ruszyć na Związek Radziecki, bowiem Stalin, pomimo że związany był paktem Ribbentrop-Mołotow, sięgnął po tereny nieprzewidziane w tym pakcie do zajęcia i pokusił się o zaatakowanie Finlandii. W czerwcu 1941 roku rozpoczęła się „Operacja Barbarossa” – uderzenie państw Osi od Bałtyku po Karpaty – z udziałem Włochów, Węgrów i Rumunów. Był to początek klęski Hitlera uważającego ZSRR za „bezglowego kolosa na glinianych nogach”.

Zima 1942 roku zastała Niemców pod Stalingradem, a Hitler, nie bacząc na głosy doradców wojskowych, nie wyraził zgody na wycofanie stamtąd armii, pomimo że żołnierze ginęli nie tyle od kul, ile z głodu i wychłodzenia. Zimą 1943 roku pierwsze alianckie bomby spadły na Berlin, a w lipcu 1943 roku alianci wylądowali na Sycylii. Wiara Hitlera w zwycięstwo nie powstrzymała go przed morderczą ofensywą na Łuku Kurskim. O przerwaniu operacji Cytadela zdecydował dopiero 13 lipca 1943 w Wilczym Szańcu. O ostatecznej klęsce Niemiec przesądziła ostatecznie ich nieudana ofensywa w Ardenach na nacierającą zimą 1944 roku wojska alianckie.

Ciągle nurtuje mnie pytanie, co przesądziło o klęsce Hitlera, a także czy gdyby nie ruszył na Związek Radziecki, a Amerykanie nie zaangażowali się po stronie Aliantów, *status quo* stworzony przez Niemców w 1940 roku zostałby na długo przypieczętowany i rządziłby niepodzielnie niemal w całej okupowanej Europie, a państwa takie jak Polska stopniowo zniknęłyby zgodnie z ideą *lebensraum*. Jedno jest pewne, aby odmienić losy wojny musiała pojawić się z zewnątrz siła oswobodzicielska, ale Amerykanie, stojąc na gruncie izolacjonizmu, bynajmniej nie spieszyli się do wojny i dopiero atak Japończyków w grudniu 1941 na Pearl Harbor – ich do tego zmusił. Co więcej trzeba było broni nuklearnej, aby ostatecznie zakończyć wojnę.

Za ciekawostkę drugiej wojny światowej można uznać szalenie ładowanie zastępcy Führera, Rudolfa Hessa, na spadochronie w Szkocji. Wierząc, że dotrze do Churchilla i zawrze pokój, stał się pośmiewiskiem całego świata, ale zapewne też tylko dlatego skazany został w procesie norymberskim na karę dożywocia, a nie na karę śmierci.

Od 20 listopada 1945 do 14 kwietnia 1949 przeprowadzono łącznie 12 procesów wytoczonych przeciwko osobom odpowiedzialnym za zbrodnie nazistowskie z czasu III Rzeszy.

15 października 1946 egzekucji uniknął Göring popełniając, samobójstwo, podobnie jak wcześniej zrobili to Hitler i Goebbels, samobójstwo popełnił również Heinrich Himmler w czasie próby przesłuchania 23 maja 1945. Na karę śmierci skazano jako zbrodniarza wojennego, sązonego zaocznie sekretarza osobistego i wykonawcę testamentu Hitlera, Martina Bormana, choć ten zginął najprawdopodobniej uciekając z Berlina w maju 1945 roku. Należący również do najbliższego kręgu Hitlera, architekt Albert Speer, oskarżony o organizację deportacji milionów robotników przymusowych do Niemiec,

w czasie procesu norymberskiego, został skazany na 20 lat pozbawienia wolności, bowiem przyznał się do winy i jako jedyny z oskarżonych wyraził skruchę i ubolewanie.

Sądzony przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze minister spraw zagranicznych III Rzeszy, Joachim von Ribbentrop, został skazany na karę śmierci i w październiku 1946 został stracony przez powieszenie.

Przed Trybunałem stanął również oskarżony o popełnienie zbrodni przeciw pokojowi, zbrodni wojennych i przeciw ludzkości Alfred Rosenberg, po czym skazany został 1 października 1946 na karę śmierci, którą wykonano 16 października 1946 w norymberskim więzieniu. Na mocy tegoż wyroku skazani na karę śmierci przez powieszenie za zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciw ludzkości zostali również generalny gubernator Hans Frank oraz szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy Ernst Kaltenbrunner. Karę śmierci ponieśli też lekarze: Alfred Jodl i Wilhelm Keitel, Fritz Sauckel oraz Wilhelm Frick.

Po kapitulacji III Rzeszy utworzono kilka obozów dla jeńców wojennych na terenie wszystkich stref okupacyjnych, ale i tak tysiącom nazistów udało się z pomocą katolickiego kleru, uciec do Argentyny. Rudolf Bergmann nie był wyjątkiem. Zbiegł również Edward Roschmann znany jako "rzeźnik z Rygi", Walter Rauff, Gustav Wagner, Otto Gustav Waechner, szef Gestapo w Lionie Klaus Barbie, a wreszcie osławiony dr Mengele, którego nigdy nie udało się zatrzymać. Ucieczki organizowała, bądź pomagała w ich zorganizowaniu załoga pod koniec wojny z inicjatywy Heiricha Himmlera oraz byłych oficerów SS tajna organizacja ODESSA. Zatrudniała przewodników, którzy przeprowadzali zbrodniarzy tzw. drogą klasztorów, głównie franciszkańskich przez Alpy do Szwajcarii i do Watykanu. Metodę przetrwania zbrodniarzy wojennych opracował biskup Grazu Alois Hudal.

Na obszarze dawnej RFB od maja 1945 do grudnia 1986 objęto postępowaniami śledczymi ponad dziewięćdziesiąt tysięcy osób podejrzanych o zbrodnie hitlerowskie, a prawomocnymi wyrokami skazano zaledwie sześć tysięcy pięćset zbrodniarzy, w tym czterestu na karę śmierci, stu sześćdziesięciu na karę dożywotniego więzienia, sześć tysięcy na karę tymczasowego pozbawienia wolności a resztę na karę grzywny. Zestawienie tych liczb mówi samo za siebie. W tym samym okresie czasu na terenie byłej NRD oskarżono szesnaście tysięcy pięćset osób, z czego skazano aż dwanaście tysięcy, a w tym sto osiemnaście na karę śmierci. Poza tym również amerykańskie sądy wojskowe przeprowadziły kilkanaście procesów, głównie przeciwko załogom obozów koncentracyjnych w Dachau, Mathausen-Gusen, Buchenwald, Nordhausen-Dora i Flossenburg i skazały blisko dwa tysiące osób, w tym trzystu dwudziestu zbrodniarzy na karę śmierci. Brytyjczycy na tysiąc osądzonych zbrodniarzy wojennych dwustu czterdziestu skazali na karę śmierci, a Francuzi z dwóch tysięcy pozbawili życia zaledwie stu.

Rudolfa Bergmanna¹, architekta Konzentration Lager Stutthof, tropili Żydzi, mocno przy tym zdeterminowani, bo oburzali ich fakt, że ich oprawcy pławią się w luksusie, korzystając z majątku zrabowanego ich rodzicom

i braciom. Musieli wiedzieć, że syn budowniczego obozu śmierci założonego w 1939 roku we wsi Stutthoff, Jan Berg², korzysta z zasobów swego ojca, bo się specjalnie z tym nie krył. Kupował domy, zmieniał mieszkania, jeździł luksusowymi samochodami, a za granicą zatrzymywał się w najdroższych hotelach.

Całe grupy wolontariuszy współpracujących ze służbami specjalnymi, wśród których był Szymon Wiesenthal, urodzony w Polsce tropiciel nazistów, deptało Rudolfowi Bergmannowi po piętach. MOSAD był o skuteczniejszy od polskich służb, bo się z nikim nie patyczkował, tylko porywał takiego delikwenta i to w biały dzień. Tak złapali twórcę ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej – holokaustu – Adolfa Eichmanna, na którym wykonano karę śmierci w Izraelu, a później Franza Stangła, który zmarł na zawał serca, już po zakończeniu procesu i wydaniu wyroku skazującego go na karę dożywotniego więzienia. Dzięki agentom MOSADU wydano Polsce ponad dwa tysiące nazistów, osądzonych później przez Najwyższy Trybunał Narodowy.

Istniała pełna kartotekę osobową załogi KL Stutthof oraz zeznania więźniów tego obozu. Obraz, tego co tam się działo, był przerażający. W ciągu pięciu lat przez obóz przewinęło się ponad 110 tysięcy więźniów, a w tym ponad pięćdziesiąt tysięcy Żydów, którzy byli wykorzystywani do najcięższych prac, poddawani selekcjom pod czujnym okiem wyjątkowego sadysty dr Otto Heidla i likwidowani metodami masowej zagłady. Od połowy 1944 roku na terenie KL Stutthof zaczęto stosować komorę gazową. Zginęła ponad połowa osadzonych więźniów.

Przesłuchiwanie więźniowie opowiadali o Maurycym Rosenfeldzie, jako o wybitnym lekarzu żydowskiego pochodzenia, który trafił do obozu Stutthof, zwracając uwagę na jego szczególne relacje z nazistą Rudolfem Bergmannem. Pytani o żonę Maurycyego, Ewę Rosenfeld *de domo* Reinhardt, która w czasie wojny była oficjalną kochanką Rudolfa Bergmanna i matką jego dziecka – ludzie nabierali dosłownie wody w usta i nie chcieli nic mówić. Reinhardtowie – to byli Niemcy wrośnięci w Gdańsk. Doskonale wykształceni. Jeden z nich, ojciec Ewy był lekarzem, drugi adwokatem. Doktor Hans Reinhardt był powszechnie szanowanym obywatelem, a w czasie wojny współpracował z podziemiem i polskimi partyzantami udzielając im pomocy medycznej. Wolfgang Reinhardt prowadził potężną kancelarię, z której usług korzystała też część żydowskiej diaspory a między innymi Samuel Rosenfeld, ojciec doktora Maurycyego Rosenfelda. Diaspora nie była liczna. Część Żydów wysłano do obozu w Stutthofie, dla pozostałych utworzono getto w Spichlerzach przy ulicy Owsianej, a z początkiem 1941 roku rozpoczęto jego likwidację deportując Żydów do getta w Generalnej Guberni. Ale wracając do Reinhardtów trzeba powiedzieć, że zdecydowanie odcinali się od nazizmu, tak dalece, że tak doktor Reinhardt, jak i jego żona, nie utrzymywali kontaktów z córką Ewą, gdy ta związała się z Rudolfem Bergmannem. Maria Reinhardt aresztowana z powodu rodzinnych, jak się wydawało, powiązań z Bergmannem, niestety stała się ofiarą NKWD. Tak bardzo

chciano się dowiedzieć, gdzie się ukrywa SS-Hauptsturmführer, że ona tej drakońskiej metody przesłuchania nie przeżyła.

Oceniając zeznania więźniów trzeba uwzględnić wiele okoliczności, a między innymi fakt, że po wojnie wielu mieszkańców Gdańska utrzymywało żywe, a w tym także rodzinne kontakty z mieszkańcami Niemieckiej Republiki Federalnej. Sprawę dodatkowo skomplikowało nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Niemiecką Republiką Federalną. Nie wszyscy Niemcy opuścili Gdańsk, a jednocześnie powróciła doń spora część ocalałych z holokaustu Żydów.

Obecnie, naukowcy, a w tym Jaspers, uważają, że nie można Niemców osądzać zbyt pochopnie, z uwagi na szalejący na długo przed wybuchem wojny terror, odsyłanie nie tylko Żydów, ale również Niemców do obozów koncentracyjnych. Werdykt norymberski, uznając winnymi uchwytnych przywódców III Rzeszy, zwolnił faktycznie od odpowiedzialności naród niemiecki, a w tym nawet tych, którzy należeli do jedenaście milionowej NSDAP.

– Dzisiaj patrzę na inwazję Niemców na Polskę oczami Polaka, bo w tym duchu zostałem wychowany i nie zdołał tego zmienić nawet mój zdalnie działający ojciec, Rudolf Bergman – pisze syn ukrywającego się wciąż nazisty, Jan Berg, w liście do przyrodniego brata Michaela Rosengerga³. – Ty zapewne przyjmiesz francuski punkt widzenia, lecz zapewne bez trudu możesz sobie wyobrazić, co wybuch wojny oznaczał dla naszej matki, świeżo poślubionej żony lekarza żydowskiego pochodzenia. Pomimo że była aryjką i rodowitą Niemką, w świetle ustaw norymberskich, a szczególnie ustawy „o ochronie niemieckiej krwi i czci” małżeństwo to było nieważne! Na pewno słyszałeś o pseudonaukowej biochemicznej teorii Streichera dowodzącej, że białko zawarte w nasieniu Żydów posiada zdolność trwałego infekowania organizmu kobiet niemieckich. Gdyby mój ojciec mu uwierzył, z całą pewnością nie byłoby mnie na świecie, a nasza matka trafiłaby do obozu koncentracyjnego. Twierdząc, że jest twoim biologicznym ojcem narażał życie. Nie znaczy to, że szukam dla niego usprawiedliwienia. Chcę jedynie podkreślić, że był pionkiem w całej tej piekielnej machinie, w którą dał się wciągnąć jako młody chłopak wstępując do Hitlerjugend, a później nie miał odwrotu. I pamiętaj, że uratować jedno życie, a on uratował twoje, to tak jakby uratować cały świat!

Przypisy:

1 Rudolf Bergman - architekt i budowniczy Konzentration Lager Stutthoff

2 Jan Berg, syn Rudolf Bergmana - lekarz wychowany w gdańskim sierocińcu, do którego trafił po śmierci matki Ewy Rosenfeld *de domo* Reinhardt

3 Michael Rosengerg, syn Maurycyego Rosenfelda i Ewy Reinhardt

/fragmenty niepublikowanej powieści/

WOJCIECH ZALEWSKI



MIĘDZY FILOZOFIĄ A HISTORIĄ

CZYLI KILKA UWAG O WARSZTACIE HISTORYCZNO-FILOZOFICZNYM

(...) I wszędzie umysłowi wolno było podróżować, lekki i bezcielesny szybował nad ziemią jeszcze bez człowieka, parząc na wybuchy wulkanów i pastwiska dinozaurów. (...) Bo im więcej chce ogarnąć, tym bardziej to, co mu się wymyka, ogromnieje. I z tego kontrastu pomiędzy dążeniem i osiągnięciem bierze się pobożność filozofów (...).

Czesław Miłosz, *Dom filozofa*

W środowisku filozoficznym przyjmuje się metodologiczne rozróżnienie na filozofię oraz historię filozofii. O ile filozofia to, w największym skrócie, żywe, osobiste i – co najważniejsze – racjonalne zapytywanie, poszukiwanie i odpowiadanie na nieustanne problemy otaczającej człowieka odwiecznej rzeczywistości, o tyle historia filozofii to systematyczna, krytyczna i porównawcza refleksja nad tym, jak konkretni myśliciele w przeciągu dziejów radzili sobie z owymi: zapytywaniem, poszukiwaniem i odpowiadaniem.

Samo rozróżnienie niewątpliwie prowokuje do zajęcia co najmniej dwóch skrajnie odmiennych stanowisk. Zgodnie z pierwszym z nich, historia filozofii jest dyscypliną zewnętrzną wobec samej filozofii, a ten, kto uprawia filozofię czyni to niejako „poza historią”. „Poza historią” – a zatem poza żywym odniesieniem do innych osób z przeszłości – za to w ramach uwielbienia dla własnej, rzekomo oryginalnej inwencji twórczej. Ten, kto tak stawia sprawę, kto twierdzi sam o sobie, że nie potrzebuje dorobku innych osób, kto lokuje się poza dziejową sukcesją żywego łańcucha myślenia filozoficznego, jest – w moim przekonaniu – skazany na porażkę. Porażkę banalności i jałowości, bowiem, jak głosi sentencja, *nihil novi sub sole*. Wyjaśniając, elementarna świadomość historyczna (już nawet niekoniecznie filozoficzna) ukazuje, że człowiek – jako istota skończona, „poruszająca się” w zawsze konkretnej przestrzeni i zawsze ograniczonym czasie – w istocie nie wymyśla nigdy niczego nowego. Precyzując, niczego, co, w choćby załączkowej formie, nie występowało już wcześniej.

Dlatego stoję na stanowisku opozycyjnym wobec zarysowanego powyżej i twierzę, że aby móc rzetelnie i odpowiedzialnie

prowadzić badania w zakresie samej filozofii, trzeba najpierw opanować przynajmniej minimum kompetencji historyczno-filozoficznych¹. Historia filozofii nie jest bowiem dziedziną zewnętrzną względem filozofii, nie należy do historii jako takiej. Przeciwnie, zrozumienie historii filozofii jest możliwe tylko „z wnętrza” żywołu filozofowania. Innymi słowy, ten, kto „wkracza” w historię filozofii, wkracza w samą filozofię. Stąd rację ma Gabriel Marcel, gdy mówi: „(...) Filozof powinien ‘znać’ historię filozofii, ale moim zdaniem, prawie dokładnie tak, jak kompozytor powinien znać zasady harmonii; to znaczy posiadać wyposażenie harmoniczne, nie będąc nigdy jego niewolnikiem. Z chwilą, gdy staje się jego niewolnikiem, przestaje być twórcą, nie jest już artystą. Podobnie filozof, który skapitulował przed historią filozofii, nie jest filozofem. Dodałbym nawet – a to jest ważna różnica – że ten, kto nie przeżył jakiegось problemu filozoficznego, kto nie pogrążył się w nim, nie może w żaden sposób zrozumieć, co znaczy ten problem dla tych, którzy go przeżyli przed nim: pod tym względem pozycje ulegają odwróceniu i historia filozofii poprzedza filozofię, a nie odwrotnie”². Krótko mówiąc, nie sposób być twórczym i samodzielnym filozofem bez opanowania warsztatu historyczno-filozoficznego, a na niego składają się przede wszystkim: umiejętność czytania tekstów źródłowych, osobiste ustosunkowanie się do poszczególnych autorów ze szczególnym uwzględnieniem kontekstu biograficznego, a także – w końcu – zasady przygotowywania autorskich tekstów filozoficznych. Każdy *par excellence* filozoficzny tekst musi zawierać w sobie komponent historyczny.

Nie ma innej drogi do poznania myśli wielkich filozofów jak tylko poprzez samodzielną lekturę ich tekstów. Rodzaj odniesienia do słowa pisanego determinuje dalszą procedurę interpretacyjną. Niezwykle ważne są zatem wstępne nastawienie i przyjęty zestaw założeń, towarzyszący lekturze. Przede wszystkim, zgodnie z założeniami współczesnej hermeneutyki filozoficznej, należy zdać sobie sprawę z faktu własnej nieuniknionej perspektywiczności. Innymi słowy, każdy „podmiot czytający” jest człowiekiem z krwi i kości, mającym swoje sympatie i antypatie, zapatrywania i uprzedzenia, które wynikają z jego

zasadniczego, preracjonalnego sposobu postrzegania świata. Nie jest i być nie może kimś całkowicie bezstronnym, czyli *de facto* bezosobowym, abstrakcyjnym *cogito*. Dążenie do prawdy zakłada pewien „opór materii”, a zatem także spory margines błędu przynależący każdemu, a zatem także i mojemu procesowi poznawczemu. Lecz zdanie sobie sprawy z faktu własnego, niezbywalnego przedrozumienia – tzn. z tego, że dążąc do prawdy nigdy nie zaczynam w punkcie zerowym – nie wyczerpuje kwestii wstępnego nastawienia. Stanowi ono raczej asumpt dla wejścia na wyższe piętro, którym jest autokrytyczne zdystansowanie się wobec własnej pozycji, jakkolwiek by ona nie była. W tym miejscu należy zastosować coś na kształt fenomenologicznego epoche i niejako wziąć w nawias ważność czy prawomocność takiego czy innego osobistego ustosunkowania się do otaczającego świata. Dopiero zawieszenie pośpieszności własnego osądu pozwala na konieczne wyciszenie, po którym nastąpić może próba zrozumienia wyłożonych w tekście myśli.

Autentyczne zrozumienie „intencji tekstu” nie jest możliwe bez szczerzej życzliwości i choćby elementarnej „sympatii” wobec jego treści. Innymi słowy, podmiot winien udzielić każdemu tekstowi „kredytu zaufania”. Lecz równocześnie należy pamiętać o tym, że żadnego tekstu nie można czytać „na kolanach”, gdyż wówczas niemożliwy jest konieczny dla rzetelnego ustosunkowania dystans. Nie można odnieść się do określonych treści z krytycznym dystansem bez choćby minimum metodycznej nieufności względem niego. Dodajmy, nieufności, która nie ma wynikać z emocjonalnego uprzedzenia, ale ze świadomości faktu, iż za każdym źródłem stoi autor – człowiek, istota ograniczona i skończona. Wreszcie, nie da się „dotknąć” prawdy rozpiętej między współobecnyymi w jednym locum (w tym przypadku w tekście filozoficznym) aspektami pozytywnymi i negatywnymi, jeśli nie znajduje się w sobie miejsca na „chłód” obiektywizmu. Obiektywizmu, który jest kierowany wyłącznie pragnieniem odkrycia prawdy, jakkolwiek by ona nie była, który nie ma „względu na osobę”.

W przypadku osoby studiującej historię filozofii cała sztuka polega na tym, aby zintegrować w akcie poznawczym trzy – wydawałoby się sprzeczne – tendencje. Źłe jest wtedy, gdy zostanie zaburzona równowaga między poszczególnymi elementami odniesienia się do treści, zawartej w tekstach wielkich autorów. Adekwatna wydaje się być tutaj metafora rozprawy sądowej. Konkretny podmiot, obcując z historyczno-filozoficznym dziełem, powinien, w moim głębokim przekonaniu, dążyć do tego, aby jego „przyswajanie” źródłowej zawartości odbywało się na podobnych zasadach jak poszukiwanie prawdy w procesie sądowym. Podczas prawidłowo przeprowadzonej rozprawy mamy: obrońcę oskarżonego (życzliwość i sympatia wobec tekstu, kredyt zaufania), prokuratora (element nieufności i krytycyzmu, pewnej metodycznej agresji wobec tez i linii argumentacyjnej tekstu), a także samego sędziego, który – zgodnie z bezstronnym duchem prawa – oscyluje między oskarżającym a broniącym, a więc reprezentuje obiektywizm. Wreszcie, jest i sam oskarżony, którym jest treść tekstu, ergo, sam jego autor.

Rozwijając prawniczą metaforę, należy z całą mocą podkreślić, iż na sali sądowej przewaga, i to podwójna, jest po stronie oskarżonego i jego obrońcy. Po pierwsze, poprzez wyjściową zasadę domniemania niewinności, zgodnie z którą oskarżony jest niewinny tak długo, jak długo nie można mu bezsprzecznie udowodnić jego winy. Po drugie zaś dlatego, że każda wątpliwość jest przez sąd rozstrzygana na korzyść oskarżonego. Dlatego element krytyczny, „prokuratorski”, choć jest niezbędny i niezastąpiony, ma najmniej do powiedzenia. Trudno nie przyznać racji Józefowi Tischnerowi, który twierdził, że poznając myśl danego filozofa, czytelnik – adept historii filozofii powinien ufnie podążać za nią aż na granicę potępienia i dopiero wówczas, dopiero na tej granicy, może zdecydować, czy idzie dalej, czy zwraca z drogi...

Koniec końców, to „element sędziowski” jest decydujący. Dlatego, badając jakiś tekst w kontekście historyczno-filozoficznym, nie można zapomnieć o całej sieci koniecznych odniesień, w które jest on uwikłany.

Po pierwsze, należy przyglądać się danemu dziełu pod kątem jego relacji do innych tekstów powstałych w tym samym bądź zbliżonym czasie. Nic nie zastąpi samodzielnego sięgania po inne teksty oraz ich porównawczej analizy. Po drugie, należy zastanowić się, dlaczego w literaturze filozoficznej powstała taka czy inna tendencja (tutaj nieocenioną pomoc stanowią m.in. opracowania specjalistów, podręczniki itp.). Po trzecie, trzeba zwrócić uwagę na skutki zawartych w tekście koncepcji czy teorii, na to, jak oddziaływały, kogo inspirowały, a także na ich ewentualne praktyczne zastosowania. Wreszcie – co najważniejsze! – należy zdać sobie sprawę i przyswoić oczywisty, ale niedoceniany fakt, że za każdą książką, esejem czy artykułem stoi konkretny człowiek.

Filozofia, jak żadna inna dziedzina naukowa, jest z racji swojego spekulatywnego charakteru szczególnie narażona na oddziaływanie tzw. „czynnika ludzkiego”. Rację ma filozof egzystencjalny Miguel de Unamuno, gdy pisze: „Filozofia jest ludzkim produktem każdego filozofa, a każdy filozof jest człowiekiem z krwi i kości, kierującym się do innych ludzi z krwi i kości, takich samych jak on. I cokolwiek by uczynił, filozofuje przy użyciu nie tylko samego rozumu, lecz również woli, uczucia, a także krwi i kości, filozofuje całą duszą i całym ciałem. Filozofuje konkretny człowiek (...). W punkcie wyjścia, w prawdziwym, praktycznym, a nie teoretycznym punkcie wyjścia każdej filozofii, istnieje ‘dlaczego’. Filozof filozofuje dla czegoś więcej niż dla samego filozofowania. *Primum vivere, deinde philosophari*, głosi stare łacińskie powiedzenie, a jako że filozof jest najpierw człowiekiem, a potem dopiero filozofem, musi żyć, aby móc filozofować, lecz faktycznie filozofuje po to, aby żyć. Zwykł on filozofować albo po to, by wyrazić swą zgodę na życie, albo by znaleźć dla niego jakiś cel, by rozerwać się i zapomnieć o troskach, lub też dla zabawy, dla sportu.”³. Jeśli zgodzimy się z powyższą uwagą hiszpańskiego filozofa, wówczas – w ramach badań historyczno-filozoficznych – nie tylko nie możemy abstrahować od biografii konkretnych filozofów, ale – znacznie więcej – jesteśmy wręcz zobowiązani postawić je w centrum

naszych zainteresowań. Co to konkretnie oznacza? W moim przekonaniu, przede wszystkim dwie rzeczy.

Pierwsza jest taka, że filozofujący badacz historii filozofii powinien – na tyle, na ile jest to tylko możliwe – zaczynać swoje studium nad konkretną myślą/tekstem od gruntownego poznania szeroko zakrojonej, nie zaś tylko *stricte* naukowej biografii autora. Od razu jednak zastrzeżmy, że nie chodzi o informacje natury plotkarskiej. Rzecz nie w tym, aby „przyłapać” jakiegoś myśliciela na niekonsekwencji czy zdyskredytować jego koncepcję poprzez odniesienie jej do życia prywatnego. Poznanie życia autora nie ma służyć moralizatorskiej ocenie, osądzeniu czy nieuprawnionej psychologizacji (wielu rzeczy możemy się jedynie domyślać; nie możemy wnikać w niczyje intencje), a jedynie zrozumieniu jego myślenia, które – podkreślmy to raz jeszcze – jest z życiem nieodłącznie związane. Środowisko, wyjściowa sytuacja materialna, rodzina, uwikłania, fundamentalne życiowe wybory, kariera zawodowa, poznani ludzie, relacje z nimi – to wszystko są czynniki znaczące dla kształtowania się filozoficznego poglądu na świat. Zatem nieocenioną pomoc w opracowaniu studium historyczno-filozoficznego będą stanowić wszelkiego rodzaju opracowania biograficzne, wydane dzienniki, prywatne korespondencje z innymi osobami, etc.

Rzecz druga. Przy całym respekcie dla danego myśliciela powinno się go zawsze traktować „po partnersku”, bez kompleksów. Każda, nawet najbliższa doskonałości koncepcja filozoficzna to „produkt ludzki”, a zatem coś nieuchronnie posiadającego słabsze strony. Zadanie, jakie stoi przez badaczem historii filozofii (filozofem), to umiejętne wykrycie i nazwanie każdego błędu czy luki, np. w argumentacji, ale również dostrzeżenie tego, co łączy, tzn. co jest – mimo wszelkich innych różnic – godne powielania i pogłębienia, szlachetne, bliskie prawdy... Stosunek zachodzący między „mną” – każdorazowo konkretnym podmiotem, przystępującym do badań filozoficznych a myślicielami należącymi do kanonu filozofii powinien każdorazowo przyjmować charakter dialogu. A dialog to nic innego jak wysłuchanie drugiej strony, podzielenie się własną perspektywą, swoim zestawem pytań i – co najważniejsze – wspólne poszukiwanie odpowiedzi, dotyczącej prawdziwego stanu rzeczy. Najkrócej rzecz ujmując, studium – dialog to nic innego jak potraktowanie spotkania z czyjąś myślą jako swoistego pretekstu dla zrodzenia się czegoś nowego. Paul Ricoeur powiedział kiedyś, że wartość dzieła rośnie wraz z każdym nowym odbiorcą. Z tego wynika, że być może to właśnie dzięki „mnie” (każdemu konkretnemu badaczowi) np. Platon, Tomasz z Akwinu czy Kartezjusz będą mieli okazję powiedzieć światu coś, czego bez mojego udziału nigdy by nie wypowiedzieli...

Dlatego dialog, przez który rozumiem studium źródłowych tekstów przy uwzględnieniu nieodłącznego komponentu biografii ich autorów, pełni funkcję przygotowawczą dla właściwej pracy filozoficznej, czyli przygotowywania własnych tekstów. Samo pisanie zaś stanowi szczególne wyzwanie i jest trudną sztuką. Sporządzenie rzetelnej wypowiedzi filozoficznej wymaga nie tylko dużych kompetencji teoretycznych (materialnych) w zakresie samej filozofii i jej historii, ale ponadto ogromnej

sprawności formalnej, stylistyczno-językowej i estetycznego wycucia właściwego sztuce literackiej. Potrzebne są też: umiejętny dobór przykładów „z życia” dla zilustrowania danej tezy, argumentowanie poprzez apelowanie emocjonalne przy zachowaniu wszelkich rygorów racjonalnych czy odwoływanie się do innych niż filozofia dziedzin kultury czy nauki.

Trzeba stanowczo podkreślić, że każdy tekst godny miana tekstu filozoficznego, niezależnie od tego, czy jest on napisany przez początkującego studenta, czy wybitnego profesora, musi być zanurzony w żywym nurcie, wyznaczonym przez dzieje filozofii. A filozofia – mimo wielości nurtów i tradycji – stanowi organiczną jedność⁴ o tyle, o ile rozpala ją dążenie do prawdy. Nie ma autentycznego, żywego ruchu myśli poza odniesieniem do historii filozofii. Co to konkretnie oznacza? Zasadniczo co najmniej dwie rzeczy.

Zapisując własne myśli, najczęściej czynimy to w odniesieniu do innych autorów⁵. To zaś rodzi zobowiązania zarówno wobec autorów, do których twórczości nawiązujemy, jak i wobec naszych potencjalnych czytelników. Dlatego niezwykle ważna jest umiejętność rozdzielenia własnej interpretacji od uprzedniego, możliwie neutralnego, „chłodnego” zreferowania czyjegoś poglądu. Z warsztatowego punktu widzenia niedopuszczalne jest takie sprawozdanie z czyjejś myśli, które, nosząc zabarwienie interpretacyjne, zniekształca fatyczny stan rzeczy i sprawia wrażenie, że nasza interpretacja stanowi najwłaściwszą wykładnię „obcej” myśli. Każde przywołanie czyjejś myśli/poglądu/cytatu w autorskim tekście musi być zatem przeprowadzone rzetelnie, tzn. należy unikać skrótowości, aluzyjności, stawiać na metodyczną życzliwość wobec przywołanego filozofa. Innymi słowy, przedstawiając czyjeś poglądy należy zawsze zachować autorską „przezroczystość”: niech ten, którego przywołuję, mówi „sam za siebie”, ja zaś mogę wkroczyć dopiero w jasno zaznaczonej części interpretacyjno-krytycznej. Nie może być tak, że artykuł czy esej pozbawiony jest całkowicie choćby najskromniej zarysowanej części obiektywnej. I odwrotnie, nie sposób wyobrazić sobie poważnej wypowiedzi filozoficznej, która nie miałaby piętna autorskiego – wówczas można jedynie mówić o streszczeniu czy opracowaniu czyjejś myśli, a nie o indywidualnej wypowiedzi dotyczącej problematyki filozoficznej.

Kwestia druga. Do historii filozofii należy każdy filozoficzny tekst, o czym adeptki sztuki filozoficznej powinni o tym jako o swojego rodzaju przestrodze. W filozofii czas płynie znacznie wolniej niż w codzienności czy nawet w innych naukowych dyscyplinach⁶. Nie ma takiej nierzetelności, która prędzej czy później nie wyjdzie na jaw. Warunkiem oryginalności jest szeroki zasób wiedzy przy jednoczesnej umiejętności oddzielenia osobistej perspektywy od innych, co wszakże nie oznacza ich automatycznej dyskredytacji. Przeciwnie, „zasada pluralizmu”, opierając się na wspólnym dążeniu do prawdy, zakłada komplementarność wielu perspektyw i interpretacji. Aby jednak te mogły się spełnić, muszą zostać najpierw nabudowane na uprzednim fundamencie, który sam podlega zrozumieniu i przyswojeniu, nie zaś interpretacji. Nie wszystko zatem jest interpretacją, jak skłonni są twierdzić tzw. „mistrzowie podejrzeń”: Friedrich

Nietzsche, Karl Marks czy Sigmund Freud. „Intencją” interpretacji jest (powinna być) prawda. Lecz nie ma znaku równości między prawdą a interpretacją. Prawda, jako swoisty horyzont myśli, jej nie-dościgniona idea regulatywna stanowi miarę interpretacji. Pisząc tekst, należy kierować się zatem „zmysłem prawdy”, tj. dążeniem do odkrycia jakiegoś fragmentu rzeczywistości jako takiej. Tylko taka motywacja może przyświecać osobie pretendującej do miana filozofa i tylko taki tekst, który opiera się na prawdzie, zarówno w swoim punkcie wyjścia, jak i dojścia, ma wartość filozoficzną.

Pisanie tekstu zakłada pewną procedurę. Pisząc, należy wyraźnie rozgraniczać własną inwencję twórczą od sprawozdania z myśli innych osób. Ponadto, należy zwrócić uwagę, że uprawianie filozofii (którego ukoronowaniem jest właśnie pisanie) to nie tylko obcowanie z filozofami za pośrednictwem ich tekstów, ale również żywa dyskusja z innymi poszukującymi osobami, żyjącymi współcześnie. Stąd, w moim przekonaniu, warunkiem powstania autentycznej filozoficznej pracy jest konsultowanie jej fragmentów w gronie innych badaczy. Niezastąpiona jest tutaj formuła spotkania seminaryjnego, podczas którego filozofowie – pod okiem mistrza – dyskutują pasjonujące ich problemy filozoficzne. Kultura seminaryjna nie tylko uczy koniecznej dla pracy naukowej pokory, ale – co najważniejsze – rozbudza aspiracje i budzi motywacje. Nic nie zastąpi bowiem żywych relacji międzyludzkich, także w wydawałoby się abstrakcyjnej filozoficznej pracy, wymagającej dużego zasobu czasu i samotności.

Podsumowując. Filozofia przywołuje historię, tak jak historia przywołuje filozofię. Jedna nie istnieje bez drugiej. Jak napisałem powyżej, w filozofii czas rządzi się innymi prawami niż wszędzie poza nią. W filozofii dialog i spotkanie nie znają żadnych ograniczeń, poza ograniczeniem intelektualnym każdego z nas. Filozofia to spotkanie między nami, ciągle żyjącymi a tymi, którzy byli przed nami. Więcej, to spotkanie między nami a tymi, którzy dopiero przyjdą na świat. Warto o tym pamiętać, gdy chcemy zbyt pośpiesznie zamknąć rzeczywistość w kilku formułach, nie licząc się kompletnie z faktem naszej historyczności, z tym, że jesteśmy *homines viatores*, ludźmi, którzy, rozpięci między przeszłością a przyszłością, zajmują niewielkie miejsce zwane terażniejszością.

Przypisy:

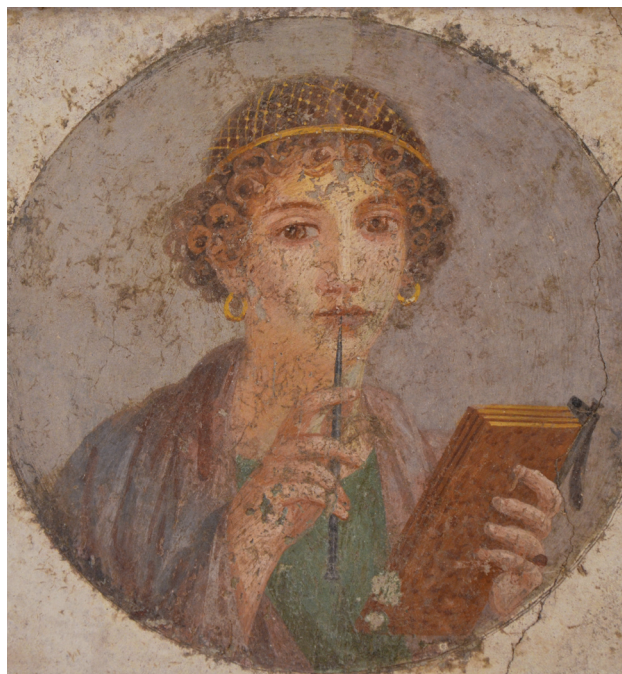
1 Oczywiście, uwaga ta odnosi się przede wszystkim do „nas”, tj. współczesnych ludzi zanurzonych w nurt odwiecznych, dziejowych pytań. Wielcy autorzy przeszłości, ci, od których filozofia wzięła początek, tzn. filozofowie presokratejscy, nie mieli przecież za sobą – w przeciwieństwie do nas – żadnej usystematyzowanej, poważnej tradycji naukowej czy intelektualnej, w związku z czym trudno w ich przypadku mówić o koniecznym odnoszeniu się do historii. Ta bowiem zaczyna się właśnie od nich.

3 M. de Unamuno, *O poczuciu tragiczności życia wśród ludzi i wśród narodów*, tłum. H. Woźniakowski, Kraków-Wrocław 1984, s. 35-36.

4 Por. E. Gilson, *Jedność doświadczenia filozoficznego*, tłum. Z. Wrzeszcz, Warszawa 1968.

Pomijam w tym miejscu uwagi o konieczności stawiania przypisów odprowadzających czytelnika do źródła takiego czy innego stwierdzenia, co – *nomen omen* – sam nadmieniam „w ramach” przypisu.

6 Sądzę, że wyjątkiem będzie tutaj pokrewna filozofii teologia. Ona również, jako dziedzina spekulatywna, „poruszająca się” na wysokim stopniu abstrakcji, jest zasadniczo odporna na upływ czasu.



Sappho

fresco Naples National Museum

MAŁGORZATA MÜLLER



"EROS PARALIŻUJE ME CZŁONKI" MIŁOŚĆ I JEJ OBLICZA W STAROŻYTNEJ GRECJI

Skąd wzięła się miłość na sprzedaż i jaką rolę odgrywał Korynt? Co to były religijne domy publiczne? Kim były hetery? Kim były konkubiny i jaka była ich rola? Jakie związki istniały między mężczyznami i co było ich celem nadrzędnym? Dlaczego powstała „miłość safońska” i czy można zarzucić Safonie miłość lesbijską?

Świat antyczny to przede wszystkim cud grecki, w którym Eros pozbył się piętna słabości i stał się dążeniem ducha do wiecznego piękna i doskonałości. Uprzedzenia miłosne do ludzi tamtego świata to pułapka naszej cywilizacji. Żadna dzisiejsza cywilizacja nie może równać się z antyczną, a zrozumienie jej wymaga przedstawienia silnych treści ukrytych w filozofii, rzeźbie, literaturze czy w zdobieniach wielkich świątyń i różnorodnych naczyń. Spróbujmy spojrzeć niedyskretnym okiem na prywatność społeczeństwa antycznego, mając przy tym świadomość, że nasza ocena oparta na innych zasadach moralnych i religijnych, nie ma już dla niego żadnej wartości. Ludzie antyku byli w swojej epoce wolni uczuciowo i żyli erotycznie w sposób zgodny ze swoją naturą.

Erotyczne oblicza kochanków w starożytnej Grecji dawały szerokie pole do działania. Poza miłością mężczyzny i kobiety, o której była mowa w pierwszej części naszego artykułu w poprzednim numerze, Grecy dzielili odczuwanie miłości na wiele rodzajów, aby zrozumieć różne formy tego uczucia. To tutaj powstał najstarszy zawód świata – miłość za opłatą. Bowiem w pierwotnych społecznościach zjawisko to nie miało charakteru profesjonalnego, lecz wywodziło się z praktyk religijnych. Dziewictwo traciły dziewczęta w imię boga, uprawiając choćby dla bogini miłości Afrodyty „świętą prostytutkę” jako obowiązek religijny. W ten sposób pozyskiwały przychyłność bogini. Z tak zwanych „świętych niewolnic” powstały hetery. Były to kobiety niezamężne, wyzwolone niewolnice, kobiety ubogie, które żyły ze świadczenia usług erotycznych na rzecz mężczyzn. W antycznej Grecji było to zjawiskiem powszechnym, a Korynt był stolicą miłości za pieniądze. W okresie klasycznym liczba heter w Koryncie dochodziła do tysiąca. Przyciągały one żeglarczy, polityków, kupców, bogatych mieszczan, cudzoziemców,

którzy trwonili tam swoje majątki. Biedne dziewczyny zamieniały się szybko w luksusowe hetery. Stawały się kochankami bogatych mężczyzn, mężów stanu, filozofów, którzy mieli obowiązek je utrzymywać. Bogate hetery składały wartościowe dary bogom, zakładały tzw. religijne domy publiczne rozpowszechniając tym samym swoje miejsca pracy. Hetery opierały się głównie na swojej urodzie i kobiecości, wiele z nich kształciło się, aby móc poznać mądrego filozofa lub męża stanu. Luklan (II w. p.n.e.), Syryjczyk, pisarz w j. greckim, który zostawił bogaty dorobek złożony z pism, przemówień i opracowań naukowych, słynny również jako retoryk, a nawet nagrodzony w zawodach retoryki Olimpijskiej, opisuje hetery jako kobiety, które zazwyczaj i przede wszystkim te najbrzydsze, ubierały się w czerwone suknie, bogato zdobione złotem, pragnąc w ten sposób zwrócić na siebie uwagę. Swoje niedostatki i niezgrabne nogi ukrywały pod wszelakimi ozdobami, ramiona przykrywały złotem, a na stopy zakładały kolorowe pantofelki. Swoją twarz zaś otaczały blaskami klejnotów.

Spacerując po greckich sklepikach można natknąć się m.in. na wazy i talerze z motywami ludzi antycznych. Na malowidłach naczyń pokazane są często hetery jako kobiety nagie, otoczone dojrzałymi mężczyznami oddającymi się pijaństwu i grze kieliszkami wina. Jest to inna kategoria heter – były to tzw. „artystki”. Należały do nich: tancerki, śpiewaczki, flecistki, gitarzystki i inne im podobne ubogie dziewczęta. Hetery z tej grupy zapraszano na ucztę, a kiedy alkohol brał górę ucztę kończyła się dla wszystkich orgią w grupie. Hetery dla rozrywki należały zazwyczaj do jednego właściciela, który je najpierw szkolił, a następnie wypożyczał za pieniądze na ucztę.

Hetery z Koryntu nosiły miano luksusowych. A te sławne zaś mieszkaly w Atenach, bowiem ich kontakty z politykami, artystami, filozofami, mężami stanu przyczyniały się do ich popularności. Pary, które przeszły do historii to m.in. Perykles (495 – 429 p.n.e.) i Aspazja z Miletu (455 – ?); kobieta o wyjątkowej urodzie, wykształcona, mądra, wierna, robiąca na Peryklesie aż do jego śmierci wielkie wrażenie. Z tego związku pozostał męski potomek. Syna ze związku z heterą o imieniu Erpylida miał

również wielki filozof Arystoteles (384 – 322 p.n.e.). Spłodził go po śmierci swojej żony i nadał mu imię swojego ojca Nikomacha. Znany ateński retoryk i polityk Hiperydes (390 – 322 p.n.e.) był tak bogaty, że utrzymywał w jednym czasie aż trzy hetery: Mirynnę, Arystagone i Filę. Mieszkały one w jego trzech domach: w Atenach, w Koryncie i w Pireusie. Filozof Arystyp był związany z Laidą (koniec V w. p.n.e.), heterą chciwą na zyski, która kochała mimo związku z Arystypem całym sercem filozofa Diogenesa. Natomiast sławny grecki rzeźbiarz Praksyteles (początek IV w. p.n.e. – 330 p.n.e.) związał się z luksusową Fryne, której prawdziwe imię brzmiało Mnisareti („pamiętająca cnotę”). Ponieważ kolor jej cery był nieco żółty nazwano ją Fryne, od nazwy pewnego gatunku żab o żółtej barwie. Jej wyjątkowa uroda sprawiła, że związała się ona z wieloma znanymi osobistościami, ale na koniec większość swojego życia spędziła z Praksytelesem służąc mu jako modelka do wielu jego rzeźb. Był on bowiem najznakomitszym rzeźbiarzem IV w. p.n.e. Talent miał po swoim ojcu, świetnym rzeźbiarzu. Praksyteles stworzył reliefy w świątyni w Efezie uznane za jeden z siedmiu cudów świata antycznego, niestety zostały one spalone. Z oryginalnych rzeźb zachował się jedynie Hermes z małym Dionizosem. Najwięcej szczegółów dotyczących jego dzieł zachowało się w literaturze. A Fryne zaś przeszła do historii jako wyjątkowo bogata hetera. Zgromadziła duży majątek i kiedy w 335 r. p.n.e. Aleksander Wielki zburzył Teby, Fryne zaproponowała odbudować miasto pod warunkiem, że jej imię zostanie umieszczone na bramie wjazdowej z takim oto napisem: „To co Aleksander spalił, odbudowała hetera Fryne”. Kallistratos wspomina, że propozycja nie została zrealizowana, bowiem Teby obawiały się, że ich kobiety pójdą w ślad za Fryne. Piękne hetery podobały się również Sokratesowi (469/70 – 399 p.n.e), który udzielał nawet rad jak zdobywać wielbicieli, ale odmówił pięknej Teodocie bliższej znajomości, odpowiadając jej grzecznie: „Przyjdę, kiedy mnie zaprosisz i kiedy nie będzie przy mnie kogoś, kogo kocham bardziej niż ciebie.”

Pozycja heter przyczyniała się do kryzysów w małżeństwie, które były przede wszystkim aranżowane przez rodziców, a małżonkowie się przed ślubem nie znali. Rodzice zabraniali synom kontaktu z heterami, zachęcając ich do małżeństwa, z czego hetery nie były zadowolone – traciły kochanków z bogatych rodzin, a biednych młodzieńców nie było na nie stać. Piękne hetery były kosztowne, bowiem był to jedyny sposób na dobre utrzymanie się. Zawód ten przechodził często z matki na córkę i zapewniał im utrzymanie. Heterę można było poznać praktycznie wszędzie: w teatrze, na rynku, w łaźniach, w świątyniach i na ulicy. Prawdziwym damom zabronione było przebywanie w tych miejscach. A hetery zwracały na siebie uwagę nie tylko charakterystycznym strojem, lecz również obuwem wyposażonym w gwoździe wbite pod podeszwą. Pozostawiały one ślady o erotycznej treści takie jak „czekam na ciebie”, „chodź ze mną” itp. Wyrazem zainteresowania heterą było rzucenie jej jabłka. Konkurencją dla nich były tzw. konkubiny. Mieszkając w domu mężczyzny bez zawarcia małżeństwa, odgrywały rolę pośrednią między heterą a małżonką. Konkubina zaspakajała potrzeby dnia codziennego, mogła towarzyszyć mężczyźnie poza domem, przyjmować gości, czego heterze nie wolno było.

Małżonka rodziła dzieci. Hetera dawała rozkosz. Majątek konkubiny wchodził w skład majątku mężczyzny, z którym żyła, a jej uprawnienia były zbliżone do żony. Za czasów Homera Achajowie i Trojańczycy utrzymywali chętnie konkubiny, uznawali prawnie dzieci urodzone ze związku z nimi, jeżeli matki były Atenkami, ale większą wagę przywiązywali mimo wszystko do małżeństwa. Troja dopuszczała wielożenstwo, natomiast Achajowie preferowali zasady monogamii. Zjawisko konkubinatu, które było przede wszystkim rozpowszechnione w okresie od V do IV w. p.n.e., miało swoje cele główne: zapewnienie ubogim dziewczętom utrzymania oraz zwiększenie liczby dzieci podczas wojen. A co działo się z mężczyznami, których nie było stać ani na hetery, ani na konkubiny? Dla tych istniały tzw. prostytutki (gr. *porni*, czasownik *pernimi* = sprzedawać). Słowo to pojawia się po raz pierwszy w VII w. p.n.e. w poezji Archilocha, twórcy klasycznych miar wierszowych – dystychu, elegijnego i jambu. W swojej twórczości odchodzi on od epickich opisów i zwraca się do duszy człowieka tematyzując pojęcia „tu” i „teraz”. Archiloch nazwał zatem rzecz po imieniu mówiąc o sprzedaży ciała. prostytutki świadczyły usługi erotyczne taniej w domach publicznych i na ulicy. Różnica do pozostałych dwóch określeń była następująca: Konkubina należała całe życie tylko do jednego mężczyzny. Hetera mogła mieć kilku kochanków w życiu, ale nie w tym samym czasie. Natomiast prostytutka nie była niczym ograniczona i mogła przyjmować klientów, jednego po drugim. Domy publiczne założył w VI w. p.n.e. Solon w Atenach, aby ustrzec kobiety przed natarczowymi mężczyznami. prostytutkami były zazwyczaj niewolnice i cudzoziemki. Nosiły one przezroczyste suknie i były półnagie. Za swoje erotyczne usługi otrzymywały stałą opłatę i zmuszone były płacić miastu podatki, tzw. „*porniko telos*”. Jedynym sposobem niepłacenia podatku było zamieszkanie w roli konkubiny. Domy publiczne dzieliły się na prywatne i publiczne. Te ostatnie funkcjonowały pod różnymi nazwami: „*pornija*” (sprzedaż), „*ikimata*” (fragment), „*diktiria*” (budynki), „*ergastiria*” (warsztaty), „*pediskija*” (niziny). Kobiety pracujące w prywatnych „*pornijach*” należały do wyższej kategorii niż te z miejskich domów publicznych. Obydwie kategorie przysparzały dochód dla kasy miejskiej.

Reasumując te trzy kobiece zjawiska mające miejsce w antycznym społeczeństwie demokratycznym, możemy ze spokojem stwierdzić, że obecność kobiety odgrywała zasadniczą rolę w życiu antycznego mężczyzny, a ON był jak magnetyczna igła dla NIEJ. To wtedy Demostenes (384 – 322 p.n.e), największy i najslawniejszy mówca starożytnej Grecji, jeden z wybitniejszych mężów stanu w Atenach oraz zagorzały przeciwnik Filipa powiedział światu: „Najpiękniejszą istotą jest kobieta”. I nawet się nie zająknął w tym zdaniu, bowiem w tym czasie pokonał już swoją ogromną wadę wymowy dzięki ćwiczeniom w mówieniu. I usłyszał to zapewne piękny, silny kogut, który był symbolem erotyki w starożytnej Grecji.

Piękno natury ludzkiej, zdrowe i harmonijne ciało stanowiło obiekt podziwu i uwielbienia. Ograniczenie uczestnictwa kobiet w życiu publicznym sprawiło, że uwielbienie to Grecy kierowali wielokrotnie w stronę swoich męskich przyjaciół. Mężczyzna był usytuowany w centrum wszystkich przejawów

życia duchowego, a piękno na ciele i duszy stawało się wzorcem. Piękność chłopca i zachwyt nad wszelakim pięknem był u Greków tak wielki, że uczynili z niego niemal bóstwo. I nie chodziło tu wcale o kochanków i ich orgie. I nie były to flirty w naszym współczesnym rozumieniu. Związki w greckim świecie antycznym, również te między mężczyznami to uwielbienie istoty wyższej, oparte na czystej i bezinteresownej miłości. Wierzone, że w pięknym ciele musi zamieszkiwać również piękna dusza, o którą należy zadbać. Zatem związek dwóch mężczyzn, czy uwielbienie niepełnoletniego chłopca w czasach antycznych to ani homoseksualizm, ani pedofilia w znaczeniach dnia dzisiejszego. Zeus porwał młodego Ganimedesa, trzymającego w ręku koguta – symbol erotyzmu (wnętrze czary z 460 r. p.n.e., znajdującej się aktualnie w muzeum w Ferrarze) i sprowadził go na Olimp, nie z powodu urody jego ciała, lecz piękna jego duszy. Z tego powodu odłożył Zeus nawet wszystkie symbole swej władzy na bok. Przykład ten pokazuje, że piękno w świecie antycznym było godne szacunku i najwyższych honorów ze strony bogów i ludzi. Chłopiec to symbol piękna i urody ludzi młodych, a pedofilia to sposób wychowania, głównie od VI do IV w. p.n.e. dla chłopców w wieku od dwunastu do osiemnastu lat. Opiekował nim mężczyzna cieszący się powszechnym szacunkiem, mający ponad dwadzieścia lat, oczywiście za zgodą ojca młodzieńca. Mieć takiego mężczyznę było honorem i wyróżnieniem, a brak takiej opieki i przyjaźni zaś upokorzeniem. Zadaniem pedofilii było wpojenie w młodego człowieka wszystkich męskich cnót, porady życiowe, opieka, uczynienie z niego wartościowego człowieka, wzbogacenie jego świata duchowego, wartości etyczne, posłuszeństwo wobec prawa, zasady dobrego wychowania, szlachetność, wrażliwość na sztukę oraz wychowanie erotyczne. Był to związek światów wewnętrznych, a nie ciał. Pedofilia w dzisiejszym znaczeniu była i wówczas zakazana i ścigana przez prawo. Za przekazywanie wiedzy młodzieniec rewanżował się swojemu opiekunowi ofiarowując mu swoją urodę i wdzięk oraz widok swojego nagiego ciała na boisku sportowym – w miejscu, w którym się chłopcy wyróżniali. Opiekun ofiarowywał mu za to prezenty; zazwyczaj były to upolowane zwierzęta, zajęce, psy, koguty lub naczynia z napisami na cześć młodzieńca. Drogę do pedofilii otworzyli Dorowie – naród wojowniczy, twardy, o przesadnej męskości i ze wzdargą dla kobiet. Wojujący Dorowie na terenach greckich żyli w obozach wojskowych i stawali się sami nauczycielami i przewodnikami przyszłych wojowników. Przykładem, aby zrozumieć ten duchowy wymiar tamtej cywilizacji i zgłębić uczucia antycznego Greka jest m.in. Sokrates, który był „kochankiem” swych uczniów, gdyż uważał, że tylko ten, który żywi uczucia miłości do drugiego człowieka, może go właściwie nauczać. W ramach wychowania erotycznego dopuszczalne było pieszczczenie narządów płciowych chłopca, ale tylko w pozycji stojącej na przeciw siebie, co widzimy na scenach antycznych naczyń. Kontakt fizyczny musiał być dyskretnym, młodzieniec miał obowiązek unikać jakiegokolwiek zbliżenia z opiekunem, dopóki nie udowodnił, że jest tego wart. Czerpanie przyjemności było nie na miejscu, a chłopiec nie mógł brać aktywnego udziału w akcie miłosnym, ani odwracać się do opiekuna pośladkami. Rola dowódcza należała do mężczyzny, który nie mógł być

podporządkowany chłopcu. A przyszyły obywatel nie mógł być zhańbiony, nawet wtedy, gdy dochodziło do wytrysku. Ciekawostką jest, że powiedzenie „Jestem Eurymendonem. Schyliłem się.”, odczytane na jednym z naczyń z ok. 460 r. p.n.e. dotyczy właśnie haniebnego aktu erotycznego jakim było nastawianie pośladków drugiemu mężczyźnie i kompletnego dyshonoru dla niego. Powstało ono po zwycięstwie Ateńczyków nad Persami nad rzeką Eurymedon. Na naczyniu nadchodzi Grek z obnażonym członkiem w kierunku pochylonego do przodu Persa i w pozycji nie budzącej wątpliwości co do jego zamiarów. Zatem tylko przegrany i ośmieszony mógł doznać takiego poniżenia. Napisy o treści wulgarnej w celu poniżenia danej osoby znajdujemy również na antycznych ścianach i naczyniach. Prawodawstwo dbało o ochronę młodzieży przed niebezpieczeństwem wykorzystywania seksualnego. Solon w Atenach oblił rodziców do posyłania chłopców do szkoły po wschodzie słońca i do odbierania ich przed zachodem. Arystofanes opisuje powściągliwość chłopców na stadionach, którzy siedzieli tak zgrabnie, aby nie zostawić śladów odcisków swojego ciała na piasku. Ojciec lub opiekun byli surowo karani za wykorzystanie dziecka (też kobiety, niewolnicy, mężczyźni). Po osiągnięciu pełnoletności wykorzystane dziecko było zwolnione od obowiązku utrzymywania rodzica. Jedynym jego obowiązkiem było zorganizowanie ojcu pogrzebu. Gorliwym przeciwnikiem cielesnej pedofilii był Arystoteles uznając ją za zbrodzenie. W swojej mowie do Ateńczyków powiedział: „Kochankowie nie spoglądają na żadną inną część ciała, patrzą tylko w oczy, gdzie zamieszkuje wstyd”. Solon napisał zaś: „Najpierw, niech będzie dzieckiem, a kiedy przyjdzie pora nauczy się rozkoszy od kobiety i we właściwym wieku sam znajdzie rozwiązanie”. W antycznej pedofilii liczyły się zatem wartości etyczne.

Starożytni poeci opiewali urodę, piękno miłości i nie dążyli do tuszowania ludzkich pożądań, a wręcz przeciwnie usiłowali je wyjaśnić. Bowiemi miłość duchowa i cielesna była tematem, na który dyskutowały pierwsze społeczeństwa. Lektura eposów Homera, „Ucztę” Platona, czy sielanek Teokryta nie pozostawia żadnych wątpliwości, że pojęcie homoseksualizmu nie było wtedy znane. Nie ma tam wzmianek o tym zjawisku w odniesieniu do ludzi czy bogów. Jest mowa o czystej przyjaźni, idealnej czystości, a związki cielesne są surowo potępiane. Miłość była siłą, która wznosiła na wyżyny heroizm i męstwo. Nie było w niej nic wstydliwego, zepsutego czy zniewieściałego. Od takiej etyki miłości zależały często zwycięstwa w wojennych bitwach. Przykładem jest choćby bitwa pod Cheroneją, w której polegli Tebańczycy jako „oddział kochanków” na polu walki, co potęgowało ich męstwo i odwagę. Król Filip widząc trzysta młodych ciał nie mógł powstrzymać łez, mimo, że był zwycięzcą tej bitwy i był zdania, że tak piękni mężczyźni nie mogli uczynić nic niegodnego. Z mowy Ajschimesa z okresu klasycznego (V w. p.n.e.) dowiadujemy się nawet o ustawie przeciw homoseksualizmowi. Ustawa ta wykluczała Ateńczyka, który dopuścił się homoseksualizmu z udziałem w polityce, sprawowania jakichkolwiek funkcji publicznych w kraju lub za granicą. Obywatel taki nie mógł wypowiadać swojego zdania, ani przebywać w miejscach publicznych. Po udowodnieniu winy ponosił karę śmierci. Przykładem tej ustawy był Tymarch, któremu

udowodniono homoseksualizm i pobieranie opłat za tego typu usługi. Zarzucono mu nawet zdolność do sprzedania ojczyzny jako wynik jego postępowania. Tymarch nie zniósł tej hańby i popełnił samobójstwo zanim go ukarano. Według starożytnych Greków homoseksualizm pochodził od Fenicjan i zatem często nazywano to zjawisko – „on fenicjuje”. Pisze o tym m.in. Arystofanes w swoich komediach, ośmieszając takie zachowania. Grecja nie była zatem kolebką anomalii. Podstawą wszystkich osiągnięć w życiu publicznym i prywatnym było etyczne poszanowanie męskości.

O związkach erotycznych kobiet nie mamy wiele informacji. Mit w „Uczcie” Platona wyjaśnia ten rodzaj związków w małym stopniu. Kobiety nie miały swobody poruszania się poza domem, były często zaniebawane przez swoich mężczyzn. W Milecie, który był centrum handlowym, rzemieślnicy wytwarzali z miękkiej skóry podobizny męskiego członka na sprzedaż. Nabywały je hetery i inne kobiety. Fakt ten prowadzi do wniosku, że kobiety uciekały się do klasycznego onanizmu. Erotyczne związki kobiet rozpowszechniły się najbardziej na wyspie Lesbos, a za inicjatorkę tego typu zachowań uważa się Safonę. Nie jest to jednak prawdą do końca. Lesbijki nazywały się w starożytnej Grecji „trivadami” (gr. czasownik „trivo” oznacza „ocieram się”). Triwada brała udział w erotycznych pieszczołach ze swymi przyjaciółkami. W „Dialogach heter” Lukianos opisuje związek erotyczny pomiędzy kobietami, który bazuje na rozmowie dziewcząt. Zjawisko to nie było powszechne i nie wzbudzało zainteresowań u artystów, zatem zachowało się mało malowideł poświęconej tej tematyce, a jeżeli one są, to dotyczą nagich heter. Osiągnięcia kobiet nie były znane publicznie, zatem kobiety nie mogły wyróżnić się cnotą i doskonałością publicznie. Poetka Safona były pierwszą, która ośmieliła się zainicjować edukację dziewcząt, naśladując wzorce pedofilii i tworząc w ten sposób „miłość safońską”. Lesbos i cała Eolia umożliwiały politycznie rozwój zainteresowań kobiet innymi sprawami, poza domowymi obowiązkami. Każdego roku organizowano w świątyni Hery na Lesbos konkursy piękności kobiet, towarzyszyły im uroczystości religijne i składanie ofiar. Dziewczęta konkurowały ze sobą w imię bogini Hery, jak na igrzyskach olimpijskich. Dyscyplinami były śpiew, taniec, bieg oraz wdzięk.

Safona (617/612 p.n.e. - ?), największa poetka liryczna epoki archaicznej mieszkała na Mitylenie i była żoną bogatego Kerkilasa. Miała z nim córkę Klidę. Ze względów politycznych wyjechała na Sycylię, a następnie powróciła po śmierci męża (585 p.n.e.) na Mitylenę, gdzie zamieszkała w towarzystwie dziewcząt, swoich uczennic. Komponowała pieśni i pisała wiersze w dialekcie etolskim. Strofy jej poezji są pełne wrażliwości i ponadczasowych treści. Przyjaźniła się z Alkajosem, sławnym poetą z Mityleny, którego poezja jest bardzo cenna artystycznie. Pisał on poematy erotyczne oraz pieśni śpiewane na ucztach. Łagodność, słodycz i siła podniosłości artystycznej towarzyszyły tej znajomości. Krąg uczennic stał się najbardziej znaczącym miejscem edukacji młodych pańienek. Safona była dla swoich uczennic tym, kim stał się Sokrates dla swoich uczniów. Safona przeciwstawiała się patriarchalnej społeczności, o czym świadczy jej poezja. Uczyla dziewcząt tańca, muzyki, wyrażania

wdzięku i jego tajemnic oraz sposobu zachowania się w miejscach publicznych. Rodzice powierzali jej swoje córki. Jej nauka nie miała nic wspólnego z nauką sztuk miłosnych. Dziewczęta były przygotowywane do wyjścia za mąż, a Safona uczestniczyła na ich weselach. W swoich wierszach opisuje nostalgię; mówi o tym, że rzeczą naturalną jest odejście uczennicy i rozpoczęcie życia u boku męża, mimo, co rodzi smutek. Miłość była jednak wyzwaniem dla kobiety VI w. p.n.e., a wysławianie piękna, miłości i cnoty kobiety nie było zgodne z zasadami świata mężczyzn. Mówienie i pisanie o swoich uczuciach jako kobieta było czymś niespotykanym w owym okresie. Do Safony zaczęto odnosić się z nieufnością. Została posądzona o miłość lesbijską, chociaż zarzutów jej nie udowodniono. Safona sama kochała mężczyzn. Jej miłość do dumnego Faona stała się przyczyną tragedii. Nieszczęśliwi kochankowie, jak wspominają Strabon i Meander w swoich tekstach, udawali się do świątyni Apollina na wyspę Leukas, i aby wyzwolić się z cierpień miłosnych popełniali samobójstwo „skacząc w morską otchłań”. Stamtąd zrzuciła się do morza również Safona, nie mogąc znieść miłosnego zawodu. Malowidło na wazie z 440 – 420 r. p.n.e., wykonane przez malarza Polignota, przedstawia Safonę z uczennicami.

Podsumowując, wolno wnosić, że erotyczne pasje były znane od zarania, a Grecja nie była kolebką anomalii. Warto też pamiętać, że mitologiczne sceny orgii przedstawiane na wazach były rezultatem wyobraźni wolnego duchem artysty. Nie zawsze artysta odnosił się do jakiegoś rzeczywistego wydarzenia. Bóg Priapos, przedstawiany z ogromnym członkiem (posąg w Delos) oraz inne posądky „męskości”, miały bezpośredni związek z patriarchalnym społeczeństwem, z wyobrażeniem siły, ale także z kultem płodności. W Grecji Eros pozbył się piętna słabości i stał się ucieleśnieniem ducha dążącego do wiecznego piękna i doskonałości. Dzisiaj żyjemy w epoce, w której trudno jest nam odkryć i zrozumieć tamte minione wartości.

„Jedni o oddziałach piechoty, inni o jeźdźcach, inni o flocie mówią, że jest najpiękniejsza na czarnej ziemi, a ja o tym gdzie każdy kocha” (Safona)

Bibliografia:

Platon: *Uczta*. Wolne lektury.pl

Ksenofont: *Pisma sokratyczne*. PWN, 1967

Kenneth Dover: *Greek Homosexuality*. Harvard University Press, 1978

Robert Flacelière: *Lamour en Grèce*. Le Club du Meilleur Livre, 1995

Marion Giebel: *Sappho*. Rowohlt, 1980

Charls H. Kahn: *Platon i dialog sokratyczny*. Teologia Polityczna, 2005

Hans Licht: *Liebe und Ehe in Griechenland*. Severus, 2013

Hans Licht: *Lebenskultur im Alten Griechenland*. Europäischer Geschichtsverlag, 2012

Leopold V. Schmidt: *Die Ethik der alten Griechen*. Hansebooks, 2016

W Polsce istnieje również bogaty zbiór tłumaczeń literatury starożytnej jak i sekundarnej, dotyczącej tej tematyki!

IRENA KACZMARCZYK



MUZEUM POLSKIE W RAPPERSWILU



W 150. rocznicę istnienia, Muzeum Polskie w Rapperswilu traci swoją siedzibę. Musi wyprowadzić się z malowniczo położonego nad Jeziorem Zuryskim XIII-wiecznego zamku.

Polska traci zatem jedno z najstarszych muzeów poza granicami kraju, gdyż władze miejskie Rapperswilu zdecydowały o zmianie charakteru średniowiecznego zamku, w którym od 1870r. mieściła się cenna placówka. Przewidują zmodernizowanie i sprywatyzowanie zamku. W 2017 r. burmistrz Rapperswil zapowiedział w wywiadzie prasowym, że po rozpoczynającym się w 2020 r. remoncie, Muzeum nie wróci na zamek. Powstanie tam muzeum gminne a w pomieszczeniach zajmowanych przez zbiory Polskiego Muzeum restauracja.

Muzeum powstało w 1870 roku z inicjatywy polskiego emigranta, powstańca listopadowego, dziennikarza i polityka emigracyjnego, hrabiego Władysława Broel-Platera. Hrabia, nie mogąc kupić popadającego w ruinę XIII-wiecznego zamku, wydzierżawił go od władz miejskich na 99 lat. Na remont zamku Plater wydał cały swój majątek a zbiory-dary, które napłynęły z Polonii z całego świata przekazał w testamencie przyszłej niepodległej Polsce. Muzeum Polskie miało służyć nie tylko jako placówka muzealna - „przybytek nietykalnych zabytków historycznych”, ale także ważny ośrodek polskiej kultury i nauki, wyposażony w pełną bezcennych dla Polski źródeł bibliotekę, w tym ogromne archiwum mickiewiczowskie. Tu, na szwajcarskiej emigracji, miało bić serce ojczyzny. Pełniąc od 2005 r. funkcję dyrektorki Muzeum, Pani Anna Buchmann, przypomina: „Pamiętajmy, że to jest druga połowa XIX wieku, kiedy ci ludzie są pozbawieni własnej ojczyzny. Są bezpaństwowcami. Należało zbudować instytucję, która by podtrzymywała tożsamość narodową, chroniła dziedzictwo kulturowe i pomagała młodym ludziom zdobyć wykształcenie i ułatwiała im późniejszy start. W to wierzył mocno Plater i w to wierzyli powstańcy styczniowi, którzy już nie byli tak bardzo przesiąknięci romantycznymi hasłami, ale raczej hasłami pozytywistycznymi”.

Nie można było wymarzyć dla Muzeum lepszego miejsca, jak położony na wysokiej skale średniowieczny zamek, którego baszty odbijają się w wodach pobliskiego Jeziora Zuryskiego i góruje nad nim słynna Kolumna Barska, symbolizująca wolność (ufundowana również przez hrabiego Platera) z siedzącym na niej orłem z dziobem skierowanym w stronę Polski.

Muzeum Polskie oparte na trzech filarach: Muzeum, Archiwum i Biblioteka zaczęło się szybko rozrastać. Wspierali go nieustannie polscy emigranci, którzy z dużym zaangażowaniem stali dary na rzecz placówki. Pierwsze Polskie Muzeum Narodowe stało się dumą, miejscem kultu i licznych pielgrzymek Polaków rozsianych po świecie. Placówka muzealna w Rapperswilu jest ściśle związana z historią naszego kraju i wybitnymi postaciami polskiej kultury, między innymi z Henrykiem Sienkiewiczem, Elizą Orzeszkową, Bolesławem Prusem i Stefanem Żeromskim. W 1875 r. był tu Józef Ignacy Kraszewski, który wszedł w skład zarządu Muzeum.



Maria Konopnicka w listach pisała o obchodach na zamku setnej rocznicy Konstytucji 3 Maja w 1891r.

Na przełomie XIX i XX wieku Muzeum posiadało największą bibliotekę polską na emigracji, która liczyła ok.100 tys. druków, z bogatym zbiorem książek, rękopisów, starych druków, a także źródła archiwalne, w tym dotyczące powstania 1863 i fali emigracji po jego upadku.

Po odzyskaniu niepodległości, zgodnie z wolą Władysława Platera, zbiory rapperswilskie: 3000 dzieł sztuki, 2000 pamiątek historycznych, zbiór militariów, 20.000 rycin, 9000 medali i monet, 92 tysiące książek i 27.000 archiwaliów zostały w 1927r. wraz z urną z sercem Tadeusza Kościuszki przewiezione do Warszawy i wzbogaciły polskie dziedzictwo narodowe.

W 1936r. otwarta została w Zamku ekspozycja drugiego Muzeum Polskiego – Muzeum Polski Współczesnej. W czasie II wojny Muzeum

przejęło kulturalną opiekę nad 13.000 internowanych polskich żołnierzy, którzy przybyli do Szwajcarii po walkach we Francji. Wielu z nich pozostało na zawsze w Szwajcarii; pracowali jako naukowcy, inżynierowie i artyści. I to oni przyczynili się w największym stopniu do utworzenia powojennego Muzeum.

W czasie II wojny światowej rapperswiliana zostały w 95% zniszczone. Spalili je Niemcy w gmachu Biblioteki Ordynacji Krasieńskich po Powstaniu Warszawskim. Niewielka ilość obiektów się zachowała: można je jeszcze oglądać w Muzeum Narodowym w Warszawie i Muzeum Wojska Polskiego.

W 1952 r., wskutek działań komunistycznych władz Polski, Muzeum Współczesne zostało zlikwidowane. Umowa dzierżawna zamku po 82. latach została sądownie zerwana i zbiory zostały przetransponowane do Polski.

W 1975 roku Muzeum zostało ponownie otwarte. Mieści się na II piętrze Zamku. Posiada 7 sal, krużganek, kaplicę i wieżę. W salach znajdują się ekspozycje stałe; w krużgankach i w wieży – wystawy czasowe. W sali największej odbywają się koncerty, warsztaty i spotkania tematyczne. Obecne zbiory Biblioteki gromadzone były od lat 70. ubiegłego stulecia. Pochodzą one z prywatnych darowizn, od twórców i wydawców z Polski i z zagranicy. W zasobach Biblioteki pozostają stare mapy, ryciny, starodruki, jak również czasopisma. Biblioteka współdziała w organizacji wystaw i imprez na terenie Muzeum. Prowadzi dokumentację wizualną i prasową.

Niestety, przedstawione dzieje Muzeum kończą się w czerwcu 2020r. W 2022 roku, po remoncie, decyzją władz samorządowych Rapperswilu, placówka zostanie zamknięta. Nie wiadomo, co stanie się ze zbiorami. Do przeniesienia są rękopisy, m.in. Cypriana Kamila Norwida, Henryka Sienkiewicza, Władysława Stanisława Reymonta oraz obrazy wybitnych polskich artystów malarzy: Józefa Chełmońskiego, Teodora Axentowicza, Jacka Malczewskiego, Olgi Boznańskiej i Józefa Brandta.

Walka Żeromskiego o polski Rapperswil (1892-1896) Żeromski jako bibliotekarz i muzealniki

W wieku lat 28. Stefan Żeromski z powodu kłopotów zdrowotnych (gruźlica) udał się do Szwajcarii, gdzie powstało pierwsze sanatorium przeciwgruźlicze. Lekarze zalecali mu dłuższy pobyt w alpejskim klimacie, który miał dobroczynny wpływ na drogi oddechowe. Problemy finansowe skłoniły Żeromskiego do wystosowania listu do Zygmunta Wasilewskiego, który wówczas pełnił funkcję bibliotekarza Muzeum w Rapperswilu. Prosił o „zaczepienie się w charakterze pomocnika bibliotekarza, co by mu ułatwiło egzystencję”. Z początkiem października miał zamiar podjąć

pracę, ale zaraz po przyjeździe do Rapperswilu z żoną Oktawią i jej trzyletnią córeczką, dostał krwotoku i jego stan był ciężki. Pod troskliwą opieką żony i właścicieli domu, w którym zamieszkali, szybko doszedł do zdrowia i zaczął pełnić funkcję pomocnika bibliotekarza w rapperswilskim Muzeum. Pracy było mnóstwo. W zbiorach znajdowały się nie tylko książki i rękopisy, ale i źródła archiwalne, dokumenty związane z powstaniem z 1863 r. Żeromski pomagał Wasilewskiemu sporządzić katalog i uporządkować bibliotekę. Poza tym pisarz zajmował się obsługą czytelników, prowadził korespondencję i dokumentację darów. Wziął również udział w redagowaniu Księgi Jubileuszowej Muzeum Rapperswilskiego. Z powodu braku zawodowych kwalifikacji mógł liczyć na niewielkie wynagrodzenie, co pozwalało tylko na marną egzystencję młodej rodziny, stąd zasiłek pieniężny, nadsyłany przez rodziców żony, był zbawienny. Dzięki temu mogli Żeromscy poprawić swój byt codzienny a nawet wyjechać na urlopy za granicę (Włochy, Niemcy, Francja). Zadowolony z pracy swojego pomocnika, Wasilewski starał się o podniesienie mu miesięcznej pensji. Pisał w podaniu do dyrektora Józefa Gałęzowskiego, że nie sposób „wymagać filantropii od człowieka niezamożnego, a do tego filantropii z kapitału sił”. Odmowa dyrektora nie zniechęciła Żeromskiego do intensywnej pracy. Z biegiem czasu przejął obowiązki bibliotekarza i jeszcze bardziej zaangażował się w biblioteczne prace, co zaowocowało spisaniem wszystkich zbiorów łącznie z prasowymi wycinkami. Całe godziny spędzał na III piętrze biblioteki, katalogując kolekcje akwarel i rysunków. To w tym wyciszonym miejscu sporządził kompletny katalog druków Mickiewiczowskich, składający się z blisko sześciuset tytułów, który wydał dopiero w Krakowie w 1898 r. Zadowolony z opracowania, napisał: „Spisałem wszystko, co nasza biblioteka posiada do najdrobniejszych wycinków z gazet”. Żeromski jednocześnie pracował nad rozszerzeniem katalogu Kościuszkowskiego. Uporządkował katalog druków Kopernika, mając zamiar tworzyć zbiór „sobieścianów”. Skończył również katalogowanie starodruków (do 1700 roku). Najwięcej czasu poświęcił jednak opracowaniu ogólnego katalogu muzealnej biblioteki, liczącej na ten czas ponad 35 tysięcy woluminów.

Z powodu problemów kulturalnej instytucji, Żeromski został zatrudniony w Muzeum jako pracownik fizyczny: przenosił meble, naprawiał je, oprawiał obrazy, akwarele itp. Zygmunt Wasilewski tak wspomina w listach prace pisarza: „Pamiętam żywo Żeromskiego, który od razu wziął się do katalogu, jak wystawał przy szafach w niedostępnym serdaku zakopiańskim, w szaraczkowym ubraniu z nastroszoną czupryną i srogą, czarną brodą. Nie mógł donieść książki do pracowni, żeby się z nią po drodze nie bałamucić - tak go każda interesowała”.

Żeromski jako muzealnik, wykazywał dużo inicjatyw dotyczących organizacji ekspozycji w salach Muzeum. Sugerował projekty gablot, mając na uwadze dostosowanie ich do nowej aranżacji wystawienniczej. Umieszczał w specjalnych tekach posegregowane alfabetycznie portrety polskie. Napisze do Bukowskiego: „oprawiłem własnoręcznie 57 rysunków i akwarel, 10 oczyściłem z brudu i wszystkie 7 zawiesiłem na trzecim

piętrze ()”. Projektował z zaangażowaniem muzealne „pokoje”: „pokój” Przyjaciół Polski, „pokój” Kościuszki. Urządził osobiście „pokój” Mickiewicza, gdzie zgromadził wszystkie posiadane po poecie pamiątki, jego utwory i przekłady, zawieszając na ścianach oprawionych przez siebie 29 portretów Wieszcza. Do ekspozycji dołączył rzeźby m.in. Tadeusza Baracza, biust wg J. L. Davida oraz medaliony Davida d'Angers i Cypriana Godebskiego. Bardzo emocjonalny stosunek do wyposażenia „pokoju” Mickiewicza wyraził w liście do Bukowskiego, gdzie w detalach informuje go o rozmieszczeniu obrazów, rzeźb, gablot dołączając swoje rysunkowe projekty. Największym sentymentem darzył ofiarowany przez Leopolda Horowitza (najznamienitszego malarza Europy), portret Mickiewicza. Żeromski wraz z żoną oprawił go, informując Bukowskiego: „(...) ponieważ ofiarowany portret był bez ramy, zdawało mi się, że najtańsza rama będzie pluszowa. Kupiliśmy z żoną 4 metry pluszu po 3 fr. 80ctm. I obiliśmy nim zwyczajną sosnową ramę. Wygląda to, o ile się znam, doskonale. Portret jest prześliczny (...) Na mój rozum - portret ten nigdzie piękniej, lepiej, w lepszym świetle nie będzie umieszczony, jak w pokoju Mickiewicza 7”. W „pokoju” Mickiewicza znalazł się również portret autorstwa Stanisława Radziejowskiego, o który latami zabiegał pisarz, ale artysta malarz przekazał go dopiero w 1899 r. Żeromski zadbał też o wyposażenie pokoju „przyjaciół Polski”, znajdujący się *vis a vis* „pokoju” Mickiewicza. Zgromadził w nim dokumenty i pamiątki po wybitnych cudzoziemcach. Znalazł się w nim wyjątkowy dokument, tzw. „adres angielski” - dokument z podpisami stu tysięcy Anglików, który był wyrazem hołdu dla walczącej o niepodległość Polski. Został on wysłany z Birmingham w październiku w 1832 r. do hrabiego Władysława Platera, fundatora Muzeum.

Wiele uwagi pisarz poświęcił projektowi urny na serce Kościuszki. Serce narodowego bohatera zostało przywiezione do Rapperswilu w 1896 r. W kwestii umieszczenia urny w Muzeum, Żeromski wszedł w spór z kustoszem Zamku – Włodzimierzem Różyckim. Pisarz uważał, że urna powinna znaleźć się w specjalnej niszy Mauzoleum, a nie, jak planował kustosz, wmurowana w całości w ścianę. Nie był to odosobniony spór z Różyckim. Konflikty zaczęły się już na początku pracy w Muzeum. Różycki, rzekomy powstaniec, twierdził, że nauka jest marnością. Swoje obowiązki traktował bardzo niedbale, lub w ogóle ich nie wypełniał, utrudniając nagminnie pracę pracownikom Muzeum. Konflikt nabierał na sile, co wpływało bardzo niekorzystnie na psychikę, solidnie i wielkim oddaniem pracującego, Żeromskiego. Spowodowało to jego odejście z pracy w Muzeum. Rezygnując z posady bibliotekarza napisał: „Nie mogę dłużej patrzeć na niemoralne stosunki panujące w Muzeum, nie będąc w stanie solidaryzować się z istniejącym tam bezładem, stanowisko bibliotekarza opuszczam, klucze od zbiorów, które sam uporządkowałem, odsyłam kierownikowi wewnętrznego urządzenia (...). Stefan Żeromski”. Tak naprawdę o definitywnym odejściu z pracy zdecydowało wydarzenie, którego pisarz był świadkiem: „Wchodząc pewnego dnia z rana na podwórze muzealne, zobaczyłem, że z okna strychu, to znaczy z wysokości trzeciego piętra zamczyła

rapperswilskiego spada masa strzępiastych druków i potargana warstwą pokrywa błoto dziedzińca. Dwaj robotnicy szwajcarscy wyrzucali łopatami na świat owe wycinki Leonarda Chodźki, do Muzeum przywiezione po to, ażeby jako źródło nieocenione służyć mogły do badań”.

Żeromski, po powrocie do Polski, walczył o Muzeum i zdymisjonowanie kustosza. W 1911 roku w prasie polskiej rozgorzała dyskusja dotycząca zarządzenia zbiorami w Rapperswilu. Odbył się „proces rapperswilski”, podczas którego obywatelska komisja (m.in. Henryk Sienkiewicz, Ignacy Paderewski, Władysław Mickiewicz) przesłuchiwała kilku świadków (w tym i S. Żeromskiego). Niestety, proces nie przyniósł spodziewanego efektu. Pisarz oburzony tą sytuacją, napisał broszurę *O przyszłość Rapperswilu*, która zmusiła Radę Muzeum do sfinalizowania sprawy i spowodowała zdymisjonowanie Różyckiego. Zbiory przekazano, założonemu z inicjatywy Żeromskiego – Towarzystwu Przyjaciół Rapperswilu.

Autor *Szyfówkowych prac* po kilku latach, będąc kolejny raz w Rapperswilu (1906), w swoim notatniku podróży napisał: „Kiedym ujrzał to stare zamczysko, serce po dawnemu zadrżało()Tyle trudów, uniesień, zapału - a teraz tylko wspomnienie(...) Już na pewno nigdy nie będę w Rapperswilu. Wielem tu wycierpiał, nauczył się i zdobył w samotności. Żegnaj! Ludzie tu o mnie nie pamiętają. Może kiedyś przyjdzie czas, że sobie przypomną”. O roli pisarza w działalności Muzeum Polskim przypomina dziś tablica na jego bocznym dziedzińcu.

W okresie pobytu w Rapperswilu, Żeromski zdobył doświadczenie w zakresie sztuk pięknych, co wpłynęło na kształtowanie się postawy estetycznej pisarza. Nawiązane kontakty z czołowymi historykami sztuki i muzealnikami owocowały potem bogatą epistolografią i była ważnym materiałem źródłowym dla badań z zakresu historii sztuki.

W okresie rapperswilskim Żeromski napisał kilka nowel i opowiadań, m.in.: *Wybawiciela* (jedna z pierwszych wersji *Szyfówkowych prac*), *Silaczkę*, *Rozdziobią nas kruki, wrony*, *Obrazki z ziemi mogił i krzyżów*. Pierwszy zbiór opowiadań podarował B. Prusowi podczas jego pobytu w Rapperswilu. Szkoda, że nie wcześniej, bo dopiero w 2018 roku nawiązała się współpraca między dwiema znaczącymi placówkami kulturalnymi: „Szklanym Domem” w Ciekotach i Muzeum Polskim w Rapperswilu, placówkami które połączył wybitny pisarz – Stefan Żeromski.

W Ciekotach Stefan Żeromski spędził z rodzicami 12 lat. Od czerwca 1871 roku do jesieni 1883 roku. Miał niespełna 7 lat, kiedy rodzice przybyli do Ciekot i zostali administratorami wioski. Ta malownicza miejscowość, położona w Dolinie Wilkowskiej u podnóża Radostowej, z widokiem na Łysicę, stała się dla Stefana Żeromskiego najważniejszym i najcenniejszym miejscem na ziemi. Tu kształtował swoją wrażliwość na piękno ziemi ojczystej, ale też na krzywdę i biedę ludzką. O Ciekotach napisze: „Tamta wieś – to mojej duszy cząstka i Każdy ma swoje miejsce ulubione miejsce w dzieciństwie. To jest ojczyzna duszy”. Do Ciekot często nawiązywał w swoich utworach literackich. Tu doznał wstrząsających przeżyć: przed-

wczesnej śmierci matki, rozbitcia rodziny, śmierci ojca, utraty domu, niepewności jutra.

Dom, w którym mieszkała rodzina Żeromskich, był zbudowany w 1753 roku. Całkowicie zniszczony w XX wieku, został odtworzony w 2010 r. Jest rekonstrukcją typowego polskiego dworu, wyposażonego zgodnie z prawdą historyczną, duchem epoki, dokumentami, „Dziennikami” i literackimi opisanymi Stefana Żeromskiego. Obok Dworku powstało Centrum Edukacyjne „Szklany Dom” z nowoczesnymi, szkoleniowymi i warsztatowymi salami. Odbywają się w nich liczne imprezy regionalne i cykliczne: „Imieniny Stefana”, „Narodowe czytanie” oraz spotkania z ciekawymi ludźmi i wystawy.

I oto na wieść, że ważą się losy Muzeum Polskiego w Rapperswilu, warszawski fotografik, autor filmów i teledysków, absolwent Wydziału Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego Wojciech Walkiewicz, postanowił przygotować wystawę o jego historii. Materiały do wystawy zebrał podczas swoich kilku pobytów w Muzeum Polskim w Rapperswilu w roku 2016., które odbyły się w ramach otrzymanego stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Multimedialna wystawa „O przyszłość Rapperswilu. Muzeum Polskie w Rapperswilu w obiektywie Wojciecha Walkiewicza” składa się z fotograficznych plasz, prezentacji multimedialnych, nagrań audio z fragmentami listów Stefana Żeromskiego w interpretacji Michała Lesienia oraz specjalnie skomponowanej muzyki Olgierda Mroczkowskiego. Plasz i katalog do wystawy zaprojektowała artystka plastyk, absolwentka ASP w Katowicach, Joanna Walkiewicz.

Do Rapperswilu, na wernisaż wystawy i prezentację świetnie wyreżyserowanego filmu dokumentalnego Wojciecha Walkiewicza „Panie na zamku”, organizator i dyrektor Muzeum Polskiego w Rapperswilu Anna Buchmann zaprosiła polską delegację: dyrektor Centrum Edukacji i Kultury „Szklany Dom” – Krystynę Nowakowską (współautorkę projektu), obecnego dyrektora tej placówki, dziennikarza Wojciecha Purtaka i wójta gminy Masłów Tomasza Lato.

Autor wystawy, Wojciech Walkiewicz, w Sali Polskiej zamku, gdzie mieściła się kiedyś biblioteka Stefana Żeromskiego, wyznał: „ ta wystawa, to jest mój głos w sprawie obrony muzeum, które przez wieki było ostoją polskości”. W Sali Polskiej, w niezmiennym stanie od czasów pisarza zachował się m.in. drewniany, bogato zdobiony sufit – relacjonuje w pokaźnym artykule na łamach „Kuriera Masłowskiego” jego naczelny redaktor Wojciech Purtak. „Nasza współpraca z muzeum – podkreśla – to wyróżnienie, ale również kontynuacja promocji twórczości i działalności Stefana Żeromskiego”. Wójt Masłowa – Tomasz Lato zaznaczył, iż Żeromski będąc w Rapperswilu tęsknił za rodzinnym dworem. Mieszkając z rodzicami w Ciekotach, malował obrazy, m.in. odbijającą się w ciekockim stawie Łysicę.

Zgromadzeni na wernisażu liczni goście, nie tylko ze Szwajcarii, ale też zagraniczni turyści, wysłuchali prelekcji dyrektora Krystyny Nowakowskiej, która przybliżyła działalność dworku



W. Walkiewicz, fragment wystawy "O przyszłość Rapperswilu"

Stefana Żeromskiego w Ciekotach i podkreśliła niezwykle rolę kustosz honorowej Kazimiery Zapałowej w wyposażeniu obiektu w ekspozycje z epoki pisarza. Wernisaż uświetnił recitałem znakomity kielecki pianista Łukasz Mazur, który ma na swoim koncie m.in. kompozycje do tekstów Stefana Żeromskiego. Po zwiedzeniu ekspozycji Wojciecha Walkiewicza, wszyscy udali się na wystawę obrazów Rafała Olbińskiego, który wspominał swoją szkołę czyli I LO im. Stefana Żeromskiego w Kielcach. Każdy z uczestników przybyłych na zamek otrzymał od delegacji z Ciekot polsko-angielski przewodnik po dworze Stefana Żeromskiego.

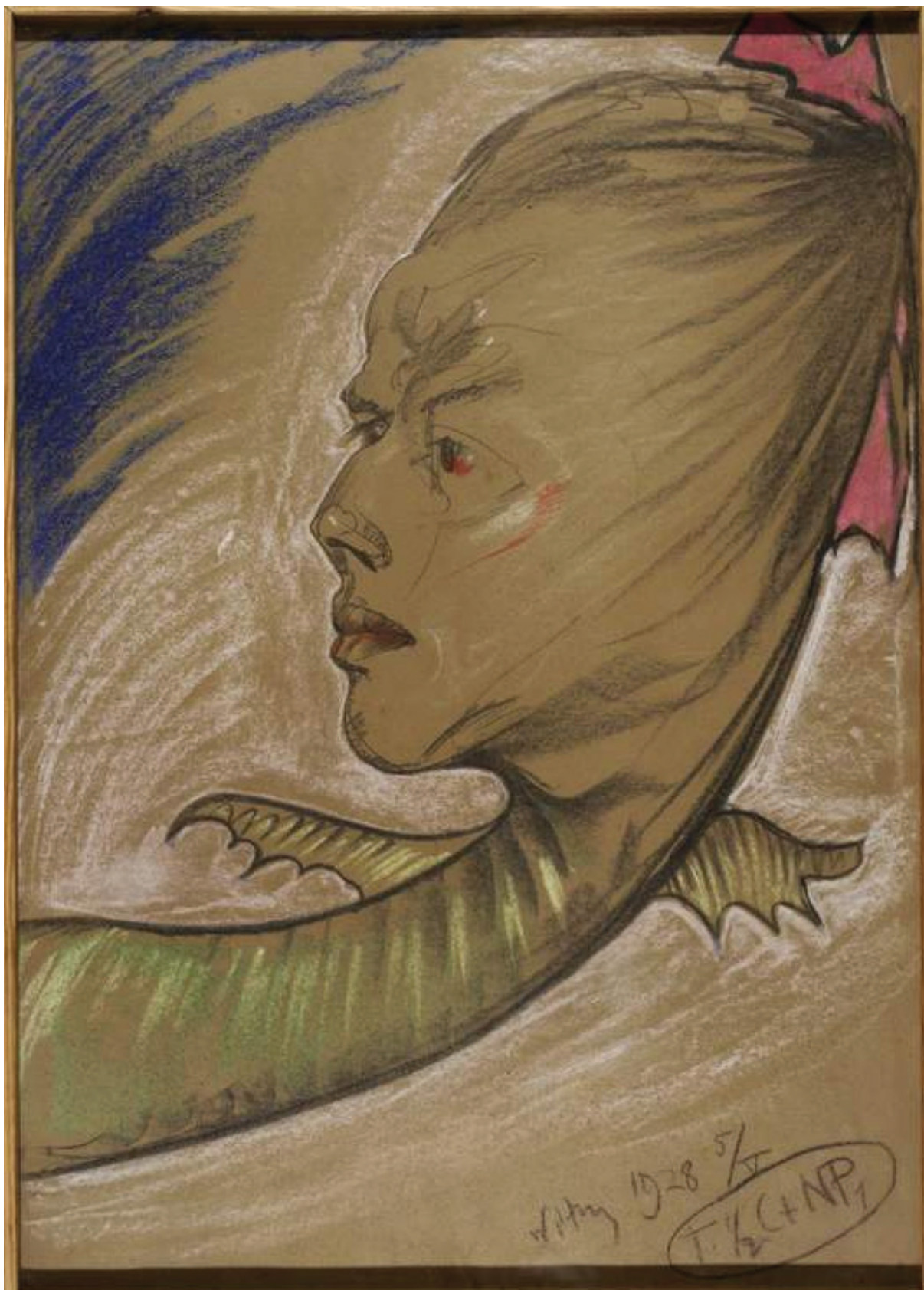
Należy dodać, iż w 100-rocznicę odzyskania niepodległości Polski, w 2018 roku, wystawa Wojciecha Walkiewicza gościła w Centrum Edukacji i Kultury „Szklany Dom” w Ciekotach a potem w Galerii Sztuki „Dwór Karwacjanów” w Gorlicach.

Niestety, bogata i piękna ekspozycja „O przyszłość Rapperswilu” Wojciecha Walkiewicza zamknie 150-letnią artystyczną działalność Muzeum Narodowego Polskiego w rapperswilskim zamku, z czym tak trudno pogodzić się pracującym tam wolontariuszom i dyrektor placówki Annie Buchmann: „Wyjechałam z Polski 7 grudnia 1981r. – wspomina Pani Anna – nie mając pojęcia, że 13-go wybuchnie stan wojenny. Zamieszkałam 10 km od Rapperswilu. Poszłam oczywiście do muzeum i zobaczyłam, że ten mit zamku działał. Ten genius loci, który tutaj od ponad stu lat Polaków skupiał i przyciągał. Było to nie takie muzeum, jakie przedstawiały fotografie z XIX wieku, ale znów było to miejsce azylu dla przyjeżdżających tutaj Polaków: zdezorientowanych, nie znających języka. Postanowiłam, pewnie to wynika z wychowania domowego, że trzeba się zaangażować i przychodzić wtedy, kiedy mogłam, to znaczy w weekendy. Miałam szczęście poznać przedstawicieli starszego pokolenia. Tego, które zostało tu po wojnie, już

okrzepło, znało tutejsze stosunki i miało dobre kontakty ze Szwajcarami. Przyjechałam w czasie, kiedy następowała zmiana pokoleń: odchodzili ci, którzy tworzyli muzeum w latach pięćdziesiątych i nie można było zaprzepaścić tego, co zostało osiągnięte (...).” Po ostatecznej decyzji szwajcarskich władz o opuszczeniu zamku przez Muzeum Polskie, Pani dyrektor wypowiada rozpaczliwe słowa: „To Muzeum ma być w Rapperswilu, bo Ono tutaj w Rapperswilu powstało. Założone w trudnym dla Polski XIX w. przez powstańców – ludzi wyrzuczonych, a później, po drugiej wojnie światowej, ludzi pohańbionych przez rząd, ma zupełnie inny wymiar symboliczny. Jeśli się je tego symbolu pozbawi, to będą to zbiory jak każde inne, ale to nie będą zbiory Muzeum Polskiego w Rapperswilu. I to jest ten symbol. Jeśli się popatrzy na te schody, którymi chodziły tysiące Polaków. Pokoje, w których się odbywały tysiące dyskusji na temat kształtu państwa polskiego. Spory o historię Polski. Gdzie brzmiała polska muzyka, gdzie była czytana polska literatura, gdzie kształciły się całe pokolenia Polaków, to ma to miejsce rzeczywiście wymiar symboliczny. Jeśli się to przeniesie, to się ten symbol zniszczy”.

Niestety, opustoszeje to miejsce, w którym przez 150 lat było serce Polski. Które było centrum myśli niepodległościowej. Ustanie krzątania oddanych placówce polskich wolontariuszy i zatrać się ślady na schodach, po których wspinały się tysiące polskich stóp. Zamilknie – jak w znakomitym sonecie napisała polska poetka Krystyna Konecka – „nostalgiczny kraju odprysk”.

Muzeum Polskie w Rapperswilu utrzymywane jest z darowizn Polonii oraz ze składek członkowskich Towarzystwa Przyjaciół Muzeum. W 2015r. otrzymało nagrodę „Kustosz Pamięci Narodowej”, przyznawaną corocznie przez Prezesa IPN.



St. I. Witkiewicz, portret Michała Choromańskiego

MAREK SOŁTYSIK



PRAWDA NIE LUBI NIEDYSKRETNYCH ŚWIADKÓW UKRAIŃSKIE REMINISCENCJE MICHAŁA CHOROMAŃSKIEGO

Julian Tuwim, posługując się literami pisanymi zielonym, do dziś nic a nic nie zblakłym atramentem, układał słowa, w których ścisłał i całował autora *Białych braci*, tak między innymi pisząc o debiutanckiej książce:

„Przeczytałem tę trwoźną, niepokojącą opowieść *wzasos*¹; – co w niej najpiękniejsze, to właśnie atmosfera; sprawą twego dużego talentu było, że utrzymałeś poetycki klimat, którym się tam ze zdumieniem oddycha. Bardzo ciekawe”.

Nie wolno chciwie dla siebie zachowywać w prywatnym depozycie słów zapisanych przez liryka ekspresjonistę i mocnego powieściopisarza, właśnie pracującego nad pacyfistyczną *Solą ziemi*², Józefa Wittlina. 8 maja 1931 roku tak z ulicy Wawelskiej w Warszawie pisał do wstępującego prozaika wyborny stylista:

„Szanowny i Drogi Panie!

Od rana niczym innym zajęty nie jestem, jak tylko lekturą Pańskiej powieści, którą przerwałem, żeby Panu napisać ten list. Czynię to celowo po to, żeby Panu z miejsca powiedzieć, że jestem głęboko wstrząśnięty i wzruszony pięknnością i siłą tej książki, która jest najlepszą prozą beletrystyczną, jaką od wielu lat czytałem w języku polskim. Niech mi będzie wolno być tak nieskromnym i wyjawić Panu intencję tego listu: uważam za swój ludzki obowiązek podtrzymać w Panu ducha, (wiem bowiem, iż jest Pan skłonny do depresyj) oraz przyczynić się do wyrobienia w Panu mniemania, iż jest Pan naprawdę wielkim pisarzem. Z wielkim wstydem błagam Pana o jedno: proszę wierzyć w szczerłość mojego zachwytu. Zastrzeżenie to dyktuje mi bolesna świadomość stosunków, panujących w świecie literatów po wojnie, gdzie prawie już nikt nikomu nie przyznaje zalet za darmo, a życzliwością swoją handluje. Ze wstydem, a wstydem się nie tylko za siebie, zapewniam Pana o bezinteresowności mojej adoracji dla Pana. Powieść Pańska, żeby pokrótce scharakteryzować wrażenie, jakie na mnie wywiera – posiada w moich oczach wszystkie cechy doskonałości, począwszy od języka i stylu, a skończywszy na bogactwie wzruszeń, fantazji i intelektu. Jest Pan mistrzem. Już na Harendzie po pierwszym zetknięciu się z Panem czułem, że jest w Panu wielka siła. Wiersze, które mi Pan raczył przeczytać, potwierdziły to uczucie, ale powieść Pańska wprawiła mnie w zakłopotanie: gdybym był snobem, pyszniłbym się ze znajomości

z Panem. Nie weźmie mi Pan za złe, jeśli powiem, że powieść Pańska oddaliła mnie raczej od Pana, niż przybliżyła. Trudno mi poufalić się z człowiekiem, który pisze takie książki jak *Biali bracia*. W respekcie moim jest już od dzisiaj i dystans, jaki powinien dzielić wielkich od małych. Onieśmielił mnie Pan do reszty. Kiedyś pisał mi Pan, że zauważył we mnie człowieka logicznego. Biorę Pana za słowo. Pomyśmy logicznie. Skoro Pańska pierwsza książka jest tak nadzwyczajnie piękna, mocna, oryginalna i dojrzała – dreszcz przechodzi człowieka na myśl, jakie będą następne. Jesteśmy mężczyznomi, przepraszam za banalny zwrot, i wnioskujemy dalej: wobec tego musi Pan wszystko zrobić, żeby następne książki doszły do skutku w tym samym stanie łaski umysłu, co ta. Musi Pan być zdrow i mieć równowagę ducha. Ja nie mam prawa tak mówić, bo nie mam pieniędzy na to, żeby Pana wysłać do Szwajcarii. Żyję w większej biedzie, niż na nią wyglądam [...].

Ściskam Pańskie ręce serdecznie, oddany szczerze Józef Wittlin”

W innych fragmentach tego długiego listu – pięknego również graficznie, bo charakter pisma wytworny, czytelny, delikatny a malowniczy – Wittlin zapewnia, że będzie się starał zapewnić Choromańskiemu pomoc materialną i że zwróci się z prośbą o to do Departamentu Sztuki. Oświadcza: „Będę trąbił, gdzie się da, że napisał Pan książkę stojącą na poziomie najlepszych dzieł Conrada, co jest prawdą”.

I dobry fragment w *post scriptum*: „Przepraszam Pana najmocniej za nietakt, jaki popełniłem wobec Pana za moją ostatnią bytnością na Harendzie, udzielając Panu w obecności p. Wimmera rad w stosunku do pisanie powieści”.

Ktoś, kto dostawał takie listy i od takich osób, musiał się poczuć wzmocony. I Choromański mógł pisać, i w ciągu dwóch następnych lat wyda jeszcze dwie książki, z których *Zazdrość i medycyna* przyniesie mu sławę i niesamowitą wręcz popularność. Najpierw jak powietrze do życia niezbędny dla niego był aplauz. A potem. Co potem?

Stanisław Ignacy Witkiewicz, który opiekował się Michałem jak ojciec – owszem, organizował z udziałem „wychowanka” seanse narkotyczne, ale zawsze w obecności zaprzyjaźnionych lekarzy, dbających o porządek tych działań i o to (co trudniejsze), żeby żaden

z uczestników nie popadł w nałóg – 11 marca 1934 roku będzie już tak poważnie zaniepokojony stanem nadmiernie rozpieszczonego prozatora, że swój pogląd wyrazi następująco w liście do lekarza humanisty i oficera Wojska Polskiego, doktora Teodora Białynickiego – Biruli (cytuje za „Przeglądem Humanistycznym” 1977, zeszyt 10, str. 112)⁴:

„Ale co zrobili z Choromansko – toż to Pani genjusz I kl. Dużo w tem dęcia, chłop był kolosalnie zdolny i inetel, ale genjusz wszedł mu w życie, a tylko talent w sztukę, jak u Wilde’a”.

Po deprymujących i wyczerpujących przeżyciach emigracyjnych, które wycisnęły w psychice Choromańskiego piętno nie do zatarcia, powie on, że w porównaniu do tamtego, głównie polonijno – brazylijskiego piekła przedwojenne Zakopane jawi mu się jako zaściankowe i bukoliczne, choć wiemy, że i tam, w artystycznej stolicy Podhala, w buszującym w tej enklawie natchnieniu, spotykały go takie rzeczy, jakie u najtwardszego muszą wywołać cierpienie skóry.

Napisał, że w najwcześniejszej młodości przywoływał śmierć. Takie postępowanie, ściśle przynależne niechęci do prób opanowywania nadmiernie rozbudzonej wrażliwości zdecydowanie potępiał w tym swoim drugim – już po Warszawie – okresie zakopiańskim. Już po przerwaniu pasma wyjątkowej nędzy, podstępnej choroby i nieokielzanej wyobraźni, narzucanej ponadto sensacjami wywoływany postępującą gruźlicą, tak oto w gabinecie w „Chimerze” mówił do wysłannika sanacyjnej „Dekady” (Aleksander Czyżewski, *U Choromańskiego w Zakopanem*, rozmowa autoryzowana, „Dekada” 1934, nr 29 z 15 kwietnia):

„Nie uznaję w ogóle ekstaz mistycznych, zawartych w poezji. Dla mnie pisanie wierszy przypomina pewne intymne, erotyczne ciągotki nic więcej bez żadnej realizacji. Ja zaś, proszę pana, jestem bardzo realny”.

Petting? Ach, szkoda na to nerwów! Tak może mówić człowiek mający niezbitą świadomość własnej siły decyzji, nie mówiąc już o sile witalnej. Ton głosu sugeruje, że – nieposkromionej. Byczy gość. Byczy gość. Napomyka, że teraz od wszelkiej poezji i poetyckości jest bardzo daleki, a na pytanie Czyżewskiego: – „Dlaczego? Czy nie uznaje pan poezji?” – odpowiada z błyskotliwością godną tętniących życiem i trochę pachnących celulozdem bohaterów swoich powieści:

„Nie, nie uznaję. Może to nawet i źle, ale to mój osobisty pogląd i nie narzucam go nikomu. Dla mnie poeta, jak to ktoś powiedział, jest człowiekiem balansującym po sznurze rozłożonym na podłodze. Rozumiałbym go, gdyby ten sznur był zawieszony w przestrzeni”⁵.

Wysłannik „Dekady” pożegnał się z Choromańskim i wyszedł. „Pada śnieg. Willa «Chimera» usuwa się za gęstą mgłą zadymki coraz dalej. Powoli rozwiewa się wielkie i niezwykle oryginalne wrażenie ciężkiej, fascynującej rozmowy. Zaczynam myśleć trzeźwo. Wiem, że teraz znalazłbym argumenty, że nie dałbym się zasugerować myślom i koncepcjom tej niezwykle indywidualności twórczej. Będąc z nim razem, trudno jest myśleć inaczej niż on”. Człowiek obdarzony charyzmą? A może hipnotyzer?

Mocny człowiek. Na takiego tutaj wygląda. Krecja?

A może profil autentycznej twarzy. Łatwo dopuścić przypuszczenie, że w Choromańskim dwie mieszkaly dusze. Można się także domyślać, że pisarz do pewnego momentu sprawnie je umiał od siebie oddzielać. Czyżby miał przeszarżować w tym swoim dobrym i już zasobnym okresie zakopiańskim? No? Zbyt często już nakładał maskę?

Bo czy niesmak, zakłopotanie, a przecież także niepokój Stanisława Ignacego Witkiewicza w związku z nowym statusem szanowanego wcześniej przezeń Choromańskiego można tłumaczyć wyłącznie rozżaleniem autora *Pożegnania jesieni*, który miał prawo czuć się wówczas niedoceniany? Nie tylko jako prozaik. Z jednej strony bliskie genialności odkrycia pisarskie Witkacego, prekursora nowego teatru u nas, pomijane milczeniem przez osobistości, których głosy jakże się liczyły na literackiej giełdzie, a z drugiej – wyjątkowy i właściwie wówczas bez precedensu szum uczyniony wokół Choromańskiego, autora trzech książek, istotnie napisanych z mistrzostwem, ale choćby nie tak profetycznych jak dzieło Witkacego. Spokojnie. A może „papcio Witkacy” najzwyczajniej się smucił obserwując, jak Choromańskiemu odpowiada i wręcz mu się udziela atmosfera aplauzu wirująca wokół jego własnej osoby? Stałbyż się Choromański próżny? Bez przesady. A może już się nie pilnował tak jak dawniej i przeto zdarzało mu się zachowywać powierzchownie. No to w takim razie nie mógł na to spokojnie patrzeć Witkacy, który – przenikliwy – z łatwością i z bólem wychwytywał każdy fałsz. U osób mu obojętnych widoczne objawy snobizmu i blichtru śmieszyły go i skłaniały do budowania groteskowych obrazków scenicznych, u najbliższych natomiast – irytowały, wprawiając go w zakłopotanie.

*

Ale na razie „Chimera” jest od Choromańskiego bardzo, ale to bardzo oddalona. Najpierw się ona buduje, według projektu młodopolskiego rzeźbiarza Józefa Paszkowskiego i z funduszy wniesionych przez jego trzecią żonę, Julię z Abgarowiczów, córkę warszawskiego potentata, od 1929 państwo Paszkowscy się wprowadzają, artysta trochę rzeźbi w doskonale tam wyposażonej pracowni, ale zaczyna się dusić w rozległych wnętrzach i czuć się zbyt mały w wysokich pokojach, toteż w 1934 zobaczymy go w Krakowie, przy Topolewej, w wynajmowanej pracowni, gdzie będzie się trudnił wytwórczością galanterii z drewna, żeby się przekonać, co znaczy życie na własny rachunek, pozostawiwszy żonę sama w zakopiańskiej „Chimerze”. Nikt jeszcze nie ma pojęcia, że będzie tam kiedyś gabinet sławnego pisarza, jednak z najwybitniejszych. Lato 1924, czas ostatnich eszelonów; Choromańscy, znaczy Aleksandra z dwudziestoletnim synem Michałem (Litka była już w Polsce), zabrali z Rosji Sowieckiej tylko rzeczy najpotrzebniejsze – wyjechali z Jelizawetgradu tak późno, ponieważ początkowo matce trudno było znieść myśl o sprzedaży domu, potem coraz trudniej było dom sprzedać, a końcu trzeba go było oddać niemal za bezcen. No i młodzieniec był poważnie chory. Leczone go w Rosji, próbowano ratować jego życie. Konsylium. Lekarz oznajmił, że Michałowi trzeba amputować nogę. Zabrakło jednak środków niezczulających. Pacjent – na szczęście – nie zgodził się na operację.

Na przywitanie: Ach, to już się nie ukryje, bo Anna Szymanowska, matka wielkiego kompozytora, w liście do syna, wysłanym z kuracyjnego Truskawca 26 lipca 1924 roku, zarejestrowała coś, co jest zarazem dojmująco prawdziwe, realistyczne, jak i straszne, niemożliwe do skomentowania przez nie przyzwyczajonego. Cytuję:

Od Michała [Kruszyńskiego, siostrzeńca, ponadto męża Litki Choromańskiej] miałam list, za który go strasznie wymoralizowałam, takie awantury wypisywał o przyjeździe tych dwojga biedaków [Choromańskich, matki i syna] – stara śmierzcząca i zramolizowana baba i tuberkuliczny młodzieniec, to było jeszcze nim dojechali; nie wiem, co teraz się u nich dzieje, teraz jak przyjechali, szczególnie jak wyjechała ciocia Anula, o której sam pisał, że go wstrzymywała

od robienia awantur. To prawda, że mu ciężko [...], a Matka pewnie jak wypocznie, to dla siebie i dla Miszy coś obmyśli”.

I pani Aleksandra de domo Rogasska „coś obmyśliła” – znalazła pracę w Zamojskiem, w majątku Łapiguz Władysławostwa Prüfferrów, i była tam, przez kilka dobrych lat nauczycielką francuskiego i guwernantką na prawach domownika. Stamtąd przesyłała synowi część zarabianych pieniędzy – najpierw do lecznic, szpitali i sanatoriów, a potem do pensjonatu „Sanato” w Zakopanem.

Ach, „Sanato”! Siła i słabość pieniądza. Te systematycznie przesyłane kwoty okazały się rychło niewystarczające na opłacenie jakiegokolwiek pensjonatu.

Malowniczość! Zarówno usytuowanie, jak i architektura „Sanato” pobudzają wyobraźnię. Nie sądzę jednak, by Choromańskiemu, choremu repatriantowi z głodującej porewolucyjnej Rosji, przywodziło ono na myśl alpejskie sanatorium Berghof z wydanej właśnie w Niemczech, w Polsce dostępnej na razie w oryginale *Czarodziejskiej Góry* Tomasza Manna¹¹. Wobec ostrego stadium gruźlicy, beznadziei poniewierki i dosłownie niepewności jutra czymże były duchowe i zmysłowe cierpienia Hansa Castorpa i zjawiskowej madame Choucoat! Michał Choromański, głodujący w suterenie, raz w tygodniu idzie o kulach przez całe Zakopane, żeby w „Sanato” – usytuowanym na takiej stromizni! – odebrać od portiera korespondencję od matki. Przyszły autor *Zazdrości i medycyny* nie bez poczucia dumy pozwala matce trwać w przekonaniu, że jest pacjentem „Sanato”. Krępuje się wyjawić, że kwota, którą od niej dostaje, zapewnia ledwie vegetację. Nie chce matki peszyć ani zasmucać. Po wejściu na zбочe i niebezpieczniejszym zejściu, na każdy list odpowiada: Tak, tak w „Sanato” nie zapominam o dodatkowej filiżance kakao...

Mieszkał tymczasem, a właściwie nocował w warsztacie stolarskim, który zawsze, prócz niedziel, skoro świt musiał opuszczać, ponieważ przychodzili do pracy rzemieślnicy. Nadkładając drogi do ambulatorium Szpitala Czerwonego Krzyża, do kontroli nogi i płuc, włókł się do „Sanato” po listy i, raz w miesiącu, aby odbierać pieniądze wysyłane pod tym adresem przez matkę nie przeczuwającą męczeństwa syna. Przebywając z dala od niebываłych skutków tzw. kryzysu ekonomicznego, dzieląc stół z zamożnymi pracodawcami, bez trosk o czynsz i o opał, jakoś nie myślała wnosić o podwyżkę. W stolarni było chłodno, ale nie lodowato. Skończyło się i to dobre. Czeladnicy stolarscy, bojąc się zarażenia gruźlicą, wymogli na majstrze i właścicielu warsztatu, by ten wyrugował rezydenta ze stolarni. Odtąd Choromański musiał się zadowalać – ach, te eufemizmy – piwniczką, dzieloną ze świnią chrząkającą za przepierzeniem.

Głodował. Pytałem znajomych lekarzy pulmonologów, czy możliwe jest zresorbowanie się wysięku płucnego w następstwie długotrwałej głodówki. Moi rozmówcy sceptycznie odnieśli się do sensowności podobnego eksperymentu. Zresztą nie spotkali się z takim wypadkiem. Ale trzeba nam wierzyć relacji Choromańskiego i spróbować zobaczyć zaskoczenie i ogromną radość doktora Olgierda Sokołowskiego, jednego z najlepszych wówczas ftyzjatrów w Polsce, który badając naszego pacjenta – wychudłego, bo poszczonego z konieczności przez wiele tygodni – musiał stwierdzić nieobecność w płucach jakiegokolwiek płynu. „Był to – pisze w *Memuarach* Choromański – bardzo osobliwy, być może niespotykany wypadek w medycynie. Wygłodniały organizm potrzebował białka zawartego w płynie wysięku – i przeto sam go wchłonił. Sam swój własny wysięk zjadłem”. Nazwijmy to, jak umiemy: przemożną wolą życia, na przykład.

Zawsze potem będzie się pisarz zmagał z własnym, jakże niedoskonałym organizmem i podczas zapasów pozna jego tajniki aż tak, że uda mu się z nim nawiązać współpracę. Do momentu, kiedy wpłynie obca ręka i nastąpi rozbrat – zasygnalizujemy. Ale może lepiej nie wyprzedzać wypadków.

Choromański w kącie chlewiku wygospodarowanym na pozał się Boże noclegownie, na tyłach domu szumnie nazwanego willą „Japońską”, głodując przy akompaniamencie świńskiego kwiku, cztery razy zagłuszanego odgłosami posiłków przyjmowanych przez pensjonariuszy na werandzie, której podłoga łączyła się z powalą wiszącą tuż nad głową ukrywanego przy chlewie, zagłębiał się w lekturę *Płci i charakteru* Ottona Weininger’a i w przerwach pochłaniał powieści detektywistyczne Edgara Wallace’a. (Później napisze, że im bardzo wiele zawdzięcza, zdaje się, że w sensie logicznego budowania akcji pośród malowniczego bałaganu faktów, za którymi, rozbieganymi we wsze strony, nadaży tylko mistrz pióra.) Sporadycznie rozmawiał ze stolarzem – ekscentrykiem, gospodarzem swoim, wyglądającym z perspektywy na jedną – albo i niejedną – z jego postaci powieściowych. (Po latach indywidualnego szukania odnalazłem w Zakopanem ten budynek, w którym obok mieszczącego się w podwórzu byłego warsztatu – obecnie przerobionego na garaże – obejrzałem z daleka niespecjalnie chyba od półwiecza zmienione pomieszczenia gospodarcze, i to posłużyło mi za motyw wierszy; w napięciu towarzyszącym kwerendzie po prawdzie „same mi się pisały” te wiersze). I wreszcie – ingerencja chamskiego, przebojowego życia w vegetację kto wie, czy nie dogorywającego: bezwolny, w gorączce, kiedy jawa miesza się ze snem, żeby ująć cierpienia, chory i wyczerpany, nie całkiem świadom tego, w co bezapelacyjnie zostaje wmieszany, chroni łup zwykłego złodzieja pod swoją poduszką, za co w momencie odbioru tego trefnego depozytu zostanie przez rzemieślnika wynagrodzony pętem kielbasy. Uratowany, choć jeszcze wygłodzony i nieustannie chory, usiłuje pracować zarobkowo, przygrywając na fortepianie w ekskluzywnym pensjonacie „Stamary”, do momentu, w którym jakimś spostrzegawczemu gościowi nie w smak będą szczudła pianisty, wszak dyskretnie oparte o draperie w półcieniu – a tymczasem. Trzeba posłuchać, co mówi o ówczesnej atmosferze Zakopanego Kazimierz Wierzyński:

„U Trzaski – brydż. Przy stoliku Makuszyński, Rettinger, Tadeusz Koniewicz, gospodarz klubu, i kto czwarty? Nie pamiętam, nie gram w karty, nie rozróżniam waleta od pika. U Jędruska węgierska sliwowica. Rafał Malczewski, Chwistek, Witkacy i kilka kobiet w stylu ówczesnej nouvelle vague. W «Morskim Oku» wieczór futurystów, Stern, Wat i awantura z publicznością. nazajutrz spokój. W pustej sali przy kawie blady Tadeusz Sygietyński. Juliusz Zborowski z małym, kręconym w palcach papierosem, chodzące muzeum, uśmiechnięty i bez wieku, millenium polskich Tatr. I tak rok po roku. Zjawiają się nowi ludzie, nowe pokolenia. W willi «Japońskiej» przy ulicy Nowotarskiej, skierowany tam przez Karola Szymanowskiego, odkrywam jego dalekiego kuzyna, Michała Choromańskiego”¹².

I tak to się zaczęło!

Lista – zapewne niepełna – ludzi, którzy powodowani najlepszymi uczuciami, wspólnie, a także indywidualnie działając zdołali przerwać hiobowy i zda się beznadziejny ciąg zdarzeń w życiu Choromańskiego, tak by mniej więcej wyglądała: Karol Szymanowski (sam wówczas biedujący w „Atmie”, w długach; łańcuszek przyjaciół składał złotówki na jego potrzeby); Kazimierz Wierzyński; Maria Kasproiczowa (zaalarmowana przez Wierzyńskiego, którego cenila, przysparzyła pana Michała i odnalazła w nim na jakiś czas najbliższego mężczyzny); doktor medycyny, major Wojska Polskiego

Teodor Birula – Białyński wraz z żoną (miał u nich Choromański raz po raz dom, w willi „Olma”, w czasie pisania pierwszych powieści), wreszcie Stanisław Ignacy Witkiewicz, którego tak w jednej z odsłon przedstawia autor *Memuarów*:

„Ojciec mnie odumarł, kiedy byłem małym chłopakiem, więc właściwie nigdy ojcowskich reprimend nie zaznałem. Przypuszczam jednak, że ojciec lub wuj, strofujący swego smarkatego siostrzeńca, tak powinien był wyglądać jak Witkacy w tej chwili”.

Dygresja: Choromański był – jak się wydaje – człowiekiem bezdzietnym. Gdy pisał te słowa – a było to około roku 1965 – miał jednak doświadczenia, że tak powiem, wujowskie, wynikłe z kontaktów ze swym siostrzeńcem Piotrem Rzepeckim, od czasu do czasu goszczącym u niego w Warszawie. W listach do siostry, Litki, zdawał szczegółowe relacje z obserwacji jej syna, dorastającego chłopca. Były to w istocie ciekawe, oddane precyzyjnie spostrzeżenia psychologiczne. Piotr Rzepecki zaś mi opowiadał, jak wuj – Choromański – badał jego wrażliwość i wpałał weń konieczność przyzwyczajania się do ćwiczeń siły woli. Na przykład: – Palisz i jest ci z tym dobrze (sam pisarz był również palaczem). Skoro tak, to powiedz sobie, że od tego momentu wyrzekniesz się tytoniu na siedem godzin. – Podczas takich ćwiczeń nienachalnie obserwował siostrzeńca a na kwadrans przed upływem terminu sam z ulgą i satysfakcją częstował go papierosem.

W przypadku incydentu z Witkacym szło o to, że Choromański we wczesnym, gołym i niewesołym okresie zakopiańskim, po uczcie w restauracji Bielatowicza, zamiast uiścić należność, podpisał rachunek, będąc bez szans na jego pokrycie w najbliższych miesiącach – ba! kto to mógł wiedzieć, może nawet w najbliższych latach. Zdając sobie sprawę z niemożliwości finansowych młodego przyjaciela Witkacy zareagował ostro.

„Z pewnym obrzydzeniem i surowością dał mi nauczką, którą zapamiętałem na całe życie. Szło mu o porządność moralną, o etyczną przyzwoitość”.

Sam Witkacy – jak pisze wcześniej Choromański – „żył bardzo oszczędnie i liczył każdy grosz”.

Jak wyglądała nauczka? Słuchajmy: „Dobrze wychowany pod względem moralnym człowiek nie zaciąga pożyczek wówczas, gdy nie ma pewności, że je spłaci. Moje zachowanie się u Bielatowicza nazwał moralnym niechlujstwem i przestrzegł mnie, że stawiam kroki na pochyłej ścieżce, na której z czasem się wywrócę i upadnę. Moralny upadek w sprawach pieniężnych jest jednym z najobrzydliwszych upadków i co gorsza – pociąga za sobą inne poślizgnięcia się.

Był bardzo potępiający w słowach i dodał, że jako uczciwy człowiek nigdy, ale to przenigdy nie przyjaźnił się z kimś, kogo nazwał po raz drugi moralnym niechlujem.

Pamiętam, że to przemówienie wywarło na mnie bardzo mocne wrażenie, zwłaszcza dlatego że w ustach Witkacego brzmiało jak niespodzianka – tak zdawałoby się to do niego nie pasować”.

Można mieć pewność, że człowiek Witkacy wywarł przemożny wpływ na człowieka Choromańskiego. I stało się to w najważniejszym momencie, w doskonale przez mentora wychwyconej chwili, gdy początkujący autor, wydobyty z jakiejś wprost beznadziejnej studni, znalazł u swoich wybawców nie tylko chleb i dach nad głową, ale także specjalne zrozumienie wynikające z uznania dla jego talentu. Po tylu latach poniewierki mógłby przecież w tej nowej dla siebie sytuacji, pełen świeżych sił i powodowany ambicjami, dążyć do swego w sposób bezkompromisowy – rozwalając rzeczywiste i wymaginowane przeszkody. Takie parcie – celowe,

a niejako na oślep – łącznie mogłoby doprowadzić do spaczenia charakteru tego człowieka, niepoohamowany bowiem instynkt często na długie lata przygasza wrażliwość. Bolesnych przykładów nie trzeba szukać daleko.

Na szczęście interesował się Choromańskim Witkacy. Dostrzegł w nim obok inteligencji pewien rzadko spotykany rodzaj wrodzonej szlachetności oraz kulturę. Te zalety najpewniej nie zawsze były wyraźnie widoczne; w każdym razie nie na pierwszy rzut oka. Ano, bo ktoś, kto wyszedł z beznadziejnej ciemnicy, zachwycony i poniekąd wciąż na nowo oślepiany światłem dnia, może wyczyniać nieprzewidziane różności. Skąd wiem? Z enigmatycznego fragmentu listu Witkacego, skierowanego spoza Zakopanego do doktora Teodora Białyńskiego – Biruli około roku 1931 (na ten czas określają datę powstania listu jego wydawcy¹³), w którego willi „Olma” przy Zamoyskiego w stolicy polskich Tatr rezydował był właśnie autor *Białych braci*:

„Co do Chor.[omańskiego] wytłumaczę ci po powrocie do Z[akopanego] i zrobię, jak mi potem poradzisz. Uwagi Twoje są poniekąd (niepokąd) słuszne, ale są przecież obiektywne granice chamstwa międzyprzyjacielskiego i takowe Ch.[oromański] przekroczył świadomie”.

O co konkretnie poszło – nie wiadomo. Trzeba się tylko domyślać kręgów po głębszym skandalu. Choromański, podobnie jak częsty gość w Zakopanem, Zbigniew Uniłowski (obaj pisarze zauważeni i rozpropagowani przez Karola Szymanowskiego), pił wówczas dużo, lecz jak już wspominałem, nie można o to mieć do niego wielkich pretensji, bo zakrawać by to mogło na małostkowość. A jednak o ewidentnych skłonnościach naszego pisarza do nałogu świadczy wcześniejszy zapisek S.I. Witkiewicza: „Wob[ec] tego daj, ile chcesz, Choromanderowi [preparatu o działaniach narkotyzujących], o ile go to od pyjaństwa oduczyc może”¹⁴.

Biograf wyprowadzony w pole. Trzydzieści trzy lata temu, nie biorąc pod uwagę niebezpieczeństw pamięci i efektu głuchego telefonu, pisałem:

Jakiego rodzaju miałby to być skandal, mogę się po cichu domyślać, mając w niezatartej pamięci relację zmarłego niedawno [1984] artysty malarza i grafika, profesora Witolda Chomicza, który przytacza za artystą malarzem, profesorem Władysławem Jarockim następujące zdarzenie, pochodzące z interesującego nas właśnie okresu: Jarocki, zięć Kasprowicza, z rodziną zajmował w „Harendzie” pokoje na piętrze, wdowa po poecie Maria Kasprowiczowa mieszkała na parterze. Wyglądając przez okno profesor Jarocki dostrzegł sunącego godnie o kulach, przemierzającego mostek, eleganckiego Michała Choromańskiego, do niedawna domownika, teraz częstego i mile widzianego gościa pani Marusi recte *Wielkiej Wdowy*. Idący nie miał przy sobie żadnego pakunku ni zawiniątka. Atoli miast skierować się prosto do willi „Harenda”, wspiąwszy się po schodach, zboczył w prawo, znikł w czeluściach mauzoleum Jana Kasprowicza i po chwili wyszedł stamtąd z pięknym bukietem kwiatów. Było jasne, że kwiaty te porwał z grobu poety. Władysław Jarocki, chronicznie poróżniony z Kasprowiczową, nie mógł jej zawiadomić o bezecństwie, toteż – powodowany poczuciem sprawiedliwości – zbiegł na dół i zrobił to, co mógł: zdzielił łaską młodszego od siebie o ćwierć wieku miłośnika kwiatów i wdzięków kobiecych. Choromański, gdy się tylko otrząsnął, ruszył dalej bez słowa, aby dotrzeć do czekającej Kasprowiczowej i wręczyć jej bukiet.

Relacja swoją drogą – pisałem dalej w roku 1984 – a wątpliwości swoją. Nie żyje dzisiaj żaden ze świadków opisanego zdarzenia,

byłoby więc nieprzyzwoitością zastanawianie się, czy to, co opowiedział Władysław Jarocki, jest prawdą. Jestem przekonany, że ówczesny profesor krakowskiej Akademii sztuk Pięknych widział to zajście. Ogarniają mnie jednak wątpliwości zupełnie innej natury. Obserwator, z góry nastawiony nieufnie i z powodu zatargów rodzinnych niechętnie do wszystkiego, co się dzieje na dole u współwłaścicielki „Harendy”, miał prawo nie dostrzec, powiedzmy, bukietu, który Choromański umieścił na przykład w obszernej wewnętrznej kieszeni płaszcza, aby mieć wolne ręce, którymi musiał przecież podtrzymywać szczudła. Przed złożeniem wizyty pani Marusi odwiedził, planując to zawczasu, grób jej męża, poety, którego twórczość wysoko cenił i którego *Księgę ubogich* przełożył właśnie na rosyjski. I mógł być nawet w takim postępowaniu element perwersji, ale w tym miejscu nie ma po co wchodzić aż w takie szczegóły, bo nie sposób odtworzyć najdrobniejsze niuanse.

Ówczesne Zakopane lubowało się w skandalach – pisałem dalej w 1984 – węzły i węzełki plotek wręcz jakby tworzyły tam rzeczywistość właśnie taką, jakiej łaknęli ludzie w większości dotknięci lub zagrożeni trudną do wyleczenia, niekiedy możliwą do zaleczenia, chorobą. Nikt tak jak Choromański – w powieściach *Schodami w górę, schodami w dół* oraz *W rzecz wstąpić* – nie ukazał dotychczas, i wiem, że już nie ukáže, niepowtarzalnej aury, która nie wróci i przeciwieństwo atmosfery skandalu, przynależną tej aurze, musiał być otoczony rodzaj więzi, która łączyła dojrzałą kobietę, wdowę po zmarłym niedawno (w 1926) sławnym poecie i młodzieńca, początkującego powieściopisarza. To, co ujrzał Władysław Jarocki, jakże pasowało do legendy!

Pisząc to, byłem, jak widać nieufny. Zastyszana rewelacja nie pasowała do portretu Choromańskiego. Zdecydowanie nie pisałem na kłęczkach – wbrew supozycjom przygodnego a spóźnionego recenzenta¹⁵, w przeciwieństwie do którego szukałem dalej, podczas pracy nie lekceważąc intuicji, i tak to po dwunastu latach już na pewno wiedziałem, że to nie było tak, lecz zupełnie inaczej. Obecna, poszerzona, poprawiona i zmodyfikowana wersja książki wzbogacam m.in. fragmentami relacji o znalezisku, którą w roku 2006 pomieściłem w jednej z moich książek o konfliktach polskich twórców z prawem. Proszę:

To nie Choromański zrywał!

Zazdrość i medycyna okazała się książką dla kucharek i dla profesorów. Dwudziestoosmioletni Michał Choromański, otrzymał za nią w 1933 Nagrodę Młodych Polskiej Akademii Literatury z załącznikiem 3000 zł. W Warszawie można było wtedy zjeść za 60 groszy obiad z dwóch dań w taniej stołówce „Lukullus”. Rachunek prosty: 3000 zł to 5000 takich obiadów! (Widmo głodu odsunięte tedy na 11 lat!). Tę kupę forsy stracił w kilka godzin potem w nocnej „popojce”, z dała od luminarzy, którzy mu nagrodę wręczali, co odnotowała w *Dziennikach*¹⁷ Zofia Nałkowska, która jeszcze się łudząc, że to nie koniec ich związku, była zmartwiona, że Choromański po uroczystości nie do niej poszedł.

Półtora roku wcześniej sławna pisarka wprowadzała kochanka w tajniki autopromocji debiutanckich *Białych braci*, pełnej podtekstów powieści z dramatyczną akcją w Rosji sowieckiej – gdzie sam pisarz, po śmierci ojca, mikrobiologa, zabitego na ulicy w Kijowie, zanim ostatnim eszelonem wrócił do kraju, o mały włos nie padł ofiarą samosądu chłopskiego.

Nie było sposobu, żeby Kulawca – jak go nazywał Witkacy – upilnować. Autor *Pożegnania jesieni* wręcz ciągnął młodego kolegę na seanse narkotyczne, żeby go odwieść od wódki. Lecz Choromański,

jak wyznał w *Memuarach*, był odporny na działanie peyotlu. Narkotyko go rozdrażniały, uzyskiwał równowagę dopiero po kilku kieliszkach domowej cytrynowki. Przyrządzonej rękoma pani domu.

Nie zaszkodzi przypomnieć treść elektryzującej *Zazdrości i medycyny*: świetny chirurg i dyrektor podtatrzańskiego szpitala, doktor Tamten, podczas przeprowadzanej operacji ulega zauroczeniu pacjentką, chorą, jak się mniema, na zapalenie ślepej kiszki. W czasie zabiegu, który nagle staje się niebezpieczny, wychodzi na jaw ciąża pozamaciczna. Pacjentka, Rebeka, jest małżonką otyłego w dobrobycie przemysłowca Widmara. Operację przeprowadzono podczas długiej nieobecności Widmara w kraju i przymusowej rozłąki z żoną. Po jego powrocie jest już po wszystkim. O prawdziwej naturze zabiegu, o skutkach – bezpłodności, Widmar dowiaduje się z pamiętnika właśnie zmarłej w szpitalu Zofii Dubilanki, współpacjentki Rebeki, podzuconym przez „życzliwego”. Widmar, wzburzony, bieży do Tamtena, chce się do operatora dowiedzieć więcej, niestety spotkanie z pięknym doktorem budzi przeczcucie: Tamten jest kolejnym kochankiem jego żony.

Targany zazdrością, zaprasza Tamtena do domu, zostawia go na parę chwil z Rebeką, a poza tym wynajmuje draba, na co dzień elektrotechnika, Izaaka Golda, który ma pobić wracającego do domu doktora. Początek powieści: w całym miasteczku zgasło światło. Koniec powieści: halny; z zerwanych wichurą drutów wysokiego napięcia służby niejskie odplątują krawca Abrahama Golda, brata draba (który jedyny w rodzinie ma rude włosy, a dzieci Abrahama są rude, choć i jego zmarła żona była brunetką), wynajętego przez Widmara do śledzenia Rebeki. Krawiec Gold, który zeszcacił się dla pieniędzy, niezbędnych na kształcenie nawiedzzonego syna (najprawdopodobniej jednak syna Izaaka), właśnie biegł go Widmar z dowodami zdrady Rebeki, kiedy spadły nań śmiercionośne druty. W chwilę potem Rebeka – cała jeszcze w aurze rozkoszy przeżytej w pied – à – terre Tamtena – tuż po powrocie na pytanie Widmara, czy to prawda, że go zdradzała, jest do cna obrażona z powodu insynuacji, ale w końcu pozwala się mężowi przeprosić!

Powieść ni to ambitna, ni to popularna, trafiła do wszystkich. Sprawiała to jej potężna sugestywność – wynikająca z świetnej techniki opisów, z umiejętnie stosowanej retardacji i z licznych antecedencji, z żywego języka dialogów. Głównie jednak prześwitująca z każdej strony aura bijąca od Rebeki, która Tamtenowi jawi się jako babsko z brunatnymi plamami na skórze i o ordynarnym głosie, a po kwadransie – jako świeża kobieta o cudownym spojrzeniu.

Skąd pisarz taką wytrzasnął? Kto mu, szczęściarzowi, pozował? Świadkowie twierdzą, że *Zazdrość i medycynę* wystukiwał w przerwach między wizytami rozlicznych pań w zarządzanym przez własną siostrę zakopiańskim pensjonacie „Radowid”, gdzie mieszkał po opuszczeniu Harendy. Miał dość romansu, gdy przyszedł czas zobowiązań? Korzystał z życia czy studiował panie?

Mam, jak się zdaje, dowody na to, że nie trzeba było legionu kobiet, żeby z nich stworzyć bohaterkę *Zazdrości i medycyny*. Latem 1999 roku publikowałem w prasie szkice o Choromańskim¹⁸. Odzewem były listy Jolanty Tacakiewicz, artystki plastyczki z Nysy, ciotecznej wnuczki profesora Władysława Jarockiego, ożenionego z Anną (Hanką), córką poety Jana Kasprowicza. Z upoważnienia pani Tacakiewicz ogłosiłem w roku 2006 po raz pierwszy fragmenty nadesłanych mi przez nią kserokopii listów i magnetofonowych zapisów rozmów świadków.

Władysław Jarocki – malarz, profesor krakowskiej ASP, redaktor naczelny miesięcznika „Sztuki Piękne” – przemieszczał z rodziną w Zakopanem na Harendzie. Mógł z bliska obserwować macochę

żony, wdowę po wielkim poecie. Z listów Jarockiego wynika, że Maria Kasprowiczowa, budująca właśnie dla męża mauzoleum za ścianą domu, była – wypisz, wymaluj – bohaterką *Zazdrości i medycyny* (a niekoniecznie bohaterką *Schodami w górę, schodami w dół!*). Michał Choromański – domownik i przyjaciel pani na Harendzie – w powieści wykorzystał epizod miłosny z Kasprowiczową a osiłą książki nie zawahał się uczynić następstw romansu natury *par excellence* medyczo-anatomicznej. W dniach sukcesu artystycznego i wydawniczego nagabywany przez dziennikarzy, informował jednak o bezzasadności ich podejrzeń. – Rebeke – powtarzał – złożyłem z portretów pań, które przewiniły się i tak dalej.

Hm... odtworzę fragmenty nadesłanych taśm.

Mówi o macosze pani Hanka Jarocka: – Jak można mężczyzną opętać?!

Siostra Jarockiego, Zońka, nie kryje z kolei podziwu nad posiadaną przez tę kruchą kobietę sztukę rzucania miłosnego uroku na postawnego i w glorii sławy kroczącego Jana Kasprowicza: – Jak to? Nie widział?!

Chodziło o to, że Marusia była, hm, zbudowana inaczej. A jednak – Ale! Ale miała wdzięk – mówi pani Jarocka.

– Postać dosyć wysoka. Efektowna. Wystudiowane wszystko. Artystka! I te wyrazy twarzy ćwiczone przed lustrem – zauważa pasierbica. – Z czasem stawała się ładniejsza.

– O, tak, racja – przyznaje pani Zońka – piękniała z upływem czasu. Oczy trochę wypukłe, to lekko zamglone, to znowuż niezwykle świetliste. Oczy uroczne – niektórzy się bali tych oczu.

Po przebytej w dzieciństwie szkarlatynie miała zdeformowane, okrągłe łokcie i nogę sztywną w kolanie.

– Marusia była kaleką – mówią panie chórem.

– Jeden obcas miała wyższy – podkreśla pani Zońka. – Straszna była kaleka. Zawijała jednym poślakiem.

– Ręce dziecięce, dziewczęce.

– Kalekie – nie dziecięce! Jak szkielec. Dwie podpórki nosiła. Takie skrzydełka, żeby maskować garb. Skrywała, maskowała.

Wytworna, pełna zwiewnej kobiecości, o mądrych, jakichś prawdziwych oczach w dziewczęcej twarzy – przez domowników obserwowana w dezabilu jako „kalikujący” do łazienki szkielec – zajmowała się dwudziestoczeroletnim, młodszym od niej o dwanaście lat Choromańskim. Po sygnale Kazimierza Wierzyńskiego, że w norze pod warsztatem stolarza na Nowotarskiej głoduje autor napisanej po rosyjsku *Powieści o muzyce*, wyciągnęła go stamtąd. Chodził o kulach, był bardzo chory na gruźlicę kości. Dzięki Kasprowiczowej ocalał! Już w pierwszych miesiącach na Harendzie przetłumaczył na rosyjski *Mój świat* Kasprowicza, osiemdziesiąt wierszy Tuwima, *Laur Olimpijski* Wierzyńskiego. Zauroczony – ale i spostrzegawczy.

– Psycholog, wspaniały psycholog – przekrzykują się panie.

– Wspaniały! – mówi pani Hanka. – Wszystko wiedział. Trudno o lepszą charakterystykę Marusi.

A pani Zońka: – Tak, ale okropnie ją opisał! Strasznie ją sponiewierał: w „Przekroju” artykuł był taki i straszny rysunek tego

– Daniela Mroza – precyzuje pani Hanka. – Tak! Świetny.

– Szpotawa, chude ręce. Trzymała mężczyzn jak marionetki – nie może się nadziwić pani Zońka.

– Wprowadziła Choromańskiego – dodaje pani Hanka.

– Wszystko jej zawdzięczał, był na jej utrzymaniu. – Choromański za coś się mścił – ale nie wiem, za co. Zjadliwie opisał.

Suchej nitki na niej nie zostawił. Wszyscy wtedy czytali „Przekrój”. To było dla wszystkich jasne, że chodzi o Kasprowiczową. Wtedy czytelnicy takie rzeczy wiedzieli. Wydrukował najzjadliwsze fragmenty zjadliwej powieści z nią w roli głównej¹⁹. Jadwiga Kasprowiczowa porzuciła rodzinę i uciekła ze Stanisławem Przybyszewskim, wcześniej deklarującym Kasprowiczowi przyjaźń. Przez dziesięć lat Kasprowicz pozostawał bezżenny, a jego córki wychowywały się bez matki – poeta w sumie wyszedł na tym najlepiej spośród osób dramatu (Jadwiga zgorzkniała, Przybyszewski pod jej pantoflem). Mając pięćdziesiąt jeden lat ożenił się powtórnie – z dziewiętnastoletnią Marusią (Marią z Buninów, córką carskiego generała), która była dla niego jak anioł.

– Umiała udawać – mówi pani Hanka – i to ojca brało. Ona ciągle o tej poezji – to mu odpowiadało. Nie można powiedzieć – miała dryg do tych spraw.

Władysław Jarocki 13 IX 1928 roku pisał w liście:

„Marusia operowana, sytuacja była bardzo ciężka, okazało się po otwarciu brzucha, że był duży guz z ropą na częściach kobiecych, wycięto, ale potem były naturalnie silne bóle w pęcherzu, krew w moczu itd. Słabość, silna depresja, jednym słowem stan dość ciężki. Operował Glatzel. Dziś już znacznie lepiej, siódmy dzień, już lekko je i przychodzi do siebie, ale szpitala w Zakop.[anem] nie opuści – sądzę – przed 3 tygodniami”.

Wcześniej, 6 września 1928 Jarocki donosił w innym liście: „Kasprowiczowa wczoraj (środa) była operowana, operował Glatzel, dotąd wszystko w porządku.”

Jolanta Tacakiewicz napisała do mnie z Nysy 24 listopada 1999 r.:

„O Kasprowiczowej mówiło się wprost, że ta operacja to ciężka pozamaciczna. Proszę zerknąć na datę listu wspominającego o operacji. To dużo powie, z kim. [!] Tylko to, że miała wybujały temperament, jeszcze jej nie dyskwalifikuje”.

Ma się rozumieć.

Jarocki z Harendy do siostry 16 stycznia 1933 r.:

„Kasprowiczowej na Harendzie nie ma. Przed naszym przyjazdem wyjechała do Warszawy i siedzi tam dotąd. Nie przyjęli jej do siebie ani Treterowie, ani Germanowie, mieszka u kogoś obcego. Pojechała w sprawie wydania następnego tomu swego Dziennika, dochodzą słuchy, że Instytut Literacki tj. Fundusz Kultury Narodowej zgodził się wydać ten drugi tom, ma to być w tych dniach załatwione. Panna Włodarska [Bronisława Włodarska²¹, pacjentka sanatoriów, narzeczona Choromańskiego], przyjaciółka Kasprowiczowej, mówiła naszym tutaj znajomym, że ponoć ten drugi tom zawiera takie rzeczy, że dziwiłaby się, gdyby jej Hanka nie obiła. Pomyśl więc sobie, w jakiej cudownej sytuacji żyjemy.

Ze też baby tej kulawej tramwaj warszawski nie rozduśli!”

Dziś – pisałem – 22 czerwca 2004, minęła setna rocznica urodzin pisarza, po latach znów apeluję o ulicę Michała Choromańskiego. Na początek wypadałoby w Krakowie²².

W Krakowie, gdzie profesor Stefan Kołaczkowski w swoim gabinecie w willi na Osiedlu Oficerskim jako lektor Wydawnictwa Literackiego i Naukowego, zachwycony maszynopisem *Białych braci*, potykając się, kulawy, podążył do redaktora Wojciecha Meiselsa i polecił powieść do druku. Debiut Choromańskiego ukazał się błyskawicznie w Krakowie!

W 1928 i przez kilka następnych lat Choromański należał do grona najbliższych przyjaciół Witkacego i był znakomitym partnerem

psychodram towarzyskich, ściśle przeważnie połączonych z eksperymentami narkotycznymi. Współdziałalność dwóch panów, z których jeden mógłby być synem – baczenie, nie tylko gwoli plotek, obserwowana przez środowisko – znalazła odzwierciedlenie w takim oto dokumencie: liście do doktora Teodora Białynickiego – Biruli skreślonym ręką Witkacego:

„Kochany Teodorze: Byłem, aby przeprosić za skandal Oboje Was w imieniu własnym i Kulawca, który musiał zaraz jechać na Harendę. Więcej tego nie robiliśmy i rzecz jest schowana do Twego rozporządzenia. Rysunki nieźle”.

Rysunki – to oczywiście portrety psychologiczne oraz drastycznie – lirycznie – perwersyjno – groteskowe szkice (Witkacego w dużej części się zachowały, po 1989 wpływają ich niepokojąco wręcz niewiarygodne ilości (!), prób natomiast innych osób – między innymi Teodora Białynickiego oraz Michała Choromańskiego – nie znam). To tak tylko robieżowo, na marginesie. Bo teraz będzie bomba.

Oto jeden ze świadków tamtej epoki, muzyk Roman Jasiński, wyznaje (w rozmowie z Robertem Jarockim, której fragmenty ogłoszono w roku 1985 w wiosennych numerach miesięcznika „Literatura”), że Witkacy zaniepokojony jego, młodego przyjaciela, skłonnościami do kieliszka, rano wygłosił do niego przedmowę budującą. Jej ton, mądra treść i piękna forma tak zawstydziły młodego Jasińskiego, że postanowił nie pić. Wieczorem siedząc w kawiarni w towarzystwie, lecz już nie używając alkoholu, usłyszał rumor. Raz i drugi, i trzeci, wreszcie niepokojący głuchy huk. Obróciwszy się w stronę, skąd dochodził tak nawet tu niecodzienny rwetes, spostrzegł, że z lokalu właśnie jest wynoszony Stanisław Ignacy Witkiewicz, który się upił w sztok (co zresztą, jak twierdzą świadkowie i sam Roman Jasiński, zwykle się nie zdarzało autorowi *Wariata i zakonnicy* – pić potrafił – a więc tego wieczora musiał być niedysponowany skądinąd i cała poranna przemowa na nic). ten epizod zdaje się potwierdzać tezę, że ludzie o skomplikowanych osobowościach, choćby byli genialni, nie nadają się na pedagogów. Ale przecież z kolei tę tezę burzy następujący fakt: otóż młodzi, którymi się Witkacy otaczał, będą dokonywać w przyszłości rzeczy nieprzeciętnych. Hm...lecz znowuż gdyby Witkacy trafił na słabego – stłamsiłby go niechybnie i zniszczył, nie bardzo sobie z tego zdając sprawę. Ot, chyba tyle. Niech problem roztrząsają wnikliwsi.

Choromański zauważył, że plotka bywa znakomitym tworzywem literackim. Czym glina dla rzeźbiarza, tym plotka dla pisarza? – pytam z rozpędu. Bez takich uogólnień. Psychologia plotki jawi się w poemigracyjnych utworach pisarza i bywa ich najjistotniejszym spoiwem. W przypadku chęci naświetlenia zdarzeń związanych z życiem Choromańskiego, integralnie przecież złączonych z jego twórczością (ukuty czy przekuty przez Henryka Berezę termin „życiopisanie” pasuje tutaj jak ulał), początkowo napotykałem na tyle przeszkód natury rzeczowej, że z braku możliwości podróży śladem uciekłych zdarzeń, rozsądnie założyłem, że nie w próbach przesłedzenia realiów i brnięcia w stronę oglądu miejsc czyli dokonywania imitacji absolutnej prawdziwości zdarzeń – co, po pierwsze, i niemożliwe, i bezsensowne, a po drugie, reportażowe bajanie nie należy do moich kompetencji – nie więc tych więc próbach sens dochodzenia do możliwości naszkicowania pełnego portretu, lecz w docieraniu w głąb tajemniczych meandrów, z czego wyłania się co najmniej mała prawda psychologiczna.

Weźmy takie co najmniej trzy wersje pewnego wypadku losowego, o którym tak w liście do Teodorostwa Białynickich pisze 21 grudnia 1931 roku Stanisław Ignacy Witkiewicz:

„Matka Michała [Choromańskiego] wyleciała z pociągu – noga i cztery żebra złamane. Są w Tarnowie [do tamtejszego szpitala odwiózł starszą panią Choromańską samochód Straży Pożarnej] bez środków z siostrą i szwagrem [pisarza]”.

Tak to natomiast dwa dni wcześniej relacjonuje zaangażowana uczuciowo (o czym niebawem) Zofia Nałkowska:

A przez ostatnie dni myśli o Michale Choromańskim, który chory i bez pieniędzy, wzywany niepojętymi depezbami, wyjechał do matki, która «zachorowała» w drodze ze wsi [najprawdopodobniej z Łapiguz w Zamojskiem, gdzie, wiemy, była guwernantką] do Zakopanego [na święta]. Nazajutrz dostałam od niego depezę z Tarnowa, że tam jest przy matce, która wypadła z biegnącego pociągu i leżała na torze poszukiwana przez straż ogniową z Krakowa. Znalaziono ją żywą, ze złamaną nogą i trzema żebrami, ze stłuczoną głową. Wieczorem druga depeza, na trzeci dzień list. Jakież dziwne i ciężkie zachodzą z nim rzeczy, jakąż męka i tragicznością pęcznieje jego biografia. Ta matka, którą tak kocha i którą zaledwie przed trzema tygodniami wydzwignął z ciężkiego zapalenia płuc²⁴.

A jak ten fragment życia wygląda w relacji – prawda, że literackiej – wygląda pod piórem Choromańskiego (który zresztą twierdzi, że to on pojechał do Tarnowa, w Warszawie o wypadku powiadomiony przez szwagra, który nie opuścił stołecznego mieszkania):

„Nic takiego się nie stało, wszystko dobrze. Matka, po wyjściu z przedziału, poszła korytarzem w prawo. Weszła do toalety i się umyła. Prawdopodobnie zapomniała na umywalni grzebienia. Wróciła na korytarz – i coś nagle ją szarpnęło, i uczuła przeciąg”.

I dalej, wciąż z *Memuarów*:

Właśnie ten ciąg, towarzyszący pociągowi w ruchu, ją uratował. Co było potem, nic już nie pamięta. Była bardzo krucha i wątła. Wiatr i pęd porwały ją, wzniosły do góry i ostrożnie położyły na sąsiednim torze między szynami. Strażacy znaleźli ją w omdleniu. Ale żaden organ wewnętrzny nie był uszkodzony, nie miała na sobie nawet siniaka [podkr. MS]. Krakowska kolej wypłaciła nam nieco później dość wysokie odszkodowanie”.

Na razie niech pozostaną te dwie wersje i świadomość młodszej fascynacji pisarza Edgarem Wallace'em, którego czytywał wcześniej niż Tomasza Manna. I, jak twierdzi on sam, koneser poezji, nie pociągała go do pewnego czasu tak zwana ambitna proza. Na przykład lekturę rozchwytywanej w kręgach intelektualistów *Czarodziejskiej góry* (1924, polski przekład 1930) rozpoczął już po napisaniu *Zazdrości i medycyny*. Kolejność lektur, hm, w przypadku erupcji sił twórczych nie ma co nad tym delibrować. Poezję chłonał. Prozę, jak się zdaje, połykał. A może jednak Dostojewskiego smakował, mniam, mniam. Na razie jednak zamykam rozważnie pióro ciekawości pełne, pomny na zawartą w *Memuarach* przestrożę Choromańskiego:

„Niekoniecznie musimy znać prawdę, która, sam nie wiem dlaczego, na ogół nie lubi niedyskretnych świadków. Zdarzyło mi się kiedyś, że ze zwykłej prywatnej ciekawości chciałem dojść do sedna rzeczy i zbadać pewną sprawę na własną rękę, za co o mało nie przyłapałem życiem”.

Horror!

Zachowała się taka szara obecnie kartka pocztowa, pokryta znakami pisanymi czarnym atramentem – słowami ani trochę nie wypłowiałymi – wysłana w Krakowie 12 grudnia 1930 roku o godzinie 22 przez profesora²⁵ Stefana Kołaczekowskiego pod adresem Marii Kasproviczowej. Treść jako pierwsza musiała na „Harendzie” poznać adresatka, a zaraz potem człowiek, w którego uwierzyła.

Od tego momentu on musiał się poczuć prawdziwym pisarzem. Ona – muza. Tym razem już bezsprzecznie. Oto słowa wybitnego uczonego i krytyka, autor między innymi studium o Janie Kaspro-wiczu, niebawem redaktora naczelnego kwartalnika „Marchott”, Stefana Kołaczkowskiego:

„Szanowna Pani

Powieść pana Ch[oromańskiego] zaraz przeczytałem, p o l e c i ł e m p. Meiselowi, który (po przeczytaniu) m a z a m i a r d r u k o w a ć. Prosiłem kilka dni temu pana M., aby był łaskaw zaraz się porozu-mieć za pośrednictwem Pani z autorem. Jak się domyślałem z wizyty pana Ch[oromańskiego], który mnie, niestety, nie zastał, pan M. nic mu nie dał znać! Otóż niech pan Ch[oromański] będzie łaskaw zaraz się z panem Meiselsem porozumieć w sprawie finansów. jego adres: Garbarska 16, parter, Kraków –

Ucałowanie rąk

S[tefan] K[ołaczkowski]”

I dopisek: „powieść oddałem p. Meiselowi”.

Można zobaczyć autora *Białych braci*, który jeszcze nieświadom blasku szczęśliwej gwiazdy, dwudziestosześcioletni, w pierwszych dniach grudnia specjalnie przyjechał z Zakopanego do Krakowa, dociera wreszcie na ulicę Kielecką 28 w dystyngowanym Osiedlu Oficerskim, gdzie pełen napięcia i różnych przeczuć kołacz bezsku-tecznie do drzwi profesora Kołaczkowskiego i pewnie myśli z gorzką ironią, że oto właśnie kołacz do Kołaczkowskiego²⁶.

A potem, zapewne jeszcze przed Gwiazdką, odnajduje, tym razem w centrum, ulicę Garbarską i tam, na parterze, dogaduje się z panem Meiselsem, wydawcą. *Biali bracia* ukażą się na wiosnę, w cztery miesiące po zawarciu kontraktu, nakładem Wydawnictwa Literacko – Naukowego w Krakowie. Świat się zmienia; zwłaszcza ostatnio gwałtownie. W 1984 przy tej okazji pisałem: „Tempo pro-cesu wydawniczego nie było może, jak na tamte czasy, błyskawiczne, ale gdy sobie uzmysłowimy, że dziś debiutujący autor czekałby na ukazanie się książki dokładnie dziesięć razy dłużej!”. W chwili, gdy piszę te słowa, jest rok 2017 i mając pieniądze można przy braku talentu wydać książkę i w tydzień. Bez emocji, bez powiewu meta-fizyki. Ale miałem nie mówić o smutnych rzeczach.

Maria Kaspro-wiczowa miała szczęśliwą rękę. Tysiące razy cało-waną przez wielkich.

*

Choromański napisał po polsku nową powieść. *Biali bracia*. I – uwaga – w niewiarygodnie szybkim tempie tak wyszlifował polszczyznę że dał światu tę skromną objętościowo, mistrzowską stylistycznie i kompozycyjnie powieść umieszczoną w scenarii pore-wolucyjnej Rosji, z akcją w zabójczych podmuchach burzy śnież-nej (fuha), gdzie w dusze czekisty wdziera się nagle uczucie miłości do człowieka, który powinien się stać jego ofiarą, młodego Polaka, Piotra Brajtisa, agenta Dwójki²⁸.

Rzeczywistość przedstawioną potem w *Białych braciach*²⁹ Cho-romański przeżył – i to przeżył dosłownie, w odróżnieniu od boha-tera powieści, Brajtisa, który umarł. Jego ostatnie chwile lirycznie sobie rejestruje uratowany z zamieci czekista Bielicz. Rzecz dzieje się w chłopskiej chacie. „Czekista zapalił drugą zapalniczkę i przyglądał mu się z jakimś niezdrowym zaciekawieniem. Nigdy jeszcze nie widział z bliska męskiego nagiego ciała. Widywał może w łaźniach czy we wspólnych mogiłach, lecz było to wstrętne i wyglądało całkiem inaczej. Surowe nagie kształty uderzyły go drastycznym pięknem i

pradawną pokusą. Linia uda wydawała mu się nawet niebezpieczna. Wstrzymując oddech, patrzył, dopóki zapalniczka zgasła”.

Umarł Piotr Brajtis, narodził się Michał Choromański. „Rozpo-częły się przygotowania do powrotu do kraju – zwierzał się Ada-mowi Galisowi³⁰. – Jako optant zostałem wezwany do konsu-latu w Charkowie. Musiałem jechać saniami, przyłączyłem się do grupy paskarzy i jechałem w towarzystwie pewnego czekisty (...) Leżałem w chałupie u chłopa. Potem był pożar w chacie sąsiedniej i samosąd chłopski, w którym omal nie straciłem życia. (...) Musia-łem zamiast wyjazdu z kraju iść do szpitala (...) Znalazłem się w ciężkich warunkach materialnych, tak jak wszyscy. Więc nie mia-łem przywilejów”. Był człowiekiem ciężko chorym, z trudem poru-szającym się nawet o kulach, a żeby utrzymać się na powierzchni, trzymał się roboty na miejscu: w salach, przy innych chorych, i w administracji szpitalnej. „Jeśli zacząłem pisać – wyznawał dalej – to poza imperatywem, który zmusił mnie do rzucenia malarstwa³¹. Byłem przeciwnikiem rzucania się na różne dziedziny, jak to robi kulturalny Rosjanin. Nic mi nie było bardziej obce i egzotyczne niż teren rosyjski. Uczyłem się oczywiście na wielkich pisarzach Rosji, Turgieniewie, Czechowie, ale moja struktura wewnętrzna jest naj-zupełniej obca rosyjskości”.

*

Żeby przeżyć, trzeba się było nagimnastykować wśród absurda-nych realiów Rosji Sowieckiej. *Biali bracia*, powieść o fascynacji – jako zwierciadło tamtej rzeczywistości? A owszem. Główny bohater, tragiczny w końcu Piotr Brajtis, krąży między Odessą a Charkowem i skupuje za bezcen prawa własności zdewastowanych kamienic. Los łączy go z kupcem Graasem, od którego nabył realność podobną do tych, które straszyły nawet na reprezentacyjnym bulwarze Lenina. „Chodziło o to, że dom jego został rok temu zniszczony podczas pogromu, później urządzono tam koszary dla denikenowców, jesz-cze później zarekwirowali dom bolszewicy, którzy palili w piecach posadzki i drzwiami. Obecnie dom stał bez dachu, bez okien, a nawet bez schodów, mieszkała tam banda włóczęgów i dzieci”.

Brajtis współpracuje w konfidencji z pewnym towarzystwem ubezpieczeniowym w Polsce. Graas byłby maszynką do robienia i liczenia pieniędzy, gdyby nie flet, w którym grywa w gorszych chwilach życia... Panowie się spotykają w poczekalni dworcowej w kilka dni po transakcji, na której – wskutek unieważnienia car-skich rubli „romanówek” – Graas stracił. Smaczek tym większy, że Brajtis nalegał, chcąc zapłacić w pewniejszej walucie i robił to tak natarczywie, że czujny a podejrzliwy Graas zażądał jednak wypłaty w „romanówkach”... Czekają na pociąg do Charkowa. Ten pociąg umknął z peronu bez zapowiedzi. Niedobrze. Brajtis dla zarobku zajmuje się matactwami, ale głównie jest polskim szpiegiem. W pierogu wiezie zapieczone przez matkę plany sowieckich fabryk. Za wykrycie tej działalności groziłaby mu w optymistycznej wersji piwnica. Za opóźnienie – przykrości. Szuka więc innego sposobu dotarcia do Charkowa.

Jak wielu kupców, już ma się dołożyć na przekupienie koleja-rza, żeby zatrzymał na stacji pociąg towarowy, gdy nagle zjawia się zastępca naczelnika CzeKa w Orle, towarzysz Bielicz, w pięknym czerwonym kozuchu i z walizką, w której ma wysokie buty, kilka bomb i amunicję. Bielicz: „– Towarzysze, kto daje łapówkę? (...) Natychmiast każę was wszystkich aresztować i rozstrzelać, skurwy-syny – sennie ciągnął (...) Zrobił krok naprzód i, obracając głowę na karku, pokazał wszystkim po kolei swoją przeraźliwie białą twarz. W rysach tej twarzy stanowczo krył się jakiś nonsens. Lecz dopiero po dwunastu mniej więcej godzinach Brajtis zrozumiał tajemnice

tego wyrazu”. Bielicz, którego już oplątuje nic niespodziewanej fascynacji Brajtisem, wyjaśnia: „– Nastraszyłem tych Żydów. (...) Nie znoszę Żydów, gdy tchórzą. Mam prawo tak mówić ponieważ sam jestem z Żydów”.

Graas i Bielicz to postaci tragicomiczne; malownicze, ale drapieżne. W dwa lata po *Białych braciach*, kiedy pojawiła się już i była przez wszystkich czytana *Zazdrość i medycyna*, w której wśród bohaterów ze świecą szukać postaci o cechach, powiedzmy, czysto nordyckich, do Choromańskiego zachodzili dziennikarze, żeby wy badać, kto on taki. A 1 kwietnia (sic!) w „Myśli Narodowej” niepodpisany antysemicki artykuł pt. „Ofensywa”. Tam się m.in. wyrzuca artystom i intelektualistom mariaże z osobami „niearyjskiego” pochodzenia. Tamże kamień do ogrodu pisarza: „Choromański tak jest obecnie forytowany przez parę ministerialnych braci mecenasów, że już żadnego «mecenasa» za granicą nie poszukuje. Ale gdy przychodzi wywiadowca z żargonowca (po polsku drukowanego), roztkliwia się również: *Z czasów rosyjskich jeszcze mam wielu przyjaciół Żydów, z którymi wiążą mnie ponure wspomnienia działalności pogromowych band. W noweli pt. Biję Żydów* [po wojnie podałem do opowiadanie do druku; ukazało się w odcinkach w krakowskim „Przekroju” – MS] *opisałem m.in. autentyczne okoliczności śmierci wuja mego przyjaciela, zamkniętego w beczce. Bliska i istotna przyjaźń z Żydem zetknęła mnie ze światem żydowskim, który poznałem z niezwykle dobrej strony. W czasach głodu spotykałem się w rodzinach żydowskich z dużą serdecznością i życzliwością wtedy jeszcze, gdy u Aryjczyków zanikły już nawet objawy przysłowiowej rosyjskiej gościnności*”. Dwa tygodnie później w rozmowie z Aleksandrem Czyżewskim („Dekada”, nr 29, 1934 r.) Choromański poruszył groźny wśród młodzieży endeckiej *moment zacofania i niemal hitlerowskiego rasizmu. Przede wszystkim brak własnych myśli i szkieletu duchowego*.”

W Polsce wśród części młodych zabawa w politykę hucpiarska – ale nie do zlekceważenia... Dziesięć lat wcześniej mężczyźni, o ile nie polecili na lep odurzającej przygody z komunizmem (taki Marc Chagall został komisarzem od spraw plastyki, źle zapisał się w pamięci kolegów, pozbawiając ich kart żywnościowych; sam Karol Szymanowski miał nie tak mroczną, ale także „komisaryczną” kartę), to musieli się imać cięższych zajęć fizycznych. W najlepszym zajmowali się nielegalnym handlem. Bohaterowie „*Białych braci*”, jak jeden mąż, wieźli pociągiem „mleko skondensowane, ser szwajcarski i masło; z Charkowa [ten i ów] miał przywieźć manufakturę”.

Rotmistrz – jak się okazało – Piotr Brajtis miał być na pozór jednym z nich. Przez cały czas czuł na karku oddech towarzysza Romana Bielicza, który – podobnie jak kilka dni wcześniej oszukany przez Brajtisa kupiec Grass – całkowicie uległ fascynacji nieuchwytnym czarem owego „inżyniera” (z planami fortyfikacyjnymi w pierogu). W końcu mężczyznom przyszło walczyć z żywiołem, z potworną śnieżną fułą. Zwierzenia mogły być ostateczne, są więc pod każdym względem cenne. Bielicz do Brajtisa: „– Chodziłem cię u siebie w piwnicy, jak ostatnia dziewczę, a potem kazałbym rozstrzelać! Myślisz, że ja o niczym nie wiem! Ale jedź sobie stąd! Uciekaj, pókiś cały, ja ci daruję, rozumiesz, daruję, socjalzdrajco! Bo mi życia w o – gó – le szkoda! Zastępca naczelnika CzeKa w Orle rozpiął na piersi kozuch. – Myślisz – krzyczał w ataku histerycznym – że kim jesteśmy? W piwnicach woda po kostki!... Na ścianach mózg i bebechy... Ale to nic nie znaczy! Znajduję w tym nawet radość, nie mogę bez krwi! Rozstrzeliwałem, badałem po nocach, a potem pod mur! Pod mur! I znowu badałem po nocach tak, że w końcu spać nie mogłem. Ale mówię ci, że to nic

nie znaczy! Ja się upiłem śmiercią! Bez śmierci już żyć nie potrafię! CzeKa! CzeKa! Towarzysz Bielicz krzyczał o rozstrzeliwanych, o sadyzmie, o śmierci. Od krwawych słów szedł w powietrze smród i trupi zapach rozkładu. – To nic nie znaczy! – krzyczał – pomimo to jesteście czyści! Mamy czyste dusze”.

Opowiedzieć w miarę wyraźnie, składnie, jasno i bez naruszania proporcji o czymś przerażającym może tylko ten ktoś, kto wie, że niebezpieczeństwo się odsunęło i przeto można patrzeć na przebieg wydarzeń z dosyć bezpiecznej odległości. Niezbędna jest taka świadomość. W przeciwnym razie narracja co rusz będzie się rozsypywać, a stały lęk może zniweczyć formę. Dopóki twórcy nie opuści konkretny lęk – lub gdy się nie przemieni w lęk metafizyczny, odleglejszy i mogący być rodzajem napędu – nie znajdzie się siła, która by go zmusiła do przystąpienia do pracy. Konkretny lęk jest siłą niszczycielską. Bywa, że rozdziela gotowy obraz. Tak stało się realnie – i zostało to przeprowadzone dobitnie – w akcie zniszczenia Szału uniesień rękami jego twórcy, znakomitego malarza Władysława Podkowińskiego. Choromański, z którym los postanowił obchodzić się okrutnie już od momentu jego wejścia w dorosłe życie, musiał zachowywać dystans wobec wydarzeń życiowych, także po to, żeby nie pogubić twórcy; tego, co stanowiło sens jego pobytu na Ziemi. Tak jakby – doświadczany – wiedział, że składając w całość to, co na wsze strony porozsypywane bezładnie, uzyska poczucie harmonii broniące go przed napierającym chaosem.

Był wszakże w nim bez wątpienia jeszcze jeden rodzaj lęku, chyba znajdujący się akurat pośrodku. Z czegoż bowiem innego miałyby wynikać owo drażniące czytelnika – z wyjątkiem *Zazdrości i medycyny*, pisanej w bodaj najlepszym jego okresie życia – występujące w prawie wszystkich pozostałych powieściach Choromańskiego (prócz przesłicznego happy endu w *Różowych krowach i szarych scandaliach*) wyraźnie widoczne wygięcie się formy w chwili zdawałoby się najistotniejszej: w tej mianowicie, kiedy czytelnik bliski ukończenia lektury ze zgrozą konstatuje, że wysnuwane przez autora nici – oddzielane dotąd konsekwentnie i z wyraźnym rozmysłem – rozsypują się nagle w obliczu bieli ostatniej kartki? Z czego, jak nie z leku przed pustką. Przed pustką, którą nie sposób poruszyć, zmienić, zaludnić. W takiej pustce nie ma śladu życia, ponieważ zostało wypompowane powietrze.

Zabieg kompozycyjny, chwyt psychologiczny (proszę czekać na następny utwór, już piszę) czy może swoista autoterapia występująca w zaszyfrowanej postaci? A może właśnie horror vacui kazał pisarzowi wtłaczać w to straszące martwą pustką miejsce trochę powietrza i w ten sposób stwarzać sugestie niekłamanej pełni życia? Życia, które kierując się własnymi prawami kompozycji tak pełne jest niespodzianek i niedomówień, że nie znajdzie się taki mądry i perfidny, co mógłby te nadobne przeszkody pokonać, przewidując następstwa swoich posunięć? Naturalizm więc miałby wkraczać w psychologizowanie, znakomicie się trzymające malowniczych realiów? Alchemiczny tygiel, z którego nie uzyskasz złota, lecz na dnie po chwilach uniesień zoczysz tylko mdławą jakąś materię?

Wszystko to są tylko domysły, bezładnie umykające w przestrzeń, podobnie jak gros zakończeń powieści Choromańskiego. Można jeszcze się tylko domyślać perwersyjnego wyrafinowania – udanego wzięcia odwetu na czytelnikach, gwałtownego i pośród diabolicznego śmiechu wywlekania ich przez autora na nudną powierzchnię, czyli poza granice sugestywnego świata, która stworzył on, autor, i który z łatwością on sam może dla nich zamknąć. Tak, w ten sposób można każdego przekonać o własnej maestrii. Gorzej jednak – że się

wyrażę jak przyzwoity recenzent – gdy ten rodzaj eksperymentowania pisarza ocierającego się o genialność przerodzi się w maniery.

Jak długo bowiem można trzymać w napięciu czytelnika, a potem budzić go bolesnym pstryknięciem pękniętej gumki?

Kiedy w trakcie pisania przez Choromańskiego *Zazdrości i medycyny* ukazała się entuzjastyczna recenzja *Białych braci* pióra Ireny Krzywickiej („debiut powieściopisarza”, „Kultura” 1931, nr 2, z 6 grudnia), zapewne zwróciła uwagę autora następująca uwaga: „Pan Choromański posiada ogromny dar zasugestionowania czytelnika, pogrążenia go w atmosferze niesamowitości i grozy, wydobytej szlachetnymi środkami, bez taniego efekciarstwa potrafi wmówić mu wszystko i poprowadzić gdzie zechce; toteż czytelnik kiedy się ocknie z oszołomienia, ma trochę żalu do autora, któremu tak bardzo wydał się w ręce, że nie doznał pełnego zadośćuczynienia, że w momencie, kiedy spodziewał się najsilniejszego wrażenia, książka kończy się właściwie niczym, miękko i aby zbyć”.

Autor notki zamieszczonej w „Wiadomościach Literackich” 20 września 1931 roku stwierdza, że debiut Choromańskiego jest „eksperymentem pisarskim, wyjątkowo interesującym i świetnie przeprowadzonym”, nadmieniając – co wydaje się ważne i celne – że:

„Polityczne sprawy obydwu bohaterów są gdzieś na odległym i zupełnie obojętnym planie. Cała rzecz polega wyłącznie na ekspresji artystycznej, którą autor rzeczywiście osiąga w stopniu niezwykle wysokim za pomocą pierwszorzędnych środków stylistycznych i kompozycyjnych”.

Pisze Jan Lorentowicz (w styczniu 1932, w „Expresie Porannym”), że w *Białych braciach* nie ma ani śladowa naśladownictwa”. I w tymże szkicu pod tytułem „Szczęście a rytm życia” dodaje: „Mamy tu od początku do końca wybuch niesamowitego, barbarzyńskiego, ale wybitnego talentu”. Subtelny tłumacz, edytor, człowiek teatru, do niedawna prezes polskiego PEN Clubu, idzie po chwili na całego, jakby pod presją przeczytanego utworu, i robi ryzykowne, z pozoru łatwe salto; być może ulegając magii, pisze te słowa: „Żadnej w tym wszystkim «literatury», żadnej troski o styl, formę czy konstrukcję”.

A przecież właśnie te trzy wymienione przez krytyka budulce, w połączeniu z pełną dyscypliną metodą, tworzą *Białych braci*! Nie ma, powiedzielibyśmy, tanich perfum i pseudopoetyckiego zadęcia. Jest pewna szorstka solidność. Męska ręka majstra. Obserwacja natomiast, hm, zdecydowanie kobieca.

„Autor – dodaje recenzent – rzuca czytelnikowi złomy szlachetnego kruszcu, który pomieszał się z miałem i grudą różnorodną. Czysty kruszec łatwo wydobyć”.

Gdybyż to było tak łatwe, mój Boże! Wówczas każdy poszukiwacz złota opływałby w dostatek. Oszołomiony krytyk się gubi, bo z jednej strony kategorycznie stwierdza, że „pan Choromański jest twórcą oryginalnym, ale posiada najmniejszego poczucia sztuki”, a z drugiej – dowodzi, że „opowiada jak nadzwyczajny wizjoner i improwizator”. To co? czyżby bazarz? Natchniony, lecz samorodny? Szukajmy dalej; znajdziemy już ślad tego, o czym napomykał autor anonimowej notki z „Wiadomości Literackich” Kilka uwag Lorentowicza o Choromańskim, autorze *Białych braci*:

„Nie zajmuje się nigdy sprawą koniecznego i dokładnego powiadomienia nas, kim był główny bohater opowieści³². Działa na naszą wyobraźnię napomknieniami i sugestiami. Trzyma naszą uwagę na uwięzi i podnieca ją wtrąconymi luźnymi wyrazami tajemnicy, której do końca nie odsłania w całej pełni. Wszystko jednak, co mówi, ma niezwykle mocną plastykę, więc domysły nasz nie są nużące”.

Czy można zgodzić się ze stwierdzeniem Lorentowicza, że: „Zasiadając do pisania, p. Choromański nie miał snuć żadnego «planu artystycznego»”? Można, ponieważ wytrawny krytyk oraz znawca życia – poza tym człowiek starszy od Choromańskiego o trzydzieści sześć lat – ów plan artystyczny jak najśluszniej opatrzył cudzysłowem. Po latach Choromański – pytany i niepytany – wyznawać będzie, że bezpośrednim motorem do napisania na przykład *Zazdrości i medycyny* był taki prosty fakt: oto odprowadzając kogoś na dworzec zakopiański przyszedł autor zetknął się z anomalią: całe miasto pogrążyło się na długo w ciemnościach. Nazajutrz się dowiedział, że trzeba było kompleksowo wyłączyć prąd, ponieważ halny zerwał druty i porażony został jakiś nieważny człowiek, którego trupa, uchwyconego drutów, nikt nie mógł w innym wypadku odzyskać bez narażenia własnego życia. Chciałoby się powiedzieć, że Choromański złapał wtedy duszę zmarłego, i tak to ten ktoś nieważny przeistoczył się w jedną z najważniejszych postaci *Zazdrości i medycyny*, krawca Abrahama Golda, ojca dziwnych i nawiedzonych dzieci, Borucha i Anielki, wnoszących do powieści coś unikatowego – cieniutki, najprzedniejszy humor.

No właśnie! Pretekst banalny. Spróbujmy rzucić coś takiego na tapetę studentom w „szkole pisania”. Pretensja w oczach adeptki: co mi tu pan daje do rozwinięcia, przecież już jest początek i koniec, i pusto w środku! „Człowiek pod prądem”. U jednych powoduje zwyczajne, niekoniecznie współczujące, lecz wskazujące na tak zwane życiowe doświadczenie, kiwniecie głową, u innych jest powodem do przemyśleń o tajemniczości ludzkiego losu, a gdy w stosownym miejscu i czasie trafi się szczególnie układ realnego zdarzenia i rozbudzonej twórczej potencji, dojdzie do konstruowania dramatu, odbędzie się rozwijanie fabuły, malowanie ekspresyjnego obrazu, stworzenie kompozycji muzycznej.

Michał Choromański był zżyty ze sztalugami, z farbami, nieobce mu były tajniki klawiatury. Po latach za sprawą Ruth Sorel, dożgonnej swej towarzyszki, będzie przez piętnaście lat – chcąc nie chcąc – żył w Brazylii i w Kanadzie sprawami baletu. Lorentowicz pisał: „Nie znam żadnych personaliów autora” i spostrzeżenia dotyczące *Białych braci* nagiął był sobie, być może, do wyobrażeń pisarza naturšczyka³³. A przecież Choromański był wychowany przez sztukę. Żył sztuką, będąc w koszmarnych warunkach. Sztuka – w ogóle twórczość – była dla niego prawdopodobnie jedynym punktem odniesienia. On nie zasiadał do pisania. On żył twórczością. To jasne. I między innymi dlatego Jan Lorentowicz mógł powiedzieć: „Ekspresja opisowa debiutującego powieściopisarza wyposażona jest w rzadki dar realistycznego wizjonerstwa, wybitną intuicję psychologiczną i opanowaną energię wyrazu”. Czy w takie zalety może obfitować rzecz amatorska?

Naprężona do niemożliwości struna świadomego odbioru krytyka – mimo całej swej doskonałości zbyt była sztywna na to, żeby się móc zetknąć z naciągniętą do ostatnich granic struną świadomego twórcy. A poza tym dwie równoległe nigdy się z sobą nie zetkną. Raczej można wyczuć niż dostrzec drgający ruch magicznego przyciągania.

„Poza tym kto wie, czy nie ma dobra” – pisze w zakończeniu *Białych braci* jesienią 1930 roku dwudziestosześcioletni Choromański. I dodaje: „W każdym razie jeśli nawet istnieje, to jest wielka i trudna sztuka, szczególnie dla człowieka mądrego”.

Zgrabny ten i błyskotliwy aforyzm sam dla siebie może się wydawać przewrotną myślą skreśloną lekkim piórem³⁴. Pisarz nim jednak przypieczętuje powieść. I tyle będzie tych pieczęci w przyszłości, ile będzie etapów zmagania – zmagania z problematem dobra. Dobro

wedle Choromańskiego jest jedną z najpotężniejszych sił tajemnych i człowiekowi świadomemu tylko raz wystarczy wypaść z rytmu – przez nieuwagę lub z powodu nagłego splotu wydarzeń – ażeby dobro, czyli rzecz budująca, stało się dlań siłą niszczącą, fatalną. Niby po tej samej stronie, co dobro, leży uczucie miłości – także fascynacji, coraz częściej utożsamianej z miłością – i przywiązanie. Stąd niedaleko do sentymentalizmu.

Ruth Sorel w pamiętniku pisanym po śmierci męża sygnalizuje istnienie pewnego ważnego wydarzenia w życiu Michała, które miało decydujący wpływ na jego sposób bycia. Jeśli się pójdzie dalej, niechybnie się dojdzie do wniosku, że to, co w życiu codziennym mogłoby wyglądać po prostu na przyzwyczajenie, nieraz przeradzające się w coś na kształt fobii, przeniknęło do gruntu do twórczości pisarza. Przywiązanie – to zdecydowanie dobro – które niepostrzeżenie przechodzi w sentymentalizm, często prowadzi do powikłań. I do katastrofy. Otóż Ruth pisze, że Michał był zdeklarowanym przeciwnikiem zabierania w podróże rzeczy, które nie były absolutnie niezbędne. Stało się to z następującego powodu: matka jego, wciąż nie mając odpowiedniego kupa na dom, odwlekała do ostatniego momentu – konkretnie: do ostatniego eszelonu – wyjazd z Jelizawetgradu, z Rosji sowieckiej do Polski – z dwojgiem dorosłych już dzieci. Rodzinę dopadł głód, dopadło wszystko złe i smutne, co z nim nadeszło, także ciężka choroba Michała. W *Białych braciach* Piotr Brajtis – trudno powiedzieć, optant Polak czy też może kontrrewolucjonista (autor celowo spowija to mgłą tajemnicy, która się nie rozwikła, bo w przeciwieństwie do powieści kryminalnych nic tak szybko w życiu nie wychodzi na jaw), spóźnia się na pociąg do Charkowa tylko dlatego, że – mimo woli i wbrew zdrowemu rozsądkowi – przedłuża liryczne pożegnanie ze srebrnowłosą „kucharką”, kobietą obłąkaną (obłąkaną miłością?), która z nim mieszka i ciągle piecze dla niego pierogi. To wypadnięcie z rytmu spowodzi śmierć na Brajtisa.

Na temat siwowłosej tak oto wypowiada się Irena Krzywicka: „przez większą część książki nie możemy się zorientować, czy to matka, czy kochanka, ta niepewność bywa często dwuznaczna i nie bardzo przyjemna; w końcu okazuje się, że to matka”.

Matka. Krzywicka nadmienia o pewnym zmieszaniu, ale dalekim od uczucia niesmaku, podczas lektury tych epizodów. Tak, dwuznaczność będzie – czy ktoś to lubi, czy nie – dominantą konstrukcyjną we wszystkich utworach Choromańskiego. Dwuznaczność – która z powodów osobistych mogła początkowo służyć za kamuflaż – rozwinie się niebawem. Kto wie, czy to nie siła napędowa większości jego następnych dzieł.

Przypisy:

1 jednym tchem, nie przerywając

2 W styczniu 1936 roku *Sól Ziemi* Józefa Wittlina zdobędzie nagrodę „Wiadomości Literackich” – decyzją sądu konkursowego oraz w głosowaniu czytelników. Jury wysoko oceniło powieść „za pasję i rozagę w warstwie stylistycznej, sposób ukazania wojny jako mechanizmu pozaludzkiego, troskę i autorskie poczucie odpowiedzialności”. W 1938 Wittlin zostanie odznaczony Złotym Wawrzynem Polskiej Akademii Literatury. Autor okazuje się ponadto pisarzem poczytnym: *Sól ziemi* do wybuchu drugiej wojny światowej będzie miała aż cztery wydania.

Do roku 1956 ta powieść w Polsce właściwie przestała istnieć. Stało się to z powodów politycznych – Wittlin, na emigracji, współpracował z Radiem Wolna Europa, był sygnatariuszem apelu o niepublikowanie w Polsce, skierowany do pisarzy emigracyjnych. Pierwsze powojenne polskie wydanie *Soli ziemi* ukazało się w 1979 roku, nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego. Najnowsze wydanie (2018) pochodzi z krakowskiej oficyny Wysoki Zamek.

Powieść jest bardziej znana za granicą niż w Polsce. Książka, pochlebnie oceniana m.in. przez Tomasza Manna, była tłumaczona na angielski,

francuski, włoski, szwedzki i węgierski. W roku 1939 prasa francuska i angielska, obok pozytywnych recenzji, napomykała o kandydaturze *Soli ziemi* Józefa Wittlina do j literackiej Nagrody Nobla.

3 Marian Wimmer (1897–1970), architekt, meloman, zamiłowany fotografik i filmowiec. Wraz z żoną, także architektem, Stanisławą Krużanką, po roku 1926 osiadł w Zakopanem. Nauczyciel w Państwowej Szkole Przemysłu Drzewnego, w 1928–1930 był współnikiem firmy projektowej „S. Meyer, K. Stryjeński, M. Wimmer”. W 1930 roku założył z żoną własne biuro architektoniczne i budowlane. Nakręcił krótką impresję dokumentalną z udziałem Karola Szymanowskiego. Po wojnie należał do założycieli łódzkiej „Filmówki”, mimo trudności ze strony upolitycznionych kolegów był aktywnym wykładowcą, twórcą indywidualnego nauczania.

4 Zrezygnowałem z „uzupełnień” w skrótach i skrótowych wyrazach, dokonanych przez Jana Z. Brudnickiego wydawcę bloku listów S.I. Witkiewicza, pomieszczonym wyżej wymienionym zeszycie „Przeglądu humanistycznego”.

5 W późniejszych latach Choromański jednak wróci do poezji. Nie wiem, czy na krótko. Minie ćwierć wieku od rozmowy udzielonej „Dekadzie” i wtedy powstanie cykl jego wierszy okupacyjnych, raczej nie przeznaczonych wówczas przez autora do publikacji. Po kilkunastu następnych latach te same wiersze w niezmiennionej formie wedle koncepcji i życzenia Michała Choromańskiego miały wejść do jego ostatniej, jak się okaże, powieści *Miłosny atlas anatomiczny* jako jej integralna część kompozycyjna czyli wiersze Bohdana Miarowieja, narratora. Wierszy tych jednak, wskutek sugestii recenzenta wewnętrznego Wacława Sadkowskiego i podobno w porozumieniu z wdową po pisarzu, Ruth Sorel, nie włączono do wydrukowanego z innymi jeszcze skrótami *Miłosny atlas anatomiczny* (czego Sadkowski nie ukrywa i odsyła zainteresowanych do Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, gdzie jest przechowywana kopia autorskiego maszynopisu, bez ingerencji. Docierały do mnie nie potwierdzone informacje – pochodzące nie tylko ze strony rodziny pisarza, lecz także od edytorów poważnego wydawnictwa – że Choromański złożył maszynopis wierszy o tematyce okupacyjnej w dużej stołecznej oficynie – a tam propozycję (z rymami w czasach bezrymia) zignorowano.

6 Wprawdzie ożeniona z Michałem Krużyńskim, ale wciąż z dala od niego – być może przede wszystkim dlatego, że, jak utrzymywała, wolała być na dobrej posadzie (zarządzającej pensjonatami), którą sama sobie znalazła, niż szarpać się wraz z mężem na niepewnych, dorywczych w gruncie rzeczy dzierżawach włości chimerycznych arystokratów.

7 Anula – chyba chodzi o Annę Szymanowską, kuzynkę matki Krużyńskiego, wdowę po doktorze medycyny Kazimierzu Krużyńskim, zastrzelonym przez młodą, niezrównoważoną, byłą pacjentkę w lutym 1913 roku w Lwowie. Helena z domu Taube doktorowa Krużyńska była młodszą siostrą Anny z domu Taube Szymanowskiej, matki Karola Szymanowskiego. Wraz ze Stanisławą Szymanowską, sławną śpiewaczką i z pianistą Feliksem Szymanowskim, bratem Karola, rodzeństwo i starszeństwo Szymanowskich i Taube [to nazwisko się nie odmienia] zamieszkali w Warszawie na kupie w nowo wybudowanym mieszkaniu przy ul. Raszyńskiej

8 Michał Choromański był przez bliskich nazywany Misza zarówno w domu, w Jelizawetgradzie, jak i przez kilka pierwszych lat po przyjeździe do Polski.

9 Karol Szymanowski / Korespondencja opr. T. Chylińska, dzieło cytowane, tom drugi, vol. 2, od roku 1924.

10 „Misza [Michał Choromański] był bardzo chory na zapalenie płuc [w Sanatorium Czerwonego Krzyża w podwarszawskiej Rudce] i Michał [Krużyński, w tym czasie zarządca w majątku syna Ksawerego Braniczkiego] nie chciał dać znać ani matce [Aleksandrze Choromańskiej, już w majątku Łapiguz p. Prüfferów], ani Litce [żonie, w początkowym okresie separacji, Lidii Choromańskiej Krużyńskiej, w Zakopanem] i tymczasem, wyobraź sobie, wyzdrowiał. Michał jest twardy czasem okropnie”. Pisz Nula Szymanowska z Warszawy do Karola Szymanowskiego w Paryżu. – Jak miałby nie być twardy – taka trauma po zbrodni na jego ojcu, dokonanej przez następną, rozpieszczoną w dzieciństwie sierotę po adwokacie z Nowego Sącza

11 Zostanie wydana w „Roju” z datą 1930, w błyskawicznym przekładzie dzielnej czwórki – Józefa Kramsztyka, Kazimierza Czachowskiego, Juliusza Feldhorna, Władysława Tatkiewicza (pod pseudonimem Jan Łukowski).

12 Cytowane za: Michał Sprusiński, „Kazimierza Wierzyńskiego Dziennik poety”, „Twórczość” 1881, zeszyt 5. Lekturę manuskryptu Dziennika poety umożliwiła Michałowi Sprusińskiemu – nieodżałowanej pamięci autorowi eseju, człowiekowi autentycznie kochającemu twórczość (co podkreślał nie tylko dlatego, że był on akuszerem mojej prozy), który bodajże jak nikt inny spośród jego rówieśników błyskotliwie i z szlachetnym zapałem przybliżał to, co w życiu artystycznym dwudziestolecia międzywojennego było istotne i co tworzyło niepowtarzalną, tak bardzo sprzyjającą twórczości aurę – pani Halina Wierzyńska. Michał Sprusiński (1940–1981) zmarł tragicznie, w dniach zjazdu tłumaczy w Grecji, w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach.

13 „Przegląd Humanistyczny” 1977, zeszyt 2, s. 102.

14 Tamże, s. 100.

15 Zob. przypisy 116, 154, 336.

16 Marek Sołtysik, *Piękni szaleńcy / czyli sztuka skandalem podszycia*, Świat Książki, Warszawa, 2006 r.

17 Z. Nałkowska, wszystkie *Dzienniki* w kongenialnym opracowaniu Hanny Kirchner.

18 M. Sołtysik, *Bagaż z Rosji Sowieckiej. Na 95. urodziny Michała Choromańskiego*. „Tygodnik Powszechny” 1999 nr 31 s. 15; Marek Sołtysik, Michał Choromański (22 VI 1904 – 24 V 1972). „Przekrój” 1997 nr 20, s. 30 – 31; Marek Sołtysik, Ostatni pisarz Młodej Polski. „Gazeta Wyborcza” 1999 nr 159 s. 20 – 22.

19 Ta informacja nosi cechy nagonki. Aż tak strasznie nie mogło być i nie było. Można sprawdzić; już są dostępne w Sieci wszystkie publikacje ważniejszych autorów „Przekroju”.

20 Bronisława Włodarska (1902–1973), narzeczona Michała Choromańskiego, smagła szatynka o jasnym oczach, była partnerką intelektualnych dialogów Stanisława Ignacego Witkiewicza i należała do grona jego najbliższych przyjaciół. „Przyjaźń Witkiewicza z panną Włodarską to jedna z najpiękniejszych przyjaźni tego człowieka. Świadczy też o niepospolitej inteligencji tej kobiety, miłośniczki literatury rosyjskiej, zwłaszcza poezji, a w ogóle uwrażliwionej na wszystko, co piękne w sztuce i w życiu” – wspomni Henryk Worcell (w swojej cytowanej tu książce *Wpisani w Giewont*). Włodarska rodziła się w Tyflisie. Była absolwentką Instytutu Smolnego (Instytut Szlachetnie Urodzonych Dziewic) w Petersburgu. Po rewolucji październikowej przybyła do Polski. Znalazła posadę w Warszawie w składzie dywanów Witolda Kilynowicza w Warszawie przy ul. Brackiej. Po śmierci matki Włodarska poważnie podupała na zdrowiu. Kilynowicz, który postarał się dla niej o rentę inwalidzką, w roku 1922 r. wysłał na leczenie do Zakopanego. Po pobytach w sanatoriach za mieszkała na „Harendzie”, zaproszona przez Marię Kasprowicową. Przełożyła m.in. z oryginału rosyjskiego na polski *Dzienniki Marii Kasprowicowej* (t. I–II, Wyd. Instytutu Literackiego, Warszawa 1932). Wyprowadziła się z „Harendy” po zaręczynach z Choromańskim. Niebawem po oficjalnym zerwaniu narzeczeństwa przez Choromańskiego w r. 1936 związała się z przyjacielem, współpracownikiem i mecenasem Witkacego, Tadeuszem Langierem (1877 – 1940), fotografikiem, ekonomistą, prawnikiem, który pożegnawszy się z Bankiem „Galicia” w Poznaniu, którego był dyrektorem, wrócił na zasłużoną emeryturę do Zakopanego, w roku 1954 wyszła za mąż za publicystę i dyplomatę, Stefana Litauera (1891–1959), człowieka, delikatnie mówiąc, trudnego, a może wręcz niemożliwego do rozszyfrowania. Było to trzecie małżeństwo radcy prasowego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, dyrektora Polskiej Agencji Telegraficznej, niekonięcznie zasługującego na zaufanie zwierzchników. Po śmierci Litauera w windzie w Izbie Gmin w Londynie, gdzie pracował jako korespondent „Życia Warszawy” Bronisława Włodarska była zatrudniana jako znakomita tłumaczka języka rosyjskiego.

21 M. Sołtysik, *Świadomość to kamień. Kartki z życia Michała Choromańskiego*. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1989 r.

22 Ulicy Choromańskiego jak nie było, tak nie ma. (I obawiam się, że nie będzie).

23 „Przegląd Humanistyczny” 1977, zeszyt 2, s. 98. Wydawcy listów (op. cit.) informują, że Choromańskiego nazywano wówczas w Zakopanem Choromanderem i Kulawcem

24 Z. Nałkowska, *Dzienniki/IV/1930 – 1939, Część 1 (1930 – 1939) i Część 2 (1935 – 1939)*, Opracowanie, wstęp i komentarz Hanna Kirchner, Warszawa 1988. Str. 697 – 698.

25 Już się habilitował (1928), wykładał w gimnazjach, profesorem literatury polskiej na UJ zostanie dopiero za półtora roku, ale – wiadomo – profesor.

26 Stefan Kołaczkowski utykał w bucie ortopedycznym skomplikowanej konstrukcji (obedną go zeń w obozie w Sachsenhausen naziści, pozbawiając uczonego więźnia zarówno możliwości chodzenia, jak i resztek godności), Michał Choromański w wywiadzie z Karolem Szymanowskim dla „Wiadomości Literackich”, pisał, jak sam, czyniąc zapiski, przechadza się z nim po pokoju kulejąc – inaczej niż Karol, ponieważ nie na prawą, lecz na lewą nogę – wiotka Marusia z Buninów Kasprowicowa miała jedną nogę krótszą i także poruszała się nie bez trudności, podobny defekt miał znakomity architekt Karol Stryjeński (budowniczy Mauzoleum Kasprowicza przy domu i – na krótko – kochanek wdowy), toteż budzi ciepłe uczucia ekspresjonizm opisu z Anny Lilpopów Iwaszkiewiczowej, mającej akurat nogę w bandażach, bo zwichniętą na nartach: oto całe to towarzystwo, po niezłej kolacji, wstaje od stolika u Karpowicza i majestajecznie podąża ku wyjściu...

27 Lektura bezcennych *Listów od, do i wokół Karola Szymanowskiego*, w opracowaniu Teresy Chylińskiej (opus citi), utwierdza w przekonaniu, że polszczyzna *Białych braci* mogła zabłysnąć dzięki dużej pomocy Juliusza Zborowskiego, dyrektora Muzeum Tatrzańkiego, wybitnego humanisty, który wyjątkowo starannie przeglądał robocze teksty utalentowanego repatrianta. Np. (3 VI 1932): „Właśnie poprawiam Choromańskiemu (styl i rusycyzmy) oryginalny wywiad z K.[Karolem] Sz.[Szymanowskim] dla ‘Wiadomości Lit.’” [Literackich]. Lepiej, aby K. D=Sz, komponował, a nie pisał i dyktował [...]”.

28 Dwójka – Oddział II Sztapu Generalnego Wojska Polskiego – w latach 1918 –1945 komórka zajmująca się m.in. wywiadem, kontrwywiadem, dywersją pozafrontową, kryptologią, studiami obcych sił zbrojnych i sprawami zagranicznymi Wojska Polskiego.

29 Pierwszym wydawcą książki będzie Wojciech Meisels z Krakowa, późniejszy szef krakowskiej filii Gebethnera i Wolffa.

30 „ABC”, Warszawa, 1 września 1933.

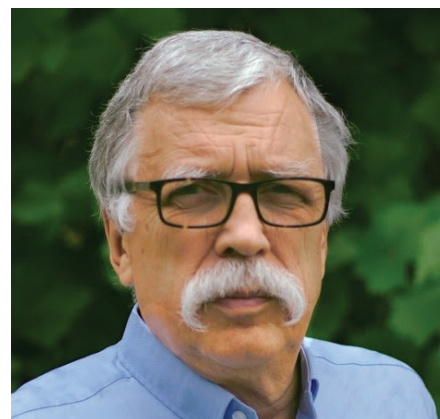
31 Na pewno jeszcze w 1934 był w posiadaniu Karola Szymanowskiego namalowany przez Michała Choromańskiego portret Olgi Przyszyszowskiej, wspólnej krewnej autora Harnasi i autora *Zazdrości i medycyny*.

32 W tego rodzaju nowoczesnej, na naszym gruncie właściwie prekursorskiej powieści trudno mówić o jednostkowym bohaterze. „Opowieść”, hm!, może właściwsze, a w każdym razie bardziej ścisłe, byłoby określenie: kompozycja sytuacyjno – psychologiczna. *Biali bracia* to erupcja. Inaczej się nie dało. Inna rzecz, że Choromański – już się nie dowiemy (zresztą po co), z czyich rad korzystając lub pod wpływem jakich podszeptów, w następnych powieściach będzie już starannie i dokładnie przedstawiał swych bohaterów, wręcz od kołyski i często po grób.

33 O, to problem, jak widać, nurtujący pisarza od początku drogi twórczej. Problemat czegoś tak bardzo trudnego jak dobro znajdzie rozwinięcie i zwalającą z nóg kulminację w opublikowanej w trzydziści sześć lat później (a pisanej przez pół życia) powieści *W rzecz ustąpić*.

Fragment nowej wie romancée o Michale Choromańskim *Portret z odbitym w lustrze wizerunkiem śmierci* (2019), publikowanej dotychczas we fragmentach.

RAFAŁ SKĄPSKI



WIELKANOC U ZOFII SKĄPSKIEJ



Zofia Skąpska w odświętnym stroju

Czytelnicy poprzedniego numeru Hybrydy (39/2021) zwrócili zapewne uwagę na pomieszczone w nim wyimki ze wspomnień Zofii Skąpskiej dotyczące przebiegu Świąt Bożego Narodzenia. Wspomnienia te ukazały się w dwóch tomach pod wspólnym tytułem *Dziwne jest serce kobiece*, nakładem Spółdzielni Wydawniczej Czytelnik. Tom trzeci jest w przygotowaniu. Na prośbę redakcji Hybrydy przedstawiam kilka fragmentów z tomu pierwszego (podtytuł: *Wspomnienia galicyjskie*), w których Autorka opisuje obyczaje domowe związane ze Świątami Wielkanocnymi, ale też notuje wielkanocny obyczaj

sąddecki, ludowy, który tak bardzo ją urzekł i na wiele lat zapisał się w pamięci. Przypomnę, że Autorka żyła w latach 1881–1961, z czego lata 1885–1900 spędziła w Krakowie, a 1900–1920 na Sądecczyźnie. Czas międzywojnia to pobyt na Pomorzu (powiat działdowski), okupacja spędzona w podkrakowskim majątku Hebdów, a kilka lat powojennych to aktywność zawodowa w Ząbkowicach Śląskich, wreszcie ostatnie 10 lat życia to powrót do Krakowa. Przez 60 lat Zofia Skąpska prowadziła dziennik, łącznie zapisała 21 stukartkowych zeszytów, które z rękopisu przepisałem, opatrzyłem przypisami, aneksami, wstępem i podałem do druku. Autorka była Matką mego Ojca.

Na początek proszę przeczytać kilka zdań o zapamiętanym świątecznym obyczaju z dzieciństwa (w Krakowie):

Na Wigilię zawsze był strudel, na Boże Narodzenie smażony tort jabłkowy z krojonymi migdałami i kasztanowy ze spodem czekoladowo – migdałowym, na Wielkanoc zaś ciasta drożdżowe, lukrowane torty kruche z różą, przekładane z przeróżnymi masami. Tradycja w domu Ciotek była zachowana tak w dwunastu wigilijnych potrawach, w stole Wielkanocnym, jak i w zapustnej kolacji. Robiło się to, co bywało u dziadków Pieniążków.

9 stycznia 1900 r. niespełna dziewiętnastoletnia Zofia Pieniążkówna została żoną starszego od niej o blisko 8 lat Jana Skąpskiego, wykształconego rolnika (w 1893 absolwenta słynnej podkrakowskiej Szkoły Rolniczej w Czernichowie). W czasie narzeczeńskim Jan pracował jako zawiadowca jednego z majątków Andrzeja Józefa Potockiego (Morawica pod Krakowem), w chwili ślubu był kontrolerem dóbr dzikowskich Zdzisława Jana Tarnowskiego, a po kilku miesiącach zawiadowcą jego dóbr w Górze Ropczyckiej (obecnie Gmina Sędziszów Małopolski). Oto jak w 1902 roku, właśnie w Górze Ropczyckiej, Zofia Skąpska urządziła Świąta Wielkanocne:

W Wielki Czwartek są już wszyscy, więc i pieczenie już ukończone. Anulka¹ pilnowała, by tradycji stało się zadość, bym nie zapomniała o ulubionym przez Tatusia „rogalu z makiem” (po raz pierwszy widziałam go na stole wielkanocnym, u mych Ciotek nie bywał). Jest to świąteczna, przyrządzona jak na Boże Narodzenie, strucla z makiem, której po zwinięciu nadaje się kształt rogalu. Anulka ubóstwiała swego ojca i kochała go nad życie. Prócz babek muszą być jajeczniki, wszelkiego rodzaju mazurki z masą pomarańczową, z powidłami, z czekoladą i migdałami, z polewą pomadkową, maleńkie kruche z rodzynkami, migdałami, skórką pomarańczową ślicznie dekorowane.



Niedziela Palmowa w Podegrodziu. Fot. W. Migacz

Serowy placek z „Alleluja”, no i wspaniałą przekładaniec z triumfującym barankiem. Moc wędlin z szynką gotowaną i pieczoną w cieście. Kielbasy krajane i siekane, głowizna, wędzonka itd. Wszystko przyrządzane w domu z własnej upasionej sztuki (wzięłam rzeźnika i przy nim przyuczyłam się). Dla dzieci zrobiłam też osobny stolik z mazurkami, tortami i wędliną. Było wino i wódka z soku. Wielką przyjemność sprawiła mi ta Wielkanoc we własnym domu i możliwość ugoszczenia wszystkich. Małe święcone posłałam Cioci Joasi do Krakowa, która zrozpaczona po śmierci siostry, nic nie piekła. W drugie święto odbyły się chrzciny, przyjechał na nie z Krakowa brat przyrodni męża Stanisław² ze swą żoną i z dwoma najmłodszymi synami, Władkiem³ i Adasiem⁴ młodszym o rok od Antosia.

W roku 1903 Jan Skąpski porzuca pracę u Tarnowskiego i rozpoczyna z żoną samodzielne życie zawodowe jako dzierżawca dóbr. Podpisują sześcioletnią umowę na gospodarowanie majątkiem Adama Dunikowskiego – Łososia Dolna. Zofia wspomina pierwsze swe Święta Wielkanocne na Sądecczyźnie w roku 1904:

Marzec, czas postu, trzeba myśleć o Świętach Wielkanocnych, o wędlinach nie tylko dla nas, ale i dla czeladzi. Nie wystarczy zabić jedną sztukę. Bierzemy do zabicia i przerobu wędlin doświadczonemu, starszemu panu Ligięz. Dawny kucharz dworski, obecnie tym się zajmuje. Pan Ligięza widząc moje kłopoty kucharskie, obiecuje dać mi dobry materiał. Przede wszystkim siłę męską: „młody, niezsputy służbami, naucz go Wielmożna Pani i będzie miała dobrą wyrękę”. W ten sposób życie Macieja⁵ wiąże się z naszym, aż do ostatnich czasów. Różnie bywało, był jednak

zawsze wiernym i życzliwym, przywiązany do dzieci, które się przy nim porodziły.

Wielkanoc, prócz zwykłego, uświęconego tradycją stołu, trzeba upiec moc kołaczy dla całej służby. Znowu specjalna okrągła łąpata, co by pomieściła ciasto z czterech litrów pszennej mąki. Do pieca wchodzi sześć – siedem kołaczy. Ser na środku słodki z rodzynkami z żółtkami, a do reszty z szafranem, by był żółciejszy. Ciasto pachnie z dala przeróżnymi korzeniami, przyrumienione bokami, prawie wyrosnięte, nęci i wabi dzieci, które nie mogą doczekać się Wielkiej Soboty i wręczania kołaczy czeladzi. Wielka Sobota od południa jest jak gdyby dniem Święta. Prace folwarczne ukończone. Dzieci nasze w czystych, świątecznych ubraniach kręcą się po kuchni i patrzą ze zdziwieniem na Tatusia ubranego w mój fartuch, uzbrojonego w wielki kuchenny nóż. Pomaga mi kroić wędliny i obydwójce z wielkim namaszczeniem układamy kawały mięsowa wędzonego, gotowanego na upieczonych kołaczach. Trzeba wiele rozwagi i namysłu, by nikogo nie skrzywdzić i wedle piastowanego urzędu należycie obdarzyć. Ile kołaczy, tyle przyrządzono pojedynczych, odpowiedniej długości kielbas. Kawalerom i niezamężnym dziewczętom, które nie mają jeszcze swego gospodarstwa, dodaje się jeszcze po dwa jaja, ugotowane na twardo i kawałek oskrobanego chrzanu, zaś kobiety z folwarku nie zapomną o naczyniu na rosół z gotowanych wędlin.

Już ksiądz proboszcz wszystko poświęcił, zebrała się chmara czeladzi przed nasz dwór. Mąż przygotował wódkę i kieliszek, przepiją do wszystkich razem, składa życzenia, a ja podaję pełne mięsowa kołacze, dodając każdemu odpowiednio okolicznościowe życzenia.



Dwór w Brzeznej

Chłopi aż się uginają pod ciężarem kołacza i zadowoleni nie szczędzą podzięków i życzeń. Śliczna to scena, gdy jeszcze dodać do tego koloryt zachodzącego słońca, zapach świeżo rozwijających się drzew. Chwila takiego zespolenia i zadowolenia obopólnego wynagradza wszystkie przed świętami podjęte trudy.

W roku 1908 małżonkowie Skąpscy podejmują kolejne wyzwanie, kolejny trud. Rozpoczynają nową dzierżawę wielkiego majątku, jednego z największych posiadaczy ziemskich tamtego czasu. Była to Brzezna należąca do Adama Stadnickiego. Obowiązująca wciąż umowa na dzierżawę Łososiny spowodowała, że przez rok Skąpscy prowadzili dwa, oddalone od siebie o nieco ponad 20 kilometrów, majątki. Tak Autorka wspomnień odnotowała przygotowania do Świąt w roku 1908:

W Łososinie przygotowałam wędliny na dwa majątki, bo przy końcu kwietnia wypadała Wielkanoc. Zamarynowane mięso zostawiłam w Łososinie pod opieką pani Morawickiej, gdyż Maciej na razie na ten rok zostaje w Łososinie jako polowy, zaś polowy idzie do Brzeznej, a ja mam wziąć na razie młodą dziewczynę do kuchni, a Pani Morawicka ma do pomocy zaradną czeladnią kucharkę. Na razie tylko część rzeczy najpotrzebniejszych zabieramy do Brzeznej, gdyż tam robimy gruntowny remont, resztę rzeczy zostawiamy w Łososinie, przeznaczając dla państwa Morawickich tylko część mieszkania. Dzieci zabieramy, bo się nie chcemy z nimi rozstawać. W Wielkim tygodniu jadę do Łososiny, by upiec kołacze dla całej służby w Łososinie i w Brzeznej i zabrać uwędzone tam, przy mnie, mięsiwo. Dla siebie nie będziemy nic piekli, bo na Wielkanoc pojedziemy z dziećmi do Piątkowej do Jagoszewskich i rodziców⁶. Do pieczenia kołaczy zamówiłam Macieję. W Brzeznej mamy

do pomocy w kuchni młodą dziewczynę, bardzo sprytną, która przedtem służyła u Jagoszewskich. W Wielką Sobotę zanim rozdaliśmy Święcone służbie, przyjechał nasz proboszcz Oleksik⁷ z Podegrodzia, aby poświęcić stół Wielkanocny, który był przygotowany dla służby.

W 1909 roku Zofia i Jan Skąpscy urządzą Święta już w Brzeznej. Dla Autorki wspomnień to okazja, by odnotować pierwsze wrażenia ze spotkań z nowymi sąsiadami, ale też by przenieść na karty dziennika podziw i wzruszenia, z jakimi poznawała sądeckie ludowe obyczaje świąteczne:

Pierwsze to Święta Wielkanocne (gdyż w 1908 byliśmy u rodziców), w czasie których zetknęliśmy się bliżej z naszymi najbliższymi sąsiadami, z rodziną państwa Reklewskich⁸, osiadłych Sądeczan. Rodzina Reklewskich z Rogów składała się z typów nadających się do powieści, zresztą my wszyscy dla bacznego obserwatora stanowimy to samo.

Ksiądz Oleksik miał dobrą starszą gospodynię. Stół Wielkanocny przystrojony był tradycyjnie. Sąsiadów przyjmował suto doskonałymi wędlinami szynką, kielbaską leberką, jak zwał kiszkę paszтетową. Sam był smakoszem i zachęcał gości „mówię państwu leberka pyszna, jedzcie, bardzo proszę”. Nie obyło się bez tego, by pani Reklewska, chociaż jadła z apetytem, nie powiedziała od razu: „Dobra? – sucha, mało tłusta”. Po mięsach następowały doskonałe ciasta świąteczne: przekładaniec, serowiec, torty, mazurki. Ksiądz zachęcał dalej: „Serowiec rozplywa się, ale to się pani gospodyni udał”. „Rozplywa? – pytała pani Reklewska – niedopieczony jest, ot i tyle”. „Ale cóż znowu – bronił ksiądz – gdyby dłużej był

w piecu, kruszyłby się” „Ale co tam ksiądz wie, ksiądz się może tylko znać na fasoli”. Takie to były miłe rozmówki.

Podano torty, gorąco mi się zrobiło, bo między nimi jest ten, co go ofiarowała księdzu, gdy był u nas święcić. Ksiądz zachęca. „A co to znowu? – pyta pani Reklewska próbując i woła psiaka księdza – masz zjedz, bo mnie wcale nie smakuje”. A tu ksiądz mówi, że tort dostał ode mnie po święconym. Mimo, że ostentacyjnie dała kawałek psu, widzę, że bierze porcję na talerzyki. Mówi do synowej swej: „Nie wiesz, Janka, jak to się robi? Jakiś inny, nowomodny”. Najstarszy syn Reklewskich, Józef⁹, starszy o jakieś kilka lat od mego męża, gospodaruje u ojca w Rogach, jest ożeniony z moją koleżanką, bardzo miłą i ładną Janką Weiglówną¹⁰, córką notariusza¹¹ z Nowego Targu, jedynaczką.

Kościół w Podegrodziu góruje nad całą okolicą jak dwór w Brzeznej. Kto raz był w Podegrodziu w Palmową Niedzielę, temu wspomnienie to pozostanie na całe życie. Podegrodzki kościół jest piękny, obszerny i mógłby stanąć w większym mieście. Strojne palmy ponad 5 metrów wysokości, (których nieraz jeden chłop nie udźwignie, tylko gospodarz z parobkiem), chylą się w czasie podniesienia i furkoczą barwnymi wstęgami, połyskują złotonymi krzyżkami i śmieją się bibułkowymi kwiatami. W czasie „Wielkiego Postu” wije się sen o palmie święconej.

Gdy słońce wiosenne zaświeci, wypatruje się potrzebnego materiału na palmę. Długa, prosta żerdka, koło której wić by się mogły gałązki „iwy”. Sznurki konopne, postronki do wiązania przygotowane, służące do wyprowadzania bydła – a święcone w Palmową Niedzielę – kryją w sobie moc, że złe nie ma przystępu i uroki nie są szkodliwe, a bydło uderzone takim batem nie marnieje, przybiera na wadze i dobrze się doi. Wielkie to szczęście brać udział w Wigilię Palmowej Niedzieli w strojeniu palmy niczym Panny Młodej. Śmieją się oczy parobczaków na myśl, że niejedna z dziewcząt po rozebraniu palmy obdaruje ich krawatką zszytą z pięknej wstążki święconej lub kwiatkiem do ozdoby małego czarnego kapelusza. Palmy, bądź kto nieść do kościoła nie może, musi to być parobczak rzetelny, żeby przyniósł szczęście domowi. Cóż za cudny widok roztacza się, gdy wśród rozbudzonej natury, zieleńiących pól, po pagórkach i drożynach rozsypuje się cały barwny korowód, w krasie tężyzny siły z tym świętym talizmanem. Nie zapomną obejść trzy razy dookoła domu, a później, aż do Wielkiejnocy złożą palmę święconą w jej należnym miejscu w szopie lub pod okapem, położoną na wbitych w ścianę hakach. Niechaj strzeże całego żywego dobytku, niech się jej pięknnością uradują ci wierni towarzysze, te poczciwe bydlatka. Rezurekcja o szóstej wieczorem koło kościoła podegrodzkiego to drugi świetlany obraz. Mieni się w oczach od barwnych koralików, skrzących się w oczach kwiatów na czarnym aksamicie gorsetów. Białe jak śnieg koszule, pełne bogatych białych haftów pyszną się swą pięknnością. Szelczczą wykrochmalone spódnice z wzorami barwnych kwiatów, obszyte różnokolorowymi wstążeczkami. Wzorzyste chusty podegrodzkie otulają ramiona kobiet. Spod barwnych chusteczek ze strzępkami kolorowymi lub też suto haftowanych czepców wyłaniają się głowy z gładko zaczesanymi włosami. Buty wysokie, wkładane zazwyczaj pod kościółem u schodów wiodących na pagórek cmentarza kościelnego, dopełniają stroju. Mężczyźni, gospodarze

i co zamożniejsi parobczacy, którzy już potrafią zarobić, przedstawiają się nie mniej wspaniale. Nic dziwnego, że „dziopom”¹² aż oczy wylażą, gdy ujrzą tak odświętnie przyodzianego „choda-ka”¹³. A kiedyż wdziać na siebie te piękności, jak nie na największe Święto Zmartwychwstania Pańskiego, zwycięstwa „dobra nad mocą szatańską”. Od stukotu butów chłopskich, aż się ziemia trzęsie. Barwy haftów na długich kaftanach granatowych zalsniły się tęczę – brzęczą kółka szerokich pasów skórzanych, rysują się na portkach przepisowe serca okolone ustalonymi w barwach falami. Koszule białe nie mniej suto haftowane, jak u dziewcząt, z przodkami w sitka i mankietkami w piękne wijące się wzory roślinne. W kaftanach chłopskich ukryte echo najazdów szwedzkich, tkwi w nich pierwowzór mundurki wojskowej. Starsi, co to już w nich mniej zadzierzżytości i nieraz im chłód wieczorny dokuczy, powdziejali na się gunie¹⁴ grube brązowe, strojne też barwnym wyszyciem i wiązane kolorowymi sznurkami. Zaświeciło słońce, rzuciło swe promienie na lud spieszący za triumfalną figurką Zmartwychwstałego, dodało radości potężnej pieśni „Wesoły nam dziś dzień nastał”. Wesołą się wszystkie dusze, jeden silny zwarty głos płynie pod niebiosami. Proboszcz ksiądz Oleksik z przejęciem celebryje uroczystą procesję, niesie monstrancję, podtrzymywany przez okolicznych obywateli.

Dziwnym mi było, że on, w tym pięknie rozsianym wkoło niego, widzi zupełnie coś innego. Nie zauważa go. Pochodzi sam z ludu, co prawda nie z tych okolic, i wywodzi przede mną żale: „Patrząc nie mogę, jak kobiety w dzień świąteczny powkładają na głowę czerwone chustki albo te czepce haftowane. Co w tym ładnego? Miałoby tak blisko, a one ciągle są tak zacofane, bliżej miasta w kościele nie zobaczy się takiego stroju, wszystko delikatnie, po pańsku. Te kolory takie żywe, te wyszywania czerwoną nicią to budzą zmysłowość, namietność”. Zdumiona byłam. „To dobre było dawniej, ale dzisiaj, kiedy cywilizacja stoi wysoko, to razi”. Oto jak mówił ten, który powinien był stać na straży nieskażenia zabytków sztuki ludowej. Mimo wielu wad i błędów w duszy tego ludu tkwią zarodki i odczucia sztuki, który trzeba tylko uszlachetnić i podnieść. To stało się impulsem dla mego męża, że założył Szkołę Gospodyń Wiejskich w Podegrodziu¹⁵, której ja byłam kuratorką.

Kolejne Święta Wielkanocne w Brzeznej służą do odnotowania jeszcze jednego obyczaju sądeckiej wsi. W wielu gospodarstwach, w nieco zawężonej formie, przetrwał on do dzisiaj, mogą go corocznie ze wzruszeniem obserwować na polach sąsiadów. Oto zapis z 1911 roku:

Na Święta Wielkanocne przyjeżdża ze Lwowa Marian Ruszkowski¹⁶, trudno mu z powodu paszportu wyjeżdżać do Królestwa, a u nas czuje się doskonale.

Wspominałam wcześniej przy opisie obrządków Wielkanocnych, że Święcona Palma od Wielkiejnocy leży w szopie. W pierwsze święto po zjedzeniu Święconego zasiadają wszyscy po południu w chacie, śpiewają pieśni wielkanocne i rozbierają palmę. Żyrdek, krzyżyk złożony z góry chowają na rok przyszyły, postronki rozbierają chodaki, wstążki, kwiaty, świecidełka dostają się dziopom i chodakom, a z iwy i kokocyny robi się krzyżyki, by je powtykać w pola i zagony. Strzec one będą od gromu, gradu, zarazy i wszelkiego

zła, moc ich podniesie jeszcze woda święcona. Gdy się ściemni, idzie gospodarz z siewnym parobkiem, przyswiewając sobie wiechciami słomy, obchodzą wszystkie skiby i zagonki i znaczą je krzyżkami, święcą wodą święconą, przyniesioną w konwi. Uwijać się trzeba, by święcenie pól ukończyć zanim ptak obśpiewa, bo inaczej święcenie straci moc i złe będzie mieć przystęp. Święcić pola może tylko rzetelny parobek. W chacie kobiety też nie próżnują, zrywają się, by ich powracający z pola nie zastali w pościeli i nie oblali na „śmigust”. One to parobkowi, co święcił pola, szykują suty śmigust, smażą jajecznicę, dają kołacz i mięsivo, a łupki z jaj rozbitych niszane na sznureczki zawieszają przed domem na bądź jakim drzewku. Jak ludzie w drugie święto iść będą do kościoła, dziwować się będą „Jaki to suty śmigust dostał parobek”.

Pierwsza wojna światowa, zwana wówczas Wielką Wojną, odciskała swe piętno każdego dnia, zmieniając nie tylko tok i utarte schematy poszczególnych dni, ale przewartościowując priorytety i hierarchię spraw. Życie wszystkich uległo zasadniczej zmianie. Zofia Skąpska oddaje we wspomnieniach grozę tamtych dni, atmosferę strachu o najbliższych i troski o dorobek życia. Sądeczczyzna, jak żadna inna kraina, w sposób szczególnie ucierpiała w wyniku działań wojennych, front przechodził przez te ziemie kilkakrotnie, dokonując coraz większych zniszczeń. Trudno by życie toczyło się wedle przedwojennego rytmu, inaczej, skromniej przebiegały Święta. Najwyraźniej ukazuje to opis Wigilii z roku 1914, jest on zamieszczony w numerze poprzednim Hybrydy. Opis pierwszej wojennej Wielkanocy – znacznie skromniejszej niż poprzednie – poniżej. Znajdą tu też Czytelnicy informację, która w oczywisty sposób staje się aktualną i to w wymiarze wielokrotnie większym i bardziej dramatycznym niż sto lat temu. Myślę o uchodźcach, o ludziach, których wojna zmusza do opuszczenia swych domów, miast i najbliższych.

Od Wielkiego Piątku armaty znów huczą przez noc aż do rana. Wielkanoc wypada piątego kwietnia. Na Wielkanoc piekłam dla nas babki z dziesięciu kilogramów mąki najładniejszej, jeden placek z konfiturami i jeden z serem. Dla czeladzi piekłam kołaczki z mąki pszennej zmieszanej z jęczmienną, smarowane serem. Na kołaczki dawaliśmy kielbasę, wędzonkę, kawałek słoniny i boczek. Po Wielkanocy przybyło znowu ewakuowanych ze Staszówki, czworo dzieci i rodzice; już mamy szesnaścioro ludzi. Chłop, który służył we dworze, przyszedł do swej chaty na Wilię, już mu wojsko nie pozwoliło wrócić do dworu. Kulki przebijały przez całą chatę, wykopali dół w chacie i siedzieli tak trzy tygodnie, w nocy na czworakach wychodzili, by ugotować bób. Nie wzięli ze sobą nic, pościel pozabierali żołnierze do rowów. Nocą wymknęli się rowami do Grybowa, tam byli dziesięć dni między żołnierzami na ich wikcie, po drodze najstarszego syna kulka trafiła w tydkę, został w szpitalu. Maciej pisał do nas na Święta i donosi, że jest już na froncie, koło Dunajca za Brzeskiem. Nigdy wcześniej nie służył w wojsku, ćwiczył od siódmej rano do północy.

Rok później Austriacy umocnili swoją obecność na Sądeczczyźnie, a w Brzeznej zakwaterowano dużą grupę rosyjskich jeńców. Decyzją władz wojskowych pracowali w gospodarstwie. Ich

pobyt w Brzeznej przypadła między innymi na czas Wielkanocy. Oto zapis wspomnień Zofii Skąpskiej:

Największe uznanie dla nas wypowiadają jeńcy, mówiąc: „Polacy to dobre ludzie, szkoda tylko, że nie prawostawne”. Jest już Wielki Post, przyszedł do mnie jeniec i prosi, czy można trochę chrzaniu wykopać w ogrodzie. Pozwalam mu, ale zaintrygowana jestem, do czego im jest potrzebny. „Będziemy jeść, u nas też jest post, myjemy ze słoninką, zagryziemy chrzaniu zalanego wodą, aż łzy nam z oczu popłyną, a może i list od żonki przedziej przyjdzie. W domu jemy chrzany i polewamy go kwasem z buraków, ot post, tak trzeba”. W kwietniu przyszedł dla jeńców buty z podszewkami z miękkiego drzewa, przerobione ze starych połatanych komiściaków, pełne gwoździ. Przystano też i ubrania, wprost okropne, bluzki i spodnie pościągane z poległych, pełne plam od krwi, czuć to wszystko brudem. Gdy rzeczy te złożono w kancelarii, zaduch był niemożliwy.

Nadchodzi Wielkanoc, kołaczki dla ludzi i dla jeńców piekłam dopiero w Wielki Czwartek. Jak zwykle każdy kołacz po cztery litry mąki. Kołaczki czterdzieści osiem, a więc 192 litrów mąki. Mąka pszenna ładna. Zaczyniane i zarabiane było cztery razy, gdyż w piecu, w którym piekłam sześćdziesiąt bochenków chleba naraz, weszło kołaczki dwanaście naraz. Pocziwy Aleksiej Czumak¹⁷ (gospodarz na pięćdziesięciu dziesięcinach, do tego dodzieważał jeszcze sześćdziesiąt), wyrabiał mi ciasto, palił w piecu i ze mną usadzał. Zosia¹⁸ dzielnie mi pomagała i do ostatniej chwili nie poszła spać. Kołaczki były z marmoladą kupną w Nowym Sączu. Zosia rozsmarowywała marmoladę. Sera nie miałam, bo i mleka nie ma. Pieczenie skończyliśmy o wpół do drugiej w nocy, udało się doskonale. Dziewczęta moje i czeladnia kucharka poszły wcześniej spać, wcale ich to nie interesowało, że ja piekę ciasto. Przy kołaczkach piekłam i moje babki. Siedzieliśmy przed piecem piekarskim, cisza wokoło, dopalające węgle drzewne rzucają blaski, a tu płynie śpiewny głos Aleksieja. Zatonął we wspomnieniach, porwała go tęsknota za pięciorgiem pozostawionych dzieci, za żoną niebogą. „U nas tam teraz idą ludzie do cerkwi i pop batiuszka czyta dwanaście ewangelij”. Nie byłaby Wielkanoc ważna, gdyby jeńcy nie mieli swej paschy, toteż przychodzą z prośbą czy by nie mogli gdzie kupić najładniejszej mąki. Daliśmy im dwanaście kilo i z tego w Wielki Piątek Aleksiej z moją pomocą, bo o pieczeniu nie miał pojęcia, upiekł im paschy. Dałam im pół funta drożdży, oni przynieśli dwa litry mleka kupionego i czterdzieści jaj, i osiemdziesiąt kawałków cukru, ja im dałam pół kila cukru, trochę rumu, skórki cytrynowej, korzeni cynamonu i goździków. Piekli swe paschy w szalkach od jedzenia i w moich formach. Upiekły się ładnie. Masło, które dostali w Wielki Piątek do obiadu użyli do smarowania form i pasch z wierzchu. Po upieczeniu prosili mnie, by te paschy wziąć do siebie i dać poświęcić.

Mój stół mały, bardzo skromny, urządziłam w salonie. Dla siebie piekłam z osiemdziesięciu jaj, w ten sposób, że jedne babki piekłam z czterdziestu żółtek i dwudziestu białek, a drugie tylko na czterdziestu białkach bez żółtek. Prócz tego zrobiłam dwa placki z konfiturami z czterdziestu żółtek. Dla zachowania tradycji tortów, upiekłam tort fasolowy przełożony marmoladą. W gościnnym pokoju umieściłam kołaczki. Były ogromne, wyrosnięte, rumiane,

śliczne, trzeba je było osobno rozkładać, aby się nie polepiły. Na osobnym stoiku umieściłam paschę Moskali. Na swój stolik jeńcy przynieśli jeszcze jajka kolorowe, sól, chrzan i piętki chleba. Austriacki żołnierz, ich dozorca, przystał do poświęcenia talerz z kawałkiem chleba, kilkoma jajkami bez skorupki, flaszeczką z octem i solą. Podczas święcenia przyszli trzej jeńcy i asystowali przy swoim święceniu. Od południa w sobotę nie mieli już zajęcia. Wieczorem, gdy zjawili się po wyplatę, byli wszyscy wymyjni, wypachnieni, wygoleni, w czystych koszulach; wyglądali bardzo sympatycznie. Przed Świętami prosili, by im kupić pachnącego mydła glicerynowego. Wielką niespodzianką dla nich, było to, że tak jak nasi ludzie, dostali po kołaczku. Każdemu dawałam z osobna kołacz i wędlinę. Kołacz całowali i dziękowali bardzo. Austriackiemu żołnierzowi, ich dozorczy, daliśmy babkę, salceson, kiełbasę i schabik. Uradowany, był mniej oporny i przystał na to, by jeńcy w Wielką Niedzielę poszli do kościoła do Podegrodzia na sumę. Spełni się więc ich pragnienie. Gdy już dostali kołaczki powiedzieli, że paschę swą zabiorą jutro rano. Dozorcą jeńców z naszej strony jest pan Kazimierz Śliwka siostrzeniec księdza Oleksika (ukończył Akademię Handlową w Wiedniu), zapytują go jeńcy, czy będą mogli rano przyjść nam powinszować. Przy rozdawaniu kołaczy tak jeńcy, jak i nasza czeladź, dostali po kieliszku wódki.

W Wielką Niedzielę rano, dwudziestego piątego kwietnia, przyszli jeńcy przed dwór, ustawili się rzędem i zaśpiewali „Chrystos woskros” po rosyjsku, a potem „Boże cara chrani”. Nastąpiły życzenia, by nam Bóg udzielił zdrowia i szczęścia, dziękowali za wszystko i zapewniali nas, że mają takie święta, jak w domu. Zabrali swe paschy, mnie jedną ofiarowali z prośbą, bym nie odmawiała i od nich przyjęła. W kościele zachowywali się bardzo przyzwoicie i modlili pobożnie. Po obiedzie grali na bałatajce, którą sami zrobili i tańczyli na dworze trepaka. Zapewniali nas, że Świąt tych do końca życia nie zapomną. „Choć w Rosji będziemy, to wspominać będziemy Państwa”, życzyli nam, by się nam to wszystko pięciokrotnie zwróciło. Proszili, by z miasta sprowadzić fotografa, byśmy się dali wszyscy z synami i córkami, no i z nimi sfotografować. „Każdy z nas będzie miał miłą pamiątkę, a co będzie kosztować, to my już z chęcią zapłacimy. My nie czujemy, że my w niewoli, jak byśmy w domu byli”. Miłe nam są te oznaki ich życzliwości i zadowolenia. Myślimy o głębokiej Rosji i o tęsknocie tak wielu naszych, co się też znajdują w niewoli. Może i tam są ludzie, którzy starają się ulżyć im w tych chwilach Świąt tradycyjnych, gdy serce najbardziej tęskni do swoich, do zwyczajów i do domu rodzinnego.

W poprzednim numerze Hybrydy, prezentując fragmenty wspomnień Zofii Skąpskiej dotyczące Boże Narodzenia, kończąc, życzyłem nam wszystkim, aby nic nie mąciło świątecznego nastroju i spokoju. Wtedy chyba spełniło się. Wielkanoc w tym roku będzie inna. Nawet jeśli wojna na Ukrainie zakończy się do połowy kwietnia, to nie zakończą się dramaty i nie zagoją blizny. Długo jeszcze nie zatrze się w naszej pamięci to wszystko, co każdego dnia do nas dociera, to o czym słyszymy i co przeżywamy, współczując i pomagając Ukraińcom i z wielką troską myśląc o naszych dzieciach, wnukach, o nas. Inne będą Święta Wielkanocne i inne będą wszystkie kolejne dni. Trauma

pozostanie. A szykując stół do wielkanocnego śniadania, obiadu i kolacji wigilijnym zwyczajem postawmy na nim jedno albo i więcej nakryć. Nałóżmy na talerze tyle, ile możemy podarować bezdomnym, wypędzonym przez okrutną wojnę ukraińskim sąsiadom. Alleluja.

Przypisy:

1 Anna Feldszar z d. Skąpska (1857–?), siostra przyrodnia Jana Skąpskiego, wówczas wdowa.

2 Stanisław Skąpski (1854–1919) z drugą żoną Heleną z d. Gostwicką mieli synów: Bronisława (1886–1947), aktora i dyrektora teatrów, Kazimierza (1888–?), Władysława i Adama.

3 Władysław Skąpski (1897–1961), przed II wojną działacz PPS, kupiec bronią. W czasie okupacji szef kontrwywiadu okręgu krakowskiego AK. Po wojnie w strukturach WiN, więziony w latach 1946 – 1956. Organizator przewiezienia Wincentego Witosa z Wierzchosławic do Krakowa jesienią 1944.

4 Adam Skąpski (1902–1968), chemik, prof. AGH, sekretarz generalny Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w rządzie londyńskim, po 1946 wykładał na uczelniach w USA i Nigerii. W Krakowie pozostała żona Jadwiga (1902–1978) oraz związane z Piwnicą pod Baranami córki: Irena „Lala” 1° v Kasper, 2° v Święcicka (1931–1971), historyk sztuki, konserwator i Barbara (1938 – 2015), malarka.

5 Maciej Bodziany (1879–1956), pracował u Zofii i Jana Skąpskich do 1939 roku, przeniósł się za nimi do Wielkiego Łęcka na Pomorze, gdzie zmarł.

6 W Piątkowej koło Nowego Sącza (obecnie w granicach miasta) mieszkała siostra Jana Skąpskiego, męża Autorki (1873–1950) – Helena Jagoszewska (1871–1969) i jego rodzice Wanda z d. Bukowska (1836–1922) i Antoni (1813–1915) Skąpscy.

7 Ksiądz Jan Oleksik (1856–1928), proboszcz parafii św. Jakuba Starszego Apostoła w Podegrodziu w latach 1893–1928, wcześniej w latach 1889–1893 w Szczawnicy, zmarł w Podegrodziu. 16 grudnia 1914 r. u księdza Oleksika nocował na plebanii Józef Piłsudski.

8 Zofia z Gostkowskich Reklewska (1855–?), córka Leokadii z Duniakowskich i Wincentego. Roman Reklewski (1842–1917), syn Augustyna (1802–po 1867) z Krużlowej i Pauliny z Wielogłowskich (1815–1855).

9 Dziopa – w sądeckiej gwarze – dziewczę.

10 Chodak lub chłodak – w sądeckiej gwarze – młodzian.

11 Gunie – ciepłe spodnie typu góralskiego z samodziałowego sukna.

12 Szkoła ta powstała z inicjatywy posła Stanisława Potoczka (1849–1919). Jan Skąpski włączył się w tę inwestycję bardzo aktywnie.

13 Marian Ruszkowski (1888–1967), ukończył studia architektoniczne w Wiedniu, syn Klemensa, brata matki Autorki, i Józefy z d. Kwiatkowskiej, żonaty z żoną z Ireną z d. Kozakowską 1° v Zólkiewską (1900–1958), bezdzietni. Współautor projektu odbudowy (1947–1949) Pałacu Blanka w Warszawie (Senatorska 14).

14 Jeniec.

15 Zofia Skąpska (1904 – 1988), z męża Scholtze, od 1949 Szolce. Córka Autorki.

KRYSTYNA HABRAT



POLUBIĆ WYCIĘ WIATRU JESIENIĄ

„I jak tu polubić jesień, gdy tak paskudna, a noc przychodzi w połowie dnia?” – pomyślała Dorota, śledząc targane podmuchami wiatru gałęzie drzew za oknem. Mokre od dżdżu alejki pod nimi skrzyły lodowato w poświacie latarni. Spadały ostatnie liście. „To wicherzysko przeszywa nas zimnem na wskroś niczym ludzka niechęć. W listopadzie nawet my jesteśmy gorsi. I wszystko, co najstraszniejsze spada na nas jesienią.”

Wzdrygnęła się. Skąd takie coś przyszło jej do głowy? Próbowała temu zaprzeczyć. Na gwałt usiłowała przypomnieć sobie rzeczy dobre, jakie od losu otrzymała, ale w tej chwili nic takiego nie mogła sobie uzmysłwić. Zupełnie, jakby nigdy szczęścia nie zaznała. A przecież każdy ma trochę szczęścia!

Przestraszyła się, że ona, terapeutka pomagająca innym wydożyć się z dołka psychicznego, sama popada w chandrę. Jej przecież nie wolno ulegać nastrojowi chwili. Za chwilę wyjdzie do kobiet, które przyjechały z daleka po to, aby nauczyć je lepiej żyć i nie poddawać się smętkom.

Będzie więc i tym razem, pokazywać im jak odarte z liści drzewa tworzą misterne rysunki na tle szarego nieba. Można na nie patrzeć i patrzeć. Czasem niebo o zachodzie raczy ludzkie oczy pasami purpury i lazuru. Mokre od deszczu ulice błyszczą. A w ponure wieczory, gdy za oknem ciemno, usiąść w fotelu pod lampą z filiżanką kawy i poczytać jakąś powieść. Albo smażyć placki kartoflane dla rodziny, siedzącej wokół stołu, i radować się widokiem, jak je pałaszują z talerza.

Zwykle w ten sposób rozpoczyna warsztaty terapeutyczne jesienią. Sama do siebie owych nauk nie stosuje, bo od powieści woli książki naukowe, i bardziej ruch niż czytanie, a smażyć placków ona nie ma komu. Nie jest za bardzo ładna, nigdy nie była za bardzo zdolna, nie pokochał jej nikt, a nieciekawych historii się nie liczy, coś jednak w życiu osiągnęła. Mozolnie kończyła studia, kursy i specjalizacje. Zdobywała dyplomy i tytuły. Teraz jako terapeutka licząca 52 lata może uczyć ludzi, jak żyć.

Czasem tylko miewa wątpliwości, czy jej nauki komuś pomogą, lecz nic innego nie potrafi, a odkąd pamięta pragnie pomagać innym. Dziś rozpoczyna kolejny turnus szkoleniowy.

Najwyższy czas powitać uczestniczki.

Kobiety już na nią czekały. Były raczej młodsze od niej, takie właściwie dziewczyny koło trzydziestki lub nieco więcej. Przycupnęły na krzesłach ze spuszczoneymi głowami. Na jej widok podniosły pełne oczekiwania spojrzenia i jej zniechęcenie przeszło, jak ręką odjął. Poczwała w sobie dość sił, by im pomóc. Musi tylko nimi potrząsnąć, aby się obudziły z gnuśności, wydobyły z niepewności.

Zaprosiła je do sali treningowej i rozsiadła się wygodnie w fotelu na podwyższeniu. One powoli gramoliły się poniżej, na materace do ćwiczeń naprzeciw niej. Musiały zadowolić się siadem po turecku. Ona siedziała na podwyższeniu, aby widzieć całą grupę. Ale to miejsce znaczyło coś więcej. Że zapanowała nad nimi.

Odtąd była tu najważniejsza, a te o smutnych oczach – teraz wpatrzonych w nią z zaciekawieniem – słuchały jej poleceń. Oczekiwały od niej pomocy z ufnością, że pomoże im naprawić życie. Dlatego zdobyły się na przyjazd. Zacerpnęła głęboko powietrza i poczuła przyływ energii.

Klasnęła w dłonie i zarządziła wstępne ćwiczenie rozluźniające:

– Wstajemy. Oddychamy głęboko. Ręce w górę! Wysoko! Jak najwyżej! Wyciągamy się do nieba. Wyżej! – Jak zwykle na początku robiły to niezgrabnie. Wytrenuje je.

Uwagę Doroty zwróciła dziewczyna, która nie patrzyła na nią – jak pozostałe – z oddaniem, a jakby z niedowierzaniem. Podczas ćwiczeń ociągała się o sekundę, o dwie. No tak, pozostałe przyjechały tu jednym autokarem, a tą mąż przywiózł autem. I to jaki mąż! I jakim autem! Przystojny niczym amant z filmowego romansu przyjechał srebrną toyotą, pocałował Dorotę w rękę i poprosił o opiekę nad żoną, która „za bardzo się wszystkim przejmuje”.

Dorota omal nie parsknęła wtedy śmiechem. Zdołała kiwnąć tylko głową i pomyślała, gdy już tamten przytulał na odchodne swe nadwrażliwe stworzenie, że będzie musiała ją trochę przywołać do porządku. Inaczej to lelum-polelum nigdy z tego nie wyrosnie.

Najpierw zmieniła jej imię.

Kiedy dziewczyny przedstawiały się po ćwiczeniach i padało: Zula, Weronika, Anna, Teresa, znowu Anna, ta powiedziała:

– Melania. Ale mówią na mnie Anna, Ania, a najbliżsi: Mania.

– „Co za staroświeckie imię! Jak ze starych romansów” – pomyślała Dorota i orzekła:

– Mamy już tu Annę oraz Anię, to będziesz: Mela. Taka szara, nieco niemrawa i rozlazła, jakby pobrudzona melasą. Mania to nazbyt familijne i słodkie imię. Przyjechałaś tu, aby się wydobyć z sentymentalizmu i wszelkich clikiwości.

– Ależ, ja wcale nie jestem niemrawa ani sentymentalna! – próbowała protestować, przywołana tak do porządku, dziewczyna.

– Nie przejmuj się – złagodziała litościwie Dorota. – Sentymentalizm to tylko eufemizm przewrażliwienia. Utrudnia życie więc je tu zwalczamy.

Mela skinęła głową potakująco i usiłowała coś jeszcze dodać, lecz Dorota zarządziła już kolejne ćwiczenie uspokajające.

I tak się to zaczęło. Zaraz pierwszego wieczoru Mela próbowała sprzeciwić się wyjściu o tak później porze na spacer poza pensjonat, w ciemność, że oko wykol. Na to Dorota oznajmiła stanowczo, że takim sposobem wyzbywają się lęku i musi iść.

Każdego dnia skoro świt potulnie wybiegały w dresach, opatulone szalikami, okrążyć trzy razy pensjonat. Dalej biegły do jadalni na śniadanie, ale ledwo widziały, co na stole, bo myśli miały zajęte treściami wpajanymi przez terapeutkę. I zaraz siadały posłusznie na materacach w sali treningowej, gdzie do późna w nocy słuchały monologów trenerki i wykonywały ćwiczenia terapeutyczne. W przerwach zjadały obiad i kolację. Po niej, już po ciemku, maszerowały gęsiego przez aleję starych drzew, ciągnącą się od pensjonatu do centrum miasta, gdzie o porze nie spotykały żywego ducha. Bały się okropnie, że ktoś może się gdzieś w krzakach zaczaić. Byłe krzewy urastał do miary dzikiego zwierza albo bandziora. Ale jeszcze bardziej bały się zdradzić z tym i zadrzeć z terapeutką, więc nie patrzyły na boki, a tylko w plecy tej przed sobą i szły tak każdego wieczoru po ciemku. Nawet w deszcz – pod parasolami.

Zdążyły zauważyć, że odkąd Mela pierwszego dnia sprzeciwiła się Dorocie, ma u niej przechlapane. Niby nic, a wywołuje ją zawsze na końcu, daje najgłupsze zadania, kwitowane potem kąśliwie. Niby drobiazg, ale żadna tego nie chciała. Dlatego późnym wieczorem, choć były już bardzo zmęczone i senne, posłusznie opowiadały o sobie – tak jak terapeutka każe.

Mąż jednej z nich podejrzanie długo nie wracał z Ameryki, gdzie miał sobie tylko trochę dorobić. Co go tam trzymało? Może inna kobieta? Druga miała problemy z synem. Nie uczył się, nie słuchał jej, ani nikogo. Inna nie radziła sobie z niczym... Miała zaniedbane dzieci, zaniedbany dom i cały dzień krzątała się po domu jak opętana, a nic nie było zrobione do końca. W pracy też coś jej wciąż wytykano. Bardzo się starała, a nie mogła ze wszystkim nadążyć! Następna podobnie. Cały dzień sprzątała mieszkanie, a jak już wysprzątała wszystko, pierwszy kąk wymagał znów sprzątania. Zaczęła nawet brać zwolnienia lekarskie z pracy, aby móc

sprzątać. Lekarz powiedział, że to nerwica i czasem dawał jej te L-4, aby odpoczęła, a ona zaraz brała się za porządkowanie. Tylko sił jej zaczynało brakować. Każda z nich liczyła, że terapeutka postawi ją na nogi. Zresztą, tak obiecywało ogłoszenie w internecie.

– A wiecie, moja mama też całe dni sprzątała mieszkanie! – wykrzyknęła Dorota. – Myła w kółko okna. Czasem zerknęła na któreś i mruzczała sama do siebie: „Już nie pamiętam, czy je w tym tygodniu myłam? To na wszelki wypadek umyję.”

Urwała nagle i zakryła ręką usta. Poniewczasie ugryzła się w swój długi język. Była zanadto popędliwa. Pracowała nad sobą już tyle lat, aby poskromić swe gadulstwo i emocje, a ciągle zdarzało się jej powiedzieć coś, czego nie powinna. Znowu ktoś zacznie jej mamę krytykować, a chciała tylko zachęcić dziewczyny do zwierzeń, aby dowiedzieć się, jakie obszary ich życia należy przepracować podczas turnusu.

Zachęciła do głosu następną uczestniczkę kursu i pogрузyła się we wspomnienia.

Kiedy mama sprzątała dom, ona wycierała nosy trójce młodszego rodzeństwa, obierała marchew i ziemniaki na obiad. Krociła słoninę na zasmażkę do zupy, to na skwarki do ziemniaków. Moczyła pranie. Brakowało jej czasu na naukę, ale czystość w mieszkaniu cieszyła.

Żeby tak można było cały świat uporządkować! – zapisała na kartce, wyrwanej naprędce z zeszytu i ukryła ją pod okładką brulionu.

Wkrótce okładka się wyrzuciła od kolejnych kartek z takimi zasadami. Bała się, że ktoś to odkryje, przeczyta i ją wyśmieje, bo sama wymyśla recepty na lepsze życie, a nie jest z siebie zadowolona. Ciągle coś zamierza, postanawia, a niewiele z tego wychodzi.

Wiedziała doskonale, że powinna się więcej uczyć, bo nauka nie za bardzo wchodzi jej do głowy. Tylko w domu zawsze było co niemiara roboty. Ojciec pracował za dwóch, żeby wyżywić gromadkę. Matka uwijała się cały dzień, była ciągle zmęczona i nigdy się nie uśmiechała. Za to krzyczała nieustannie. Na dzieci. Na męża. Najwięcej obrywało się Dorocie – jako najstarszej – że tego nie zrobiła, tamto źle, że znowu o czymś zapomniała. Gdy tylko wracała ze szkoły, musiała pomagać przy gotowaniu obiadu, praniu, sprzątaniu i obrywała, że to czy tamto zaniedbała. A młodsze rodzeństwo biegło beztrudnie po całej okolicy. Oni wciąż byli za mali, aby pomagać w domu. Zresztą, od chłopaków nikt nie oczekiwał obierania ziemniaków, mycia naczyń czy ścierania kurzu. Ale najgorzej było, gdy mama wracała z wywiadówki i padało nieodmiennie, że mogła się bardziej postarać, że powinna być lepsza. Powoli narastał w niej bunt.

Kiedyś, patrząc na wiecznie niezadowoloną matkę, zapisała sobie – na kolejnej karteczce, którą ukryła za okładką brulionu:

Mieszkanie powinno być czyste, ale potrzebny też w nim uśmiech.

To była kolejna zasada, którą wymyśliła. Jej własna zasada porządkowania świata.

Dorota, jak mogła, próbowała wcielać ją w życie i z byle powodu wybuchała śmiechem. Nawet na siłę. Tylko że to nie był perlisty, filmowy śmiech młodej dziewczyny. Dorota raczej parskła rubasznie. Wolała nawet tak, bo takim śmiechem ukrywała wzruszenie, którego nie chciała pokazać, w obawie przed wyśmianiem czy zranieniem. Najczęściej reagowała tak, gdy matka niesprawiedliwie obarczała ją winą, że niedbale posprzątała, że nie przykłada się do nauki, a stać ją na lepsze stopnie, że nie dopilnowała brata i się skaleczył... Nie pozwalała jej na żadne tłumaczenia. Wtedy Dorota przykrywała swe rozżalenie śmiechem, a matka mówiła oziębłe, że śmieje się głupio.

Trudno. Znała już, wyczytaną w kobiecym piśmie opinię, że kto, śmiejąc się, nie staje się ładniejszy, jest po prostu brzydki. Sprawdzała to w lustrze niejednym raz i rzeczywiście – ona, śmiejąc się, robiła się jeszcze mniej ładna. Całkiem brzydka! Musiała pogodzić się z tą prawdą.

Wtedy do schowanych głęboko za okładką brulionu kartek przybyła kolejna, z kolejnym zdaniem:

Uroda i szczęście nie są w życiu nieodzowne.

Po chwili zamyślenia Dorota dopisała jeszcze:

To przecież nie boli.

Było to nie tyleż stwierdzenie, co postanowienie. Tak ma być! Nie boleć! I odtąd się tego trzymała.

Tylko, ile razy odczytywała te notatki, wzdychała nie wiedzieć czemu. Pocieszyła ją myśl, że przyszedł jej do głowy tak ładny ten ostatni wyraz: „nieodzowne”. Z polskiego, zresztą podobnie jak z matematyki, nie była orłem. Nie była czytana, bo męczyło ją długie ślęczenie nad książką. Nawet powieści nie były na tyle ciekawe, aby po kilkunastu stronach nie pragnęła zerwać się z krzesła i zrobić cokolwiek innego. Ruszać się. Gdzieś iść. Biec.

Jeszcze w liceum, gdy wymyślonych przez siebie zasad życiowych spisała na kartkach już bardzo dużo, kupiła sobie niewielki notes i przepisała je tam starannie. Długo rozglądała się, gdzie go schować, aby nikt nie wyśmiał jej sekretów. Wreszcie wcisnęła go za łóżko, pod kilimek zwisający do samej podłogi. Zaraz następnego dnia, gdy Dorota wróciła ze szkoły, notes niczym wyrzut sumienia leżał na stole. Tego dziewczyna nie przewidziała. To matka przy sprzątaniu odsunęła łóżko i wypadł.

Matka chyba nie wiedziała, co powiedzieć, ale przez kilka dni nie patrzyła jej w oczy i milczała. Najwyżej obrażonym tonem wydawała polecenia. Obierz ziemniaki! Ukrój słoniny na skwarki! Idź po Jasia do przedszkola! Umyj linoleum w kuchni! Tylko szybko!

A ona akurat dostała dwóję z fizyki. Klasówka z matematyki też jej nie poszła dobrze. Była wtedy naprawdę nieszczęśliwa.

Cóż, nie była zanadto zdolna. Ani ładna. I nie miała nawet gdzie trzymać swojego notesu z tajemnicami. Jak się obawiała, matka długo docinała jej na ten temat. Przy byle okazji rzucała kąśliwe uwagi o tajemnicach córki. I wyciągała je jeszcze długo, gdy zbiorczo wyliczała jej wszystkie grzechy od czasu pieluch. Minione przewinienia z biegiem lat stawały się coraz straszniejsze.

Wtedy postanowiła studiować pedagogikę. Chciała uczyć dorosłych, jakimi rodzicami powinni być, bo w głowie kołatało jej już tylko jedno hasło:

Rodzice popełniają błędy wobec dzieci, bo zapomnieli swego dzieciństwa. Trzeba im to przypominać.

Tylko sama o swych zasadach zapominała, bo bała się wyciągać notes w czyjejs obecności, a chowała go tak, że nieraz z trudem odnajdywała. Zazdrościła koleżankom, które miały własny pokój, własne biurko, biblioteczkę z ulubionymi książkami i nikt im w rzeczach nie grzebał. Własny pokój stał się jej największym marzeniem. Nawet nie mąż, dzieci, ale takie osobne miejsce.

Ale mama wciąż gderała, że stać ją na lepsze stopnie w szkole. Wtedy przychodziły jej do głowy kolejne prawdy do zapisania:

Dorośli powinni pamiętać, jak to było w ich dzieciństwie. Czym się zamartwiali.

Innym razem:

Świat jest jednak bardzo niesprawiedliwy.

I jeszcze:

Dobrzy cierpią najbardziej, bo od nich świat najwięcej wymaga. Tacy przecież nie odmówią, gdyż chcą być dobrzy.

To ostatnie spostrzeżenie szybko jednak zamazała. Z całych sił pragnęła, aby nie okazało się ono prawdziwe, postanowiła mu zaprzeczyć, udowodnić, że dobro jest potrzebne.

Nawet bez trudu dostała się na pedagogikę. Raz, gdy radowała się z koleżankami zaliczeniem sesji, rozbawiona napomknęła, że studiuje, aby doradzać dorosłym, jak wychowywać dzieci, bo sama miała surową matkę. Wtedy one, pominięły jej szlachetne zamierzenia, a zaczęły krytykować jej mamę. Ledwo broniła się przed ich natarczywymi pytaniami, a one wszystko wyolbrzymiały, a już nazwanie jej matki złą kobietą ubodło ją. Zrobiło się jej matki żal.

Wcale nie była taka zła. Mieszkanie było zawsze wypucowane, kryształowo przejrzyste okna, białe firanki, potrzone dywaniki na podłogach. Każdego dnia na męża i dzieci czekała zupa i drugie danie. Wszystko zgodnie z zasadami. Tylko matce ledwo starczało na wszystko czasu i zmęczona nie miała już sił się uśmiechać. To nadmiar obowiązków i brak sił zrobiły z niej kobietę szorstką, nie panującą nad językiem. Pokrzykiwała na Dorotę, wечно się spieszyła, łudząc się, że jednak ze wszystkim zdąży. Zanim urodziła trzecie dziecko była księgową i zawsze miała dopięty bilans. Ojciec, też księgowy, a wtedy kierownik działu, właśnie ją upatrzył sobie na towarzyszkę życia. Jako pani domu okazała się też akuratna w każdym calu. Sprzątała, prała pieluchy i starannie je prasowała. Dobrze gotowała, ale na robienie bardziej wymyślnych dań nie starczało czasu. Ani pieniędzy. Na żadne tam frykasy czy zbędne rozrywki. Mieszkanie łniło, rodzina była najedzona, zdrowa, i to musiało wystarczyć. Ten bilans też się dopinał.

A że miewała złe humory, że krzyczała, że całą złość skupiała na niej, Dorocie, jako najstarszej, bo od niej najwięcej wymagała,

to cóż, do świętości matce czegoś zabrakło. Może doba była za krótka i nie zdążyła ze wszystkim, co ją irytowało? Za mało miała sił na wszystko?

Po zażartej dyskusji z koleżankami z roku w grubym już notescie Doroty pojawiło się nowe hasło:

Nigdy nie przytakuj, gdy ktoś zali się na bliską mu osobę, bo on podświadomie pragnie zaprzeczenia.

Odtąd Dorota patrzyła już na matkę inaczej. Potrafiła ją usprawiedliwić. Oczywiście była w domu zanadto krytykowana. I w domu i w szkole stawiano jej za wysokie wymagania. Nigdy nie zdołała im sprostać i w końcu przestała wierzyć w siebie.

Pewnie dlatego szczęścia w miłości nie zaznała. Tylko studia nawet poszły jej bez większego problemu, bo rzuciła wszystko na jedną szalę, aby je ukończyć i podjąć pracę w tym zawodzie. Ale ona wiedziała, dlaczego nic więcej się jej nie udaje i tylko notescowi powierzyła po latach swą tajemnicę, ujętą lakonicznie:

Ktoś nieustannie krytykowany kurczy się, maleje. Rosnąć można tylko na pochwałach.

A kiedy uczyła o tym innych, dopisała kolejną zasadę:

Najpierw pomóż sobie, wylecz swe rany, bo dopiero wtedy będziesz mogła pomóc innym!

Właściwie dotąd ma wątpliwości, czy sama spełnia już ten postulat.

Pomaga innym z wielkim zapałem. Lubi zmieniać ludzi. Raduje ją, że jej słuchają. Czasem tylko wypracowany starannie mechanizm zawodzi. Jak tego dnia, gdy na kursie zjawiała się piękna Melania, przywieziona przez przystojnego męża piękną toyotą.

Dorotę zaraz pierwszego dnia uderzył w oczy kontrast pomiędzy Melanią a jej pustym życiem. Bilans był taki, że wtedy siadła zrezygnowana i od razu sama zjadła kawałek tortu, który szykowała na wstępny poczęstunek dla wszystkich kursantek. Zajęcia miały się rozpocząć za dwie godziny, by się rozpakowały, zadmowały, ale ona nie miała nic do roboty. Czytanie jej tego dnia nie nęciło. Nigdy zresztą aż tak bardzo. Cóż więc miała robić w pustawym o tej porze pensjonacie w górach? Zjadła drugi kawałek tortu. I tak po kawałku prawie cały tort. No i poczęstunku dla wszystkich nie było.

A później wszystko poszło, jak w szkole, gdy dostanie się pierwszą dwójkę rano, na pierwszej lekcji, i do końca dnia już nic nie się nie udaje – oceniła po kilku dniach, gdy długo w noc nie mogła zasnąć.

Jakże tej Melanii nie cierpiała! Wiedziała, że jej, terapeutce, tak nie wolno, bała się, że dziewczyny czegoś się domyślą, ale nie mogła się przemóc. W tym była bezsilna.

Wstała, zapaliła lampkę nocną i ze skrytej kieszeni walizki wydobyła notes, by zapisać:

Człowiek może pokonać każdego, ale siebie nie.

– Wiecie dziewczyny – powiedziała następnego wieczoru – ja to mogłabym ułożyć poradnik życia, żeby przestrzegać wszystkich przed błędami.

– Taki poradnik szczęścia – ucieszyła się Teresa.

– O, czegoś takiego potrzebujemy! – padło gdzieś z boku.

Dorota roześmiała się i zaraz się rozgadała, przestrzegła przed teoriami, że mamy już XXI wiek, za sobą rewolucję obyczajową i wszystko nam wolno. Nie, nie wolno, A takie podejście do życia jest nawet niepraktyczne.

Któregoś dnia opowiadała dziewczynom – niektórym zasłuchanym, innym drzemiącym po całym dniu ćwiczeń i warsztatów – o dawnych zwyczajach związanych z wychodzeniem za mąż. Młodzian starający się o rękę panny dokładał starań, żeby wypaść jak najlepiej w oczach wybranki, a i ona robiła wszystko, by zaczarować kawalera. Mama, babcia, wszystkie ciotce, nawet przyjaciółki pouczyły młodą narzeczoną, przestrzegały, stroiły ją, na gwałt uczyły prowadzenia światowej rozmowy.

Rodzina panny starała się wywieźć wszystkiego o rodzinie kandydata na męża. Jego rodzina wzajemnie. Obecnie wiele spraw się uprościło. Kto tam pyta o majątek rodziny, posag panny, czy pozycję towarzyską? Ale trzeba mieć pojęcie, czy chłopak lub ktoś z jego bliskich nie nadużywa alkoholu, nie choruje psychicznie. Lepiej też poznać zdanie przyszłego męża w kwestii wiary i jego poglądy polityczne...

Spotykając się kilka miesięcy młodzi dowiadują się o sobie coraz więcej. Mogą sprawdzić swoje charaktery, dzielić się zamiłowaniem. Lepiej bacznie się przyjrzeć potencjalnej drugiej połówce, żeby potem nie powinno być zaskoczenia, że „wydawała się taką miłą dziewczyną, a siedzi ciągle przed lustrem i wydaje wszystko na kiecki”. Pusta panna nie będzie dobrą żoną, dbającą o dom. Ciasta nie zagniecie, ziemniaków nie obierze, bo będzie się bała zniszczyć lakier na paznokciach. Bywa, że chłopak, niby przyzwoity, uprzejmy, ogląda się za każdą spódniczką. Okazuje się wiecznym amantem, wesołkiem nie mogącym usiedzieć w domu. Podrywaczem czy pijakiem nie warto sobie zawracać głowy! Po ślubie się nie poprawi, a pogorszy, bo już nie musi udawać porządnego!

– Zastanówmy się teraz, jaki powinien być dobry mąż, dobra żona, w ogóle człowiek – zakończyła Dorota.

Na te słowa ocknęły się wszystkie z półdrzemki, półzamyślenia, popatrzyły nawzajem po sobie i znowu popadły w zamyślenie. Wtedy Mela powiedziała:

– Ja tam nie wierzę w dobro. Znam dużo dobrych ludzi, ale oni bywają wykorzystywani przez tych z wadami: egoistów, leni, skąpców... Dobrzy cierpią najwięcej. Zostają męczennikami.

Na to Dorota zmarszczyła brwi. Wprawdzie sama kiedyś napisała, że dobrzy cierpią najbardziej, bo świat najczęściej od takich wymaga, ale tyle nad tym rozmyślała, żeby temu zaprzeczyć, aż w końcu zaprzeczyła, a tu Mela psuje jej szyki, podważa jej teorię! Ona zawsze ma inne zdanie. Co teraz powiedzieć tym, które jej zawierzyły i liczą, że im pomoże?! One wciąż powtarzają za nią, jak za panią matką, to, co im powie. Jedna Mela jest nastawiona krytycznie.

– Powiedz, Mela, czemu ty nie cenisz dobroci? Jesteś nad wyraz uprzejma, spokojna, a stanowisz tu ciągle jakąś zadrę.

– Bo ja mam imię po Melanii z Przemięto z wiatrem. Rodzice pragnęli, abym była tak samo dobra. A ona cierpiała bardziej niż inni. Musiała przecież się domyślać, że ukochany mąż, ten wspaniały Ashley, nie jest jej tak do końca wierny. I jeszcze młodo zmarła. Nie chcę tak! Dobrzy cierpią więcej!

– Jutro o tym porozmawiamy – zdecydowała Dorota. – Jak w tamtej powieści.

Wybrnęła. Nie domyśliły się, że była zupełnie zbita z tropu, że nie wiedziała, co dalej powiedzieć.

Wszystkie już wyszły z sali ćwiczeń. Na korytarzu stała jeszcze mała grupka. Meli nie było. Pewnie pobiegła do piwnic pod prysznic, bo Dorota ten na ich piętrze zarezerwowała dla siebie. Wtedy Weronika spytała:

– Dlaczego wciąż korygujesz Melę? Czy uważasz, że ma zły charakter i należy ją urobić?

– Właściwie nie. Tylko niedobrze, gdy w grupie ktoś góruje nad wszystkimi jakby był lepszy, mądrzejszy...

Dorota zamilkła, zła, że powiedziała za dużo. Ciągle nie potrafi powstrzymać swego języka.

Dziewczyny pospuszczały głowy. Dorota nazwała to, wszystkie od początku czuły. Mela знаła kilka języków, grała na fortepianie, i była tak dobrze ułożona, taka uprzejma, że aż mdliło. Któraś wyznała, że w jej obecności cały czas boi się, że zrobi coś głupiego, powie coś, czego nie wypada. Wszystkie to podchwyciły, bo nagle zostało zdefiniowane to, co ledwo sobie uświadamiały.

– Gdy tak starannie dobiera słowa, sili się na inteligencję, mam stale ochotę zakląć, rzucić mięsem – powiedziała Zula, która przyjechała tu spod Olkusza.

– Czujesz się gorsza? – spytała Dorota.

– Nawet nie, tylko mam wrażenie, że ona tak myśli o mnie.

– Po co właściwie tu przyjechała? My mamy problemy, a ona?

– A widziałyście jaką brykę odwiózł ją mąż?

Zamilkły, jakby chciały policzyć, ile szczęścia mają same. Po chwili Weronika podsumowała:

– Cóż, na brak szczęścia nawet psychoterapia nie pomoże. Szklanka może być pełna do połowy, albo od połowy pusta, ale zawsze i tak jest niepełna.

Za drzwiami dały się słyszeć głośnie kroki. Spojrzały z przestraszeniem, czy to nie Mela wraca, ale ktoś poszedł sobie dalej korytarzem.

Odetchnęły. Nie potrzebowały jej. Od początku czuły się przy niej nieswojo. Jak tylko zobaczyły, że one są w zwykłych dresach, a ona w puszystym, kremowym sweterku. Obgadywały ją więc za plecami i to przynosiło ulgę. Osładzało poczucie gorszości.

To powtarzało się co wieczór.

Melania się tego domyślała. Niejeden raz stanowiła zadrę w grupie, jak to określiła Dorota. Rozpoznawała to, gdy na jej

widok milkły rozmowy, gdy patrzono na nią badawczo, jakby była dziwnym okazem i nie dopuszczano do zwykłych głupawych pogaduszek. Dawno przywykła, że otacza ją niechęć, bo jej zazdroszą. Ale częściej dlatego, że nie mogła się powstrzymać, by nie podkreślać swojego zdania, odmiennego niż cała grupa. Wiedziała o tym, ale nie znosiła wtapiać się potulnie w stado. Pośród podobnych do siebie, gdzie się nie wyróżniała, potrafiła być sobą i mówić, co chce. Gorzej, jeśli w pobliżu znalazł się ktoś ważny, sławny – gardło jej się ścisnęło, dławiła się, gdy tylko próbowała cokolwiek powiedzieć. Wtedy musiała milczeć i tak kończyły się jej indywidualizm i mądrość. I to był jej problem. Nikt się tego nie domyślał.

Nawet tu, na warsztatach terapeutycznych, przypisywano jej więcej niż zawiniła. Zatem znowu odsuwała się od grupy, z którą chciała być, ale się bała.

Tylko cóż o niej wiedzą? Ukrywa starannie, że brak jej sił do robienia kariery w dziennikarstwie, gdzie trzeba się przebić po trupach. A tu głupia trema hamuje przed zabraniem głosu na ważnym forum. Przed odważną inicjatywą, gdzie trzeba się narazić. Pozostaje poprawna przeciętność, a w tym zawodzie to nic nie daje. Ona musi się wybić, tylko boi się walczyć o więcej. Ale musi. Dlatego przyjechała na to szkolenie i znosi cierpliwie wszelkie przeciwności, aby tym sposobem nabrać hartu ducha. Zwalczyć nieśmiałość i nadwrażliwość. Przede wszystkim nie godzi się na każdą szykanę terapeutki i nie łąsi się do niej, jak inne.

Wbrew zaleceniom, aby pozostać w sali treningowej, zaraz po ćwiczeniach i ostatnim wykładzie Melania biegła cztery piętra po schodach w dół, do piwnic pod prysznic, a reszta dziewczyn zostawała, by otrząsnąć się z całodziennych przeżyć. Wtedy, jak na komendę, pojawiał się temat nieobecnej Melanii.

A pod jej nieobecność Zula, ta spod Olkusza, przypominała sobie, jak na polonistycę, zanim ją przerwała, pojawiały się na wykładach osoby, które siadywały z boku i do nikogo się nie odzywały, na nikogo ani spojrzały. Jeden był synem znanego pisarza, druga córeczką profesora. Ta raz ofuknęła koleżanki przed wykładem, że gadają o byle czym, a potem zmieniła kierunek studiów. Jakby się zniechęciła do koleżanek? Podobno profesorkówna rozповідаła, że polonistka to nudny kierunek, lekceważąc to, co dla nich było niemal święte. Przecież zamiłowanie do języka polskiego z jego poezją i prozą przyciągnęło je na studia z dalekiej prowincji. Wyrwało z domu rodzinnego na poniewierkę w wynajmowanych pokojach lub akademiku. Niejedna ukradkiem pisywała przeciw wiersze. Tymczasem córka profesora wzgardziła ich ukochanym kierunkiem. Gardziła też nimi, bo rozmawiały o błahych sprawach? Tatuś, profesor, szybko załatwił jedynaczkę kontynuację na filozofii czy historii sztuki. Kto inny straciłby rok, musiał od nowa zdawać egzaminy wstępne. Niektórym jednak w życiu wygodniej. I jak tu takich lubić?

Teraz Zula tamtą niechęć przeniosła na Melanię. Tym skwapliwiej na każdym kroku jej dogryzała, że próbowała tym sposobem zaskarbić sobie łaski u Doroty. Inne dziewczyny może nie dokuczały aż tak, ale też skąpiły Melanii pozytywnych odczuć. Ta ułała herbaty z dzbanka na jej rękaw, druga przytknęła jej drzwi przed nosem. Gdy zabierała głos, zmieniały temat.

A jednak nie wyglądały na zadowolone. Obserwując to, Dorota zanotowała:

W każdej chyba grupie pojawia się przywódca i ktoś, kto nie chce się podporządkować, i zostaje ofiarą. Pozostali na nich ukierunkowują swe emocje, klękają przed przywódcą, ofiarę niszczą.

Nie pierwszy raz to obserwowała, że gdy Melania wychodziła, one tutaj się ożywiały. Coraz odważniej, aż czasem z masochistycznym zacięciem, wspominały własne upokorzenia z przeszłości. I za tamto wszystko brały odwet na nieobecnej.

– To dziwne, że wszystkie tak od razu ją zniechęciłyśmy? – szepnęła Zula któregoś wieczoru, a Weronika sprostowała:

– Ja nie, tylko nie chcę od was odstawać.

– Boisz się, że wtedy ty byś podpadła?

Weronika spuściła głowę.

– Trochę mi jej żal...

– Dziewczyny – podjęła Dorota – panuje przekonanie, że każdy terapeuta powinien być dobrym człowiekiem. Takim prawie świętym. Całkowicie i bezwzględnie. Tego się oczekuje. A przecież my wszystkie tutaj jesteśmy ludźmi. Staramy się być dobre, ale nie zawsze to wychodzi. Ile razy stoję w zatłoczonym autobusie i ledwo mogę oddychać, mam ochotę kogoś kopnąć, nadepnąć mu na nogę. Popchnąć! Wtedy myślę, że dawne panie z dworów czy pałaców zostają potem świętymi, bo nigdy nie jeździły w takim tłoku, gdzie ktoś wbija w plecy łokieć, popycha, klnie. – Wzięła głębszy oddech, podsumowała to niemal uroczystie i szybko zapisała w notesie, wyjętym z torebki. A był on już kilkunasty z rzędu:

Łatwiej być dobrą i dobrze wychowaną, gdy podróżuje się przez życie kareta!

Siedzące wokół niej dziewczyny podjęły wątek. Ochoczo, jedna przez drugą pokrzykiwały, że czasem trzeba komuś przyciąć pazurów, żeby zaczął pracować nad sobą, bo błędzi: źle traktuje rodzinę, dzieci, chla wódkę... czasem trzeba kogoś poskromić, aby się nie wywyższał.

Kolejny raz zadziałała reguła: nawiązywały do problemów Doroty, a potem nieopatrznie ujawniały własne żale i grzechy. Ta miała męża pijaka. Tamtą mąż zdradzał. Dzieci przysparzały kłopotów. Uczestniczki otworzyły się i Dorocie łatwiej było je czegoś nauczyć, pokazać, jak naprawić błędy.

W końcu spojrzały wyczekująco na milczącą teraz Dorotę. Tym razem podjęła przytłumionym głosem:

– Cóż, dziewczyny, ja nie mam męża ani dzieci. Nic mi się w życiu nie udaje, a próbuję pouczać innych.

Roześmiały się z niedowierzaniem. Nie przyjęły serio tego wyznania. Ona taka potężna i władcza?

Za oknem wiatr się wznosił, huczał i świszczwał chwilami. Dorota z masochistycznym dziś okrucieństwem dodała:

– Przestałam nawet wierzyć, że kiedykolwiek ułożę poradnik, jak być szczęśliwym.

– Może najpierw trzeba polubić taki jesienny wiatr – powiedziała któraś z tyłu. – Godzić się na przeciwieństwa losu...

Odwrociły się i ze zdumieniem spostrzegły, że mówi to Melania.

Wróciła, nie wiadomo kiedy, jeszcze z pękata kosmetyczką i mokrym ręcznikiem po prysznicu i przycupnęła przy drzwiach. Jednak odważyła się odezwać. A Dorota, śmiejąc się, wykrzyknęła:

– Pozwól, że przejmę od ciebie zasadę, żeby polubić ten wstrętny, jesienny wiatr. Muszę wpisać to do mego podręcznika życia! Choć prawdy bywają banalne, taki poradnik mimo wszystko się przydaje, bo życie to dużo więcej niż szczęście. O widzisz, i to muszę zapisać:

Trzeba pogodzić się z przeciwnościami losu, bo życie to dużo więcej niż szczęście.

– Ja lubię podobne widoki przyrody – powiedziała Melania. – Lubię, bo długo były częścią mojego życia. Las sosnowy o świcie bywa uroczysto przemglony, potem prześwietlony słońcem. A przy zachodzącym słońcu pnie sosen różowieją, nieomal płoną...

Patrzyły na nią po raz pierwszy z zaciekawieniem, a ona urwała i odwróciła twarz do okna. Zapatrzyła się w czerwony kwiat, który nazywała grudniem, bo kwitł o takim czasie, ale akurat ten rozwinął się już w listopadzie. Tylko patrzeć na drzewa, którymi targał wiatr, trochę się bała. Chciała tylko schronić swą twarz od wrogich spojrzeń.

A grudzień już przekwitał. Różowe płatki kurczyły się w długie rurki. Wtedy pomyślała, że one tu ćwiczyły każdego dnia od rana do wieczora, leczyły się, intrygowały, a ten nieoglądany kwiat kwitł i przekwitał samotnie. Takie niepodziwiane kwiaty, przekwitają cicho ze złamanym sercem. Wiele ludzi żyje podobnie. Często ci ładni w swej dobroci, ale niezauważalni.

– Melanio, chodź do nas – powiedziała nagle Dorota.

Melania nieśmiało zbliżyła się i usiadła pośród nich. Było już dobrze po północy, zrobiło się zimno, więc przybliżyły się do siebie i milczały ze spuszczonej głowami. Ledwie widziały się nawzajem. Pojedyncza lampka nikło oświetlała mrok. W tym świetle lepiej się rozmyślało.

Na razie milczały i dziś tak właśnie było dobrze. A co przyniesie jutro?

BARBARA KORTA-WYRZYCKA

ALEJA RÓŻ



Jestem trochę młodsza od niej. Z natury rzeczy musiało upłynąć jeszcze kilka lat, abym mogła ją dobrze poznać i zapamiętać.

Pierwszy był zachwyty. Każdą cząstką mojego niedużego ciała czułam i chłonełam ogrom i piękno sięgających nieba śmietankowo – kremowych budynków przy głównej alei. Wręcz jaśniejących swą nowością w oblewających je z góry promieniach słonecznych. Z wysokości metra nad ziemią szerokie chodniki Nowej Huty wydawały się jeszcze szersze, a ulice z białymi zebrami na przejściach niemal nie do przebycia. Zdarzało się, że po niebie przeleciał samolot, zostawiając po sobie wyraźny biały ślad na błękitnie. Baburysia mówiła, że pewnie leci na drugi koniec świata, na drugą półkulę. Nie wiedziałam, co to półkula, ani gdzie jest koniec świata. Rozumiałam, że to bardzo, bardzo daleko. Przystawałam i milcząc ze zrozumieniem wpatrywałam się w niebo. Obserwowałam jak rozmywa się ślad po samolocie.

Mieszkaliśmy przy przedostatnim skrzyżowaniu alei Róż. Czteropiętrowy blok oddzielał od alei częściowo zadrzewiony i schłodnie otoczony żywopłotem prostokąt, którego zwierciadlane odbicie znajdowało się po przeciwnej stronie. Czekałam niecierpliwie na porę, kiedy ciocia – babcia, czyli Baburysia, weźmie mnie za rękę i pójdziemy powoli wzdłuż ginącej na horyzoncie alei, mijając lśniące witryny sklepów, zajmujących partery mijanych budynków. Pysniły się swymi towarami uniesione na tarasowych stopniach. Ostrożnie przekraczałyśmy kolejne rozległe skrzyżowania, dzielące nas od zielonego skweru i centrum. Lubiłam maszerować od strony klombów, które z obu stron oddzielały jezdnię od chodników. Róże rosły kwartałami. Koło domu białe przechodziły w różowe, a potem w cynobrowe i ciemnopurpurowe. Prowadzona za rękę nie musiałam patrzeć. Z zamkniętymi oczyma po zapachu potrafiłam określić kolor mijanych kwiatów. Białe pachniały delikatnie, nie to co różowe – odurzająco mocne, cynobrowe były subtelniejsze, a ciężki zapach purpurowych dało się wyczuć z daleka. Najwspanialszy bukiet zapachów czekał jednak na kończącym aleję skwerze przed Placem Centralnym, obsadzonym żółtymi różami. Siadałyśmy na ławce między szpalerami kuliście uformowanych drzew na wprost rozległego klombu i oddychałyśmy w skupieniu. Baburysia mówiła o nich herbaciane. Nie wiedziałam czy chodzi jej o barwę naparu, czy zapach? Herbata w szklance tak nie pachniała. Zaryzykowałam kiedyś i w pustej kuchni wgramoliłam się na taboret, by sięgnąć do metalowej puszki na blacie. Namęczyłam się przy jej otwieraniu, ale małe palce wiele mogą. Buchnął

mi w twarz skondensowany zapach suszu herbacianego. Był oduurzający, bogaty, ale brakowało mu kwiatowych nut, by mógł stać się wonią żółtych róż herbacianych. Gdy trwałam w bezruchu z nosem w puszcze, powietrze rozdarł wibrujący krzyk mojej mamy: „Dziecko na kredensie!”. Chwyciła mnie mocno w ramiona wykopując mi spod nóg taboret i obróciła w stronę drzwi. Słabo trzymana w dłoniach puszka podskoczyła w górę wypuszczając aż pod sufit półkolisty pióropusz herbacianego suszu.

– Moja najlepsza cejlońska herbata – jęknął dziadek, który stanął właśnie w progu. – Znowu czekają mnie szczyzny z pokruszonych śmieci po Ulung.

Drugie, bardziej fabularne niż sensualne wspomnienie jest znacznie późniejsze.

Zaczął się upalny czerwiec. Miałam prawie siedem lat i od września miałam pójść do pierwszej klasy. Nadal koczowaliśmy w mieszkaniu dziadków, bo oczekiwanie na przydział spółdzielczego mieszkania przedłużało się z roku na rok. Mama ciężko znosiła tę przymusową sytuację, szczególnie, że jej znajomi dawno pourządzali się w komunalnych blokach, korzystając z przydziałów kombinatu. Niestety sytuacja od siedmiu lat była patowa, bo tato nie był pracownikiem huty – żywicielki, co gorsza do niedawna był zameldowany w Katowicach, i na żadne przyspieszenie liczyć nie było można, a ona drobna bezpartyjna urzędniczka w tak istotnej kwestii nie miała nic do powiedzenia. Razem z nami mieszkała u dziadków siostra babci i młodsza siostra mamy, nastolatka Krysia.

W tej sytuacji rodzice postanowili sprawić mi chociaż wyjątkowe wakacje przed rozpoczęciem szkoły. Mamą już od kwietnia szykowała się na przyznane jej wczasy nad morzem. Bomba wybuchła w piękny dzień czerwcowy. Kierownictwo biura projektów cofnęło tacie urlop. Zespół kończył terminowy projekt dla miasta i wszyscy byli potrzebni. Rozczarowanie było wielkie. Zdesperowana i wściekła mama ruszyła do boju i po długich przekonywaniach i płomiennych oracjach wygłaszanych w siedzibie związków zawodowych wreszcie jej się udało. Rada zakładowa stanęła na wysokości zadania i pozytywnie rozpatrzyła prośbę. W wyniku czego czerwcowe trzyosobowe wczasy nad Bałtykiem zamieniono na dwuosobowy wyjazd tzw. wypoczynek matki z dzieckiem w Białsku-Białej w drugiej połowie sierpnia.

Dni stawały się upalne. Trudno było wytrzymać wieczorami w wygrzanych przez dzień murach bloków. Nawet na podwójnym balkonie nie było przewiewu. Za to pachniała upojnie maciejka w babcinych skrzynkach no i zyskiwaliśmy dodatkowy letni metraż.

Zieleń młodych drzew nie dawała zbytnej ochłody. Mama irytowała się coraz bardziej, rzucając w przestrzeń retoryczne pytania typu: „I za jakie grzechy, dziecko musi się kisić latem w tych murach?”. Zapewne fala wczesnych upałów spowodowała, że mama, która bała się puścić mnie na najkrótszy nawet wyjazd bez niej, zgodziła się na propozycję Baburysia.

– Lila, może wezmę małą do Heli? Co roku jeżdżę jej pomóc, ale teraz tylko na truskawki, na parę dni. Później pojedę pomóc przy kapuście. Witek awansował i prowadzi teraz pociągi na dalekich trasach. Nie ma go nieraz przez kilka dni, a ona sama z trójką dzieci. Co prawda ziemi nie za wiele, ale wszystko trzeba w porę zrobić.

– No właśnie i jeszcze dodatkowe dziecko przywieziesz.

– Lila, Basia to nie dziecko. Odetchnie więksim powietrzem, trochę się porusza no i nie jedzie bez opieki – ruszyła z odsieczą babcia Jadwisia.

– Ale tylko na parę dni i trzeba wcześniej Helę uprzedzić.

– Napiszę parę zdań i pójde na pocztę. Poślę ekspresem poleconym – zamknęła sprawę Baburysia.

Odpowiedź przyszła we wtorek. Nieznana mi ciocia Hela oczekiwała nas najchętniej w środę, bo truskawki właśnie dojrzały.

– To już jutro! Niemożliwe. Jak się zbierzecie?

Mama miała wątpliwości, ale sprawnie zabrała się za przygotowanie moich ubrań. Na tapczanie wyrosła niepokojąco wysoka góra rzeczy, a mama nadal siedziała z głową w szafie.

– Lila, stop! – zdecydowanie wkroczył do akcji tato. – Jadą na pięć dni na wieś, a ty przygotowałaś rzeczy na miesiąc paradowania po deptaku w kurorcie.

– No wiesz, pogoda bywa różna, no i będzie niedziela.

– Mają jedną walizkę. Sortujemy. Tylko niezbędne, praktyczne rzeczy.

– A jak nogi przemoczysz?

Żeby nikt mnie w tym nie wyręczył, szybko przyniosłam ulubione wsuwane tenisówki i pantofle.

– W wiązanych tenisówkach pojedę.

Z ogromnej góry zrobił się mały tłumoczek, który Baburysia sprawnie upchnęła do walizki.

– Franek, ale zwałamy jej dodatkowe dziecko na głowę. Trzeba się jakoś zrewanżować.

– Pieniądze to jedno, ale na pewno przyda się kilka upominków.

W środę wstał kolejny słoneczny dzień. Nie spałyśmy od szóstej. Nie chciałyśmy zaburzać rytmu kolejek do toalety i łazienki, więc sprawnie żegnałyśmy się kolejno ze śpieszącymi do pracy domownikami. Na koniec Baburysia odklinowała z łazienki Kazię i mogłyśmy się ogarnąć.

Po śniadaniu ruszyłyśmy na przystanek. Baburysia niosła walizkę z przywiązaną do jej rączki płócienną torbą, w której ukryła torebkę. Przez ramię na skos przerzuciła chlebak. W ten sposób miała jedną wolną rękę. Ja miałam dwie wolne ręce, bo też założyłam na skos swój chlebak, a w przeciwną stronę małą białą torebkę, z którą praktycznie się nie rozstawałam. Czulałam, że ruszam na podbój nieznanymi łądów. Brakowało mi tylko kasku tropikalnego. Zamiast niego miałam płócienny kapelusz wędkarski, który wycygniałam od babci Jadwisi. Był koloru khaki, więc świetny. Nie przeszkadzało mi, że spódniczka miała fałbanki, a do tenisówek musiałam założyć białe skarpetki obszyte koronką „żeby mnie nie obtarły”. Stylizację à la Tomek na Czarnym Łądzie uznałam za idealną. Ekskycytacja podróżą w nieznane rosła z każdym krokiem. Ruszyłyśmy na B1, bo bliżej. Z przystanku spoglądałam na zamykające horyzont solidne wzniesienie, na którym rozsiadł się kombinat. Obserwowałam jak spod „Pałacu Dożów” pełzną niebieskie dżdżownice tramwajów. Wypatrywałam „czwórki”, która jako jedyna łączyła Kraków z Nową Hutą. Było za późno na tłok. Umundurowana konduktorka mogła po sprzedaniu niewielu biletów przymknąć oczy i poddać się rytmicznemu kołysaniu wagonu aż do następnego przystanku. Usiadłyśmy z Baburysią naprzeciwko siebie, bo obie lubiłyśmy patrzeć przez szybę. Wsiadłyśmy przy placu z pałacem, w którym zamiast arystokratów urzędowała poczta i pomaszerowałyśmy do równie ozdobnego budynku miejskiego dworca. Z obawy przed spóźnieniem się dotarłyśmy na miejsce z niemal godzinnym wyprzedzeniem. Już w hali z kasami otoczyły mnie docierające

ze wszystkich stron dźwięki, a na peronach tyle się działo i mogłabym przysiąc, że do podstawienia na tor naszego lokalnego pociągu upłynęło zaledwie dziesięć minut. Oczywiście mi się okragłe z niedowierzania, nasz pociąg miał w składzie dwupoziomowe wagony.

– Usiadziemy na górze? Baburysiu, chodźmy! Raz tylko jechałam w takim wagonie nad Rabę do Cikowic, ale był straszny tłok, bo to niedziela, i tato stał na pomoście, a my z mamą i Kazią trochę siedziałyśmy na schodach. Wytaszczenie po stromych wewnętrznych schodkach walizki z dyndającą torbą nie było łatwe, ale z tym większą radością usiadłyśmy na podwójnych kanapach przy oknie. Okno było nisko osadzone. Nie mogło być inaczej skoro dach schodził na ścianę. Wyższe okno musiałyby zaginać się na dach, a takich dziwnych nie było. Niezbyt mi to przeszkadzało, ale Baburysia musiała się trochę garbić. Wzrok odruchowo kierowała się w dół. Nie dało się skądrować jednocześnie nieba i widoku. Rozczarowana odsunęłam się od szyby i niespodziewanie odkryłam, że widzę więcej. Chłonęłam widoki. Wszystko było równie ciekawe.

– Basiu, uważaj. Dojeżdżamy do Bochni. Zobacysz odnowiony dworzec.

– Taki jak nasz?

– Mniejszy niż główny w Krakowie, ale mnie wydawał się zawsze najpiękniejszy, bo tu się urodziłam i spędziłam najlepsze lata. Zresztą twoi dziadkowie też i Lila kilka pierwszych lat. Wyjechaliśmy na Śląsk, zaraz po tym, jak przy wyzwaniu miasta podmuch od zdetonowanej na stacji bomby położył ścianę szczytową naszego domu. Wtedy okazało się, że wspólnik twojego dziadka zmalwersował pieniądze firmy. Nie było na co czekać. Nie mogliśmy mieszkać pod namiotem. Nie ten klimat, a zresztą nawet nie byłoby go skąd zdobyć. Przykleiłam nos do szyby chcąc widzieć szczegóły. Było więcej rozjazdów i torów. W polu widzenia pojawiły się dachy i coraz gęściej stojące murowane domy. Postój był tym razem dłuższy.

– Ładnie. Całkiem duży dworzec i czysto. O, ilu podróżnych luzem i z tobołkami, o nawet wuj z ptakiem w torbie!

Wsiadłyśmy niedługo później na długiej pustej płycie betonu. Ani śladu dworca. Tylko przeszklony daszek z wąską ławką i blaszany szyld z nazwą miejscowości świadczyły, że dotarłyśmy na miejsce.

– Dziwisz się? Nie ma czemu. To przystanek kolejowy.

Na wsi jest po prostu inaczej i nie ma po co o tym mówić, ani porównywać z naszą Hutą. Za parę lat pewnie coś się zmieni na lepsze. Na razie nadal ubikacje stoją na zewnątrz. Pomaszerowałyśmy pustą drogą w stronę wsi.

– Marysia! Marysia!

Rozejrzałam się. Na drodze byliśmy tylko my.

– Baburysia, chyba na ciebie wymachuje grabiami ten człowiek na łące.

– Zaraz. Gdzie? Tak. To Witek. Mąż Helenki, kolejarz.

Mężczyzna długimi krokami pokonał dzielący nas dystans. Serdecznie wyściskał Baburysię. Dobrze że postawiła walizkę, bo miałyby siniaki, tak energicznie nią potrząsał. Był tak ujmująco radosny, że nie sposób było nie odwzajemnić jego uśmiechu. Mnie się też dostało. Złapana pod pachy i uniesiona w górę straciłam na dłuższą chwilę kontakt z podłożem.

– To na pewno córka Lili. Wyglądasz jak dzielna harcerka i wcale nie jesteś taka malutka, jak pisała Marysia – chyba nawet wyższa od Hani. Cieszę się, że przyjechałyście. Kupiłem pas łąki. Tanio, bo spory kawałek od zabudowań. Wreszcie nie będę się martwił o siano na zimę dla królików. Kłopot w tym, że mam mało czasu. Wczoraj skosiłem, dzisiaj przewracam, żeby doszło. Na jutro umówiłem się z Cieślą, że mi je zwiezie wasągiem, a po południu ruszam na długą trasę. Wrócę w niedzielę rano. Wszystko na styk. Nie zatrzymuję was. Hela czeka.

Drewniany dom ciotki Heli miał facjatki. Pomalowany, wyraźnie niedawno, seledynową farbą prezentował się szlachetnie. Ciocka była przyjazna, ale nie tak wylewna jak wujek. Wprowadziła nas na oszkloną werandę, na której między komodą i wąskim stołem pyszniła się pralka Frania. Ciocka Hela pęczniała z dumy prezentując Baburysi nowy nabytek.

– Marysiu, wreszcie nie muszę harować na tej tarce i wykręcać w rękach. Popatrz. Jest wyżymaczka.

Pomału coś się zmienia. Po twoim wyjeździe w zeszłym roku postawili nowy sklep. Właściciel codziennie jeździ do piekarni w drugiej wsi. Nie muszę już co tydzień piec chleba. A i tak dzieciaki wydziwiały, że muszą jeść czerstwy, a dzieci nauczycieli noszą do szkoły nawet bułki.

Ulokowała nas na górze w letnim nieogrzewanym pokoju, w którym zimą trzymali owocowe zapasy na zimę. Deski ścian

nadal pachniały jabłkami. Pokój był nie zwykle czysty. Nie wydawał się mały, bo na całe umeblowanie składało się posłane łóżko, niska szafa, stolik z taboretami i nadgryziony zębem czasu wiklinowy fotel. Małe okno bez firanki otwierało się o dziwo na zewnątrz. Na koniec odkryłam, że przy szafie wcisnął się kącik higieniczny, czyli stojak z miednicą, ręcznikami i stojące obok wiaderko z wodą.

Ledwie zdążyłyśmy umyć ręce i rozłożyć rzeczy, jak z dołu usłyszaliśmy donośne wołanie:

– Obiaaad!

Spojrzałyśmy trochę niepewne po sobie.

– Idziemy – zdecydowała Baburysia.

Rzut oka wystarczył, żeby zorientować się, że właśnie w kuchni toczy się całe życie rodzinne. Przestronne pomieszczenie doświetlone naprzeciwległymi oknami było co najmniej dwukrotnie większe od tego, którym cieszyliśmy się w bloku. Mieścił się bez problemu duży piec, wysoki kredens, coś jakby bufet z grubym drewnianym blatem, a przy drzwiach stanowisko na wiadra i kącik higieniczny wzbogacony o balię wiszącą na ścianie. Wzrok przyciągał jednak główny mebel. Nie za duży, nie za mały solidny stół. Taki, który zapraszał do zajmowania miejsc bez zbędnych ceregieli. Siedziały przy nim już, a właściwie podskakiwały na ławce, dwie dziewczynki i z boku zamyślony chłopak. Wolna została druga ławka i dwa taborety.

– Siadajcie. Hania, Ela i Franek przywitajcie gości. Cioćkę Marysię powinnyście pamiętać. A pierwszy raz przyjechała do nas Basia.

– Dzień dobry – odezwali się wyuczonym szkolnym chórkami. Dziewczynki zgodnie zachichotały.

– Przypomnijcie mi, do których klas pójdziecie po wakacjach.

– Ja do czwartej, a Hania do drugiej.

– Do siódmej.

– Widzisz martwiłam się o Franka, że będzie musiał dojeżdżać do Bochni, bo po reformie wydłużającej naukę z siedmiu do 8 klas, przez ponad rok brakowało nauczycieli. Na szczęście dało się skusić służbowym mieszkaniem w szkole młode nauczycielskie małżeństwo.

Ciocka Hela podała przepyszne drożdżowe buchty polane sosem truskawkowo-śmietanowym. Pycha. Uwinęłam się szybko. Chyba nawet za szybko, bo wymalowane sosem na twarzy

wały wzbudziły kolejną falę chichotów dziewczynek.

– Poczekajcie chwilę. Mamy dla was parę drobiazgów.

Ruszyłam za Baburysią na górę i sprawnie zniosłyśmy nasze prezenty. Jak przypuszczałam tęczowe zestawy kredek wyraźnie spodobały się dziewczynkom. Dobrze, że tato rozsądnie dołożył dwa bloki rysunkowe, bo od razu chciały je wypróbować. Uznanie w oczach Franka zyskał komplet do geometrii z automatycznymi ołówkami i czterokolorowe długopisy. Ciocka Hela przycisnęła mocno do biustu apaszkę i nylony. Z dziwnie ściśniętymi ustami długo wachała perfumy. Wyraźnie wzruszyły ją tak osobiste prezenty. Tylko dla niej.

– Marysiu, jest sprawa. Chciałam, żebyście dzisiaj przyjechały, bo umówiłam się, całkiem prywatnie, z kierownikiem sklepu, że sprzedam mu co najmniej 30 ubijanek truskawek za pół ceny rynkowej. Tanio, bo nie muszę jechać na targ, płacić placowego i tracić całego dnia. Wie, że nie mamy żadnego pojazdu, a do pociągu wezmę najwyżej dziesięć koszyczków. Targowy dzień jest w piątek. Przyjedzie po zbiory jutro pod wieczór. Mam tylko dwadzieścia koszyków, ale podrzucił wczoraj drugie tyle swoich. Nie chcę od niego gotówki, ale potrzebujemy dwa chleby dziennie. Za trzydzieści ubijanek będziemy mieć chleb przez miesiąc bez płacenia.

– To dobry układ, Hela. Będziemy zbierać.

– Właśnie, tylko my, bo Witek musi zwieźć siano przed pracą, a dzieci idą do szkoły. Po południu trochę Franek pomoże. Gdyby nie ty to sama nie dałabym rady.

– Ela, Hania pokażecie Basi obejście czy wolicie rysować?

– Wolimy rysować.

– W takim razie chodź z nami. Pogadamy z Marysią na ławce przed domem, a ty sama się trochę rozejrzysz.

Sporo miejsca zajmował bujny ogród kwiatowy przy domu. Wysoki płot przeszkadzał. Zastłaniał urodę kwiatów. Tylko pnące się po ścianie drobne różowe różyczki i pierwsze dalie rosły wyżej. Reszcie mogłam przyglądać się tylko przez prześwit między sztachetami. Postawili go pewnie żeby kury nie deptały. Łaziły wszędzie. Wręcz plątały się pod nogami, gdakliwie zawodząc, gdy się je odganiało. Z boku stał niewysoki budynek. Jak się zorientowałam kur-nik i królikarnia i pewnie coś jeszcze. Do

szczegółowych oględzin zniechęcił mnie ponury pies, który nie wydawał żadnego dźwięku, ale patrząc mi w oczy poruszał się równoległe do mnie. Nie miałam ochoty sprawdzać, jak długi ma łańcuch i czmychnęłam za kurnik. Zorientowałam się że stoję naprzeciw podwójnej latryny. Na jednych drzwiach wycięty był trójkąt a na drugich serduszek. Skorzystałam z części z serduszkami. Wyszedłam z latryny i widok zapał mi dech w piersi. Na rozłożystym drzewie dolne gałęzie gęsto obsiadły małe kury. Różniły się upierzeniem od tych grzebiących na dole. Były niemal identyczne białoszaroczarne. Dorodny, pyszniący się błyszczącym ogonem kogut podfrunął na starą beczkę. Drepnął głośno w kółko jakby wybijał rytm, rozwijał skrzydła i raz za razem próbował dziobem dosięgnąć do najbliższej dzikiej kurki. Patrzyłam jak zahipnotyzowana. Długo trwało, zanim zrozumiał, że próżne są jego usiłowania. Wyraźnie chciał dokuczyć kurkom, bo nie zniechęcił się, tylko zmienił taktykę. Potrząsał głową i w regularnych odstępach chrapliwie piał. Ponawiał popisy na tyle długo, aż zezłoszczona ciocia Hela pogoniła go odwiązanym fartuchem.

– Na drzewie siedzą perliczki. Trochę dzikie. Trudno zagonić je wieczorem do kurnika. Zreszta sama zobaczysz.

Ostatecznie to jazgot, jaki robiły wybiegające na podwórko rozciamkane czekoladą siostry, wypłoszył koguta spod drzewa.

Po kolacji ciocia Hela ukradkiem wcisnęła Baburysi wiadro do ręki i scenicznym szepcieniem pouczyła:

– Po ciemku bezpieczniej nie wychodzić z domu. Załatwicie potrzebę do wiadra. My od dawna ryglujemy obórkę i zamykamy dom. Gospodarze spuszczaają psy z łańcuchów. Wiele jest agresywnych. Gryzą się między sobą i nie tylko. Biegają całą noc i nigdy nie wiadomo dokąd je licho zaniesie. O, już zaczynają się nawoływać. Faktycznie, odległy żabi rechot zagłuszyły, dochodzące z różnych stron, poszczekiwanie. Głębokim, urywanym odpowiadały przeciągłe, bardziej jazgotliwe. Przypominało to do złudzenia rozmowę.

– Słyszycie? Namawiają się. Jak banda zbiorów. Kogo dzisiaj okaleczyć. Spóźniony podróżny jest w niebezpieczeństwie. Zawsze się martwię, jak Witek późno wraca. Świecę wtedy światło przed domem, na werandzie. Nikt wieczorem nie chodzi bez kija. Jeden właściciel produkuje w głodzeniu i drażnieniu

swojego kundla. Szykuje go, żeby ostro był. Obydwu się wystrzegam.

Baburysia zgasła światło i po omacku trafiła do łóżka. Nastraszona opowieścią przytuliłam się do niej. Siennik trzeszczał przy najmniejszym ruchu, ale za to wydzieliał przyjemny zapach. Myślałam, że jak zwykle po wyłączeniu lampy smolista początkowo ciemność zszarzeje i staną się widoczne zarysy okna i mebli. Nic podobnego nie nastąpiło.

– Baburysiu, widzisz mnie?

– Nie.

– Nie widzę swojej ręki, ale czuję że ją mam. Dlaczego jest tak ciemno?

– Mało mają latarni, a tu jest boczna droga. To jedna z różnic, o których ci mówiłam. Śpijmy. Za nami długi dzień.

Obudziło mnie pianie koguta. Bezchmurne niebo zapowiadało pogodny dzień. Baburysia już umyta związała chustkę na głowie.

– O, właśnie miałam cię budzić.

– Która godzina?

– Szósta.

– Uwijaj się szybko.

Na schodach pachniało świeżo zaparzoną kawą zbożową.

– Kromka z masłem, kawa i na zagony. Trzeba jak najwięcej zebrać zanim zacznie się upał.

– Obsłużcie się proszę. Jak tylko zapakuję kanapki i pościagam dzieci z łóżek, to do was dołączę. Ubijanki weźcie z werandy.

Zagony truskawek dotykały horyzontu. Wyściółkowane słomą rzędy wyglądały jak zielone warkocz nabite dużymi czerwonymi ćwiekami.

– Baburysiu. Jak mam zrywać z zielonymi listkami czy bez?

– Z listkami. Dłużej zachowają świeżość. Tylko dorodne, bez uszkodzeń i plam. Pozrywaj trochę a potem idź się pobawić. Nie musisz pracować z nami cały czas.

– Jak tam moja brygada? Widzę, że macie już prawie trzy koszyczki.

– Tak, mamy. Jeszcze tylko dwadzieścia siedem i fajrant.

– Basiu, smakują ci truskawki?

– Nie wiem. Nie próbowałam.

– Jak to?

– Mama zabrania mi jeść nieumyte owoce

– Aaa. No tak. Kupione w sklepie trzeba umyć, ale tutaj jest czysto nikt truskawek wcześniej nie macał.

– Nornica mogła obsikać i ślimak obgryźć. I robale łązą, i kury.

– Dobrze. W domu ci umyję i zjesz ze śmietaną.

– Bardzo lubię.

– Za to dzielnie zbierasz. Moje dziewczynki jedną dadzą do koszyka, a pięć do buzi. Marne z nich pomocnice.

Nawet mi się nie nudziło. Zamiast kucać ukłękłam i na kolanach przesuwałam się między grządkami. Baburysia z cicią Helą dla dodania sobie animuszu wyśpiewywały miłosne piosenki. Jedna o pięknej Dolores wpadła mi w ucho, więc zadowolone zaśpiewały po raz drugi. Słońce na czystym niebie przypiekało. Ciągłe nie dzwoniło na południe. Odechciało nam się odzywać. Baburysia coraz częściej dorzucała owoce do mojej łubianki, żeby się szybciej zapełniła. Odsiłyśmy pełne koszyczki do wózka, którym ciocia Hela przywiozła puste łubianki i ustawiła w cieniu drzewa na początku pola. Chciało mi się pić.

– Odpocznij sobie. Za długo jesteś na słońcu.

Baburysia zabrała flaszkę z wodą, ale też położyła ją przy wózku, żeby się nie grzała. Wzięłam pełną ubijankę i poszłam się napić. Droga pod drzewo dziwnie się wydłużyła. Wcześniej wydawała się krótsza. Nie pamiętam, żeby mi wcześniej tak smakowała zwykła studzienna woda. Klapnęłam na chwilę w cieniu. Wreszcie odezwały się kościelne dzwony. Woda mnie orzeźwiła i zabrałam się za liczenie łubianek. Nie mieściły się już na wózku, więc ustawiałyśmy je w piramidkę na trawie. Za pierwszym razem wyszło mi dwadzieścia, ale za drugim postanowiłam dotknąć palcem każdego koszyczka i doliczyłam się dwudziestu jeden. W podskokach pobiegłam z nowym koszyczkiem na pole.

– Sukces. Sukces! Mamy już dwadzieścia jeden pełnych ubijanek! Jak po szkole nam pomogą to będzie więcej niż trzydzieści.

– Bajki opowiadasz, czy umiesz liczyć?

– Umie, umie dodawać i odejmować też.

– W takim razie dozbieramy dwie ubijanki, które zaczęłyśmy i idziemy do domu kończyć obiad. Nie możemy dłużej tu siedzieć, bo udaru dostaniemy. Maszeruj odpocząc do domu, a my z Marysią na dwa razy przewieziemy zbiory do ziemianki.

Po obiedzie Baburysia zarządziła poobiednią drzemkę i tak ominął mnie popołudniowy rozgardiasz i kończenie zbiorów. Za to obudziłam się w towarzystwie miseczki pełnej truskawek polanych śmietaną i pysznie posłodzonych, która czekała na mnie na stoliku.

Znalazłam świetny punkt obserwacyjny na stopniach werandy.

– Niezle pospałaś. Pewnie w nocy będziesz tańcować – zaczął mnie Franek.

– Nie dokuczaj małej, wstała wcześniej niż ty i dzielnie pół dnia zbierała – ujęła się za mną ciocia Hela.

– Pewnie do brzucha!

– Wcale nie. Nie zjadła na polu ani jednej. Nie to co wy. A poza tym zapomniałaś, że nornice obsikują truskawki i lepiej je najpierw umyć?

– Jak to nornice? Dlaczego właśnie truskawki? Eee, nabiera mnie mama.

Kierownik sklepu zjechał na podwórko swoim spracowanym żukiem i zaczął się załadunek. Okazał się gadatliwy, więc było rozrywkowo. „W sumie najciekawsze mnie nie ominęło” – pomyślałam.

Piątek zapamiętałam jako domowy. Obudziłam się sama w zupełnie cichym domu. Pewnie było późno. Czekala na mnie napisana drukowanymi literami kartka na stole: „Śniadanie w kuchni na stole. Zaraz wrócimy z truskawkami. Baburysia”.

Zadaniem dnia było przygotowanie truskawek do rozgotowywania z cukrem na dżem. Praca była świetnie zorganizowana, jak w przetwórni. Najpierw oczyszczałyśmy truskawki z szypulek i odrzucałyśmy na kupkę uszkodzone czy przygnite. Te dobre ładowały w dwóch wielkich durszlakach. Po zapełnieniu ciocia Hela zawieszała je nad pustymi wiadrami i solidnie przelewała czystą wodą. Potem Baburysia przesypywała owoce do pustej miednicy. Siadała, dzieliła truskawki nożykiem na mniejsze kawałki i wrzucała do wielkiego miedzianego rondla. Woda po płukaniu była oszczędnie przelewana do blaszanej beczki przy domu, by

posłużyć do podlewania ogródka. Cykl się zamykał i zaczynałyśmy skubać następną partię. Nikt nie liczył na moją wydajność. Ważne, że nie przeszkadzałam.

Rondel pochłaniał niebywałe ilości owoców, ale nawet jego żarłoczność się skończyła. Baburysia utknęła przy piecu. Sypała do rondla cukier i wielką drewnianą łyżką mieszała, żeby nic nie przywarło do dna. Zanościło się na długie pilnowanie i mieszanie.

– Czy mogę wejść do ogródka i zerwać trochę kwiatków na mały bukietek?

– Możesz. Tylko ostrożnie niczego nie połam, a sama się nie pokłuj. Ja idę do warzywnika za obórką.

Nie zdążyłam się dobrze rozejrzeć po ogródku i zdecydować, jakie kwiaty wybiorę, gdy usłyszałam nad głową zdyszany głos cioci Heli:

– To co masz w ręce to tojad. Silna trucizna. Nie bierz do ust. Floksy i róże są bezpieczne.

Było to tak niespodziewane, że aż przykucnęłam ze strachu.

– Gnałam na złamanie karku. Zapomniałam, że ty niczego nie kosztujesz, co może być obsikane. Te twoje nornice to przebój lata. Już dobrze, ale zbladłaś.

– Wiesz, które to floksy?

– Wiem. Sąsiad ma ogród długi na pół bloku. Nie bardzo lubi dzieci, ale babcia Jadwisia wiele razy pokazywała mi i nazywała kwiaty, które znała.

– Patrzcie no! Ogród w mieście?

– W Hucie są wszędzie kwiaty i małe ogródki. Mieszkamy przy alei Róż.

Po południu dziewczynki wzięły skakankę i poszłyśmy przed dom. Na utwardzonej drodze świetnie się skakało.

– A jak coś będzie jechać?

– Co? Jak fura to woźnica będzie na nas wrzeszczał już z daleka, a motor usłyszymy zanim go zobaczymy.

– Eeee, nic nie jeździ.

Lubiłam skakać. Potrafiłam tak jak one do tyłu i ze skrzyżowaniem rąk. Pochwaliłam się moim popisowym numerem, którego nauczyła mnie Krysia, czyli podwójne machnięcie skakanką przy jednym skoku. Dołączyła do nas koleżanka z klasy Eli z

sąsiedniego domu. Postanowiły zmienić zasady. Teraz dwie kręciły skakanką, a trzecia skakała aż do „skucia się”. Moje zadowolenie z siebie ulotniło się w momencie. Nie potrafiłam tak skakać. Izolowana od podwórkowej dzieciarni zwykle bawiłam się sama. Skułam się od razu. Usiadłam na trawie i obserwowałam. Najzwinniejsza była koleżanka Eli. Hania chwilami zbyt energicznie podskakiwała, myliła rytm przez co wchodziła w kolizje ze skakanką.

Nie chciałam już skakać. Czułam się dziwnie słabo. Bolała mnie głowa. Baburysia zaaplikowała mi wcześniejszy odmarsz do łożka. Uśpił mnie rechot żab. Psów nie słyszałam.

Na sobotę zapowiedziano w szkole ostatnie poprawkowe sprawdziany dla uczniów zagrożonych niedostatecznymi, a na popołudnie konferencję klasyfikacyjną. W związku z czym pozostali, pewni swych pozytywnych ocen na świadectwach, mieli wolne. Śniadanie jedliśmy więc razem.

– Mamo, no, mamoooo – męczyła Hania.

– Nie ma lekcji. Pójdziemy nad staw pobawić się i nazrywać tataraku – wtórowała Ela.

– Weźmiemy Basię, bo tylko przy domu siedzi.

– Opiekunki się znalazły! Wystarczy, że Ela musi ciebie pilnować, bo na miejscu nie usiedzisz. Jeszcze dziecko nie znające okolicy chcą brać.

Wyraźnie wizja dnia spędzonego na zagonach truskawek przeraziła Franka, bo nagle wypalił:

– Pójdę z nimi. Przypilnuję wszystkie.

– Jak tak, to możecie, ale macie wrócić na obiad. Dzisiaj będzie wcześniej. Po południu dziewczynki zamiatają podwórko, a Franek sprząta klatki królików.

– Widzisz Marysiu, jakich mam pomocników. Są, ale ich nie ma.

Zaraz po wyjściu z domu Franek oznajmił:

– Tylko skoczę po Władka i spotkamy się przy stawie.

– Jak tak, to my pójdziemy na skróty.

Szłyśmy jeszcze kawałek wąską drogą, a potem sprawnie prześlizgnęłyśmy się pod

ogrodzeniem z żerdzi i pomaszzerowałyśmy na skos przez mały sad aż do rozległej łąki na stoku. Dziewczyny toczyły się po zboczu jak dwie piszczące kule, błyskawicznie pokonując wysokie trawy. Rozgarniały je wyciągniętymi przed siebie rękoma ze splecionymi dłońmi w coś na kształt dziobu. Posuwałam się wolno, rozgarniając przy każdym kroku raz prawą raz lewą ręką sięgające mi niemal do ramion rośliny. Intensywne, zmieszane zapachy wygrzanych traw i kwiatów odurzały. Ostrożność nie uchroniła mnie przed rosnącymi niżej pokrzywami, które boleśnie smagały moje gołe łydki. Strategia dziewcząt była lepsza. Przynajmniej krótko były narażone na ataki roślin.

– Ruszaj się, bo Psikłaczka nas dogoni!

Odwróciłam głowę i zobaczyłam chudą kobietę wymachującą grabiami. Poruszała ustami, ale dolatywało do mnie tylko ciągnięte na jednej nucie coś jak: „Aaaaa bo niecebaże!

Pobiełam w dół co sił w nogach.. W dole czekał na nas staw. Rozległy, porośnięty częściowo zieloną rzęsą zdawał się oddychać w naszym powietrzu.

– Czemu nas ta kobieta gonila?

– Bo nie lubi jak ktoś depcze jej łąkę.

– A nie mogłyśmy iść inną drogą?

– Mogłyśmy. Bokiem. Popatrz. Chłopcy zaraz do nas dołączają. Tutaj Psikłaczka nie przyjdzie, bo staw i otoczenie należą do gminy. Zresztą tylko tak straszny.

Przykucnęłam na brzegu i jak urzeczona patrzyłam na żaby usadowione na okrągłych liściach. Dające im cień wysokie intensywnie zielone wąskie zarośla okazały się być obiecującym tatarakiem. Siostry, szukające dogodnego dojścia jak zgrany duet wkroczyły po kolana do wody i z wysiłkiem zabrały się za zrywanie liści. Przepłoszone hałasem żaby skryły się pod powierzchnią.

– Musisz wejść do wody – zawołała Ela – tu jest płytko, tylko nie zdejmuj tenisówek, bo się pokaleczysz.

Przybliżyłam się do nich i zrobiłam krok zanurzając stopę w stawie. Jeszcze jeden, drugi. Przeszedł mnie dreszcz. Woda wydała mi się lodowata.

– Co, nieprzyzwyczajona? Hartuj się. Łap nisko i ciągnij – zaśmiała się starsza z wyższością widząc moje niezdecydowanie.

Zgodnie z otrzymaną instrukcją złapałam kępę tataraku i z całych sił pociągnęłam ku sobie. Wyraźnie dobrze się przyłożyłam, bo w rękach zostały mi dwa liście z kawałkiem oderwanego kłacza. Radość trwała ułamki sekundy, bo siła odrzutu pozbawiła mnie równowagi i runęłam na plecy. Torebka wylądowała na brzuchu. Nie puściłam zdobyczy i przekręcając się na kolana koślawo wygramoliłam na łąkę. Mokra sukienka kleiła mi się do ud, pośladków i pleców dając nieprzyjemne odczucie zimna. Dziewczynki nie posiadały się z radości. Każdy kolejny wybuch śmiechu poprawiał im nastrój i utwierdzał w poczuciu zaradności.

– Pokaż co masz – pojednawczo odezwał się Franek. Teraz powąchaj. Udało ci się wyrwać z kłaczem, a właśnie ono pachnie.

Faktycznie zapach wydzielano niezwykle.

– Franeek! Nie gładź z dzieckiem. Chodź tu. Do fechtunku lepsze będą pałki. Trzeba podejść po nie z drugiej strony.

Rozchichotane siostrzyczki zgodnie przycupnęły w trawie i zabrały się za robienie wianków. Stałam zwrócona ku słońcu. Susząc na sobie mokrą sukienkę i kątem oka obserwowałam ich poczynania. Młodsza ambitnie plotła wianek z kwiatów. Starsza sprytnie uformowała okrąg z najdłuższych liści tataraku i przewiązała w kilku miejscach trawą. Błyskawicznie włożyła go na głowę i stanęła na baczność.

– Ja pierwsza, jestem królową! Pójdiesz za mną jak dama dworu i będziesz mnie wachlować.

– Ale masz nieprawdziwy wianek. To niesprawiedliwe!

– Wianek to wianek. Potem się zamienimy.

Pomaszerowały w osobliwym orszaku przez łąkę. Ela kroczyła wyprostowana z jedną sztywną łodygą w ręce udającą berło. Za nią dreptała Hania machając liśćmi jak wielkim wachlarzem. Powiał wiatr. Odkleiliśmy od ciała mokrą sukienkę. Od razu wydeła się jak balon. Zadowolona ze swojego pomysłu na szybkie suszenie zaczęłam obserwować poczynania chłopców. Odgrywali pojedynek na szable. Całkiem niezłe naśladowali ruchy prawdziwych zawodników, a może trzech muskietierów. Mieli jednak problem z bronią, bo pałki wodne nie wytrzymały zbyt długo. Zmienili więc fechtunek

na wbieganie pod górkę i turlanie się się w dół po stoku. Moje obserwacje prze-rwała głośna kłótnia dziewcząt. Młodsza uznała, że już pora na zamianę, ale starsza nie chciała przestać być księżniczką. Hania zmieniła taktykę i zaczęła okładać siostrę tatarakowym wachlarzem. Ela rewanzo-wała się machając berłem, ale pojedyncza łodyga nie mogła dać jej przewagi. Zaczęła uciekać, przytrzymując jedną ręką wianek, ale podciął jej nogi turlający się Władek. O nich potknęła się goniąca siostrę Hania. Powstało hałaśliwe, fikające nogami kłębowisko. Pozbierali się szybko i zaczęła się gonitwa. Dołączył do nich Franek.

Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Wyglądali jak postaci z niemych filmów, które czasem oglądaliśmy z dziadkiem w telewizji. Dziadek opowiadał mi o Charlim Chaplinie, a przede wszystkim o Buste-rze Keatonie, który rozśmieszał do łez zachowując kamienną twarz. Fajnie, że tato kupił telewizor i nie posłuchał mamy, która kazała każdy grosz oszczędzać na spłatę pożyczki zaciągniętej na wkład mieszkaniowy do spółdzielni. Postawił się, powiedział, że długi spłaca z pensji, a na telewizor harował nocami przy projekcie. Gorzej, bo na początku przychodzili sąsiedzi na czwartkową Kobrę i Teatr Sensacji. Tłum był jak w sali kinowej. Ja miałam być o tej porze w łóżku, ale odczekiwałam aż się zacznie i cicho siadałam w przedpokoju na podłodze pilnie śledząc kryminalne historie przez uchylone drzwi. Parę miesięcy później kupił telewizor samotny kawaler z drugiego piętra i sąsiedzi przenieśli się do niego.

Z zamyślenia wyrwały mnie wybuchy śmiechu i głośne sapanie. Zzajane towarzystwo padło pokotem na trawę.

Prawie wyschłam. Tenisówki pozostały wilgotne, ale to akurat było przyjemne.

Dało się słyszeć miarowe bicie dzwonów.

– Anioł Pański. Południe. Trzeba się pomału zbierać.

Powrotna, okrężna droga znad stawu dłużyła się niemiłosiernie. Prowadziła lekko pod górę, co dodatkowo hamowało kroki moich dziwnie ciężkich i sztywnych nóg. Chwilowe uczucie orzeźwienia, jakie dało mokre ubranie minęło bezpowrotnie. Czułam cienkie strumyczki potu ściekające po plecach. Nawet dziewczynki, dotąd tak pełne wigoru, wlekły się bez słowa na końcu. Grupę prowadził Franek, ale i on coraz częściej oblizywał spierzchnięte od upału wargi.

– Pić mi się chce – zapiszczała młodsza siostra.

Dochodziliśmy do rozwidlenia dróg. W głębi wysypanego żwirem placu stał blaszany pawilon, pomalowany bladoniebieską farbą. Przeskalowany szyld krzychał wielkimi literami.

– Sklep ogólnospożywczy – przeczytałam bezwiednie półgłosem.

– Piiiiic, piiiic!

– Też mi się chce, ale nie mam pieniędzy! – odparował siostrze Franek.

– Ja mam.

– Co?

– Jesteś dziecko. Co masz? Dwa złote? To po łyku oranżady na głowę.

– Nie. Przed wyjazdem babcia dała mi dużo „rybaków”. Na przyjemności i kazała się z wami dzielić.

Wszyscy zatrzymali się jak na komendę. Uważne spojrzenia śledziły każdy mój ruch. Przyciągnęłam do przodu objijając mi plecy torebkę i wydobyłam z niej różową koraliową portmonetkę, ale zamiast otworzyć, podałam ją Frankowi. Czułam, że wstrzymują oddechy. Franek szarpnął opierający się wilgotny zamek i upchane ciasno monety wypadły z brzękiem na drogę. Wyglądały jak duże srebrne kwiaty. Chłopcy rzucili się je zbierać.

– Faktycznie, fura pięciozłotówek – skwitował kolega Franka, oddając mu podniesione pieniądze.

– Dobra. Nie kłamałaś. Ile możemy wydać?

– Ile potrzeba.

– No to kto wypije całą butelkę, ręka w górę.

Pięć dłoni znalazło się w górze.

Szybko i bez narzekań pokonaliśmy dystans dzielący nas od sklepu. Przed wejściem stała wąska, zbita z desek ławeczka. Opadłam na nią bez zastanowienia. Kręciło mi się w głowie. Obok przycupnęły siostry.

– Mała, a skąd wiedziałaś, jaki to sklep?

– Przeczytałam.

– Przecież jeszcze nie chodzisz do szkoły?

– No to co.

– To przeczytaj co tu jest napisane – kolega Franka wskazał na szybę.

– PSS Społem.

– Zgadza się. Kto cię nauczył?

– Tato dał mi w zeszłym roku Elementarz i razem go przeczytaliśmy. W domu wszyscy chodzą do pracy, Krysia do liceum, a Baburysia musi robić zakupy i gotować. Nie mają czasu. U nas w Nowej Hucie też jest sklep Społem. W Centrum B. Zajmuje cały parter bloku. Ogromny. Ma pięć wielkich okien wystawowych. Jest tak duży jak delikatesy po drugiej stronie ulicy.

Przed dalszym przepytaniem uratował mnie Franek, który wyszedł obładowany butelkami oranżady i zaczął rozdawać każdemu.

– Mam jeszcze po niespodziance. Po lizaku z kwiatkiem.

Dziewczynki zapiszczały z radości. Znałam te lizaki. Trzeba było porządnie polizać i popatrzeć pod światło. Kwiatek robił się przezroczysty i nigdy nie wiadomo było, jakie będzie miał kolory.

– Schowaj dobrze portmonetkę. Niedługo mają przywieźć do sklepu zamrażarkę, to będą lody na patyku. Pingwiny i Bambino jak w Bochni.

Podsunęłam butelkę koledze Franka. Okazał się domyślny i ją otworzył.

– Do krachli trzeba trochę siły.

Kiepsko radziłam sobie z piciem wprost z butelki. Zbyt często język zatykał mi otwór i słodki płyn ściekał na sukienkę, a dyndająca zatyczka nie ułatwiała zadania. Pragnienie było tak wielkie, że nie rezygnowałam i piłam jak potrafiłam. Początkowo nikt nie zwracał na mnie uwagi, ale po chwili obie siostry zaczęły chichotać i trącać się łokciami.

– Patrzcie, czytać potrafi, a z butelki pić nie umie, ha, ha! Ślini się jak małe dziecko ha, ha!

– A taka niby mądra!

– Przestańcie! Dajcie jej spokój – ujął się za mną kolega Franka.

Gromadka sprawnie ugasiła pragnienie. Nie poszło mi tak dobrze, ale nie chciałam opóźniać wymarszu. Dziewczynki ruszyły pierwsze z lizakami w ustach. Swoją schowałam do torebki „na potem”. Bolesna suchość w gardle zniechęcała do słodyczy.

Minęliśmy duży ceglany budynek szkoły. Dalej widać było fronty domów i przy-

domowe drzewa. Sadząc po miodowym zapachu przeważały lipy.

– Ela, idźcie prosto do domu z małą. Ja skoczę tylko po pompkę do roweru do Władka i spotkamy się w domu.

Pobiegli w prawo ku szaremu zwałistemu domowi za szkołą.

– A my pójdziemy skrótem.

Pociągnęła mnie za rękę w lewo ku wąskiej ścieżce. Rozdzielała dwa gospodarstwa. Ledwie nadążałam, ale mocny chwyt ręki nie pozwalał mi zwolnić. Co chwila to podbiegłam, to dawałam się wlec dziarsko maszerującej Eli. Brakowało mi tchu. Znalazłyśmy się między ścianą czyjś domu z jednej strony a bokiem stodoły z drugiej.

– Teraz uważaj. Przejdziemy kładką nad strugą i prawie będziemy w domu. Puszczam cię, bo jest wąsko i masz się trzymać poręczy. Patrz na nas.

Zezőściła mnie. Nie jestem jakąś niedorajdą. Chodziłam z tatą po różnych marnych kładkach przerzuconych przez Dłubnię. Mała, ale zdradliwie wartką miejscami rzeczkę w Hucie. Nawet przez taki stary mostek bez poręczy. Chyba ze złości zaczęłam szybko i płytko wciągać powietrze, wydając charkotliwe dźwięki przy każdym wydechu. Zawieszona nad porośniętym chaszczami rozpadliskiem wąska drewniana kładka z jedną poręczą, łączyła zabudowania, przy których stałyśmy, z tyłami budynków po drugiej stronie. Złapałam się poręczy i bez wahania zrobiłam kilka kroków. Coś jednak było nie tak. Zmienacka średniej szerokości podest wydłużył się i zwęził na szerokość mojej stopy. Spojrzałam przed siebie. Dziewczynki były dziwnie daleko ode mnie, ale i od drugiego brzegu dzieliło je sporo. Kładka zdawała się coraz bardziej zwęzać i wydłużać. Zaczęłam iść tiptopkami, stawiając piętę tuż przy palcach znajdującej się z tyłu stopy.

– No, ruszaj się. Czekamy na ciebie.

Kurczowo uchwyciłam się poręczy. Nie zwracając uwagi na zadziory i sęki sunęłam po niej ręką, stawiając chwiejnie kroki na bujającej się na boki kładce.

– Nie bój się. Chodź. To nie dziesiąte piętro, ha, ha!

To wystarczyło, żebym spojrzała w dół. Zionęła pode mną bezkresna otchłań z leniwie płynącym po gliniastym dnie cienkim strumyczkiem wody i gromadką ptactwa. Ogarnął mnie strach. Nie potrafiłam zrobić kroku. Opadłam na kolana i chwyciłam obiema rękami za kładkę. Siostry były

już po drugiej stronie. Wzrok mnie zwodził. Nagle widziałam ich twarze tuż przy swojej, wykrzywione pogardliwymi grymasami, a za moment podskakujące sylwetki odległe o wiele metrów. Jakbym patrzyła raz z jednej strony lornetki, a raz z drugiej. Nie wiedziałam, co się dzieje. Chciało mi się płakać, ale nie mogłam dopuścić, żeby odeszły. Tylko one znały drogę. Wołałam, żeby zaczekały, ale z gardła wydobywał się jedynie cichy charkot. Próbowałam się skupić. Patrzyłam tylko na deskę kładki i ruszyłam dalej na czworakach. Zastanowiła mnie cisza przerywana pojedynczym kwakaniem. Uniosłam głowę i spojrzałam przed siebie. Tym razem od brzegu dzieliły mnie zaledwie kroki, za to po siostrach nie było ani śladu.

– Dobrze. Jak tak, to muszę sobie sama poradzić. Nie mogę tu tkwić. Z uporem sunęłam dalej na czworakach. Nie ufałam oczom. Wstałam dopiero, jak poczułam pod kolanami twardą, wydeptaną ziemię. Ruszyłam ścieżką między bokami domów i znalazłam się na drodze. Domy stały po obu stronach. Ani żywej duszy. Nie wiedziałam, w którą stronę iść. Poczułam obezwładniający strach. Było tak obco, tak bardzo obco. Chciałam teraz, zaraz być w Hucie. Tam bym się nie zgubiła. Ruszyłam w prawo ku wysokiemu drzewu. Szłam coraz wolniej. Zimno mrozące moje nogi nie sięgało głowy, która pęczniała jak płonąca kula. „Baburysia na pewno będzie mnie szukać” – pomyślałam i upadłam się całym ciężarem pod drzewem. Z półsnu wyrwało mnie potrząsanie za ramię. To była Baburysia. Wzięła mnie na ręce.

– Ależ jesteś rozpalona. Powiedz co cię boli.

– Gardło, głowa. Wszystko.

– Jak mogły cię tak zostawić? Nie. Jak ja stara mogłam cię tak puścić na pół dnia.

Podrzuciła mnie unosząc kolano, żeby nieść wygodniej i mocno przytuliła.

Uśmiechnęłam się. Czułam się bezpieczna. Pamiętam jeszcze ciepły napar z rumianku i szczypiący smak Aspiryny na języku.

Zapadłam w sen przerywany atakami kaszlu. Obudził mnie duszący zapach świec i przenikliwa woń „stęchliny”, jak mówiła druga babcia. Chodziło jej o to, że w domach, szczególnie starych i słabo ogrzewanych, była wilgoć, często tworzył się w ścianach grzyb i przedmioty, a szczególnie odzież, pościel, zasłony, przesiąkały specyficznym, nie dającym się sprać zapachem.

Ciemny pokój rozświetlały dwie gromnice. Okno zasłaniał szary koc. Po obu stronach

łóżka siedziały stare kobiety mamroczące zdrowaśki. Ich ubrania wydzielały obficie stęchlinę. Zamknęłam oczy. Nie byłam pewna czy to gorączkowe majaki, ale czułam się lepiej. Powoli otworzyłam oczy. Nic się nie zmieniło. Staruszki nadal śmierdziały i mamrotały. Uszczypnęłam się w rękę. Zabolało. Chciało mi się pić. Uniosłam się na łokciach.

– Baburysia! – zawołałam. Cienko wyszło, bo gardło paliło.

– Heła! Chodź tu. Mała się przecknęła.

Ciocia zjawiła się domyślnie z garnuszkiem wody.

– Gdzie Baburysia?

– Poszła do mieszkania nauczycieli zadzwonić do twojej mamy.

– Ale my nie mamy telefonu.

– Dzwoni do sąsiadów z przywołaniem. No, a na międzymiastową czeka się nieraz kilka godzin. Jest sobota, nie ma dziś u nas żadnej pomocy medycznej. Lepiej żeby rodzice zabrali cię do domu.

– Ciociu, a po co siedzą tu te babcie po ciemku?

– U nas zawsze modli się i pali gromnice przy ciężko chorym.

– To ja umrę?

– Lepiej leż i staraj się usnąć aż twoja babcia wróci.

Leżałam z zamkniętymi oczyma. Nie chciałam widzieć przypominających wrony staruszek. Ze świeżo zwilżonej chustki na czole spływały chłodne krople chłodząc rozpalone policzki. Chwilami wirowało mi w głowie i zapadałam się w głąb, w studnię sennych majaków. Dawno straciłam poczucie czasu. Czułam smak ziołowej herbaty i gorzkiego lekarstwa na języku. Oprzytomniała mnie pilna potrzeba wysiusiania się. Pamiętałam, że nocnik stał pod łóżkiem. Zmęczyło mnie siadanie i spuszczenie nóg na podłogę. Otoczenie lekko faloowało. Odpoczywałam oparta o ramę łóżka. W pokoju paliła się mętym światłem lampka nocna, której nie pamiętałam, a na kulawym fotelu drzemała Baburysia przykryta swetrem. Chciałam cicho uklęknąć i sięgnąć po nocnik, ale zamiast tego całym ciężarem zwałam się na nogi Baburysy. Pomogła mi, utuliła. Potem ułożyła mnie z powrotem w pościeli.

– Która godzina?

– Po trzeciej. Gorączka ci trochę spadła, ale jesteś słaba. Śpij. Rano po nas przyjadą.

– Wrócimy do siebie, do naszej Huty?

Obudził mnie znajomy głos taty:

– Kto zatyka kocem okno. I po co, żeby odciąć dopływ świeżego powietrza do chorożego dziecka?

Roztrzęsiona, zapłakana mama ścisnęła mnie i całowała.

– Jesteście spakowane?

– Tak. Zostały tylko rzeczy Basi do przebrania..

Tato owinął mnie dużym kracastym kocem i zniósł po schodach na dół.

– Bardzo dziękujemy za wszystko. Odezwiemy się później.

Przed domem stała ogromna biała Warszawa naszego sąsiada i znajomego mamy z kombinatu, jowialnego pana Cwiląga.

– O, jest nasza chora. Zaraz się tobą zaopiekujemy. Mam dwie córki to wiem, jak bywa.

Tato ułożył mnie wygodnie z tyłu na kolanach mamy i Baburysy, a sam usiadł obok kierowcy. Mama była tak zdenerwowana, że nawet nie pożegnała się ani nie pomachała cioci Heli. Trzymała mnie i powtarzała w kółko jak nakręcona.

– Nic ci nie będzie. To przeziębienie. Nic ci nie będzie.

– Lila, przepraszam. Moja wina. Niepotrzebnie brałam małą.

– Marysiu, nie sprowadziłaś choroby. Nie o ciebie chodzi. Jestem wściekła. No, opowiedz mi, bo piękne! Wiesz, co nam powiedziała ta, ta jakaś tutejsza świątobliwa pinda? Jak wjechaliśmy do wsi było po wpół do ósmej. Dzwony biły, ludzie szli na mszę, bo niedziela. Nie pamiętałam, który to dom Heli. Franek wychylił się i zapytał najbliższe kobiety jak mamy jechać. Jeden babsztyl zaczął zawodzić: „Oj, to wy od tej dziewczynki co ledwie dycha? Ona długo nie pożyje. Macie inne dzieci?” Wpakaowała głowę do samochodu. Obejrzała nas i dalejże nawijać: „O, młodzieńcze są. Jeszcze sobie dużo dzieci sprawicie. Tę trzeba odżalować. Modliły się nasze, ale mówią że sła biutka, długo nie pociągnie.” Zatkano mnie. Widziałam jak Frankowi grdyka lata. Też nie wytrzymał i wrzasnął do niej: „Który to dom?”

Obrażona z łaski powiedziała: „drugi po prawej przy wąskiej drodze”. Wyobrażasz sobie! Obcy babon już utrupił naszą Basię! A ja co, jabłonka jestem i co roku mam rodzić dzieci najlepiej takie same, jak od sztancy. Idealne na podmianę!

– Pani Lilu, spokojnie, głupich nie sieją. A my sobie poradzimy. Pojadę przez kombinat obok koksochemii, a stamtąd już rzut beretem do szpitala Żeromskiego. Zawsze tam jest dyżur pediatry wieczorami i w święta. Niedawno moją wozilem, a ma już 15 lat. Nie protestujcie. Gdzie w niedzielę znajdziecie lekarza? Czekać przez noc strach, a tak od razu dostanie zastrzyk i będzie wiadomo co dalej.

– Panie Władysławie, co byśmy bez pana zrobili.

– Trzeba sobie pomagać. Pani Lilu, pamiętam jak na stażu szkolili mnie pani tato. Jesteśmy jak rodzina.

Jazda samochodem działała usypiająco. Nie wiem jak długo jechaliśmy. Baburyśa drzemała z głową wciśniętą w kąt przy drzwiach, mama patrzyła przez szybę i prawie nie mrugała oczami. Mijaliśmy jakieś taśmociaği i ogromne silosy. Równoległe pojeżdżał niebieski tramwaj. Byliśmy u siebie. Opanowało mnie błogie poczucie bezpieczeństwa. Przed ambulatorium było pusto. Zajęliśmy całą ławkę. Musieliśmy narobić trochę hałasu, bo z gabinetu wychyliła się ubrana w biały kitel lekarka. Przypominająca dobrotliwą ciotkę pani doktor obejrzała, opukała i osłuchiwała mnie dokładnie.

– W płucach nic nie słyszę, w oskrzelach na razie też. Prawy migdał bardzo spuchnięty, ogromne czopy ropne na obu. Śluzówka gardła spuchnięta. Do tego utrzymująca się od wczoraj gorączka. Teraz trzydzieści osiem stopni przed 9 rano. To dużo. Na pewno stwierdzam ostrą anginę. Czy będą powikłania. Nie wiem. Bez antybiotyku się nie obejdzie. Zaraz zrobię zastrzyk i wypiszę receptę na dalsze, lek łagodzący kaszel i coś na obniżenie gorączki, która wieczorem na pewno wzrośnie. Ważne żeby państwo jutro z rana zgłosili do pielęgniarki środowiskowej w przychodni. Musi przychodzić codziennie robić zastrzyk. Dobrze byłoby też zamówić wizytę domową pediatry, bo warto sprawdzić czy nie ma powikłań.

Wysoka, koścista kobieta o niskim głosie zjawiała się przed południem, Bardziej

przypominała lekkoatletkę niż pielęgniarkę. Oznajmiła, że nie dało się załatwić wizyty domowej na dzisiaj, bo jest dużo przypadków powikłań po wietrznej ospie. Za to jutro pan doktor przyjdzie między dziesiątą a dwunastą przed swoim dyżurem w przychodni. Bałam się jej i tylko cienko piszczalam przy zastrzyku. Zmierzyła mi temperaturę i zaraz potem zadała okropne pytanie:

– A kiedy było wypróżnienie?

Wzwana na pomoc Baburyśa po namyśle zeznała, że w piątek.

– Czwarty dzień. No to lewatywa.

Przyrzekłam sobie, że nigdy nawet nie pisnę przy żadnym zastrzyku czy szczepieniu, bo były drobną niedogodnością w porównaniu z przeżytym barbarzyńskim zabiegiem. O dziwo kolejną noc przespałam spokojnie. Nawet kaszel mniej mnie męczył, bo mama wysoko ułożyła mi dwie poduszki i jasięk. Gdy się obudziłam w pokoju było pusto, a w mieszkaniu panowała cisza. Cieszyłam, że jestem w domu. Tutaj wszędzie mogłam trafić po omacku. Zwłokłam się z amerykańki i powędrowałam do toalety. Mijając w przedpokoju duże lustro spojrzałam w nie odruchowo. Nie poznałam się. Całą twarz pokrywały bąble. Niektóre zaczerwienione. Włosy dziwnie sterczały. Pomacałam się dłonią po głowie. Między włosami było ich jeszcze więcej.

– Mama!! Baburyśa!!

– Jak nie urok, to wietrzna ospa!

Trzy tygodnie później nadal siedziałam osłabiona w domu. Niecodziennie rozkwitła przez ten czas moja uroda. Niektóre bąble zanikły zostawiając głębsze ubytki i moja twarz wyglądała jak podziobana. Jeden usadowił się na powiece, więc teraz kłapałam w połowie bezrzęsą. Zyskałam też nową fryzurę, bo rodzice obawiali się, że jak zacznę drapać swędzące bąble na głowie to dojdzie do zakażenia. Postanowili mi, w celach higienicznych, prewencyjnie ogolić głowę. Tacie trzęsły się trochę ręce, więc dziadek spokojnie i z sukcesem ukończył dzieło ostrą brzytwą.

– Nic się nie martw. Na rozpoczęcie roku szkolnego będziesz mieć z powrotem ładne loczki.

Jedyną rozrywką było obserwowanie podwórka z kuchennego okna. Wypatrzywałam łobuziaków, którzy codziennie

forsowali ogrodzenie przedszkola, by dostać się do ostatnich prawie czarnych czereśni. Podchodząc kryli się za suszącym się między drzewkami praniem, ale nie zawsze udawało im się przechytryć woźnego. Wtedy było jeszcze ciekawiej, bo gonił ich hałaśliwie wymachując wielką miotłą.

Najlepszy spektakl rozgrywał się jednak zwykle popołudniami Sąsiad, miłośnik kwiatów, o którym wspominałam ciotki Heli, musiał pokonać wiele przeszkód, żeby osiągnąć cel. Przede wszystkim mieszkał na pierwszym piętrze, a pod oknami był chodnik i wąska osiedlowa uliczka. Za to na przeciwko, za uliczką, przed dwupiętrowym blokiem tworzącym podkowę z własnym wewnętrznym podwórkiem, rósł spory trawnik. Musiał więc uzyskać zgodę administracji na urządzenie tam wymarzonego ogrodu. Rozrastał się powoli, ostatecznie sięgał połowy bloku. Wiosną zapowiadały pękate forsycje i delikatne narcyze, później koloru dodawały czerwone tulipany. Teraz królowały niebieskie ostróżki i różowe róże, a nadchodzący festiwal lata zapowiadały wielobarwne i wielokształtne dalie. Sezon zamykały pomarańczowordzawe rudbekie i fioletove michałki. Cieszyły wszystkich okolicznych mieszkańców. Byłoby idealnie, niestety kłopot sprawiało podlewanie. Do czasu. Niedawno sąsiad sprawił sobie długi gumowy wąż, który zakładał na kurek w kuchni. Stawał wyprostowany w lekkim rozkroku na parapecie i silnym strumieniem, tworzącym zgrabny łuk nad uliczką, podlewał zdalnie swój ogród. Często przy tym podśpiewywał, najczęściej swój ulubiony przebój „Cicha woda”, lub zagadywał wesoło przechodzących chodnikiem sąsiadów. Niekiedy moczył plotkujące na ławce kobiety, które rozbiegały się z piskiem. Widok był niecodzienny, ale taka też była moja dzielnica. Od frontu formalna i elegancka, a od podwórza swojska i barwna. Za to wszędzie pełna życia i zieleni. I moja.

Nie wiedziałam wtedy, że za rok nie będę już widzieć z balkonu alei Róż. Nie będzie żadnego balkonu ani windy. Za to trzeba będzie oswajać nowy rejon Nowej Huty – Bieńczyce Zachód.

Tylko pół godziny piechotą od alei Róż.

POEZJA UKRAIŃSKA

OSTAP SŁYWYNSKI

Coś stale paliło się na przedzie –
nie punkt orientacyjny,
nie znak zabłąkanych,
nie ognisko, nie znak ostrzegawczy,
niczyje domostwo, niczyje
polowanie czy wojna, które zatrzymały się
tu na zawsze,
nie człowiek, nie zwierzę,
nie suche drzewo, które wpadło do
swojego
czyśca,
nieodstępne jak dusza ciała niebieskiego,
nie
nakaz i nie pomoc,
coś
solidarne z nami w beznadziei,
niepocieszone, kiedy jesteśmy
niepocieszeni,
spokojne, kiedy
godzimy się ze stratą.
Jednakowe w czasie wojny i w czasie
pokoju,
głuche na prośby, ale zaniepokojone, kiedy
milczymy zbyt długo. Jednakowe
dla królów kwartału
i tych zrzucanych ze schodów.
Krótkowzroczne i czujne
jak matka w głębokiej starości.
I nie nadzieja, bo
bywa tak, że nie ma nadziei,
a ono – jest.

HAŁYNA TKACZUK

Hojności
oderwało granatem rękę.
Sprawiedliwość
straciła oczy od gumowych kul.
Modlitwę pobito pałkami na śmierć
przy górnym wejściu do metra
Chreszczatyk.
Radość straciła dwóch synów.
Uśmiechowi
odcięto głowę.
Słońce
spaliło się żywcem
w Domu Związków Zawodowych.
46 milionów świadków.
3 marca 2014

KATRINA HADDAD

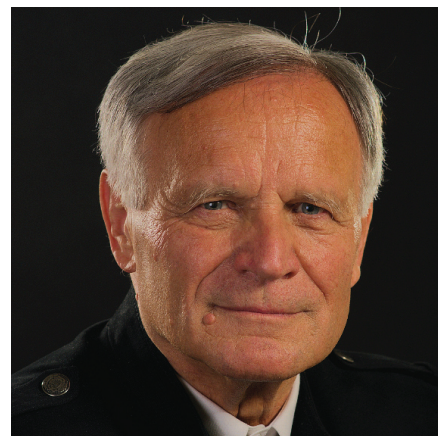
Już Pieką Się Słońca I Księżycy? Everything
Is Illuminated
ziarno księżycowego bochna
toczy się, toczy po pięciolinii
skacz, błyszcz, nutę do dowiedź
do najbardziej niebieskich głębin
bo
do zielonopola
grady przybyły
zboże nam wybiły
ziarenka w ziemię z kłosa zrzuciły
toczy się, toczy bochen-koło
kręci się, kręci księżyc-młyn
miel, miel nam śmierć na mąkę
niech pieką się słońca i księżycy
i spadają, spadają na głowy martwym
którzy zabijają żywych

12 lipca 2014

HAŁYNA KRUK

powiedzieć sobie szczerze, jak najszczerzej,
jakby nie było już nic do stracenia:
za długo żyliśmy, polegając na innych –
jak książka pisze, co ludzie powiedzą,
za bardzo przywykliśmy do tych wyszywa-
nych koszul bezpieczeństwa,
do tych wystawnych cerkiewno-gastrono-
micznych obrzędów,
do tych fig w kieszeni, którymi często uda-
jemy sprzeciw.
powiedzieć sobie jasno:
nie wystarczy siód ani miasteczek,
żeby każda chata była skraja,
nie wystarczy wojowników, żeby pojedynczo
wychodzić w pole,
nie wystarczy pół,
nawet kitajek nie wystarczy, nazwożonych
z Chin.
powiedzieć sobie bezlitośnie,
nie chowając się za plecy innych,
nie sięgając za każdym razem po sławę dzia-
dów i pamięć bohaterów
jak po chusteczkę na patriotyczne łzy
i smarki,
nie uciekając w tęskną pieśń
powiedzieć sobie:
ja – ostatnia litera alfabetu, bez którego mnie
nie będzie,
ja – ostatnie terytorium,
ja – to, czego nie mogę się wyrzec,
ja – cieśla belki we własnym oku,
ja nie muszę ciosać z niej krzyża, jeśli nie
chcę
ja nie mogę oddać tego, co do mnie nie
należy
ja należę do tego narodu, ja – ten naród
ja nie chcę, żebyśmy wiecznie
chodzili takimi głuchymi drogami
więc zaczynam od siebie – ja zaoruję
miedze
ja – my, ja-my, jamy

BOLESŁAW FARON



SYLWESTER W BESKIDZIE NISKIM



Od kilku lat ostatnie dni roku spędzam w gronie kilku znajomych w różnych miejscach Polski południowej. Wyjątek stanowił przełom roku 2020/2021 ze względu na ograniczenia epidemiologiczne. Te kilkudniowe wyjazdy mają charakter wypoczynkowo-poznawczy. I tak np. pobyt w Ropicy Górnej koło Gorlic połączony był ze zwiedzaniem zachowanych w tym rejonie cerkwi łemkowskich, cmentarza z I wojny światowej (nr 60) na Przełęczy Małastowskiej, Bardejowa na Słowacji, pałacu w Siarach, którego właścicielem był znany na tym terenie Edward Brzostowski z Dębicy czy Muzeum I Wojny Światowej w Gorlicach.

Z podróżą do Koninek w gminie Niedźwiedź koło Mszany Dolnej wiązała się wizyta w Muzeum Biograficznym Władysława Orkana, wędrowki po Orkanowskich roztokach gorczańskich. Z miejscowości Pewel Mała wyruszyliśmy do Żywca, by poznać historię tamtejszego browaru Habsburgów, historię miasta z zamkiem na czele, po drodze zaś zamku w Suchej.

W br. wybór padł na Ośrodek Szkoleniowo-Wypoczynkowy „Radocyna” w Czarnem, należący do Nadleśnictwa w Gorlicach. Obiekt gruntownie wyremontowany kusił świeżością, niezłym standardem, sprawdzoną przez znajomych dobrą atmosferą, a przede wszystkim niezwykłym położeniem wśród nieprzebranych lasów na terenach dawnych wsi łemkowskich. Są one znacznie mniej odwiedzane przez turystów niż modne od l. 60 ub. wieku Bieszczady. Na ten ostatni – jak dotąd – wyjazd zdecydowało się dziewięć osób, reprezentujących różne profesje, m.in. trzech lekarzy (pediatra, laryngolog, ginekolog), dwóch inżynierów budowlanych, w latach PRL-u na kontraktach, m.in. w Libii, Indiach, Bangladeszu czy w Algierii, trzy nauczycielki i ja, historyk i krytyk literatury, zajmujący się w ostatnim czasie m.in. poetami regionu sądeckiego, w tym pochodzenia łemkowskiego.

Ruszamy w drogę zaopatrzeni w konieczną literaturę, a więc w mapę turystyczną Beskidu Niskiego Compassa, przewodnik *Beskid Niski*, oficyny Wydawniczej „Rewasz” (Pruszków 2019, wyd. VI aktualizowane i uzupełnione), Stanisława Krycińskiego, *Łemkowszczyzna. Czas wojny i pokoju*, Rzeszów 2020, wyd. II poprawione, Wydawnictwo Libra, Antoniego Kroha broszurkę *Pięknie odpoczywać. Cmentarze wojenne Beskidu Niskiego*, opublikowaną przez Sądecką Oficynę Wydawniczą w 1991 roku. Zabieram też ze sobą antologię *Poeci Sądeckich* (Kraków 2019, Wydawnictwo Edukacyjne) oraz wiersze wybrane poety łemkowskiego Władysława Grabana *Z ziemi do nieba*, którego edytorem jest Łemko Tower w Strzelcach Krajeńskich. W Ośrodku zaś mamy do dyspozycji Biuletyn Magurskiego Parku Narodowego, a od kierownika dodatkowo otrzymujemy książkę Jana Pawlusa *Krępna i okolice*, wydaną w Jaśle w 1997 r. przez Stowarzyszenie Miłośników Jasła i Regionu Jasielskiego.



Cmentarz łemkowski w Radocynie

28 grudnia 2021 roku

Kraków godz. 10.00 wyruszamy samochodem do Radocyny. Zgodnie z sugestiami nawigacji trasa prowadzi autostradą A4 do Brzeska, stąd drogami wojewódzkimi i lokalnymi do Zakliczyna, dalej na Pogórze Ciężkowickie. Warunki podróżowania dość trudne, gdyż na terenach zacienionych, w lasach jezdnia jest oblodzona. Zaletą tej trasy jest to, że nie ma tu prawie żadnego ruchu samochodowego. Na krótki odpoczynek zatrzymujemy się na stacji benzynowej Lotosu w Grybowie. Obok niewielki, zgrabny hotelik z restauracją o sympatycznej nazwie „Słoneczne tarasy”. Pora obiadowa. W menu kusi potrawa „perliczka pieczona”, po dość przystępnej cenie 49 zł. Okazała się ona jednak bardzo wyrośniętym ptakiem, bardziej przypominającym kurę niż tak delikatny drób.

Po posiłku dalsza podróż przez Uście Gorlickie wzdłuż Zalewu Klimkówka w stronę przejścia granicznego w Koniecznej; po drodze m.in. Kwiatów z pięknie odrestaurowaną cerkwią i dalej przez Gładyszów do Zdyni. Na terenie gminy Uście Gorlickie pojawiają się podwójne nazwy miejscowości – polskie i łemkowskie. Dojeżdżamy do wsi Zdynia, po łemkowsku Żdynia, zamieszkałej w większości przez Łemków, którzy po wysiedleniu w ramach akcji „Wisła” w 1947 r., po 1956 r. w większości powrócili na swoje tereny. Spis ludności w 1921 r. wykazał tu 547 grekokatolików, 22 katolików rzymskich i 58 żydów.

Za budynkiem Ochotniczej Straży Pożarnej skręcamy z głównej jezdni w lewo, gdzie drogą leśną, po około 10 km docieramy do Ośrodka Szkoleniowo-Wypoczynkowego „Radocyna”. Mijamy ogrodzone tereny festiwalowe, gdzie od 1983 r. odbywa się festiwal kultury łemkowskiej „Łemkowska watra”, na który przybywają Łemkowie z całej Polski, ze Słowacji, Ukrainy, USA, Kanady i innych krajów. Zagospodarowane pole biwakowe, estrada, budynki zaplecza dzisiaj opuszczone, przykryte kilkucentymetrową warstwą białego śniegu. Do celu prowadzi nas kręta, leśna droga o zróżnicowanym terenie, na poboczach przygotowane do transportu drewno z tegorocznego wyrębu.

W Ośrodku Szkoleniowo-Wypoczynkowym wita nas kierownik, Przemysław Sroka, oraz Pani Ela, która będzie nam towarzyszyć podczas całego pobytu. Pełni tu bowiem wiele ról, i barmanki, i kelnerki, i osoby dbające o porządek w pokojach. Kierownik narzeka na trudności kadrowe na tym odludziu. Wiele czynności wykonuje osobiście, w tym odśnieżanie. Nie ma pracownika do recepcji. Zakwaterowanie, pierwszy posiłek i chwila relaksu po podróży, która z Krakowa wyniosła 178 km.

29 grudnia 2021 roku

Kiedy poinformowałem poetę łemkowskiego Władysława Grabana o tym, że na przełomie roku wybieram się do Ośrodka Szkoleniowo-Wypoczynkowego w Beskidzie Niskim, otrzymałem od niego taką korespondencję:

„Ja też byłem jesienią ub.r. w Radocynie. Miejsce, gdzie znajduje się hotel jest sympatyczne i urokliwe, ale kiedy pójdziemy drogą w stronę słowackiej granicy, to nostalgia i niepokój, jak gęsta mgła zalewają dolinę. Byłem tam pierwszy raz czterdzieści kilka lat temu. Wtedy z zieleni sterczały kikuty rozwalonych domostw, oczodoły studni i dziwiące się temu przydrożne krzyże. To zmusiło mnie do napisania tych kilkunastu wierszy... o Łemkowszczyźnie”.



Zgodnie z sugestią poety przedpołudniową porą wybrałem się tym szlakiem. Tuż obok Ośrodka na rozstaju dróg znajduje się tablica informująca, że w tym miejscu rozpoczynała się wieś Radocyna. Droga wiedzie najpierw przez gęsty las, a w nim na polanie spod śniegu wyłania się zbiór kamiennych rzeźb łemkowskich, zgromadzonych tu z okolicznych miejscowości. Dzisiaj na zaśniewanej przestrzeni tylko krzyże wyróżniają się w tym krajobrazie. Radocyna rozlokowana była wzdłuż Wisłoki, która niedaleko stąd ma swoje źródła. Z lasu po kilkudziesięciu metrach wychodzi się na rozległą dolinę okalającą koryto rzeki. Spotykamy tu nieliczne ślady dawnej wsi, przede wszystkim kapliczki i krzyże przydrożne (niektóre bez figury ukrzyżowanego Chrystusa czy płaskorzeźb przedstawiających sceny biblijne), od czasu do czasu spod śniegu ukazują się resztki rozwalających się piwnic czy – jak pisze poeta – „oczodoły studni”, a także zdziczałe drzewa owocowe. Dawne grunty rolne, pastwiska porośnięte lasem, który jakby chciał ukryć tragiczną historię tej ziemi, zbliża się coraz bardziej w dół, do rzeki. Po lewej stronie dwa nowe niewielkie domki pszczelarzy, a tuż nad Wisłoką pasieki. Kilkadziesiąt metrów dalej świeżo wybudowany obiekt turystyczny „Wilcza Dolina”. Podobno może przyjąć 16 osób, dla których gospodarze organizują atrakcje turystyczne. Na wzgórzu po prawej stronie pensjonat „Siedlisko Radocyna”, prowadzony przez gościnnych gospodarzy. Ubolewają, że dolina niebawem straci swój nostalgiczny, dziki charakter, gdyż coraz więcej osób wykazuje zainteresowanie inwestowaniem tutaj. Niedaleko od rozwalającego się budynku starej szkoły powstanie nowy dom. Parcela ogrodzona, widocznie przygotowana

do budowy. Podobno jakiś pracownik naukowy z Uniwersytetu Rolniczego z Krakowa zamierza też w tej gęszy hodować pszczoły. Zrujnowany dziś budynek szkoły powstał staraniem mieszkańców w 1912 r., w 1973 r. został wyremontowany przez dwóch Łemków, którzy po powrocie na te ziemie tutaj znaleźli schronienie. Opowieść gminna głosi, że zostali wypędzeni stąd przez pasterzy z pobliskiego PGR-u. Ci zaś urządzili sobie w pomieszczeniach szkolnych zagrodę dla owiec. Po przeciwnej stronie drogi, 100 metrów na południe, dość gęsty zagajnik. Z przewodnika *Beskid Niski* dowiadujemy się, że w tym miejscu znajdowała się cerkiew. Obok cmentarz parafialny okryty całunem śniegu, spod którego wystają kamienne nagrobki – krzyże. W jego obrębie znajduje się cmentarz z I wojny światowej (nr 43). Przy wejściu na cmentarz zamieszczono tablicę informacyjną o historii Radocyny, wykaz mieszkańców zamieszkujących wieś w 1945 r. oraz objaśnienia o renowacji obiektu.

Z tablicy o przeszłości tej miejscowości dowiadujemy się m.in., że pierwsza wzmianka o jej istnieniu pochodzi z 1603 r., była ona wówczas w posiadaniu rodu Stadnickich ze Żmigrodu. W 1936 r. mieszkało tu 435 prawosławnych, 2 grekokatolików, rodzina żydowska prowadząca sklep oraz cygańska zajmująca się kowalstwem, a także żołnierze straży granicznej. W 1945 r. większość mieszkańców w wyniku agitacji żołnierzy Armii Czerwonej i perswazji miejscowych władz przeprowadziła się do ZSRR, na Ukrainę, w okolice Krzywego Rogu. Ich próby powrotu spełzyły na niczym. Jedynie jednej rodzinie udało się powrócić. Nieliczni pozostali tu Łemkowie zostali w 1947 r. w ramach akcji „Wisła” wysiedleni na Ziemię Zachodnią. Teren stał się rajem dla szabrowników. W 1955 r. rozebrano cerkiew grekokatolicką i prawosławną.

Po powrocie do hotelu przerzucam wiersze wybrane *Z ziemi do nieba* Władysława Grabana, w poszukiwaniu tekstu, który oddaje atmosferę dzisiejszego dnia. Może ten:

Zamieć

Zimą

ubrane w kwiaty śniegu

kwitną białą lipy

bez muzyki pszczoł

bez śpiewu liści

rusalka odeszła w krainę motyli

na skrzydłach ptaków

zostawiając szron

lipa

wtulona w białą zamieć

śni o lipcowej nocy

30 grudnia 2021 roku

Tu w Beskidzie Niskim zima w pełni. Wokół białą, tu i ówdzie spod śniegu wystają krzewy, bądź ośnieżone osty. Temperatura około -3° . Celem dzisiejszej wędrowki będzie kiedyś pełna życia wieś Lipna, dzisiaj teren całkowicie zarośnięty lasem. Tabliczka

czarnego szlaku wojennego informuje, że to ok. 1 godz. drogą w kierunku Zdyni. Trasa przejezdna, jedynie na poboczach dość gruba warstwa śniegu. Krajobraz podobny do tego w Radocynie. Co pewien czas tuż koło drogi kapliczki bądź kamienne krzyże, poniżej rozlewisko wodne oznakowane przez Nadleśnictwo Gorlice jako „obszar bytowania bobrów”. Po mniej więcej 4 km za wiaduktem mało widoczny znak zawierający informację, że na prawo od drogi znajduje się cmentarz wojenny nr 45.

Schodzimy po kopnym śniegu przez bukowy las. Dzisiaj nie odwiedzał nikt zachowanych resztek po dawnej osadzie. Jedynie świeże ślady racic jelenia widoczne są na białym śniegu.

Najpierw natrafiamy na ruiny cerkwi grekokatolickiej, która nosiła nazwę Narodzenia Najświętszej Marii Panny. Spod śniegu wylaniają się jeno zarysy budowli, a na miejscu ikonostasu stoi drewniany krzyż. Wokół rośnie las, na terenie dawnej świątyni też pojawiają się pojedyncze drzewa. Z dostępnych źródeł dowiadujemy się, że wybudowano ją w 1885 r., że mieszkańcy wsi w 1928 r. zmienili wyznanie na prawosławne, a także iż w 1945 r. wszyscy gospodarze Lipnej w wyniku agitacji wyemigrowali do ZSRR, a dziesięć lat później rozebrano budynek cerkwi. W Wikipedii możemy przeczytać, że pierwsza wzmianka o wsi [<https://pl.wikipedia.org/wiki/Lipna>] pochodzi z 1765 r. Lipna była wówczas wsią królewską należącą do starostwa bieckiego, w 1785 r. mieszkało tutaj 175 grekokatolików, w 1884 r. – 204, a w 1921 – 153. Tuż obok ruin cerkwi znajduje się cmentarz parafialny, mocno zaniedbany. Tu i ówdzie spod śniegu wystają kamienne nagrobki – krzyże. Nieco powyżej na zboczu cmentarz z I wojny światowej, zaprojektowany i zrealizowany jeszcze podczas działań wojennych, podobnie jak w Radocynie czy sąsiednim Długiem przez Dušana Jurkoviča, słowackiego artystę i architekta. Przy wejściu do nekropolii tablica, a na niej napis: „Zabytkowy cmentarz wojskowy I wojny nr 45 Lipna. Polegli: 97 Rosjan, 56 Austriaków. Projektował Dušan Jurkovič. Remont: 1988 rok”. Spod puszystego śniegu wystają drewniane krzyże z tabliczkami informacyjnymi, że spoczywa tu żołnierz rosyjski czy austriacki. Całość ogrodzona z trzech stron drewnianym płotem, a od północy kamiennym murem, pod którym stoi pomnik centralny, na kamiennym cokole wyryto w języku niemieckim napis: „Wojna burzy – wojna buduje”.

Tradycją tych sylwestrowych wypraw naszej grupy jest, że poszczególnej jej uczestnicy przedstawiają prelekcje związane z ich zawodowymi doświadczeniami. Tym razem wypadło na mnie. Toteż po powrocie z nieistniejącej wsi Lipno, opowiedziałem o dwóch najwybitniejszych poetach łemkowskich związanych z Beskidem Niskim: o Piotrze Trochanowskim, pseudonim Petro Murianka oraz o wspomnianym już Władysławie Grabanie. Materiały o obu poetach drukowaliśmy w „Hybrydzie”. O Petro Muriance (Piotrze Trochanowskim) w 2018 r., nr 32; o Władysławie Grabanie w 2021 r., nr 39.

31 grudnia 2021 roku

Od samego rana przy Ośrodku Szkoleniowo-Wypoczynkowym gwar niespotykany na tym odludziu. Okazuje się, że trwają przygotowania do noworocznego polowania. Obok obiektu

zaparkowało kilkanaście terenowych samochodów, z których wysiadają myśliwi w pełnym rynsztunku, z bronią w rękę, lornetkami powieszonymi na szyi, połowymi skórzanymi stołeczkami i innymi akcesoriami.

Biegają psy myśliwskie. Na pytanie skierowane do ludzi w myśliwskich uniformach, jaka zwierzyna będzie celem ich dzisiejszej akcji, odpowiadają, że przede wszystkim dziki i jelenie. Obok naszego obiektu ustawiono tabliczkę z napisem: „Uwaga polowanie!”. Oznacza to, że nasze plany zwiedzania najbliższej okolicy muszą być ograniczone ze względu na bezpieczeństwo.

Postanawiamy jednak odwiedzić trzeci w najbliższej okolicy cmentarz z I wojny światowej, nr 44 w Długiem. To zaledwie ok. 1 km stąd. Udajemy się drogą wzdłuż Wisłoki. Po kilkudziesięciu metrach tablica informująca, że trzeba przekroczyć w prawo rzekę, by po 300–400 m dojść do nekropolii. Przechodzimy przez prowizoryczny, stary, zdezelowany most, gdyż nurt rzeki jest dzisiaj dość wartki. Zaczynają się bowiem roztopy. Nieopodal Wisłoki biegną dwa wystraszone strzałami jelenie. Szukają schronienia w nadrzecznych zaroślach. Droga w Długiem zasypana jest śniegiem, z trudem porusza się po niej pojedynczy samochód. Prowadzi ona do Wyszowatki, w której od lat funkcjonuje PGR. Tuż przed położonym na wzgórzu cmentarzem tablica informacyjna: „Cmentarz wojenny nr 44 Długie. Remont wykonany w roku 2018 został dofinansowany ze środków: Austriackiego Czarnego Krzyża w wysokości 9950 euro – 41 884,26 PLN, Wojewody Małopolskiego w wysokości 150 000 PLN, udział własny Gminy Sękowa 17 677,75 PLN. Całkowita wartość zadania 209 562,02 PLN”. Jak wynika z tych danych największy udział finansowy w przywróceniu tego zabytku do pierwotnej formy ma Wojewoda Małopolski. Po kilkudziesięciu metrach od tej tablicy docieramy do głównej bramy cmentarza. Na solidnej podmurówce zamontowano drewniane ogrodzenie. Tuż przy wejściu kolejna tablica: „Cmentarz wojenny z okresu I wojny światowej Długie – 1918. Na tym cmentarzu spoczywa 245 żołnierzy: 37 żołnierzy z armii austriacko-węgierskiej, 208 żołnierzy z armii rosyjskiej. Chwała poległym. Projektował Dušan Jurkovič. Remont: 2018 r. Obiekt zabytkowy podlega ochronie prawnej”.

Na pomieszczonych tutaj drewnianych krzyżach nazwiska i imiona żołnierzy bądź informacje, ilu anonimowych żołnierzy tu pochowano. Na jednym z nich np. czytamy, że spoczywa tutaj 12 wymienionych z imienia i nazwiska żołnierzy oraz 21 anonimowych żołnierzy austriackich, a także informacja, że poległ oni w dniach 24–31 stycznia 1915 r. W centralnej części cmentarza otoczony murem znajduje się krzyż główny, górujący nad nekropolią. Takich zmasowanych walk, jak w okolicach Łużnej na początku maja 1915 r., tu nie było, niemniej w wyniku licznych potyczek w styczniu i lutym 1915 r., na tym terenie zgromadzono zwłoki na trzech cmentarzach wojennych – nr 43, 45 i 44 – w Radocyni, Lipnej i Długiem.

Od godz. 20.00 zasiadamy przy sylwestrowym stole, skromny poczęstunek – barszcz, bigos, wędliny i tradycyjna lampka szampa. Rozmowy o mijającym roku, o tutejszej okolicy, o tragicznej przeszłości tych ziem. A godz. 24.00 życzenia, by Nowy

2022 Rok był lepszy, szczęśliwszy, spokojniejszy, by szalejąca drożdżna zastopowała, by pandemia wreszcie po dwóch latach nas opuściła, by sytuacja na granicy rosyjsko-ukraińskiej się uspokoiła...

1 stycznia 2022 roku

W ciągu sylwestrowej nocy pogoda w tym zakątku Beskidu Niskiego ulega wyraźnej zmianie. Ociepliło się, zaczął topnieć śnieg, woda w płynącej obok Wisłoce wyraźnie przybrała i nabrała brązowego koloru. Roztopy znowu znacznie ograniczają możliwości wędrówek po okolicy. Postanawiamy jeszcze odwiedzić cmentarz łemkowski w Długiem, który jest ulokowany tuż obok Wisłoki, niedaleko od zwiedzanego wcześniej cmentarza z I wojny światowej nr 44.

O wsi Długie dowiedzieliśmy się z przewodnika *Beskid Niski* i z innych lektur opisujących tę krainę. Pierwsze wzmianki o jej istnieniu pochodzą już z 1541 roku, wówczas to Stadniccy nabyli te dobra ziemskie od Wojtyszków. W 1581 r. istniały tu 3 dworzyszczka kmiece i 1 sołtysie. W 1881 r. było 31 domów i 247 mieszkańców. W 1928 r. mieszkańcy wsi przeszli na prawosławie. Po II wojnie światowej, w 1945 r. wszyscy gospodarze wyjechali na Ukrainę w ZSRR. Dwie cerkwie – prawosławna i unicka – zostają w latach 50. rozebrane. Dzisiaj gruba warstwa śniegu nie pozwala nawet określić ich lokalizacji.

Natomiast od drogi wiodącej do Wyszowatki można zauważyć wydobywające się spod śniegu krzyże – nagrobki cmentarza łemkowskiego. Został on parę lat temu częściowo odnowiony, ogrodzony drewnianymi belkami. Na starym drzewie tablica: „Cmentarz łemkowskiej wsi Długie wysiedlonej w roku 1947 [?]. Obiekt chroniony”. Na nekropolii żelazne i kamienne krzyże, spod śniegu wystają lampki zapalone bodajże na Dzień Zmarłych. Na kamiennym cokole nowa tablica upamiętniająca zmarłych członków rodziny łemkowskiej. Oto jej treść: „Sabatowicz Józef, zm. w Długiem, Anna, zm. w Kijowie, Prokop, zm. w USA, Teodor, zm. w USA, Andrzej, zm. w Argentynie, Jerzy, zm. w Kijowie, Dymitr, zm. we Lwowie, Michał, zm. na Ukrainie, Jan, zm. w Radocyni, Piotr, zm. w Siarach, Julia, zm. w Siarach. Wieczna pamięć”. Przytoczyłem w całości tę nagrobną inskrypcję, gdyż pokazuje ona, jak w wyniku zawieruchy historii rozproszyli się po świecie członkowie tego jednego łemkowskiego rodu ze wsi Długie w Beskidzie Niskim. Tuż przy cmentarzu stara połamana wierzba pamiętająca zapewne czasy świetności tych stron. Nieco dalej, podobno w miejscu dawnej cerkwi, symboliczne „drzwi do nieistniejącej miejscowości”. Tych obiektów na tym terenie jest więcej. Robią one mocne wrażenie.

2 stycznia 2022 roku

Powrót do Krakowa. Tym razem przez Zdynię, Gładyszów, Gorlice, Ciężkowice, Tuchów i Tarnów, a stamtąd autostradą A4 z przerwą na krótki odpoczynek – do domu. Kraków wita nas czapą smogu nad miastem, mżawką, szarymi, bez śniegu, ulicami. Wracamy jakby do innej strefy klimatycznej, do innej rzeczywistości.

EDWARD KURLETO



POLSCY WSPÓŁCZEŚNI PISARZE I POECI W AUSTRALII

Analizę współczesnej literatury Polaków mieszkających i tworzących w Australii ograniczono zasadniczo do okresu XXI wieku, chociaż uwzględniono również tych autorów, którzy rozpoczęli swoją twórczość w XX wieku i kontynuowali pisarstwo w dwóch ostatnich dekadach. Autor podjął się analizy, pragnąc dokonać pewnego rodzaju uzupełnienia i systematyzacji studium dokonanego w 2021 roku przez Mary Besemeres i Katarzynę Kwapisz Williams¹. Dwie największe fale emigracji z Polski do Australii miały miejsce po II wojnie światowej. Pierwsza w latach 1947 do 1956, a druga w latach 80. i 90.²

Australia, będąc państwem wielokulturowym, uznawana jest za kraj emigracji, w którym środowisko artystyczne pisarza imigranta w ogromnym stopniu wyznacza autorowi „przestrzeń twórczą”, wpływając na to, jakie obrazy on kreuje. Clifford Geertz podkreśla, że prawdziwe „opisanie i zrozumienie kultury jest możliwe tylko poprzez życie w niej i stale jej doświadczanie”³.

W pracach polskich autorów tworzących na Antypodach istotnym elementem jest nurt australijski⁴. W literaturze tego nurtu widać doświadczenie rozdarcia oraz balansowania pomiędzy dwoma językami, kulturami, tradycjami i stylami życia. Odmienność tej ziemi jest tutaj elementem pogłębiającym owo uczucie obcości, wyraźnie oddzielającym od siebie przeszłość „tam” (w kraju rodzinnym, dobrze znanym i rozumianym) od teraźniejszości „tutaj” (w przestrzeni nowej, niezrozumiałej, wymagającej oswojenia). Według opinii Mary Besemeres i Katarzyny Kwapisz Williams, pisanie po polsku z jednej strony zdominowane było przez traumatyczne wspomnienia wojny oraz epoki postsolidarnościowej z drugiej strony pisarstwo Polaków w Australii w dużej mierze odzwierciedla głębsze zaangażowanie w australijskie krajobrazy oraz kulturę i często przejawia poczucie tożsamości kosmopolitycznej i transnarodowej⁵.

Drugim najczęstszym w pisarstwie polskim w Australii jest nurt autobiograficzny (szczególnie wspomnieniowo-rozliczeniowy). Teresa Podemska-Abt zauważa, że trajektorie migracyjne Polaków w Australii są różne. Dzielą one doświadczenia emigrantów z nową rzeczywistością kulturową, w której tożsamość narodowa jest wzmacniana, choć ich identyfikacje społeczne są wielorakie i niestałe, ponieważ żyjąc „w nowym świecie”, muszą nieustannie negocjować ze swoją przeszłością, aby zrobić krok ku przyszłości⁶.

Analizując współczesną polską literaturę w Australii trzeba wspomnieć niektórych bardzo znanych pisarzy z tzw. pierwszej fali emigracji. Nie daje o nich zapomnieć „specjalistka od biografii polskich pisarzy emigracyjnych” Bogumiła Żongołowicz, (urodzona w 1955 w Słupsku) dziennikarka, poetka, pisarka, która przybyła i zamieszkała na stałe w Melbourne od 1991 roku. Autorka kilku książek o Chciuku w tym: *Andrzej Chciuk. Pisarz z antypodów*, (wyd. I Kraków 1999; wyd. II Toruń 2021); *O pół globu od domu*. Obraz

Polonii australijskiej w twórczości Andrzeja Chciuka, (Toruń 2007), wydała również powieść *Konsul: biografia Władysława Noskowskiego* (2017). Bogumiła Żongołłowicz jest także autorką zbiorów poezji, w tym trzech tomów trylogii poświęconej refleksji straty i śmiertelności w kontekście migracji: *Śmierci nie moje* (2002), *Śmierci mi karta* (2008) i *(Nie)śmiertelnie* (2016) oraz bardzo wiele artykułów prasowych, które ukazały się w dziennikach i czasopismach krajowych i polonijnych⁷.

Wśród pisarzy polonijnych w Australii podobnie jak w Polsce wielu tworzy również poezję. Współczesna poezja niczym się nie różni od poprzednich epok, zajmuje się wszystkim. Poruszane są odwieczne tematy – Bóg, miłość przemijane, śmierć⁸. Poeci nadal starają się uchwycić, co nieuchwytnie dla rozumu – sferę ludzkiej psychiki, wyrazić to, co niewyrażalne – tajniki ludzkiej duszy a także zgłębić tajemnice bytu. Tak jak i kiedyś malują słowem urzekające prostotą i plastyką obrazy przyrody. Zmianom ulega jedynie język współczesnej poezji, która czasami wykorzystuje wyrażenia zapożyczone z cybernetyki⁹. Wydaje się jednak, pomimo tego, że we współczesnej poezji zaciera się hierarchie wartości, to język poezji jest zawsze artystycznie zorganizowany¹⁰.

Marek Baterowicz, wśród licznej społeczności piszących jest niekwestionowanym Księciem Literatów Polonii australijskiej. Baterowicz jest autorem wielu zbiorów wierszy, wydawanych w kraju i za granicą, wielu antologii poezji oraz kilku tytułów prozy. W 1983 władza w Polsce zdelegalizowała Związek Literatów Polskich, którego Baterowicz był członkiem. Poeta po wielu latach starań o uzyskanie paszportu) wyemigrował z kraju w roku 1985. Jest członkiem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, a także członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Marek Baterowicz, poeta i tłumacz na język polski przybył do Australii w 1987 r. Jego wiersze obejmują tematycznie i geograficznie Europę, Amerykę Południową i Australię. Jako poeta ma między innymi w swoim dorobku kilkanaście tomików wierszy w tym: *Z tamtej strony drzewa* (1992), *Na wydmach czasu* (1993), *Ciern i cień*, (2003); *Pan Retro* (2004) i *Na smyczy słońca* (2008). Jeden z jego wierszy zaczyna się od słów: „Pod Krzyżem Południa dźwigam Krzyż Północy” pokazując symboliczne rozdarcie serca autora. Postacią powracającą w jego wierszach jest „Pan Retro”, który, cytując Baterowicza wycofuje się z postępu, przekonany, że ludzkość zaszła już za daleko. Jego poezja emanuje wyraźnie emigracyjną i nostalgiczną wrażliwością, aczkolwiek wciąż niezmiennym zaangażowaniem w australijskie krajobrazy i percepcje. Jest też autorem prozy (zbioru opowiadań i książki). Oto jego wiersz – i (z tomu *Ciern i cień*);

Inwokacja do planetarnych braci

O, słuchaj bracie z planety Ziemia

- jak śpiewają gwiazdy

dla nas wszystkich tę samą pieśń nucz

i tym samym światłem darzą mnie i ciebie,

*posłuchaj jak temat kosmicznej fugi
draży i przenika wszystkie galaktyki,
jak wspina się i wędruje w głosach tych,
którzy przeistoczeni w pył lub w nirwanę
nie błądzą, gdyż odnaleźli się poza ziemią i
ciałem. Zobacz jak w głębi światła musuje wieczne
istnienie*

*i jak tętniący kosmos przelewa się w twoje
żyły*

*Oto twoja pieśń prawdziwa,
bez dysonansów i bez sztormów,
nad planetą rozkołysaną i rozpiętą
na niewidzialnych niciach pajęczyny,
jaką jest ten zaulek Wszechświata,
ukochany i opuszczony przez Stwórcę,
lecz wyróżniony w Jego testamencie
na wypadek gdyby On sam nie odnalazł drogi*

*do nas (Szatan wytrącił mu busołą przed
wiekami*

*i spada dryfując wśród gwiazd i planet
jak złota harfa o pękniętych strunach),*

Posłuchaj więc bracie jak śpiewają gwiazdy

dla nas wszystkich tę samą pieśń nucz

tu, gdzie trwamy pojmani

niczym w sieciach Wielkiego Rybaka,

łudzeni obietnicą ostatniego sądu¹¹.

Andrzej Gawroński w swoim przeglądzie polskich autorów tworzących w Australii zauważa, że w twórczość polskich emigrantów wyróżnia się dwiema cechami: względnym niedostatkiem powieści i dużą liczbą prac napisanych w języku angielskim. Niemniej jednak w swoim krótkim omówieniu odnosi się do: czterdziestu pisarzy, którzy razem stworzyli ponad sto książek¹². W pisarstwie polskim pierwszej fali związanym z Australią na istotnie odnotowanie zasługuje również niewątpliwie Barbara Schenkel (Wołkowicz) (1919–2008), która urodziła się i wychowała w Warszawie, wyemigrowała do Australii w 1949. Po przyjeździe do Australii włączyła się w życie powojennej emigracji polskiej w Australii. Z początku była to działalność teatralno-kabaretowa i kulturalna. Autorka pisała w języku polskim i angielskim (przykładowo *Green Winter/Zielona zima* Amber 1997). Przyczyniła się do powstania polskojęzycznej kultury literackiej i teatralnej w Melbourne¹³.

Poetka i pisarka Liliana Rydzyńska (1938–2005) jest gwiazdą na firmamencie polskojęzycznej literatury w Australii. Urodziła

się, jako Liliana Jędrzejczyk pod Łodzią w centralnej Polsce. W 1956 r. przeniosła się do Warszawy, gdzie studiowała literaturę polską na Uniwersytecie Warszawskim. Na początku lat 60. należała do grona wschodzących (później sławnych) poetów polskich, do których należał m.in. Edwarda Stachura oraz Barbara Sadowska, która spotykała się w antyreżimowym warszawskim klubie studenckim „Hybrydy”. Od 1960 należała do Związku Literatów Polskich. W 1964 roku przeprowadziła się do Francji, a stamtąd w 1969 roku wyemigrowała do Australii, gdzie mieszkała w Melbourne i Sydney. W Sydney ukończyła poetykę na Uniwersytecie (BA). Liliana jest autorką trzech tomików wierszy wydanych po angielsku *Zamek* (Castle 1975), *Trzęsienie Ziemi* (Earthquake 1978) *Celebracja* (Celebration 1982) i dwóch tomików w języku polskim *Ścinanie Róż* (1992) i *Odpycham kosmos* (1993) oraz książek: *Pozwólcie owocom dojrzewać* (1994) *Stracone światy*, *Odzyskane światy* (2000)] (opublikowane przez polskie wydawnictwo mieszczące się w Melbourne - 'Puma Press'). Jej ostatnia książka *Mój Henry* (2005) poświęcona jej zmarłemu mężowi jest dramatycznym opisem umierania a zarazem swoistym buntem przeciwko Bogu i prawom natury. Przez ostatnie lata swego życia Liliana Rydzyńska mieszkała w Melbourne. Na rok przed swoją śmiercią zaprzyjaźniła się z autorem niniejszego opracowania Edwardem Kurlito, który swoją trzecią książkę: *Miłość emigrantki, czyli prawo bumeranga* (2006) poświęcił właśnie zmarłej tragicznie Lilianie Rydzyńskiej.¹⁴

Warto zacytować jeden z późniejszych wierszy tej wybitnej autorki, aby dać poczucie jej oryginalnego stylu:

Odpycham nogą wszechświat

Odpychać nogą wszechświat

może tylko poeta

- no, bo nie jest łaskawy,

bo nie jest jak potrzeba

bo działa według pewnych praw,

nie ma w nim właściwie doskonałości

a jego nieskończoność jest nudna,

wyznaczona i posłuszna temu,

co ja stworzyło

Więc odpycham nogą wszechświat -

mogę sobie na to pozwolić,

ponieważ sama

jestem w sobie

ponieważ potrafię zamknąć wszechświat

w swojej nieskończonej wyobraźni

ponieważ nie jest ona posłuszna

i ja też posłuszna nie jestem

i tak samo niedoskonała jak wszechświat.

Wszechświat powinien być ideałem

powinien dawać pewność absolutna

powinien spełniać idee niezmienności

powinien mówić życiu

jest coś doskonalszego niż być

jest trwanie

którego łaknie poeta.

Ale wszechświat

to nie trwanie wieczne-

to bezustanny ruch

wokół siebie, ponad siebie, naprzeciw

siebie, na przekór sobie

to bezustanne przelewanie się

przetwarzanie się

przemieszczywanie się

zauważanie się

to się! to trwanie się

a nie wszechtrwanie.

Wszechświat

jest tylko jeszcze jednym

złudzeniem

jeszcze jedna do przetknięcia

niską, płaską rzeczywistością-

po poznaniu jej

jeszcze jedna prawidłowością

rzeczy nieprawidłowych

w ruchu, w zmianie niedoskonałych –

w wiecznej tęsknocie Stwórcy

do doskonałości - - -

Oprócz (wśród biograficznej wśród fantastycznej) książki o Lilianie Rydzyńskiej, autor podpisujący swoje książki jako Robert Larken (ps. lit) Edward Kurlito, mieszkając w Australii od 1991 roku, napisał również pięć innych książek:



Edward Kurlito z Lilianą Rydzynską (zdjęcie z tylnej okładki książki *Miłość Emigrantki, czyli prawo bumeranga*).

Podróż do miłości (2003), *Tropikalna zdrada* (2004), *Adult Centre czyli z życia Posumów* (2008), *Wizyta u Pana Boga* (2009) i ostatnią *Rok Królika* (2019) przetłumaczoną na angielski - *Year of the Rabbit*. Książki Roberta Larkena są pełne przygód, akcji, kryminalnych sensacji i psychologicznego odzwierciedlenia ludzkiej natury. Zahaczają o nurt autobiograficzny i nurt australijski (opisują piękno Australii i jej kultury).¹⁵ Autor urodził się w Krakowie w 1951 roku. Na Uniwersytecie Jagiellońskim pracował przez 17 lat, jako nauczyciel akademicki w Instytucie Prawa Karnego. W 1991 roku wyemigrował na stałe do Melbourne, gdzie mieszka do dzisiaj.

Jako polskiego autora specjalizującego się w opowiadaniach trzeba wymienić Alka Silbera, który przyjechał do Australii w 1960 roku. Jego opowiadania można określić mianem prozy poetyckiej lub baśni dla dorosłych. Pierwszy zbiór opowiadań został wydany w Warszawie: *Kartki do siebie* (1995). Pozytywne recenzje następnej książki *Lot z pajacem* (1997) zachęciły Silbera do opublikowania trzeciego zbioru powiązanych ze sobą opowiadań. *Kalejdoskop* (1997) - o człowieku związanym „codziennymi problemami współczesnego świata, walczącego z presją rówieśników i próbującego chronić swoją tożsamość. Oprócz opowiadań Alek Silber jest twórcą trzech powieści: *Parasol pełen kwiatów* (2003) i *Szansa* (2005) i *Ludzie, dokąd wyszcie przyjechali* (2015). Treść powieści omawiany autor łączy z pobytami w Australii, gdzie obecnie mieszka. Silber podejmuje próby zdefiniowania siebie w odniesieniu do nowej rzeczywistości, sam

wymyśla jak radzić sobie z alienacją nie stroniąc od humoru i beztrudnych refleksji na temat codzienności emigrantów¹⁶.

Ludwika Amber (ur. 1948) jest jedną z najważniejszych autorek postsolidarnościowych. W 1981 r. działała w Związku Zawodowym „Solidarność”. Od 1982 r. mieszka z rodziną w Sydney. Wydała 16 tomików poezji w tym *Krajobrazy Pamięci/Pejzaże pamięci* (1991); *Nasze Terytorium/Nasze Terytorium* (1997); *Na ziemi pora kwitnienia kwitnie*, (2001) i *Dwoje nad oceanem* (2009). Amber zredagowała także kilka antologii, [w tym główną antologię polskiej poezji australijskiej *Zielona zima* (1997) oraz, *Otwarcie granic* (2001). Niektóre z tekstów Amber są wydawnictwami dwujęzycznymi, w których zestawia się polską i angielską wersję wierszy. Motywy przewodnie poezji Amber są ekologiczne. Napisała wiersze o skutkach wycieków ropy na dziką przyrodę oceanu oraz piękności Gór Błękitnych i postrzegania australijskiego krajobrazu. Poezja Ludwika Amber jak to podkreślono w pamiętnikowym tekście (Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie¹⁷) – z własną wizją świata, wyczulona na konkret, dotykająca rzeczy – stara się oswoić każdą egzotykę, udowodnić nieznaną, sprawić, aby każda idea sprawdzała się w istnieniu realnym, bliskim człowiekowi. Ważne jest, mówi poetka, aby wpuścić do własnego domu świat, aby otworzyć wyobraźnię dla odmienności, aby nie zamykać się przed nieznanym. Wiersze wyłapują z codzienności i ze zwyczajnego życia wszystko, co nadaje mu blask, stwarza intymną wspólnotę między ludźmi¹⁸.

Kolejna poetka, która zdobyła popularność wśród polskojęzycznych czytelników zarówno w Polsce, jak i w Australii, to Teresa Podemska-Abt (ur. 1952), filolog i tłumacz, która przybyła do Australii w okresie stanu wojennego w Polsce (1981). Absolwentka polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim i podyplomowych studiów Edukacja i Wielokulturowość na University of Adelaide. Doktorat ze specjalnością „literatura aborygeńska” ukończyła na University of South Australia. Jej wiersze są publikowane w obu językach polskim i angielskim. Antologie i periodyki literackie polskie i polsko-australijskie poruszają tematy takie jak miłość, przemijanie, negocjowanie miejsca dla siebie w nowym kontekście. Ich tytuły to *Pomieszały mi się światy* (1995) i *Żywe sny* (2002). Jest autorką książki *Świat tubylców australijskich* (2003). Twórczość Podemskiej-Abt podkreśla złożoność opuszczenia ojczyzny i przystosowanie się do życia w nowym kraju. Podobnie jak w przypadku Amber i innych pisarzy drugiej fali, w wierszach widać próbę ogarnięcia obu światów, jakkolwiek odmiennych. To, co wyróżnia poezję Podemskiej-Abt wśród pisarzy drugiej fali, to duże zainteresowanie Aborygenami, ich dziedzictwem i perspektywami kulturowymi¹⁹.

Przeszłość była głównym tematem poezji Aleksandra S. Pęczalskiego (1945–2014). autora kilku tomików wierszy, m.in. *Gry niewygrane* (2004, 2005) *Wymiatanie pamięci* (2007), *Niespełnienia* (2004) oraz *Okruchy pamięci poety* (2012, 2014)²⁰.

W katalogu twórców literackich znanych w Polsce i w Australii na wyróżnienie zasługuje niewątpliwie postać Stefana Mrowińskiego (ur. 1938) – polskiego dramaturga, reżysera i autora sztuk teatralnych w Polsce i Australii. Specjalistę od teatru małych form dramatycznych i monodramów, który swoją karierę zawodową rozpoczął w Warszawie po ukończeniu studiów teatralnych a następnie kontynuował w Australii, do której przeniósł się w 1980 roku. W Melbourne zarówno tworzył jak i pracował, jako między innymi jako wykładowca Teorii Teatru i Filmu na Wydziale Sławiistyki Uniwersytetu Monash. Mrowiński był założycielem i dyrektorem artystycznym własnego Teatru Otwartego – „Poetica” (1983–1989) i współzałożycielem eksperymentalnego teatru²¹. Mrowiński zapisał się w historii literatury między innymi, jako dramatopisarz i autor monodramów: *Prawda o Judaszu*, *Sprężyna*, *Białe drzwi monodram niekontrolowany sztuka w jednym akcie* (1982 r. - światowa premiera Melbourne, premiera polska 2006 r. Warszawa), *Wtorek Jeremiasza* (2015 r. premiera światowa Melbourne). Mrowiński jest członkiem Związku Pisarzy Australijskich, Stowarzyszenia Autorów i Kompozytorów ZAiKS, Związku Polskich Autorów i Kompozytorów Muzyki²².

Niewątpliwie jednak z wymienionej plejady polskich pisarzy i poetów będących na emigracji w Australii najbardziej znany w Polsce jest piosenkarz i poeta, Jacek Kaczmarski (1957–2004), poeta, prozaik, kompozytor i twórca tekstów piosenek. Znany głównie dzięki piosenkom o tematyce historycznej (*Rejtan, czyli raport ambasadora*; *Sen Katarzyny II*, *Lekcja historii klasycznej*, *Jałta*, *Ballada wrześnieowa*) i społeczno-politycznej (*Mury*, *Nasza*

klasa, *Oblawa*). Wsławił się głównie, jako autor swoich pięknych kontestacyjnych pieśni, z których najbardziej znana: *Mury* stała się hymnem Solidarności. W 1995 roku Kaczmarski osiadł na stałe w Australii, chociaż na emigracji mieszkał wcześniej już od 1987 roku. Na emigracji powstały kolejne nowe zbiory poezji i albumy, a wśród nich: *Zbroja* (1982), *Przejście Polaków przez Morze Czerwone* (1983), *Mój Zodiak* (1985), *Kosmopolak* (1987), *Notatnik australijski* (1988), *Dzieci Hioba* (1989) oraz *Głupi Jasio* (1989). Podczas pobytu w Australii, którą był zafascynowany, Kaczmarski przeniósł się na dłużej do Perth gdzie napisał *Autoportret z kanałią* (1994), *Plażę dla psów* (1998). We współautorstwie ze swoją córką: Patrycją, Jacek Kaczmarski napisał *Życie do góry nogami* (2004). W dziele tym koncentrując się na złożonych relacjach międzyludzkich i wewnętrznych zmaganiach, portretuje dalekie kraje, cel dla uciekinierów, ale także miejsce, które zapewnia migrantom dobry widok, punkt, z którego można spojrzeć wstecz na życie. Bard „Solidarności” dostrzega wielokulturowy kontekst Polaków w Australii, ale krytykuje za ich argumentacyjność, kompleksy, wzajemną nieufność i skostniałe myślenie²³.

Ostatnio zyskuje popularność pisarstwo migrantów przybyłych do Australii w latach 90. i po 2000 roku, głównie dzięki konkursom literackim, owocującym publikacjami dwujęzycznymi²⁴.

Wymienić wśród nich można Annę Winczurę Modzelewską, która napisała dzienniki zatytułowane *Tęcza Życia* (2015), a następnie wydała tomiki poezji *Wiersze rozsypane*, *Wiersze z daleka*, *Tu i teraz*. Po osiedleniu się w Australii, pisarka napisała dwie książki *Chodź na kawę* i *Cztery etapy życia ludzi*²⁵. Inna poetka Maryla Rose (urodz. 1955) zadebiutowała zbiorem wierszy *Boże mój*, wydanym przez Norbertinum w 2005 r. Wiersze w tomiku *Błękit ciszy* oraz *Medytacje poetyckie* są kontynuacją tej serii. Maryla Rose, wydaje się być często nostalgiczna, ale jej poezja wykracza poza temat migracji, aby skupić się na duchowości człowieka²⁶.

Płodnym współczesnym poetą piszącym po polsku w Australii jest Jan „Skarga” Dydusiak (ur. 1945), współzałożyciel Polskiego Towarzystwa Literackiego w Australii, który wydał m.in. tomy poezji *Spadochroniarze* (2000), *Sen Szaleńca* (2004) i *Lament Hioba* (2009). Jego wiersze cechuje zarówno chrześcijańska wrażliwość religijna, jak i autoironiczne poczucie humoru²⁷.

Znany współcześnie w Melbourne ze swoich zbiorów opowiadań jest Bamburowicz Wenanty (ps. lit.). Pierwszy jego zbiór opowiadań m.in. o Polakach w Australii to: *Słowianin, wieczny tułacz: opowiadania* (Kraków: Arcana, 1998). Drugi zbiór to: *Misja Polaka między obrotami ziemi: opowiadania* (Kraków: Arcana, 2007). Ich autor urodzony w 1951 r., od 1984 r. mieszka w Australii, obecnie w Melbourne²⁸.

Na koniec tego skrótego wyliczania pisarzy polskich mieszkających i tworzących w Australii trzeba odnotować Agnieszkę Burton (felietonistkę piszącą dla *Gazety Wyborczej*), która od 2003 roku na stałe zamieszkała w Melbourne.

Debiut powieściowy absolwentki Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, miał miejsce w 2011 roku: *Powrót do Edenu*. (Zakrzewo: Wydawnictwo Rapid). Na kanwie przeżyć bohaterki Anny polskiej dziewczyny, która za miłością podążyła do Australii, obecny jest w powieści wątek kultury aborygeńskiej. Burton Agnieszka jest także współautorką zbioru opowiadań: *Po godzinach. Antologia nowej prozy*²⁹.

W Australii pisarz pochodzenia polskiego i jego twórczość skazane są często na „istnienie niepełne”, czyli odczytanie w środowiskach polonijnych lub rodzimym kraju autora, gdzie twórczość migracyjna ma szansę na dotarcie do czytelnika/krytyka. Tak stało się z australijską twórczością Jacka Kaczmareckiego czy Teresy Podemskiej Abt, ale nie stało się w przypadku dramaturga Stefana Mrowińskiego czy Marka Baterowicza poety znanego w Polsce sprzed jego wyjazdu do Australii. Na przestrzeni dziesiątek lat krytyka literacka twórczości polskiej w Australii zawężyła się do paru nazwisk. Teoretycznoliterackie i pragmatyczne deliberacje znajdujemy rzadko, a przecież polonijna, polska literatura australijska usytuowana jest w mgławicy dyskursów, co otwiera wiele możliwości jej interpretacji i opisu³⁰.

Melbourne, 30 grudnia 2021

Przypisy:

1 Besemeres, M.. Kwapisz Williams K., 'Waltzing St Kilda': *Writing in Polish in Australia JASAL: Journal of the Association for the Study of Australian Literature*, volume 21 No 1. 2021,

2 Kujawa J. Migration, Belonging, Alienation: *The Narratives of Polish Adventurers, Artists and Intellectuals in Australia*. VDM Verlag, 2010, s.142 [nadmienić trzeba, że Joanna Kujawa pisze o „przewadze intelektualistów” wśród polskich emigrantów w Australii, drugiej fali].

3 Geertz C., *Interpretacja kultur. Wybrane eseje*, Wydawnictwo UJ, Kraków, 2005, s. 37.

4 Bąk M., *Australia w poezji polskich emigrantów wybrane aspekty*, 2014, s. 252: https://rebus.us.edu.pl/bitstream/20.500.12128/1780/1/Bak_Australia_w_poezji_polskich_emigrantow.pdf

5 Besemeres, M.. Kwapisz Williams K., opt. cit. s.17

6 Podemska-Abt T. Wizerunki Australii w twórczości i doświadczeniu migracyjnym Adama Fiali : *sytuacja pisarza polskiego na emigracji w Australii* Postscriptum Polonistyczne nr 1(17), 33-59 2016

7 Żongołłowicz B., *Śmierci mi bliskie*. Perth: Polish Australian Cultural Society WA, 2008; Nowa książka Bogumiły Żongołłowicz 2016 <https://polishexpress.com.au/niesmiertelnie/>

8 Policińska G., *Czy potrzebujemy Poezji*, Kronika Polonii Canberra sierpień 2005 s, 12.

9 Ibidem

10 Burkot S., *Literatura polska 1939-2009*, Wydawnictwo Naukowe PWN, 2021.

11 Baterowicz M. *Z tamtej strony drzewa*. Melbourne: Puma Printing Works, 1992.

12 Gawroński Andrzej jeden utalentowanych i płodnych satyryków pisarzy „pierwszej fali” był współzałożycielem „Wesołej Kookaburra” wraz

z Schenkel i Chciukiem - A Z Polonia, 2008, <http://www.azpolonia.com/index.php?sitegl=pl&p=article&aid=411>

13 Besemeres M. i Kwapisz Williams K., opt. cit. s. 8

14 Larken R., *Miłość emigranta – Prawo bumeranga*, Oficyna Wydawnicza, Kucharski, Toruń, 2006; *Polonia w Australii: wybrane publikacje*, 2012. <http://biuletynmigracyjny.uw.edu.pl/33-s-luty-2012/polonia-w-australii-wybrane-publikacje>

15 Larken R., *Year of the Rabbit*, 2019. <https://www.amazon.com.au/Year-Rabbit-Robert-Larken-ebook/dp/B07MZ9C6PD/>

16 Besemeres M. i Kwapisz Williams K., opt. cit. s. 10; Silber, A. *Kalejdoskop*. Warszawa: Wydawnictwo Prószyński i S-ka, 2000.; *Parasol pełen kwiatów*. Warszawa: Nowy Świat, 2002.; Szansa. (2005) ; Silber, A *Ludzie, dokąd wyszycie przyjechali?* 2015 – Silber A. Puls Poloni 6 lipiec 2006. http://www.zrobotosam.com/PulsPol/Puls3/index.php?sekcja=15&arty_id=1139

17 Ludwika Amber, Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie 2020, <http://www.zppno.org/lista-czlonkow/ludwika-amber>

18 Ibidem.

19 Noty o autorach Postscriptum Polonistyczne nr 1(9), 2012, [https://bazhum.muzhp.pl/media/files/Postscriptum_Polonistyczne/Postscriptum_Polonistyczne-r2012-t-n1\(9\)/Postscriptum_Polonistyczne-r2012-t-n1\(9\)-s333-340/Postscriptum_Polonistyczne-r2012-t-n1\(9\)-s333-340.pdf](https://bazhum.muzhp.pl/media/files/Postscriptum_Polonistyczne/Postscriptum_Polonistyczne-r2012-t-n1(9)/Postscriptum_Polonistyczne-r2012-t-n1(9)-s333-340/Postscriptum_Polonistyczne-r2012-t-n1(9)-s333-340.pdf)

20 Besemeres M. i Kwapisz Williams K., opt. cit. s. 12

21 Jubileusz Maestra Stefana Mrowińskiego 2014 <https://www.bumerangmedia.com/2014/12/jubileusz-maestro-stefana-mrowinskiego.html>

22 Mrowiński S, *Świat monodramu (The World Of Monodrama)*, 2007.

23 Kaczmarecki A. *Autoportret z kanałią*. Warszawa: Wydawnictwo Wodnika, 1994; Kaczmarecki A. *Plaża dla psów*, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1998; Kaczmarecki J. i Volny P. *Życie do góry nogami*. Warszawa: Świat Książki, 2004.

24 Kwapisz Williams K. Besemeres M. opt. cit. s.17.

25 Koło E, *Słów kilka o poetce rodem ze Szczecina*, Puls Polonia, 2019. http://www.zrobotosam.com/PulsPol/Puls3/index.php?sekcja=1&arty_id=18667

26 *Medytacje Poetyckie, Poezja Maryli Rose*, 2020, <http://marylaraose.50webs.com/omnie.html>

27 Kwapisz Williams K. Besemeres M. opt. cit. s.16.

28 *Polonia w Australii: wybrane publikacje*, Biuletyn Migracyjny 2012, <http://biuletynmigracyjny.uw.edu.pl/33-s-luty-2012/polonia-w-australii-wybrane-publikacje>

29 Burton A., Błaszczuk Ł. i inni, *Po godzinach. Antologia nowej prozy*, Wydawnictwo: Pies Łańcuchowy. 2014.

30 Podemska Abt T. opt. cit. s. 57

IGNACY S. FIUT



POEZJA NA CIĘŻKIE CZASY

Cóż może pisać poeta, kiedy obserwuje tzw. „ciężkie czasy”, w których na twarzach obywateli całego świata widać różne stany emocjonalne. Jedni obserwują codzienność i ona ich inspiruje – np. Annę Pituch-Noworolską, Małgorzatę Kulisiewicz, Barbarę Wrońską, które widzą, że ludzie mają swoisty stosunek do pandemii, codzienności i wojny, np. Wanda Łomnicka-Dulak prowadzi rozmowy metafizyczne z nieżyjącą już matką, zaś Wojciech Kajtoch ucieka się do pamięci historycznej, by przypomnieć, że zaraza niejedno ma imię.

Wojciech Kajtoch stara się ze znanych faktów budować nowe narracje nt. kraju, świata, ale i własnego domu. Życie jawi mu się jako wielki ocean, po którym płynie, chyba po raz któryś i ciągle napotyka te same przeszkody, choć mają one odmienne konteksty. Powraca do wspomnień młodych lat, kiedy spacerował po Plantach, nawiązuje do wspomnień o nich Czesława Miłosza, by odkryć, że tylko jesienią są one prawie zawsze takie same. Penetrując wspomnienia dziewczyny spotkanej kiedyś, zauważa, że nawet po latach będą one przywoływać owo pierwsze spotkanie. Oczami dzieci ogląda historię małżeństwa ich rodziców, pojawiające się w nim przesilenia, które jednak ujawniają nowe siły tej miłości. Uczucie to dla poety jest wielowektorowe, bo scala, ale i oddala ludzi, nawet wtedy, gdy trwa jako żywot motyla. Podąża także tropem miłości, której doświadczała i którą opisywała tak wielostronnie Halina Poświatowska, do której poetyki się odwołuje.

Poeta również wielkim uczuciem traktuje zwierzęta: głównie swojego kota, który jest dla niego najlepszym przyjacielem na dobre i złe czasy, ale uświadamia sobie, że odwrotna relacja z kotem jest w praktyce niemożliwa, bo on nawet ku śmierci podąża własnymi drogami. Potem zostajemy przeniesieni do Zakopanego, jemy obiad w Obrochtówce, spoglądamy z Krupówek na Giewont, by przypomnieć sobie historię o zabitym niedźwiedziu (heretyku czy świętym) oraz skandal jej towarzyszący. Poeta zauważa, że jego codzienny żywot nierzadko przypomina ów koci, kiedy zmęczony prawie drzemie, choć nie nakrywa się ogonem. Na myśl przychodzą również pocie doświadczenia jazdy pociągiem, kiedy w szpitalu pacjent obok

pyta go, skąd ten pociąg jedzie, na co z tej perspektywy trudno odpowiedzieć. Inny pacjent zapytuje go o lot samolotem i na to pytanie autor nie ma również nic do powiedzenia, a jedynie napelnia go oburzenie na to szpitalne towarzystwo, które traktuje go jako źródło wszelkich możliwych informacji – jakby był aniołem wszechwiedzącym.

Tomik zamyka wiersz tytułowy „Mierzeja (naśladownictwo)”, a jego akcja umiejscowiona jest na Mierzei Wiślanej i Zalewie Wiślanym, dokąd kiedyś rycerze wywozili ludzi obłąkanych i gdzie istniała karczma obecnie odbudowana pod nazwą Nowa Karczma. Opisuując swoje doświadczenie z wizyty na tym miejscu, w którym historia i rzeczywistość inspirowała poetę, dowiadujemy się, że: "(...)Tu miesza się śmierć z życiem/plaża z sosnami/a ludzie żyją z wiatrami." I ta końcowa pointa zdaje się dobrze oddawać twórcze inspiracje krakowskiego poety, który przygotował i wydał ten tomik spod cienia „wielkiej zarazy”. Warto go poczytać i pogłębiać, bo robi swoiste i niepowtarzalne wrażenie.

Kolejny tomik wierszy Anny Pituch-Noworolskiej stanowi coś na kształt podróży ponad upływem czasu i lokalizacją miejsc. Autorka zamieściła w nim utwory, które przyjmują kolejność zgodnie z perspektywą ich czytania przez Czytelnika czy samą poetkę. Ta umowność następstwa podnosi ich metaforyczność do metapoziomu refleksji metafizycznej, na którą nie ma czasu w krajobrazach przemijających bardziej lub mniej świadomych dni. Rozgrywają się one zawsze między dwoma podmiotami literackimi bez specjalnej ich nominacji w toczących się między nimi dialogach. Dobrze to widać w wierszu, np. „Rozmowa z nieobecny”, w którym czytamy „(...)Więc i tego nie wiem/ Czy byliśmy przyjaciółmi/Czy tylko wędrowcami/Tej samej drogi przez jesienny las/Zrudziałą łąkę zapatrzoną w przelotne ptaki/I poranną mgłą”. Poetka niby abstrahuje od konkretnych doświadczeń dnia codziennego, ale zawsze ma na uwadze, że składa się on na naszą doczesność, ale również wieczność.

Nie ma wątpliwości, że w tej codzienności za sprawą pamięci i emocji utwory te jakos buzują, a w wierszu bez tytułu

dowiadujemy się, iż „Pod niskim szarym niebem/Nie ma dni/Nie ma dróg/Czas zawisł/na kropli mgły//Idę w milczeniu/Bez drogowskazu/Bez jasných wytycznych/Powoli/Pochylone grzbiety/Znaczą przeszłość//Jeszcze są/Choć nikt ich nie widzi/Nikt ich nie rejestruje/Pochód cieni//Ale oni są/Ida z nadzieją/Na koniec wędrówki”. Nie ma wątpliwości, że autorka dzieli się swoimi obserwacjami i refleksją z sal szpitalnych, jako że jest czynną lekarką – pediatrą. W kolejnej części tomiku uwagę pisarki przyciągają ogrody, czasem kwitnące, ciągle podlegające metamorfom zmieniających się pór roku, po których kroczymy, najczęściej samotnie, zamaskowani w milczeniu. W tym momencie autorka zwraca się ku treściom obrazów Pablo Picasso, Marka Langowskiego, eksponując inspiracje swoją kolorystyką.

Następna część tomiku zawiera wiersze związane i inspirowane podróżą do Włoch. Widać w nich niepewność związaną z wulkanami, krajobrazem Sycylii, urbanistyką Erice, żaglami na morzu, plażą, sadami oliwkowymi, Via Sacra, obrazem Michała Anioła z Bogiem dającym Mojżeszowi przykazania, przed którym zapewne medytowało wielu poetów i artystów.

Kolejna część tej książeczki nosi tytuł „Mój świat” i artystycznie kontynuuje motywy liryczne, ale i panegiryczne poprzednich. Sprawozdaje doświadczenia życia w mieście pomiędzy przysłowiowym „snem i dniem”. Poetka stawia tu wiele pytań o sens swojego i ludzkiego istnienia, mając na uwadze obcość świata, pyta: „Czy mamy jeszcze dokąd uciec”. Podkreśla, że na życie pozostaje chwila w „Tu i teraz” i powrót do pytania: „Czy to już czas?”. Autorka przypomina, iż obecnie trudno o potwierdzenia własnego życia i jego kontekstów, choć skazani jesteśmy zgodnie z jego naturą na planowanie jutrzejszego dnia. Pomaga nam w tym nasza „szkatułka pamięci”, magia wypowiedzianych słów, a nawet przysłowiowy spacer w tłumie, potwierdzający nasze istnienie. Ważne jest przy tym doświadczenie „starych kobiet” i ich troska o dokumenty – podkreśla Pituch-Noworolska, przypominając, że „milczenie gór” ma także znaczenie dla faktu istnienia ludzi. Poznawanie i odkrywanie świata należy również do tej logiki istnienia i nie można o nich zapomnieć. Nie należy również martwić się przemijaniem i śmiercią, bo jakoś będzie przecież o nas pamiętać ta łąka i śpiew nad nią skowronka! Na otuchę i nadzieję człowieka zawsze jest miejsce – powtarza poetka.

Z kolei tomik autorstwa Małgorzaty Kulisiewicz składa się z kilku części: „Człowiek i wyspa”, „Ekfrazy”, „Szara persona”, „Przebudzenie” oraz „Posłowie”. Zamieszczone w nim wiersze ogniskują się wokół kilku motywów przewodnich: istotnych wydarzeń w kulturze krakowskiej, prób tworzenia poezji postmodernistycznej, poezji Andrzeja Bursy, ale i Zbigniewa Herberta, Milana Kundery, Tadeusza Różewicza, Adama Zagajewskiego, barbaryzacji i ludyczności literatury, jak również Autorka stara się ostrzec w wielu utworach przed konsekwencjami globalnego kryzysu ekologicznego, zagrażającego naszej cywilizacji. Właściwie trudno się w tej twórczości dopatrzeć jakiego dydaktyzmu,

moralizatorstwa, ale raczej jest to „krzyk” skierowany do czytelników, a nawet ogółu mieszkańców naszej planety, by zachowali równowagę pomiędzy rozumem i uczuciami, ograniczyli postawy roszczeniowe i konsumpcyjne względem świata, którymi kierują się na co dzień.

W pierwszej części w wierszu bez tytułu Poetka pisze: „Człowiek i wyspa, usta na piasku, kwiat pomarańczy, wulkan wygasły./Przedwieczny kojot, naczynie czyste./ Nasza codzienność, człowiek na wyspie./Logos i chaos, chaos i logos, to sen najczystszy, sen, który wyśnię./W podniebnym kufrze nie ma spełnienia, to nasza rola wypełnić los./Poezja sączy w sny wyobraźnię, ona jest większa niż los i chaos./Przynosi szansę, by zmienić nas./A my pędzimy ślepi na cios./Gnamy przed siebie w tłumie niezmiennym, światło w sercu ocali nas./Człowiek i wyspa, usta na piasku, odwieczne światła nigdy nie zgasną.” Po lekturze całości tego tomiku nie trudno będzie zauważyć, że wiersz ten sygnalizuje całokształt tematyki kolejnych utworów, które po nim następują, a które stanowią konkretyzację zasygnalizowanych w nim kwestii dotyczących miejsca człowieka we współczesnym świecie, za którego kondycję moralną, społeczną i ekologiczną przecież odpowiada, jako byt mający poczucie wolności, ale i ewentualnej sprawiedliwości w wymiarze globalnym, a nawet kosmicznym. To, co bezpośrednio się narzuca czytającemu, to negatywny stosunek Autorki do stadnych instynktów człowieka, które przeniosły się z poziomu behawioralnego do naszej kultury i duchowości, głównie za sprawą wszechobecnych mediów, które utrzymują ludzkość, poza nielicznymi wyjątkami, w stanie technologicznego narkotyzmu, sugerującego, że człowiek właściwie wszystko już może. To jednak jest błędne przekonanie, bowiem wiemy z doświadczenia, że wszystko, co miało kiedyś początek, będzie mieć i swój koniec. Człowiek bowiem jeszcze nie jest nieśmiertelnym bytem bożym, choć wielu się tak wydaje, a dobrze to ukazała pandemia i liczebność jej ofiar. Pandemia również zagałęciła czas i przestrzeń, a nawoływania przez „tuby medialne” do utrzymania dystansu (w czasie i przestrzeni), spalają „na panewce”.

Część druga – „Ekfrazy” ukazują przy pomocy wierszy naszą przeszłość, która pod wieloma względami nie różni się od teraźniejszości, podobnie jak przewijana przed projekcją taśma filmowa, a nawet czasem pokazuje swoje zużycie w rzutowanych na ekranie obrazach. Część tę kończy wiersz pt. „Poezjobranie” wymownie ukazujący sens „brania na język świata” nie tylko przez poetów, ale i innych symulantów tego typu procederów komunikacyjnych, które starają się usytuować własne emisje (przekazy) „poza dobrem i złem” i poza prawdą oraz fałszem.

W części trzeciej – „Szara persona” pojawia się coś na kształt przysłowiowej „kołomyi” każdego kolejnego dnia życia człowieka składającej się na tzw. „zasady ludzkie” czyli niekończącą się sieć powiązań właściwie „wszystkiego ze wszystkim”. Dobrze tę sytuację oddaje klimat wiersza „Szara persona, w którym czytamy: „głodny pociągi brzęczą szumią/grzęzną/ miasto wchodzi w szpony marketów/zdemolowane mieszkanie oddycha ciężko/rzęzi/głodny szczekaczka na siedzeniu za

nim/będzie się zachowywał nieracjonalnie/damy do psychiatry/głodny nieracjonalnej poezji/nie rozumie szarej osoby/wielobarwny duch/jaskrawo ubarwiony zwierz/głodny /pociągi grzęzną buczą kaszłą/głodny ziemi życia codzienności/człowiek/szara persona Ziemi/stubarwny ptak/". Widać zatem, że każdy jakoś jest tą szarą osobą, choć nie widzi jej w sobie, ale w innym człowieku, z którym ciągle musi „walczyć o byt”, co trafnie ujął już Karol Darwin, a na co oburzają się humaniści.

Tomik zamyka część czwarta pt. „Przebudzenie”, która jakby niesie ze sobą przysłowiowe okruchy optymizmu. Ale czy faktycznie niesie. Poetka pochwała płciowość ludzi, towarzyszące jej pozytywne uczucia i emocje, które jednak nie mogą funkcjonować bez ich negatywnych rewersów, czyli nienawiści, obłudy i pospolitego zła, o którym informują media. Ludzie jednak nieustannie karmią się nadzieją na lepsze jutro i sądzą, że godne życie doprowadzi ich do wieczności: do obcowania w niej z samym Bogiem. Ale te same media obnażają niegodziwości ludzi i instytucji religijnych, które premiuja gwałt, przemoc religijną, ale i pedofilię oraz pederastię. Ta kwestia jest – o ile wiem – tak stara jak nasze cywilizacje. I trudno nie zgodzić się ze sentencjami mędrców, mówiącymi, że człowiek jest najbardziej okrutnym zwierzęciem na naszej Ziemi. Ciągle aktualna w wielu kulturach jest przypowieść o „synu marnotrawnym”. Marzą nam się szelesty „anielskich skrzydeł” w wieczności i bardziej lub mniej w to wierzymy. Nie możemy jednak zapomnieć o strąceniu „zbuntowanych aniołów”, do których – jak sądzi Poetka – jesteśmy bardzo podobni. Marzy nam się przysłowiowa Atlantyda, której z uporem poszukujemy od czasów Platona, ale chyba jest to tylko marzenie wynikające z naszego optymizmu bytowego.

O tym zbiorze poezji Małgorzaty Kulisiewicz można by napisać poważną dysertację naukową, liczącą pewnie z tysiąc stron, i temat nie zostałby wyczerpany. Dlatego skupiliśmy się tylko na wybranych motywach inspirujących Autorkę. Warto również przed lekturą tego tomiku przeczytać posłowie autorstwa Magdaleny Węgrzynowicz-Plichty, która go również redagowała, bo dokonała wiele ciekawych analiz kulturo- religioznawczych, ułatwiających czynną lekturę tej pozycji poetyckiej.

Tomik *Witraż nadziei* autorstwa Wandy Łomnickiej-Dulak przepełniony jest uczuciami miłości do matki, z którą wiodła życie w Dolinie Popradu w okolicach Piwnicznej Zdroju, ale również do świata. Składa się on z następujących części: „E-maile do nieba”, „Retrospekcje” i zawierającej utwory w gwarze piwniczańskiej – „Śkiołka świetliste”. Całość zawiera bardzo interesujące liryki i panegiryki.

Część pierwsza – „Witraże Nadziei” to długi cykl utworów, gdzie następuje pełna identyfikacja poetki z duchem matki. Następny cykl – „Listy do Matki” – składa się z kilkunastu wierszy eksponujących doświadczenie jej nieobecności i poszukiwanie jej obecności po śladach życia. Autorka znakomicie rekonstruuje styl życia i jego klimaty towarzyszące ówczesnym ludziom, marzy

o spotkaniu z matką, stwierdzając jej nieobecność, która narusza porządek tego świata. W wierszu bez tytułu czytamy: „Święty Józef/na pewno czuwał/u Twego wezłowią//ja córka daleka/zobaczyłam/zerwaną nić/i nic/i”. Następnie dokonane zostają opisy etapów umierania i czas pogrzebu, a w wierszu bez tytułu autorka pisze: „kończy się/Droga Krzyżowa/martwe/Ciało Chrystusa/oddają matce//w prosektorium/składam/w kratkę/Twoje ubranie/Mamo”. Poetce wydaje się, że pomimo śmierci, matka jest jakoś obecna w jej świecie, choć istnienie nabiera „koloru białego”, ale jej twarz płynie w pamięci córki.

Część druga stanowi wspomnienia etapów dzieciństwa w towarzystwie matki i ma charakter retrospektywny. Owo doświadczenie przemijania udziela się i przechodzi na córkę, a ona prosi o pomoc w adaptacji do tego jej stanu egzystencjalnego, który coraz bardziej przenika cisza, „Matko – pisze autorka – wybac za szybko żyję/nie modle się już Godzinkami/i czasem zapominam gdzie/chciałam zdążyć/ (...) Mamo wybac za szybko zesłam/ze ścieżki przez ojcowiznę/zabłądziłam w gęstwinie spraw nieistotnych/teraz we wszystkich źródłach/przegląda się moja zmęczona twarz.” Wanda Łomnicka-Dulak próbuje jeszcze pisać do matki listy w których informuje co dzieje się w okolicach ich domu: czy drzewa kwitną, czy będą owocować.

Z kolei część trzecia zawiera utwory w podobnych klimatach w gwarze piwniczańskiej, w centrum których pojawia się postać matki, jej świat życia, ale również podróż do Nieba. W wierszu bez tytułu czytamy: „Kiej Matusia sła do nieba/w grudniowy sryzodze/wiater sryblem zaduł ślady/Cud trafić mój Boze/Kiej sła Łaskom zatulono/w prabacyny chuście/smreki jedle w głos sumiały/puście jom ta puście. (...) Kiej Matusia przysła ku niebu/wieczyste jadwenty/klęka na łoba kolana/Święty Święty Święty”.

Nie ma wątpliwości, że to wydawnictwo wielowymiarowe, eksponujące kulturę Doliny Popradu z okolicy Piwnicznej Zdroju jest kopalnią nie tylko tradycji tamtejszych Górali, ale również wartości od wieków obecnych w naszej kulturze rodzimej. Mogą i pewnie stanowią bazę duchową, ale i materialną dla całokształtu naszej narodowej niepowtarzalności i wyjątkowości.

Przedstawiona tu poezja, choć inspirowana odmienną wrażliwością Autorów/Auterek, pokazuje, iż tzw. „Ciężkie czasy”, których obecnie doświadczamy nie są wieczne, choć odciskają się w pamięci i emocjach ludzi je doświadczających.

Na przedostatniej stronie tomiku Barbara Wrońska zamieściła wiersz tytułowy pisany przez negację (nie), by go zakończyć wierszem bez tytułu, gdzie pisze: „Ja/osobna/planeta/na krańcu wszechświata/Ja/suche źdźbło trawy/w bezkresie pustyni/Ja/mała kropelka//w oceanie czasu//JESTEM”.

Te chwytły i zabiegi retoryczne krakowskiej autorki nie są przypadkowe, ale sprawozdają jej doświadczenie bycia, w którym jest zakorzeniona oraz znikomości bytów, które ją w nieskończoność otaczają. Tomik natomiast otwiera wiersz – „Stworzenie”,

w którym pisze: „Na początku Bóg stworzył/Niebo i Ziemię/ potem/człowiek mozolnie odkrywał/drogę do piekła”. Sądźmy, że to jest właśnie wyjaśnienie owej zwykłości człowieka, który pomimo to nieustannie dąży do boskości. Wynałazł napalm i bombę atomową, a zapomniał, co podkreśla autorka, że zabijając można również słowem i gestem.

Naturą naszego gatunku jest nieustanne podążanie – przypomina – poetka ku wieczności (a właściwie boskości) i zapominanie o swej zwykłości oraz uparte podążanie przed siebie. Choć z drugiej strony w życiu codziennym wystarczy oswoić się ze światem, ale dzisiaj nie jest on „pluszowym misiem”, ale nożem „wbitym w stół/obok chleba” i przypomina piąte przykazanie – „Nie zabijaj!”. Porzucenie dzieciństwa i ciągle nawroty we wspomnieniach do niego nie ułatwiają życia wydorosłałym osobom, pochłoniętym zachłannością konsumpcyjną, czego się boi nawet współczesna Baba Jaga. Codzienne życie bowiem przypomina świat przyciśnięty „kamieniem ciszy” i losem pomiędzy członkami rodziny, dotykany przez depresję. Uświadamiamy sobie jednocześnie, że nasze życie nie bardzo różni się od innych jego form zwierzęcych, a nawet roślinnych, nawet naszych dzieci i wnuków.

Sama twórczość w sobie również nasuwa obawy i wątpliwości, że nasze prawnuki ulegną odczłowieczeniu, co dotyka nas, kiedy uświadamiamy sobie, że się starzejemy. Uparcie pojawia się strach podporządkowujący naszą egzystencję jego panowaniu, co dobitnie ujawnia pandemia covidu, z którą walczyliśmy nawet sercem z marnymi skutkami, ciągle poszukując fundamentów dla naszego zwykłego człowieczeństwa. Dekomponuje się więc i nasze pojęcie Boga i Jego wszechmocności; otacza nas pustka i zdajemy sobie sprawę, że nie możemy liczyć nawet na najbliższych, bo oni także bywają bezsilni. Strach dalej penetruje nasz świat i uświadamia nam, że „z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”. Wrońska demaskuje również klimat szpitalnej pomocy, bo widzi egoistyczne zadowolenie personelu z choroby i śmierci pacjentów, które ich jeszcze nie dotyczy.

Kiedy spogląda w gwiazdy, widzi „ludzki los: przybity do „zimnej pustki nieba”, a próby negocjacji z Bogiem nie odnoszą sukcesu. Chce być niezniszczalna i prosi Boga o pomoc w życiu codziennym, szczególnie wtedy, gdy doświadcza miłości bliskiej osoby. Choć odniosła wiele spektakularnych sukcesów, chce żyć i być zwykłym człowiekiem. Czy to zbyt dużo? Warto się nad tym głęboko zastanowić.

WANDA ŁOMNICKA-DULAK

SUPLIKACJE POLNE

Panie który stwarzasz chabrowe niebios
i miłość w nas zasiewasz płonąca jak maki
jasny promień spojrzenia połóż mi na włosach
strzeż abym nie był nigdy letni i nijaki

Panie który darujesz słońca tarczę złotą
sprawiasz że chleb pachnie zmęczeniem i niebem
daj abym polne hymny zaplała z ochotą
a wiersze były tylko polan cichym śpiewem

Panie który widzisz ziemi opuszczenie
ruchy matczynych dłoni takie zapomniane
daj ziemi naszej czarnej ponowne rodzenie
a łąka kwietna znowu niech zapachnie sianem

Zachowaj w nas chłopskość szczerłość i pokorę
wybaw od lenistwa i braku miłowania
a to co niegodne pokraczne i chore
miraż nowoczesności niechaj nie zasłania

SUPLIKACJE Z DOLINY KOSARZYSK

Danucie Szaflarskiej

Powróć mnie Dobry Boże w krainę dzieciństwa
Gdy byłeś wszystkim: słońcem potokiem i deszczem
Ku łące czerwcowej ciekawymi stopami
Biegłam w uniesieniu- wołając oto jestem.

Znów Czercz zielono-czuły w moich żyłach płynie
I drzew potężne tromy czułe saren oczy
Już las bez śpiewu ptaków jasności gałęzi
Tysiąc strachów dzieciństwa dziś mnie nie zaskoczy.

Na scenie życia – niesie wiatr oklasków echo
Przez bruzdy lat dojrzałych biegnę zawsze bosa
Płyną obłoki marzeń ponad głowy srebrność
Po horyzont istnienia, po gór przemienienie

Błękitem zakwitają dziecięce niebios.
Wokoło tyle twarzy a jakby nikogo
W nieskończoność za tęczę odeszły ich cienie
W mych oczach płoną ognie mgielne chusty

MAŁGORZATA KULISIEWICZ

PIOSENKA W DESZCZU

Niespokojne morze karmi się ulewą
ciężkie krople na piasku
rzeźbią ślady snu
wiatr porywa resztki kruchych słów
fale tańczą kankana
śpiewamy w deszczu
Gene Kelly tańczy na falochronie
aż do świtu
Niebo staje się ekranem
po którym zaczyna stepować Kelly.

NIEWINNA CZARODZIEJKA

Przyleciała lazurka
w tej części świata nieznaną
z Syberii przyniosła
niebieskość piór
błękit niewiadomego
sikorka posłaniec
bogów niewspółczesnych
zwiastunka mroźnych tajemnic
zakwiliła niezrozumiana
karmię ją
światłem baśni
jej śpiew wybrzmi
z wiosną
niezapowiedzianą.

WODNY ŚWIAT

Kruche srebro morza
modli się za nas
chwyta słowa bezpośrednio
prześciga się
w dobrych uczynkach
koi czas
kolejka retro
unoszą w beczkach
milkną mewy
zaprzyjaźnione z niebem
błękitne krajobrazy
nas wchłaniają
latarnia morska na horyzoncie
rozbłyśnie za chwilę
morze blasku wypełni horyzont

BARBARA WROŃSKA

NIEWYSŁANY SMS

Układałam świat z kawałków
Dobro przyklejałam do Prawdy
Szczęście do Radości
Miłość pasowała jak ulał do
Odpowiedzialności
i zawiął wiatr historii
spersonalizował puzzle
dobro – indywidualne
prawda – subiektywna
a szczęście, miłość, radość
jak trzy w jednym znaczą
Pożądanie

Odpowiedzialność zniknęła
- za dużo liter jak na sms

Tak cicho...
Czy słyszysz
nasze zatrzwożone serca
Boże

I tylko wojny
małych ludzi
przetaczają się
echem pod niemym
obojętnym niebem

Niech pojawi się
Człowiek

TRYPTYK NADZIEI

1.
A wróble
ćwierkaniem
otwierają dzień
2.
Promieniami słońca
spływa spokój
3.
W oazie czterech ścian
pączkuje miłość

UKRAINA 2022

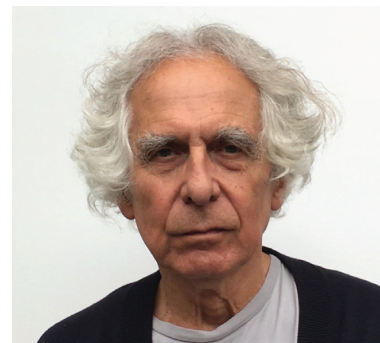
Na piątym piętrze
odartym ze ściany
stół
na stole kwiaty
aktorów brak
i kolejnych rocznic
już
nie będzie

(wiersz wyświetlony 6.03.2022 r
w Krakowie na ul. Brackiej – Emultipo-
etry.eu)



W.A.Sobczyński, *Ślepe oblicze przemocy*, 125x80x60

WOJCIECH ANTONI SOBCZYŃSKI



KUBEK GORAĆEJ ZUPY I KOKTAJL MOŁOTOWA

Przeczytałem te słowa „kubek zupy i koktajl Mołotowa” w jednym z doniesień nowojorskiego Timesa. Dziennikarz opisywał scenę zauważoną na kijowskiej ulicy. Takich scen jest dzisiaj wiele w całej nieszczęsnej Ukrainie. Odważni młodzi ludzie, dziewczyny i chłopcy, chcą ocalić swój kraj wspomagając ukraińskie wojsko w nierównej walce z rosyjskim najeźdźcą. Zacząłem zbierać myśli pisząc te słowa kiedy walka trwała dopiero tydzień, a cierpienie ludzi dotkniętych tragedią ich kraju już było niemożliwe do określenia.

Jeszcze parę dni wcześniej, na tym samym rogu ulicy młodzi ludzie czekali na siebie umówieni na wspólny wieczór, pocałunki, objęcia, tańce, może romantyczny film w kinie (?), jednym słowem – wierząc w naturalną i zasłużoną uniwersalną przyszłość. Teraz, ci sami stoją na straży w ukryciu, czekając na wroga zbliżającego się w stalowych maszynach śmierci. Polują na odpowiedni moment, kiedy drżące i zamrznęte palce podpalą lont butelki z benzyną. Czekają! Potem pozostaje już rozmach ręki i rzut. Jak migawka filmu w zwolnionym tempie butelka zakreśli śmiertelny łuk lotu by roztrzaskać się o stalowy pancerz ukrytego w środku wroga. Bohaterowie oporu, obrońcy wolności, czy to on, czy też ona, ma tylko jedno zadanie – trafić w ruchomy cel, jeden, drugi, następny raz, trafić wszystkimi przygotowanymi butelkami a dopiero dalej, w dalszej kolejności – przeżyć.

Dzisiaj minęło już 10 dni obecnej wojny. Właśnie słuchałem wywiadu brytyjskiego dziennikarza z ukraińską kobietą. Uciekła ona ze zdewastowanego miasteczka na Zaporozżu. Dotarła do przejścia granicznego z Polską. Jej mąż został aby walczyć w obronie kraju. Ona, będąc w dziewiątym miesiącu ciąży bała się rodzić dziecko w warunkach oblężenia. Kobieta szlochała. Rozumiem jej tragedię. Słuchałem nie raz opowiadania mojej matki, która w podobnej sytuacji została wygnana z domu będąc w początkowej fazie bólów porodowych. Niemcy ustawili przed domem stanowisko artylerii i powiedzieli *Raus!* Urodziła mnie w lesie. Rodzice wrócili do domu już po natarciu. Splądrowany przez czerwonych ‘Armiejców’ dom ocalał ale stracił wszystkie

okna od pobliskich wybuchów. To był jej moment wyzwolenia w 1944 roku, oraz wkrótce nowej niewoli. A teraz? Historia się powtarza – przepraszam za utarty frazes, ale niestety nie utracił on nic ze swojej aktualności. Takich matek jest wiele w każdym konflikcie, dawniej i teraz.

Wychowałem się na obrazach scenariuszy powojennego kina. Natarcia, okopy, kanały, obozy, naloty, powstania, był tam pełny przegląd ludzkiej tragedii. Dzisiaj, wraz z resztą świata słucham z niedowierzaniem ostrzeżeń o groźbie wojny nuklearnej. ‘Rosjanie tylko tak straszą’ mówili do niedawna rzekomo poinformowani politycy. Przecież jesteśmy w Europie 21 wieku, doradzali inni.

Niestety, z pojęcia ‘jesteśmy’ należy wyłączyć obecną Rosję, w której obecny jedynowładca utkwiał w imperialnych czasach carycy Katarzyny Wielkiej. Nie bez przyczyny wygłosił na tle jej pomnika swoje przemówienie do rosyjskich kobiet 8 marca. Nasuwa się na myśl pytanie, co się stało z rosyjskim narodem, który po upadku komunistycznego systemu w 1991 próbował dołączyć do grona liberalnych państw świata? Co się stało z ludźmi, którzy w imieniu wolności obalili nie wiele ponad 100 lat temu absolutną monarchię, tylko po to by natychmiast wpadać raz po raz w ten sam zniewalający potrzask autokratycznej władzy? Przekonywującą odpowiedź usłyszałem niedawno w dyskusji radiowej BBC. Było to jeszcze przed wybuchem obecnej wojny. W programie byli znawcy tematu – historycy, politolodzy, profesorowie uniwersytetów i dziennikarze. Padła hipoteza, że Rosja nadal trwa w kryzysie swojej państwowości, który z większym lub mniejszym nasileniem pojawia się jak nie do końca wyleczona choroba zakaźna. Główną przyczyną jest rozległe terytorium nie mające nic wspólnego ze współczesnym demokratycznym krajem. Podporządkowane grupy etniczne i narodowe kontroluje perfidna administracja opierająca swą władzę o lęk i represję a donosicielstwo jest wynagradzane przywilejami. Formalny upadek ZSRR w i powrót do dawnej nazwy Rosja nie zmienił wiele, zamieniając krzywe zwierciadło ‘dyktatury proletariatu’ na jeszcze bardziej wykrzywione

odbicie najgorszych wzorców gospodarki wolnorynkowej. Nie tej umiarkowanej opartej o model skandynawski a raczej na absurdalnych wzorcach, zaczerpniętych ze scenariuszy tuzinkowych filmów produkowanych na skalę przemysłową w Ameryce, gdzie liczy się tylko pieniądź zdobyty kosztem nie zawsze etycznym ale gwarantującym sukces, podziw, respekt i lęk.

Niestety, na takich wzorcach nie można budować sprawiedliwego społeczeństwa a jaskrawym rezultatem takiego stanu rzeczy jest obecna wojna przemianowana kłamliwie na 'militarną interwencję'.

Co będzie dalej? Jakie dalsze cierpienia czekają nieszczęsną Ukrainę?

Od pewnego czasu stałem się świadomy ciekawej postaci, która ma bezpośredni związek z losem Ukrainy już od pewnego czasu. Tym człowiekiem jest Philippe Sands, QC, brytyjsko-francuski prawnik, Profesor Prawa i Dyrektor Centrum Międzynarodowych Sądów i Trybunałów przy University College w Londynie. Sands jest specjalistą od międzynarodowego prawa i radcą oraz adwokatem takich instytucji jak Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości, Europejski Trybunał Sprawiedliwości, Europejski Trybunał Praw Człowieka i Międzynarodowego Sądu Kryminalnego.

Polecam przestudiowanie jego profilu opublikowanego na internetowych stronach. Sands jest także autorem wielu książek. Jedną z nich jest *East West Street (Ulica Wschód Zachód)*, której bezsprzeczna aktualność stała się jaskrawym faktem w momencie wkroczenia Rosjan i agresji przeciwko suwerennemu państwu. Pisząc swoją książkę i zbierając materiały autor zawitał także do Lwowa. Jak twierdzi, pokochał to miasto, jego architekturę, kulturę i historię. Na tropie historii prawa interesował go Rafał Lemkin (1900 – 1959) profesor na Lwowskim Uniwersytecie, który wsławił się zdefiniowaniem 'Prawa o Ludobójstwie' (*Genocide*). Prawo to stało się podstawą oskarżenia podczas procesu przed Trybunałem w Norymberdze, kiedy sądzono i skazano najwyższym wymiarem kary głównych, choć nie wszystkich, członków nazistowskiej militarnej 'maszyny' Hitlerowskich Niemiec. Rafał Lemkin zajął się tą tematyką nie koniecznie dla tego, że sam pochodził z polsko-żydowskiej mniejszości, ale ponieważ zainteresował go los ludności Armenńskiej, systematycznie prześladowanej przez tureckie Imperium (Ottoman Empire), a kulminujące masowym mordem. Lemkin sprecyzował swoje rozważania w książce wydanej w 1943 p.t. *Axis Rule in Occupied Europe (Rządy państw Osi w okupowanej Europie)*. Określił w niej całokształt nacisku i przemocy, polegający nie tylko na eksterminacji, lecz także na systematycznym działaniu przeciwko kulturze, językowi, edukacji i wszelkich innych aspektów, którymi motywuje nie tylko czyn lecz nawet sam zamiar eliminacji ludności na podłożu narodowym, etnicznym i rasowym.

Szaleniec z Kremla trwa w przekonaniu o swojej nietykalkości, ukrywając się za pozorną fasadą ustaw parlamentu podporządkowanego w całości jego dyktaturze. Warto by jednak było przypomnieć jemu i podobnie myślącym twarogłowym zwolennikom jaką przyszłość wybierają.

Mussoliniego powieszono na gałęzi drzewa. Hitler popełnił samobójstwo w końcowym stadium wojny. Rumuński dyktator Ceausescu został rozstrzelany w gradzie kul. Libijski dyktator Anwar Gadaffi został ukamienowany przez rozwścieczony tłum. To tylko kilka przykładów z historii mojego życia. Jak widać nie w każdym przypadku sąd podobny do norymberskiego trybunału czeka na głowy państw, generałów, ministrów i mniejszych aparatczyków. A jednak w liberalnych społeczeństwach krajów demokracji, gdzie rządzi prawo, gdzie niezależne sądownictwo jest podstawowym instrumentem i gwarantem praworządności pracują już teraz tęgie głowy, żeby obecne akty przemocy nie uchodziły winowajcom bezkarnie.

Kilka migawek z bieżących chwil :

- doniesienia z Ukrainy dominują nie tylko życie na arenie politycznej lecz także we wszystkich mediach, prasie i w świecie kultury.
- instrumentalności ukraińscy otwierają koncerty przywołując słuchaczy do łez.
- Parlament Brytyjski zwołał nadzwyczajną sesję Izby Gmin i powitał na sesji Zoom przemówienie Prezydenta Żeleńskiego huczną owacją. Dzięki internetowemu połączeniu było to wydarzeniem bez precedensu w historii Parlamentu.
- flagi ukraińskie powiewają na masztach solidaryzujących się instytucji,
- grafciarze uliczni zaznaczają niebiesko-złote akcenty,
- artyści polscy zrzeszeni w APA UK dedykują zbliżającą się wystawę dla wsparcia Ukrainy
- Ogromny tłum zgromadził się na Trafalgar Square manifestując swoje poparcie. Powiewały flagi, odśpiewano hymn przy akompaniamencie Ukraińskich muzyków.
- 13.03.2022 – doniesienia agencyjne nie są dobre. Militarne maszyna rosyjskiego państwa robi dokładnie to samo co przez stulecia miażdżąc po drodze każdą przeszkodę bez względu na krzywdy wyrządzone innym i własne kolosalne straty. Co będzie dalej? Czy wojna rozszerzy się na inne kraje? Chyba nikt nie chce nawet podejmować tej myśli.

Londyn, 19 marca 2022



IZABELA JUTRZENKA-TRZEBIATOWSKA

PIĘKNE KOBIETY REWOLUCJI

Przez dwadzieścia sześć lat przełomu XVIII i XIX wieku we Francji wykształciły się dwa kierunki formalne w sztuce – styl dyrektoriatu i pokrewny mu styl empire z okresu pierwszego cesarstwa i oba wciąż konkurowały z neoklasycyzmem francuskim, zwanym też stylem Ludwika XVI¹. Styl *empire* zapoczątkowała pierwsza żona Bonapartego, Józefina de Beauharnais, przystępując do przebudowy pałacu w Malmaison, a później już jako cesarzowa do przebudowy wnętrza w Luwrze, Tuileries, Compiègne, Saint-Cloud i Fontainebleau². Legenda napoleońska dała impuls do pojawienia się postaw i idei romantycznych i one właśnie odegrały szczególnie ważną rolę w rozwoju architektury historyzmu, nawiązując do ogólnoeuropejskich nastrojów narodowo-patriotycznych³. W czasach II cesarstwa dokonano wielkiej przebudowy Paryża, w efekcie której powstała w stylu eklektycznym nowa Opera według projektu Charlesa Garnier.

Był to również okres budowania zamków nawiązujących do niegdysiejszych warownych budowli średniowiecza, a Ludwik Bawarski wznosząc Zamek Neuschwanstein inspirowany wagnerowskim *Lohengrinem*, zarobił na piętno szalonego króla. Nie mniej popularne w XIX wieku były nawiązania do renesansu, czego efektem stał się neorenesans wyrosły na gruncie gwałtownej urbanizacji. Jako przykład można przytoczyć powstałą w Poczdamie na zlecenie Hohenzollernów oranżerię Sans-Souci⁴.

Ale już wcześniej w okresie przedrewolucyjnym Paryż tętnił życiem, a to życie koncentrowało się głównie w paryskich salonach. Pierwszym znanym salonem we Francji był hotel de Rambouillet, położony niedaleko Palais du Louvre w Paryżu, którego gospodynią była urodzona w Rzymie **Catherine de Vivonne, żona markiza de Rambouillet** (1588-1665). Bywały tam prawie wszystkie najważniejsze osobistości francuskiej arystokracji i kultury tamtych czasów; filozofowie, politycy i artyści. Co ważne, różnorodność owych osobowości, oddających się wspólnie idei prowadzenia konwersacji i traktowania jej jako formy sztuki, sprzyjała rozwijaniu się idei *correspondance des arts*⁵.

Z salonem Catherine de Vivonne w przedrewolucyjnej Francji rywalizowała **Madeleine de Scudéry** (1607-1701) - francuska



Catherine de Vivonne de Rambouillet

pisarka nurtu *préciosité*, autorka długich powieści z kluczem m.in. *Artamène ou le Grand Cyrus* - znana jako Mademoiselle de Scudéry, która założyła przy rue de Beauce salon Société du samedi – sobotni, będący przedmiotem drwin Moliera w sztukach *Pocieszne wykwintnisie* (1659) oraz *Uczone białogłowy* (1672).

Nie sposób wymienić wszystkich salonów schyłku epoki oświecenia, ale warto wspomnieć również o salonie **Anne-Thérèse de Marguenat de Courcelles** (1647-1733), po ślubie



Madeleine de Scudéry (1607-1701)



Anne-Thérèse de Marguenat de Courcelles (1647-1733)

madame de Lambert, która była francuską pisarką i pozostawiła spore dziedzictwo literackie. W 1698 roku wynajęła północno-zachodnią część hotelu de Nevers, położonego przy rue de Richelieu w pobliżu obecnej lokalizacji Bibliothèque Nationale i tam w 1710 roku otworzyła swój słynny salon literacki, o którym mówiono, że jest to przedpokój Królewskiej Akademii. Można było tam spotkać wiele wspaniałych postaci, a między innymi pisarkę Marie-Catherine d'Aulnoy, poetkę Catherine Bernard, jezuitę ojca Buffiera, tłumaczkę Iliady i Odysei Madame Dacier, matematyka i astronoma Dortousa de Mairan, arcybiskupa Fénelona, pisarzy takich jak: Hénault, Marivaux, Abbé Mongault oraz filozofa Montesquieu, prawnika Louisa de Sacy, markiza de Sainte-Aulaire, Marguerite Jeanne Cordier de Launay znaną jako baronowa de Staal, a także inną salonistkę i pisarkę Madame de Tencin⁶.

Również salon **Madame Geoffrin** (1699-1777) wyróżniał się na tle innych i to z kilku powodów, a między innymi dlatego, że w jej salonie przy Rue Saint-Honoré zbierała się w tym czasie śmietanka towarzyska, a zwłaszcza krąg Encyklopedystów, twórców sławnej Wielkiej Encyklopedii francuskiej, z Denisem Diderotem i Jeanem d'Alembertem na czele i nie brakowało tam postaci takich, jak Montesquieu, Rousseau, czy Voltaire. Twórcą hasła „Polska” był Louis de Jaucourt. Do kręgu bywalców salonu Marie-Thérèse Geoffrin, oprócz przyszłego króla Polski Stanisława Augusta Poniatowskiego, należało również wielu innych wybitnych Polaków, a między innymi biskup wileński Ignacy Massalski, twórczyni Arkadii pod Nieborowem Helena z Przeździeckich Radziwiłłowa, o której już była mowa, Antoni Przebendowski, Urszula z Zamojskich Lubomirska, Stanisław Trembecki, Rafał Gurow-

ski, Karol Schmidt, Władysław Łoyko, Paweł Czempinski, czy wreszcie Izabela z Czartoryskich Lubomirska.

Dena Goodman, podkreślając, że w XVII i XVIII wieku pojawiły się akademickie salony oświeceniowe, które wyszły z arystokratycznych „szkół cywilnych”⁷ w *Republice listów*, pisze:

„Geoffrin, która była mentorką i wzorem dla innych salonistek, była odpowiedzialna za dwie innowacje, które odróżniają salony Oświecenia od ich poprzedników i innych spotkań towarzyskich [...]. Wynalazła salon Oświecenia. Po pierwsze [...] obiadokolacja zamiast tradycyjnej późnonocnej kolacji [...] otworzyła całe popołudnie na rozmowy. Po drugie, uregulowała te obiady, ustalając dla nich konkretny dzień tygodnia. Dzięki Geoffrin, paryski salon przybrał formę, która uczyniła z niego bazę społeczną, regularne i regulowane formalnie spotkania organizowane przez kobietę w jej własnym domu, które służyły jako forum i miejsce aktywności intelektualnej”⁸.

Według Goodman „salonnières” były inteligentnymi, wykształconymi i nadal kształcącymi się kobietami, które przyjęły i wdrożyły wartości oświecenia i wykorzystały je do przekształcenia salonu na własne intelektualne potrzeby oraz potrzeby edukacyjne”⁹. Autorka *Republiki listów* zwraca uwagę na fakt, że salon był substytutem formalnej edukacji, do której kobiety nie miały dostępu, stwarzał im możliwość zrobienia kariery i zdobycia sławy, cytując Andre Morelleta, który widział w salonistkach celebrytki tamtych czasów.

Z całą pewnością na to miano zasługiwała **Jeanne Julie Éléonore de Lespinasse** (1732-1776), prowadząca wybitny



Marie Thérèse Rodet Geoffrin

salon w Paryżu. Dziś jest najbardziej znana z listów, opublikowanych po raz pierwszy w 1809 r., zawierających relacje z jej dwóch tragicznych romansów. Pisanie listów było poniekąd obowiązkiem każdej salonistki, uważa Goodmann: „jeżeli salony były sercem Oświecenia to listy cyrkulowały po nim, niczym jego własna krew”¹⁰. Były środkiem komunikacji, ale również wyrazem kreacji i wiele z nich miało wartość artystyczną, a niektóre były wręcz poematami.

Lespinasse była nieślubnym dzieckiem Julie-Claude-Hilaire i d'Albon Gasparda de Vichy-Chamronda, którego siostra Marie Anne de Vichy-Chamrond, markiza du Deffand (1697-1780), prowadziła słynny salon w Paryżu i otoczyła bratanicę opieką, do czasu aż ta otworzyła własny salon¹¹.

W wielu przypadkach salonistki były kobietami niezwykle atrakcyjnymi, obdarzonymi nie tylko inteligencją, ale również wybitną urodą. Należała do nich między innymi **Jeanne Françoise Julie Adélaïde Recamier (1777-1849)**, ulubiona modelka malarzy, a także towarzyszką i przyjaciółką Germaine de Staël. W początkach XIX wieku, od pierwszych dni konsulatu francuskiego do prawie końca monarchii lipcowej, jej salon w Paryżu skupiał malarzy i literatów i był jednym z głównych ośrodków ruchu literackiego i politycznego, który podążał za modą. Oprócz postaci takich, jak François-René Chateaubriand, czy Jean-Jacques Ampère, bywał tam również Ferenc Liszt¹². Stałą bywalczynią była Germaine de Staël, a obok niej generał Jean Bernadotte i generał Jean Victor Moureau. Do grona jej wielbicieli należeli Mathieu de Montmorency, Luciena Bonaparte, książę August Pruski, z którym łączyły ją plany matrymonialne, a także Pierre-Simon Ballanche, Jean-Jacques Ampère i Benjamin Constant. W 1800 roku Jacques-Louis David zaczął malować portret Madame Récamier, ale nie dokończył go, urażony faktem, że również François Gérard otrzymał zamówienie (1805). Ponadto zachowały się portrety namalowane przez Jean-Baptiste Augustina (1801), Firmina Massota (1807), François-Louis Dejuinne'a (1827) i rysunek François Gérard (1829). Z powodu swojego politycznego zaangażowania Madame Récamier zmuszona została do opuszczenia Paryża¹³.



Jeanne Julie Éléonore de Lespinasse (1732-1776),

Ten sam los spotkał **Germaine de Staël** – Anne Louise Madame de Staël Holstein – (1766-1817) prowadzącą salon przy Rue de la Chaussée-d'Antin w Paryżu, a która po wygnaniu ze stolicy Francji osiadła w zamku Coppet niedaleko Jeziora Genewskiego i prowadziła tam salon pełniący kluczową rolę po rewolucji francuskiej, a zwłaszcza podczas rządów Napoleona Bonaparte, z którym pozostawała w konflikcie, uważając go za tyrana. W zamku bywało wielu znakomitych gości, a między innymi lord Byron, niemiecki pisarz i poeta, Adelbert von Chamisso oraz François-René de Chateaubriand. Pojawiała się tam również hrabina Dorota Barbara Jabłonowska, Aleksander Antoni Sapieha oraz Józef Klemens Czartoryski. Ale Madame de Staël miała również ambicje literackie i wyobrażenia estetyczne. Jej zdaniem:

„spośród wszystkich sztuk pięknych muzyka działa najbardziej bezpośrednio na duszę. Sztuki kierują nas w stronę tej lub innej idei, zaś tylko muzyka czerpie z głębokiego źródła egzystencji i radykalnie odmienia nasz stan wewnętrzny [...]; zda się, iż słuchając dźwięków czystych i zachwycających jesteśmy gotowi przeniknąć sekret stwórcy i tajemnicę życia. Żadne słowo nie zdoła wyrazić tego wrażenia, gdyż słowa pochodzą od wrażeń pierwotnych, podobnie jak słowa tłumaczy idą śladem wypo-



Jeanne Françoise Julie Adélaïde Recamier (1777-1849)

wiedzi poetów. Nieokreśloność muzyki udziela się wszystkim poruszeniom duszy i każdy wierzy, iż odnajduje w melodii obraz tego czego pragnie na tej ziemi, jak czystą i niewzruszoną gwiazdę w mrokach nocy”¹⁴.

Również matka Germaine de Staël, **Suzanne Curchod** (1737-1794), wspomniana w dokumentach historycznych jako **Madame Necker**, była francusko-szwajcarską salonistką oraz pisarką i prowadziła jeden z najbardziej znanych salonów Ancien Regime. Była żoną francuskiego ministra finansów Jacquesa Neckera, który w czasie panowania Ludwika XVI upublicznił stan finansów monarchii. Wśród stałych gości tego salonu byli Jean-François Marmontel, Jean-François de La Harpe, Comte de Buffon, Baron von Grimm, Gabriel Bonnot de Mably, Jacques-Henri Bernardin de Saint-Pierre, Antoine Léonard Thomas oraz encyklopedyści, a w tym Denis Diderot i Jean le Rond d'Alembert. Po wybuchu rewolucji francuskiej Neckerowie opuścili Paryż i zamieszkali w Szwajcarii, bowiem z racji szalejącego terroru ograniczona została działalność salonów artystycznych Paryża¹⁵.

Wśród salonów Paryża przełomu XVIII i XIX wieku zdecydowanie wyróżniał się *par excellence* polityczny salon **Marie-Jeanne „Manon” Roland de la Platière** (1754-1793), która w 1791 roku stała się znaczącą postacią francuskich żyrondistów. Do jej gości należeli Maximilien de Robespierre i amerykański rewolucjonista Thomas Paine. W 1793 roku padła ofiarą jakobińskiego terroru i została zgilotowana.

Były wśród salonistek również artystki, takie jak wybitna śpiewaczka **Vera Nimidoff**, ale również kurtyzany, jak **Olympe**



Madame de Staël – Anne Louise Madame de Staël Holstein (1766-1817)

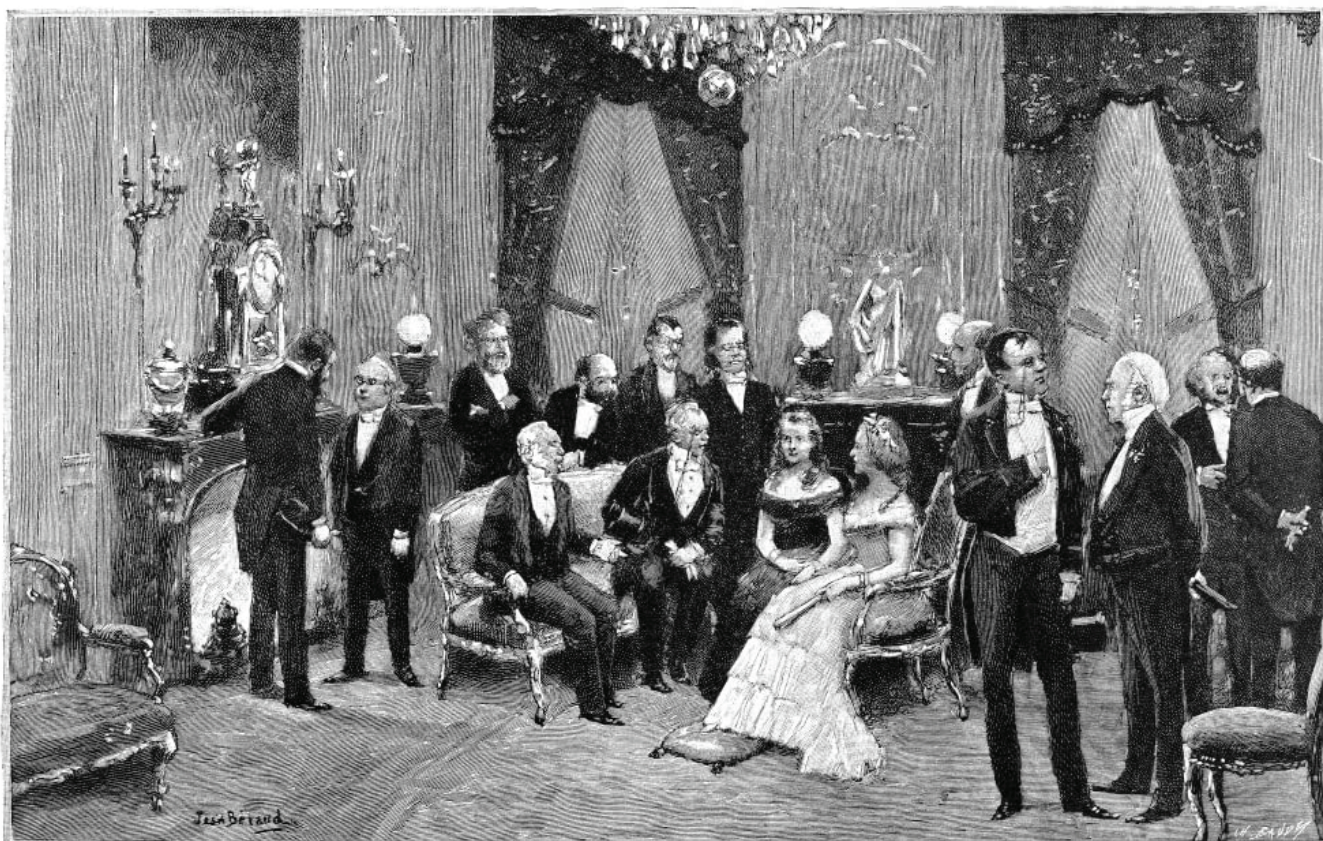
Pélissier, druga żona Rossiniego, której gośćmi byli Alexandre Dumas, Eugène Delacroix, Ferenc Liszt, Giuseppe Verdi.

Zasłynęła również **Esther Lachmann znana jako La Païva**, prowadząca salon literacki przy 25 alei des Champs-Élysées w Paryżu, kochanka Henri Herza, kompozytora, pianisty i producenta fortepianów, który w 1838 roku wraz z bratem zbudował 668-osobową Salle des Concerts Herz przy rue de la Victoire, wykorzystywaną między innymi do koncertów Berlioz i Offenbacha.

Na przełomie XIX i XX wieku salony paryskie, w tym Winaretty Singer (księżniczka de Polignac) i Élisabeth comtesse Greffulhe, stały się głównymi ośrodkami muzyki współczesnej, promując twórczość kompozytorów takich, jak Fauré, Debussy, Ravel i Poulenc.

W początkach XIX wieku, po ustabilizowaniu się sytuacji, miejscem spotkań romantyków, a zwłaszcza młodych literatów, stał się salon Charlesa Nodiera mieszczący się w paryskim Arsénale. Bywali u niego między innymi Wiktor Hugo, Eugène Delacroix, bracia Achille i Eugene Deveria, Alphonse de Lamartine, Alfred de Musset, Alexandre Dumas, Honoré de Balzac, George Sand, zaś grupa spotykających się tam młodych literatów nazywana była Cenacle¹⁷.

Wśród salonów artystycznych wyróżniał się salon braci Emile’a i Antoine’a Deschamps, gdzie pojawiał się Wiktor Hugo, Henri de Latouche, Jules de Reequier, Alfred de Vigny i Gaspard de Pons. Artyści, a w tym Delacroix, spotykali się też nader chętnie w salonie braci Deveria na Montparnasse. Spotkania prowadził Theophile Gautier, a w roli głównej często występował Wiktor Hugo prezentując swoją



Hrabina Marie D'Agoult /N(1805-1876). Marie Catherine Sophie De Flavigny. Francuski dziennikarz i pisarz. D'Agoult w swoim salonie. Grawerunek

twórczość. Według Gautiera „w tym czasie malarstwo i poezja żyły w braterskich stosunkach. Artyści czytali poetów, poeci odwiedzali artystów”¹⁸. U samego Hugo spotykali się Joseph d'Ortique, Paul Foucher, Petrus Borel, Louis Boulanger. Bywał tam również, jak wynika z badań Gamrat, Ferenc Liszt, który uległ wpływom idei mesjanistycznej roli sztuki głoszonej przez Lamennaisa, ojca Infantina i saintsimonizmu¹⁹.

Liszt w czasie swojego pobytu w Paryżu również zapraszał na wydawane kolacje spore grono przyjaciół, a między innymi Pierre-Simona Ballanche'a, barona d'Ecksteina, Marca Rene de Montalemberta, Giacomina Meyerbeera, Adolphe'a Nourrita, Ferdinanda Denisa, Theophile'a de Ferriere'a (Samuel Bach), Fryderyka Chopina, Eugène Delacroix i Luisa Boulanger, a co więcej przez kilka tygodni pod koniec 1836 roku prowadził wraz z George Sand wspólny salon przy rue Laffite 23²⁰.

Na marginesie warto wspomnieć, że George Sand w opowiadaniu *Le Contrebandier*, odnosząc się do zasłyszanego w Genewie *Ronda* Liszta, wykazała się niezwykłą wręcz znajomością muzyki.

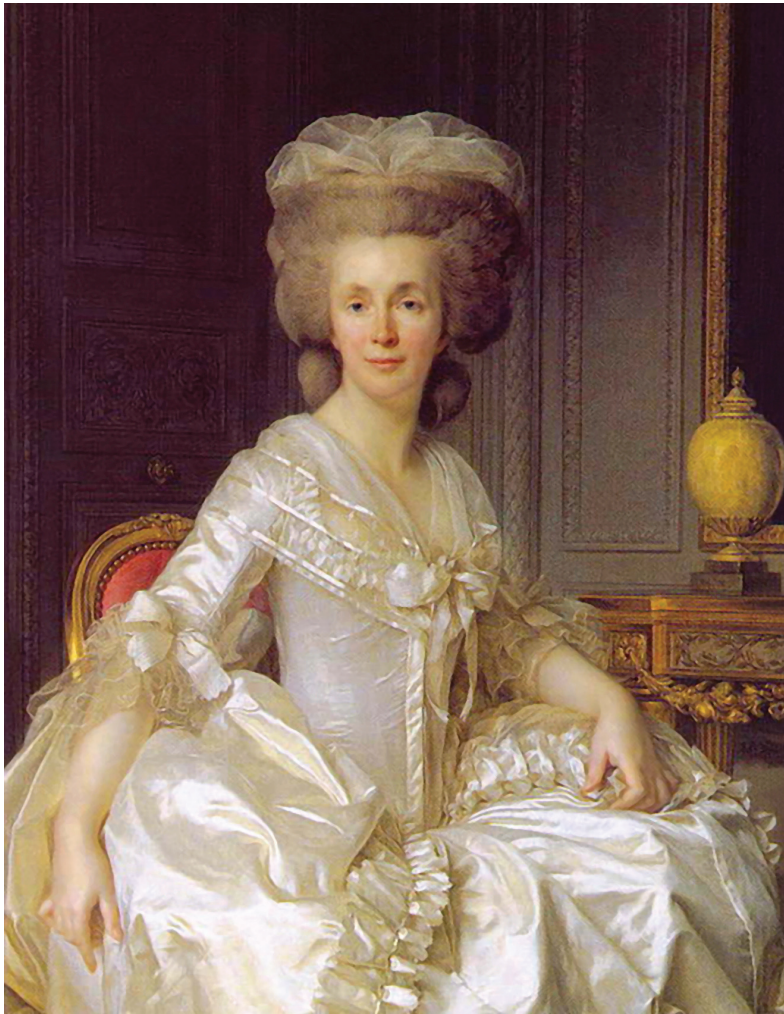
Niewątpliwie wybitną postacią swojej epoki, a przy tym kobietą niezwykłą i zaangażowaną politycznie była przyjaciółka Ferenc Liszta, Marie d'Agoult. **Marie Catherine Sophie de Flavigny, hrabina d'Agoult**, urodzona 31 grudnia 1805 we Frankfurcie jako córka oficera armii francuskiej, a zmarła 5 marca 1876 w Paryżu – francuska pisarka, używając pseudonimu Daniel Stern. W 1827 roku wyszła za

mąż za hrabiego Charlesa d'Agoult i zamieszkała w Paryżu, gdzie poznała wybitnych twórców epoki romantyzmu, m.in. Alfreda de Vigny, Jean-Auguste-Dominique'a Ingesa, Giacomina Meyerbeera, a wreszcie Fryderyka Chopina. Zakochała się w Liszcie i miała dość odwagi, by po rozstaniu z mężem urodzić mu troje dzieci. Jej córka Blandine została żoną Émile'a Olliviera, a Cosima żoną Richarda Wagnera. Swoją związek z Lisztem Daniel Stern poruszyła w powieści *Nélida*. Była zwolenniczką II Republiki Francuskiej i współpracownicą „Revue des Deux Mondes” i „Revue Indépendante”. W 1857 roku napisała dramat narodowy *Jeanne Darc*, który został przełożony na włoski i wystawiony w teatrze w Turynie²¹.

Wypada podkreślić rolę, jaką odgrywały salony Paryża w zacieśnianiu więzi przyjaźni pomiędzy artystami, w tworzeniu kręgów artystycznych; dość wymienić przynależność do jednego z nich: Fryderyka Chopina, Ferenc Liszta, George Sand i Eugène Delacroix, Luouisa Boulanger i Sainte-Beuve'a oraz malarza, a przy tym znakomitego skrzypka, Jean-Augusta-Dominique Ingesa prowadzącego w Rzymie salon w Villa Medicis²².

Salon Liszta w Weimarze

Po osiedleniu się w Weimarze Ferenc Liszt prowadził swój własny salon od 1847 roku, dążąc do przywróceniu miastu znamion centrum kulturalnego, jakim było w czasach Schillera i Goethego. Gościł postaci takie, jak: Hans Christian Andersen, Bettina von Arnim, Berthold Auerbach, Hermann Grimm, Richard Pohl, Adolf Stern, Adolf Donndorf, Wilhelm von Kaulbach, Ary Scheffer, czy



Susanne Curchod, Madame Necker

wreszcie Aleksander von Humboldt. Gamrat do grona bywalców salonu Liszta zalicza również Gerarda de Nerval, Moritza von Schind oraz Hectora Berlioz²³.

Ideałem było, aby gospodyni salonu prowadziła i moderowała rozmowę, natomiast sprzeczne są poglądy co do tematu owych salonowych rozmów. Marcel Proust „nalegał, by polityki skrupulatnie unikać”²⁴. Swoje doświadczenia z życia towarzyskiego, jakiego doświadczył bywając w salonach madame Arman de Caillavet, bądź madame Straus (żony Georgesa Bizeta), gdzie mieszały się artyści i politycy z Anatole France lub Paul Bourget na czele, przełożył na karty *W poszukiwaniu straconego czasu*, kreując postaci księżnej de Guermantes i Madame Verdurin.

Salony poza Francją

W XVIII i XIX wieku wiele dużych miast w Europie posiadało salony na wzór modeli paryskich. W Belgii XIX-wieczny salon prowadzony przez Constance Trotti przyciągał postaci kulturowe, belgijską arystokrację i członków francuskiej politycznej emigracji²⁵. Również we Włoszech przez cały XIX wiek kontynuowana była tradycja salonu literackiego, a do najbardziej znanych zaliczyć można salony prowadzone przez **Clare Maffei** w Mediolanie, **Emilię Peruzzi** we Florencji i **Olimpię Savio** w Turynie. Salony przyciągnęły niezliczoną liczbę wybitnych postaci, a w tym malarza romantycznego Francesco Hayeza, kompozytora Giuseppe Verdiego

i pisarzy przyrodniczych Giovanniego Verga, Bruno Sperani i Matilde Serao²⁶.

„Najbardziej wyrazistym miejscem spotkań ówczesnej elity, nie licząc kawiarni i restauracji, były monachijskie salony, spośród których największą sławę zyskały domy Elzy i Maxa Bernsteinów, Herty Koenig oraz znanych ze swojego zaangażowania w rozwój ruchu nacjonalistycznego Elzy i Hugona Bruckmannów”²⁷. Monachium stawało się ważnym ośrodkiem kulturalnym i właśnie tam rodziła się secesja. Tam też wydawane były dwa lewicujące, bogato ilustrowane czasopisma satyryczne: przez Georga Hirtha (1841-1916) „Jugend” (od którego wzięła nazwę cały kierunek) oraz przez Alberta Langena (1869-1909) „Simplicissmus”. Kulturę tworzyli też mistyk Alfred Schuler (1865-1923), Ludwig Klages (1872-1956) i Karl Wolfskehl (1869-1948). Istnieje wiele prób konfrontacji fenomenologii z kierunkami sztuki modernistycznej: impresjonizmu, ekspresjonizmu czy kubizmu, i niewykluczone, że również secesji, zauważa Daniel Roland Sobota²⁸. Czołowym przedstawicielem monachijskiej secesji był przede wszystkim Franz von Stuck (1863-1928); ale również Max Liebermann (1847-1935), Reinhold Lepsius (1857-1922), Wilhelm Trübner (1851-1917), Lovis Corinth (1858-1925) czy portrecista Hugo von Habermann (1849-1929), prawdziwej rewolucji w sztuce XX w., dokonali malarze skupieni wokół „Der Blaue Reiter”²⁹: Wasilij Kandynski (1866-1944), Alexej Georgewitsch von Jawlensky (1864-1941), Franz Marc (1880-1916) i Paul Klee (1879-1940).

Wśród najbardziej znanych polskich salonistek były Barbara Sanguszko, Zofia Lubomirska, Anna Jabłonowska, znana wczesna uczona i kolekcjonerka przedmiotów i książek naukowych Izabela Czartoryska i jej późniejsza imienniczka, księżniczka Izabela Czartoryska założycielka pierwszego w Polsce muzeum i mecenaska wspierająca Fryderyka Chopina.

Podkreślenia wymaga, iż polskie salony muzyczne stanowiły szczególny mecenat kultury. Powszechnie wiadomo, że mecenat istniał już w monarchii rzymskiej, a tradycje rzymskie opieki nad artystami przejęli władcy w średniowieczu i kontynuowali w epoce renesansu. Przykładem doskonałego mecenatu polskiego był stosunek do literatury Stanisława Augusta Poniatowskiego, który skończył się bezpowrotnie wraz z abdykacją króla. Mecenat arystokracji skończył się ostatecznie wraz ze skonfiskowaniem przez rząd carski dóbr Czartoryskich w Puławach, gdzie stworzyli znaczący ośrodek kultury wspierający artystów, uważa Stefan Kieniewicz³⁰, aczkolwiek nadal Edward Raczyński, Tytus Działyński, Aleksander Przeździecki łożyli na cele naukowe³¹.



Izabela Czartoryska

Około 1812 książę Adam Kazimierz Czartoryski wraz z żoną Izabelą z Flemingów Czartoryską osiedlili się na stałe w położonej w zaborze austriackim Sieniawie, tworząc tam ośrodek galicyjskiego życia politycznego, umysłowego i kulturowego. Gościli u nich Julian Ursyn Niemcewicz, Tadeusz Kościuszko i Juliusz Kossak, który namalował obraz przedstawiający pałac. Tworzyła się całkowicie nowa grupa społeczna aspirująca, jak niegdyś arystokracja, do kultury.

W Warszawie pojawił się salon Deotymy, ale za prawdziwy tygiel artystyczny mogła uchodzić kawiarnia „Honoratka”³². W Krakowie w roli mecenasa artystów wystąpił Jan Michalik³³.

Upadek powstania listopadowego w 1830 a później styczniowego w 1863 roku, skutkowałam falą represji ze strony zaborców, likwidacją odrębności Królestwa Polskiego i związaną z tym polityką rusyfikacyjną w zaborze rosyjskim³⁴, germanizacją i polityką Kulturkampf pod egidą Bismarcka w zaborze pruskim³⁵, a co więcej pociągnął za sobą nową emigrację i choć fatalnie zaciążył na losach kultury, równocześnie znalazł głęboki oddźwięk w twórczości narodowej Polaków i to w każdej niemal dziedzinie, salon zaś był tym miejscem, gdzie ta twórczość mogła być prezentowana. Nie do końca swobodnie, pisze w swoim Pamiętniku Józef hr. Krasieński:

„na zaproszonym u nich [w salonie Wodzińskich w Dreźnie] wieczorze [Chopin] grał dla nas swe kompozycje, improwizował i wariował. A między innymi zagrał Jeszcze Polska nie zginęła, czyli *Mazurka Dąbrowskiego* i z niego przesłicznej swej kompozycji wariacje [...] – a za to nazajutrz zostałem przywołany do ambasady rosyjskiej i zapytany: „Jak mogłem być w domu gdzie śpiewano patriotyczne rewolucyjne pieśni? [...] Jeżeli W Pan chcesz być wiernym Monarchy poddanym, a nie uchodząc za buntownika przebywać w obcym kraju, toś był powinien takiego



Martha Washington

jak Chopin demagoga za drzwi wypchnąć!!! Lub co najmniej samemu go do milczenia zmusić...”³⁷

Moda salonowa dość szybko zawędrowała za ocean, gdzie **Martha Washington**, pierwsza amerykańska pierwsza dama, organizowała cotygodniowe publiczne przyjęcia podczas ośmioletniej prezydentury męża (1789-1797) na wzór europejskiego salonu. Podczas tych spotkań przyjmowano członków Kongresu, zagranicznych dygnitarzy i zwykłych obywateli. Tradycję tę kontynuowały żony kolejnych prezydentów, między innymi Abigail Adams, żona Johna Adamsa wybranego 4 marca 1797 roku i co tydzień, po przeniesieniu w 1800 roku stolicy z Filadelfii do Waszyngtonu, organizowała dużą kolację w Białym Domu. Brała czynny i tak aktywny udział w polityce, że jej przeciwnicy zaczęli nazywać ją „Panią Prezydent”. Pozostawiła po sobie wiele listów, które napisała do męża, wypełnionych intelektualnymi dyskusjami na temat rządu i polityki i relacjami na temat amerykańskiej wojny o niepodległość. Była też matką kolejnego prezydenta, Johna Quincy Adamsa, którego żona **Louisa Catherine Adams** kontynuowała cotygodniowe „salony” w Białym Domu³⁷. Sto lat później Caroline Lavinia Harrison (1832-1892), żona Benjamina Harrisona (1889-1893), nauczycielka muzyki, znana była z eleganckich przyjęć i kolacji w Białym Domu. Szczególne zasługi na rzecz kultury muzycznej wniosła jednak Nellie Taft jako żona prezydenta Williama Howarda Tafta (1909-1913). Była pierwszą damą, która pomimo niesprzyjającej pogody wzięła udział w paradzie inauguracyjnej swojego męża, a w czasie prezydentury Tafta przyjmowała gości trzy razy w tygodniu w Czerwonym Pokoju, a także organizowała koncerty po kolacjach państwowych, które stały się tradycją Białego Domu.



Louisa Catherine Adams

Na początku XX wieku salon, który przyciągał członków awangardy, przy West 76th Street na Manhattanie w Nowym Jorku otworzyły siostry Stettheimer, a w tym światowej sławy artystkę Florine Stettheimer (1871-1944)³⁸. W latach dwudziestych i trzydziestych dwudziestego wieku również społeczność afroamerykańska zaczęła tworzyć salony, warto wymienić te prowadzone przez: Ruth Logan Roberts, Georgię Douglas Johnson i Zorę Neale Hurston³⁹.

Na koniec należy zaakcentować, że w salonie i to niemal każdym, francuskim, niemieckim, włoskim i polskim, a także amerykańskim, ludzie spotykali się wiedzeni nie tylko potrzebą tworzenia określonych więzi społecznych i stwarzania się w grupy, ale również, a może nawet przede wszystkim potrzebą odpoczynku i miłego spędzania czasu. Dyskutowali więc, ucztowali i bawili się tańcząc głównie w rytmie walca, bo przez cały „długi wiek” XIX walc królował w salonach niepodzielnie.

Fakt, że to kobiety zdominowały historię salonów, sprawił, że „studia nad salonami pozostawiano często amatorom, podczas gdy mężczyźni koncentrowali się na „ważniejszych” (męskich) obszarach Oświecenia”. Wśród właścicieli francuskich salonów wymienia się wyłącznie osiemdziesiąt trzy kobiety i ani jednego mężczyzny.

Przypisy:

1 Z. Tołłoczko, *Główne nurty historyzmu i eklektyzmu w sztuce XIX wieku*, wyd. PK, Kraków 2005, s. 39.

2 Ibidem, s. 43.

3 Ibidem, s. 46.

4 Ibidem, s. 51.

5 Małgorzata Gamrat, *Muzyka fortepianowa Franza Liszta*, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2014, s. 83.

6 Dena Goodman, *Enlightenment Salons: The Convergence of Female and Philosophic Ambitions*, „Eighteenth-Century Studies”, t. 22, nr 3, Spring, 1989, s. 328.

7 Ibidem, s. 330.

8 D. Goodman, *Republic of Letters*, Cornell University Press, New York 1996, s. 90-91.

9 Ibidem, s. 76.

10 D. Goodman, *Enlightenment Salons: The Convergence of Female and Philosophic Ambitions*, op. cit., s. 340.

11 Naomi Royde-Smith, *Podwójne serce: studium Julie de Lespinasse*, 1931.

12 M. Gamrat, *Muzyka fortepianowa Franza Liszta*, op. cit., s. 83.

13 D. Goodman, *Enlightenment Salons: The Convergence of Female and Philosophic Ambitions*, op. cit., s. 328.

14 Madame de Staël, *Corinna oder Italien*, Monachium 1985, s. 207 in., cyt. za: E. Fubini, *Historia estetyki muzycznej*, Musica Iagellonica, Kraków 2015, s. 288.

15 Ibidem.

16 *French people executed by guillotine during the French Revolution*, [hasło w:] *Wikipedia*; [https://en.wikipedia.org/wiki/Category:French_people_executed_by_guillotine_during_the_French_Revolution]; dostęp: 20.08.2020].

17 M. Gamrat, *Muzyka fortepianowa Franza Liszta*, op. cit., s. 84.

18 Th. Gautier, Eugène Delacroix, *Histoire du Romantisme*, s. 178, cyt. za: 21 M. Gamrat, *Muzyka fortepianowa Franza Liszta*, op. cit., s. 84.

19 M. Gamrat, *Muzyka fortepianowa Franza Liszta*, op. cit., s. 108.

20 Ibidem, s. 109.

21 Agoult, *Marie Catherine Sophie de Flavigny, Comtesse d'*, [hasło w:] *Encyklopedia Britannica*; [https://www.britannica.com/biography/Marie-de-Flavigny-comtesse-dAgoult]; dostęp: 13.05.2020].

22 M. Gamrat, *Muzyka fortepianowa Franza Liszta*, op. cit., s. 89 i 109.

23 Ibidem, s. 89 i s. 110.

24 Steven Kale, *Salony francuskie: wysokie społeczeństwo i towarzyskość od dawnego reżimu do*

rewolucji 1848 r. The Johns Hopkins University Press, Baltimore 2004, s. 15.

25 Éliane Gubin, *Dictionnaire des femmes belges: XIX e et XX e siècles*. Lannoo Uitgeverij 2006.

26 Annette Landgraf, David Vickers, *The Cambridge Handel Encyclopedia*, Cambridge University Press, Cambridge 2009, s. 566.

27 Daniel Roland Sobota, *Narodziny fenomenologii z ducha sztuki. Estetyczne początki ruchu fenomenologicznego w kontekście tzw. zwrotu estetycznego we współczesnej fenomenologii francuskiej* [http://www.filo-sofija.pl/index.php/czasopismo/article/viewFile/1013/986; dostęp: 10.02.2021].

28 Ibidem.

29 *Der Blaue Reiter*, [hasło w:] *Wikipedia* [https://pl.wikipedia.org/wiki/Der_Blaue_Reiter; dostęp: 20.04.2020].

30 S. Kieniewicz, *Historia Polski 1795-1918*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1969, s. 207.

31 Ibidem, s. 207.

32 J. Krzyżanowski, *Nauka o literaturze*, op. cit., 1984, s. 368.

33 B. Faron, *Jama Michalika*, Wydawnictwo Edukacyjne, Kraków 1992.

34 S. Kieniewicz, *Historia Polski 1795-1918*, PWN, Warszawa 1969, s. 299.

35 Ibidem, s. 303

36 Józef hr. Krasieński, *Pamiętnik, czyli wspomnienia i znaczniejsze wypadki życia mego*, cyt. za: Fragmenty opublikowane przez A. Simonówną, „Polski Rocznik Muzykologiczny” 1, Warszawa 1935, s. 105.

37 Louisa Adams – *First Ladies*; [www.history.com; dostęp: 15.04.2020].

38 *The First First Lady, George Washington's Mount Vernon*, Retrieved July 7, 2018.

39 Brenda Murphy, *The Cambridge Companion to American Women Playwrights*, Cambridge University Press, Cambridge 1999.

WIKTORIA DZIASEK



ROZMAITOŚĆ FORM I KIERUNKÓW ESTETYCZNYCH W SZTUCE SKANDYNAWSKIEJ

W sztuce skandynawskiej, nurt organiczny w naturalny sposób związany był z empatią twórcy dla materiału, w którym tworzył oraz motywami ze świata fauny i flory zdobiącymi od wieków przedmioty rzemiosła artystycznego. Aby w XX wieku mógł powstać nurt organiczny w architekturze i wzornictwie przemysłowym, reprezentowanym przez Tapio Wirkkala, Petera Opsvika czy Alvara Aalto, potrzebna była praca wielu pokoleń artystów i rzemieślników, którzy w poszanowaniu twórczości swoich poprzedników, kontynuując tradycję, przekazywali część siebie, ich wyjątkowy sposób widzenia świata i jego interpretację swoim następcom. W XX w. skandynawscy projektanci częściej tworzyli formy nawiązujące do świata przyrody niż wynalazków techniki i związanej z nimi estetyki. Inspiracja naturą w sztuce skandynawskiej jest wielowątkowa oraz czerpie z dorobku kulturowego sąsiednich krajów jak i dalszych regionów, gdyż w sztuce nie ma granic. Fascynacja człowieka naturą ma swoją długą historię.



Stolik projektu Alvara Aalto



Krzesło Actulum autorstwa Petera Opsvika

„Starożytni Grecy mówili, że piękno tkwi w sztuce. Ale zaraz dodawali, że najwyższym pięknem jest sama natura. Faktem jest jednak, że przekazali oni kulturze europejskiej swoje spojrzenie na piękno, swoje ideały piękna, swoje poglądy na sztukę. Często nie zdajemy sobie sprawy z tego w jakim stopniu wciąż jeszcze pozostajemy w orbicie wpływów greckiej sztuki i kultury, ile poglądów filozoficznych, ile wątków literackich, określeń i terminów przeniknęło do skarbcza cywilizacji europejskiej”¹. „Poznaj samego siebie” to jedna z maksym delfickich, która według greckiego pisarza i podróżnika Pauzaniaza znajdowała się na frontonie świątyni Apollina w Delfach. Pauzaniaz zwany Periegeta, jest autorem dzieła *Periegesis tes Hellados* (*Przewodnik po Helladzie*), w którym omawiał poszczególne świątynie, wspominał mity, opisywał lokalne kultury. Na jednym ze stoków Parnasu, pasma górskiego w środkowej Grecji, w IV w. p.n.e. został wzniesiony delficki zespół antycznego sanktuarium. W ciągu dnia w ciepłym powietrzu, pośród zabytkowych budowli unosi się zapach drzewek oliwnych i wygrzanej słońcem trawy podczas gdy nocą napływa chłodne, górskie powietrze. Delfy, miasto w Focydzie, na południowo – zachodnim stoku Parnasu, na wysokości około 700 m. n.p.m., to miejsce znane z kultu Apollina, wyroczni boga piękna i sztuki oraz igrzysk pytyjskich, rozgrywających się w konkurencjach: poetyckiej, muzycznej i sportowej. Znajdował się tu joński portyk Ateńczyków (po 506 r. p.n.e.), lesche czyli gospoda służąca nocą jako schronienie dla bezdomnych, zwana lesche Knidyjczyków z malowidłami Polignota i wykuty w skale teatr (IV w. p.n.e.)². Patrząc na ten zespół zabudowy a w szczególności na genialną realizację założenia teatralnego można przywołać słowa XIX wiecznego architekta, Karla Friedricha von Schinkla, który w dyskusji na temat architektury zabrał taki głos: „nie należy budować jak Grecy, lecz tak jak oni by budowali, gdyby żyli dzisiaj”³. Do Delf przyjeżdżał każdy kto chciał się dowiedzieć czegoś więcej o sobie i swojej przyszłości. Do dziś sama lokalizacja sanktuarium, na uboczu,



Delfy, teatr wykuty w skale

z dala od ośrodków miejskich, służy wyciszeniu i kontemplacji. W tym miejscu, zarówno natura stanowiąca piękne tło i uzupełnienie dla architektury jak i sama architektura kształtuje samopoczucie i nastrój odwiedzających. Sentencja mówiąca aby poznać samego siebie wydaje się nadzwyczaj aktualna w dobie odkryć w zakresie neuronauki, kognitywistyki czy „embodiment theory”. Coraz lepsza znajomość praw rządzących funkcjonowaniem naszego układu nerwowego, lepsze poznawanie tego jak odczuwamy, poznajemy świat jak się uczymy sprawia, że zaczynamy mieć większą świadomość tego jak bardzo kształtowane przez nas środowisko wpływa na nas samych. Wpływ budynku na człowieka jest często nieoczywisty i bardziej podlega prawu znanemu z myśli Owidiusza: „kropla drąży skałę nie siłą, lecz ciągłym spadaniem.”

Człowiek był i jest kształtowany przez budynki jak i środowisko naturalne, a zdarza się, że architektura bywa powodem przemęczenia, apatii, wypalenia emocjonalnego. Bywa, że budynki i tworzące się wokół nich środowisko miejskie przytłaczają tak bardzo, że człowiek szuka ucieczki od nich. Odchodzi najdalej od cywilizacji, przekraczając granicę pomiędzy znanym i nieznanym, względnym bezpieczeństwem i sferą żywiołów panujących w górach, na oceanach, w strefach okołobiegunowych, szukając spokoju i równowagi. Przytoczę tu wypowiedź polskiego himalaisty, Wojciecha Kurtyki: „wspinanie jest wyjściem poza krąg powtarzalnych i opatrzonych sytuacji: jest ucieczką od monotonicznych mechanizmów logiki i rozsądku, które zabieganiemu człowiekowi nie pozwalają zauważyć nieba nad głową. Dlatego

też wspinanie otwiera oczy – porusza wiele zróżnicowanych i uśpionych poziomów wrażliwości”⁴. Tym kawałkiem nieba dla innych były wirydarze lub ogrody zen, miejsca niezbędne do osiągnięcia spokoju i odkrywania siebie takim, jakim się jest naprawdę. A kolor niebieski, to najzimniejszy z kolorów, bardzo ceniony za swoje właściwości, pozytywnie oddziałujący na ludzi w wielu aspektach. Patrząc w błękit nieba wyciszamy się, oddychamy powoli. Kolor niebieski i wszystkie jego odcienie to kolory będący esencją spokoju, obniżają ciśnienie krwi, działają relaksująco, pobudzają kreatywność. Tymczasem „wirydarz nawiązuje do rzymskiego „cavum aedium”, małego ogródka otoczonego perystylem. Został on zaadoptowany przez starochrześcijańskie bazyliki, przejęty przez budownictwo klasztorne, gdyż zapewniał żyjącej w izolacji względem świata zewnętrznego społeczności zakonnej kontakt z przyrodą. „Wirydarz jest właściwie jedynym w średniowieczu elementem ogrodowym posiadającym kompozycyjne nawiązanie do otaczającej go architektury. Wpisany w czworobok krużganków klasztornych miał geometryczny podział płaszczyzny oparty na układzie ścieżek przeprowadzonych po jego obwodzie i skrzyżowanych osiowo lub po przekątnych. Akcentem centralnym bywała zazwyczaj studnia, fontanna lub drzewo czy też krzew ozdobny. Wirydarz nosił niekiedy nazwę „raju” lub „rajskiego dworu”. Ostre warunki klimatyczne w Polsce nie pozwoliły na rozwinięcie się systemu otwartych krużganków, tworzących pełną urok i malowniczości jedność wnętrza architektoniczno-ogrodowego. W miejsce przezroczy arkadowych wprowadzono okna, z czasem oszklone, niekiedy jedynie



Himalaje, Krucze Jezioro w Sikkimie

w dolnej części dające bezpośredni wgląd do wirydarza przez wąski pas przezroczy⁷⁵.

Od XII – XIV w. w Japonii rozkwitał buddyzm zen, w którym to kładziono szczególny nacisk na medytację, postępowanie zgodne z naturą oraz unikanie wszystkiego co jej zaprzecza. Mnisi zen odrzucali kult obiektów oraz recytację sutr, jako działania, które w swej istocie nie prowadziły do satori, czyli oświecenia. Mnicha zen powinna charakteryzować naturalność w zachowaniu, spokój oraz kontrola nad impulsami. Są to też zasady, jakimi powinien kierować się wojownik. Wywarły one wpływ na estetykę japońską, znajdując odbicie w wielu dziedzinach sztuki. „Wielki postęp w ogrodach zen nastąpił dzięki wybitnemu mnichowi i jednemu z najznakomitszych twórców ogrodów w Japonii Musō Soseki, nazywanym też Kokushi (1275–1351). Początkowo studiował ezoteryczne nauki szkoły shingon, ale potem, przyciągnięty jasną prostotą zen, wstąpił w 1294 roku, w wieku 19 lat, do klasztoru Kennin-ji. Mnisi zen w sferze sztuki najbardziej uprzywilejowali ogród jako sposób wyrażania swej ekspresji. Wierzyli, że oświecenie można osiągnąć nie tylko podczas medytacji, ale również w czasie starannego wykonywania prostych, codziennych zajęć oraz pracy w ogrodzie. Tworzenie i pielęgnacja ogrodów były dla nich codziennymi czynnościami kontemplacyjnymi, a także przeżyciem estetycznym. Wielki mnich stwierdzał, że tworzenie ogrodu jest drogą praktykowania zen, pokazując bliskie powiązania pomiędzy sztuką ogrodową i poszukiwaniem prawdy”⁶. Wiążący się ze sztuką japońską minimalizm charakteryzuje przewartościowanie priorytetów, ograniczenie się do posiadania rzeczy

niezbędnych i pozbycie się nadmiaru, który nie dodaje naszemu życiu wartości. To minimum w otoczeniu powinno wzbogacać nas wewnętrznie. Filozofia minimalizmu ma swoje odbicie w minimal art, tendencji artystycznej popularnej w latach 60 XX w. i uważanej za przejaw reakcji na emocjonalizm ekspresjonizmu abstrakcyjnego. Minimal art posługiwał się prostymi, wyraźnie określonymi formami, cechował prostotą, emanował spokojem, bezruchem i ciszą. Ten kierunek w projektowaniu wnętrz jest obecny w stylu skandynawskim obok takich charakterystycznych elementów jak: naturalne materiały oraz jasna, pastelowa kolorystyka, zwłaszcza kolor niebieski i jego odcienie.

W filmie Andrzeja Tarkowskiego *Stalker* z 1979 r., na motywach powieści *Piknik na skraju drogi* autorstwa braci Strugackich, to natura jest miejscem metafizycznym, miejscem przemienienia. W tym obrazie architektura zaledwie próbuje do niej dorosnąć, sprostać jej tak jak potrafi. W rzeczywistości od świata przyrody dzieli ją przepaść. Zniszczone kontury budynków, rozsypujące się ściany, szare mury kontrastują z żywą zielenią panującą w zonie. Monochromatyczne obrazy filmu przechodzą łagodnie w świat prawdziwych kolorów tylko w momencie gdy kamera przekracza granice strefy, miejsca powstałego w wyniku kataklizmu. Po obejrzeniu filmu w pamięci pozostaje jeden szczególny obraz: eteryczny widok wydm we wnętrzu opuszczonego budynku i lot samotnej sowy ponad spokojnym morzem piasku. Miejsca zniszczone odradzają się zarówno w filmie *Stalker* jak i poza nim, w rzeczywistości. Zbliżniające się pnie drzew to symbol potęgi życia, sił natury. Roślina odarta z kory regeneruje



Wirydarz - Kamień Pomorski

zranione miejsca. Cudem wydaje się umiejętność roślin polegająca na regeneracji uszkodzonych tkanek. Niezwykle są umiejętności roślin i zwierząt jeśli chodzi o przystosowanie do życia w ekosystemie ziemskim. Element budowy ciała kałamarnicy pełniący funkcję silnika odrzutowego, precyzyjny barometr w ciele żab i pijawek, licznik Geigera u węży, spolaryzowany kompas u pszczół, umiejętność przewidywania nadchodzącej burzy u meduz, wysoce czuły sejsmograf u chrząszcza wodnego⁷.

Potęga natury. Jak na razie często niedościgniony wzór dla architektury, choć nie można sobie wyobrazić doskonalszego modelu do naśladowania. Dziś nadzieję na skuteczną naukę od natury daje bionika. „Bionika (z ang. bionics – skrót od *biologically inspired engineering*) to interdyscyplinarna nauka badająca budowę i zasady działania organizmów oraz ich adoptowanie w technice i budowie urządzeń technicznych na wzór organizmu. Stara się poznać i wykorzystać procesy sterujące działaniem organizmów w różnych działach techniki m. in. Automatyce, informatyce, elektronice, mechanice i budownictwie”⁸. Około 1900 roku Louis Sullivan, pisząc książkę pt.: *Kindergarten Chats* chciał odnaleźć prawdziwe znaczenia słów architektura organiczna i tu właśnie organiczne znaczy dla niego „poszukiwanie realności”. Natomiast organiczne w znaczeniu Louisa Sullivana i Franka Lloyda Wrighta jest protestem przeciwko rozłamowi osobowości oraz przeciwko rozłamowi kultury i jest tożsamy z pełnym uchwyceniem rzeczywistości lub z tym rozwojem, w którym myślenie i uczucie są zespolone⁹. „W procesie społecznego rozwoju człowiek w ramach swej działalności architektoniczno-budowlanej nierzadko – świadomie lub intuicyjnie – znajdował natchnienie w świecie przyrody żywej. Jest to zupełnie zrozumiałe. Przecież

konstrukcyjne formy stworzone przez przyrodę są bardzo dobrze przystosowane do otaczającego je środowiska, niezawodność ich sprawdzona jest erami naturalnej ewolucji, a budowa (konstrukcja) przystosowana do przejścia różnego rodzaju obciążeń (obciążenia wiatrem, śniegiem czy też „eksploatacyjne”). Wybitny architekt i budowniczy włoskiego Odrodzenia F. Brunellesco rozwiązując konstrukcję kopuły w kościele Santa Maria del Fiore we Florencji wzorował się na skorupie ptasiego jaja, a Leonardo da Vinci projektując swoje latające maszyny, maszyny budowlane i wojenne, urządzenia tkackie „kopiował” formy przyrody żywej”¹⁰.

Tapio Wirkkala (ur. 1915 r. Hanko, Finlandia – zm. 1985 r. Esbo, Finlandia), w swoich wazonach Kantorelli (1946r.) w kształcie grzybków, kurek, uchwycił abstrakcyjny aspekt natury i stworzył ekspresyjne, organiczne formy połączone ze znanym mu, tradycyjnym rzemiosłem. Z uznaniem spotkały się również, wykonane przez niego, z laminowanego drewna, miseczki i meble w kształcie liścia. Peter Opsvik (ur. 1939 r. Strando, Norwegia) to twórca najbardziej znany z innowacyjnych pod względem ergonomii krzesel. Jego książka pt. *Rethinking sitting* z 2009 r. ukazuje filozofię projektanta stojącą za niezwykle formami siedzisk. Do najślynniejszych projektów architektonicznych Hugo Alvara Hendrika Aalto (ur. 1898 r. Kuortane, Finlandia – zm. 1976 r. Helsinki, Finlandia) zalicza się jego własny dom w Turku (1927 r.) stanowiący jedną z pierwszych manifestacji skandynawskiego modernizmu, bibliotekę w Viipuri (1927 – 1935), sanatorium przeciwgruźlicze w Paimio (1929 -1933) i fiński pawilon na wystawę w Nowym Jorku (1939 r.). W 1929 r. Aalto zaczął wykonywać przedmioty z drewna laminowanego i sklejkę, które zdominowały jego prace. Rozpoczął też badania nad sklejaniami



Ogród w świątyni buddyjskiej Ryoan-ji w Kioto

forniru i granicami wyginania sklejk. Uważał, że jego największą zasługą dla projektowania mebli było rozwiązanie odwiecznego problemu połączenia elementów poziomych z pionowymi. Aalto był głęboko przekonany, że design powinien odpowiadać naturze człowieka, a jego podejście do designu, jako jednego z pionierów wzornictwa organicznego, miało znaczący wpływ na projektantów powojennych. Aalto uważał, że design powinien uwzględniać wymagania funkcjonalne, ale także zaspokajając psychiczne potrzeby człowieka, co można osiągnąć poprzez zastosowanie naturalnych materiałów, przede wszystkim drewna, o którym mówił „niezwykle ludzki materiał, źródło inspiracji”¹¹.

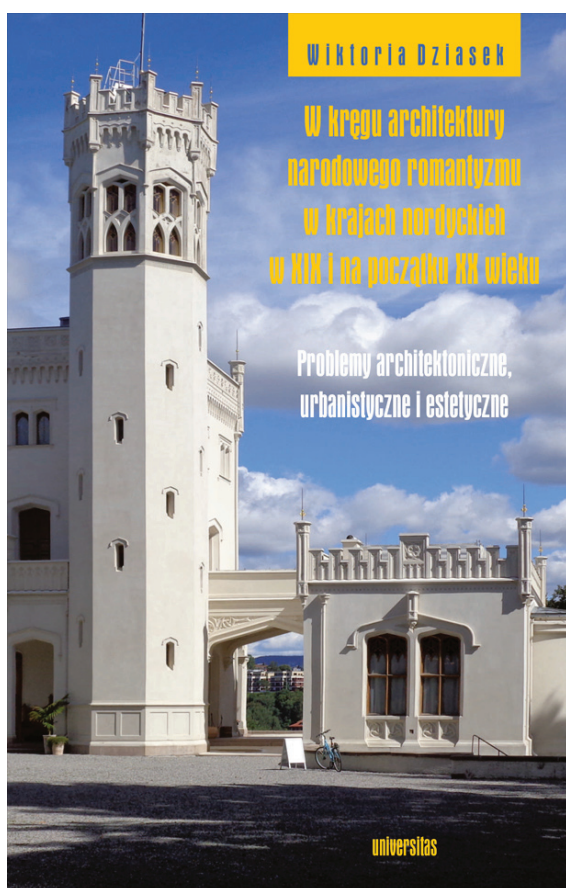
Środowisko naturalne i architektura wpływają w sposób decydujący na rozwój psychiczny, fizyczny, kulturalny oraz społeczny człowieka. A architektura posiada szeroki wachlarz elementów, którymi może oddziaływać na nasze samopoczucie. Forma i kształt pomieszczeń mogą sprawiać wrażenie przytłaczające lub też dawać poczucie bezpieczeństwa. Barwy we wnętrzach wywołują dobre lub złe samopoczucie, aktywność lub pasywność. „Stosowanie barw w zakładach przemysłowych, biurach lub szkołach może wzmagać bądź osłabiać wydajność pracy, a w szpitalach przyczynia się do efektywniejszego leczenia pacjentów”¹². Budynki powodują wzmocnienie aktywności naszego systemu metabolicznego i wymuszają zużycie większych nakładów energii lub też stają się miejscem relaksu i sprawiają, że jesteśmy bardziej otwarci na kontakty społeczne¹³. Wiele wskazuje na to, że budownictwo organiczne, w którym rozwiązania projektowe dyktowane są przez bionikę, z zasady proponująca funkcjonalność, ergonomię oraz ograniczenie do niezbędnego minimum użycie materiału, są w rzeczywistości najbliższe naturze człowieka.

Ponieważ, jak twierdzą hiszpańscy architekci, projektujący w nurcie organicznym, Rosa Cervera i Javier Pioz, w kontekście rozważań nad najlepszym źródłem inspiracji we współczesnej architekturze: Nature did it first and did it better!¹⁴

Przypisy:

- 1K. Michałowski, *Jak Grecy tworzyli sztukę*, Warszawa 1970, s. 7.
- 2 *Encyklopedia sztuki starożytnej. Europa, Azja, Afryka, Ameryka*, Warszawa 1974, s. 135 – 136.
- 3 F. Cludon et al., *Encyklopedia romantyzmu. Malarstwo, rzeźba, architektura, literatura, muzyka*, Warszawa 1992, s. 172.
- 4 https://pl.m.wikiquote.org/wiki/Wojciech_Kurtyka (16.03.2022 r.)
- 5 G. Ciołek, *Ogrody polskie*, Warszawa 1978, s. 20 – 21.
- 6 M. Wołodźko, *Ogrody w kulturze dawnej Japonii*, Warszawa – Toruń 2013, s. 73 – 74.
- 7 R. Cervera, *Bionics, Biomimicry and Architecture. Learning from Nature/ Biónica, Biomimética y Arquitectura. Aprendiendo de la Naturaleza*, Barcelona 2019, s. 25.
- 8 pl.wikipedia.org/wiki/Bionika (14.03.2022 r.)
- 9 S. Giedion, *Przestrzeń, czas, architektura*, Warszawa 1968, s. 446-447.
- 10 J.S. Lebediew, *Architektura i bionika*, Warszawa 1983, s. 5.
- 11 Ch. I.P. Fiell, *Design XX wieku*, Köln 2002, s. 8-10.
12. S. Popek, *Barwy i Psychika. Percepcja, Ekspresja, Projekcja*, Lublin 2012, s. 84 – 108; E. Neufert, *Podręcznik projektowania architektoniczno – budowlanego*, Warszawa 2005, s.39.
13. *Mind in Architecture. Neuroscience, Embodiment, and the Future of Design*, red. S. Robinson, J. Pallasmaa, Massachusetts 2017, s. 22.
14. http://youtu.be/gzD_dwb8_yo (16.03.2022 r.)

ŚLADAMI POMNIKÓW SKANDYNAWSKIEJ KULTURY ARCHITEKTONICZNEJ



Treść książki dokładnie, wręcz precyzyjnie, odpowiada jej tytułowi i porusza niezmiernie rzadko omawiany w literaturze polskiej temat narodowego romantyzmu w krajach nordyckich. Szczególnie – i to jest bardzo ważne – że Autorka swoją książką zainteresuje wielu Czytelników chcących otrzymać odpowiedź na te pytania, a zagadnienie owo przedstawione jest w sposób wielopłaszczyznowy, interdyscyplinarny i tylko pozornie, odległy.

I tu zaskoczenie, bowiem powiązanie ze sobą takich dyscyplin jak: filozofia, estetyka, muzyka – z architekturą i jej historycznymi aspektami, zasadnością detali architektonicznych i ich interpretacją – możliwe było dzięki znakomitej znajomości historii, jak i zależności oraz współzależności pomiędzy poszczególnymi krajami takimi jak: Dania, Finlandia, Islandia, Norwegia czy Szwecja. Atmosfera kulturowa tych krajów jest odmienna od pozostałych północno-europejskich, co właśnie jest wynikiem podstaw kształtowania ich odmienności, których należy szukać w czasach odległych. Zrozumienie ich wraz z właściwym podejściem do natury i jej praw, które, jak to w owych czasach bywało, przenoszone były z pieśnią i znakiem, symbolem. Niemałą rolę odgrywał również materiał i jego koloryt, który determinował bryłę architektury i dyktował temat szczegółów architektonicznych. Stąd tak czytelna i zarazem zrozumiała jest więź: klimatu, koloru kamienia, formy oraz ukształtowanej psychiki twórców, wychowanych na prawach dyktowanych przez surową naturę.

Przed rozpoczęciem zagłębiania się w treść książki i jej „plecionkowo” powiązanych uzależnień, proponuję w skupieniu posłuchać utworu któregośkolwiek z kompozytorów z krajów Północy, aby zrozumieć atmosferę i wejść w świat niebywale ciekawy, smagany północnym wiatrem, co przewija się w utworach wszystkich kompozytorów.

W takim to klimacie nasza Autorka prezentuje architekturę, opierając się na doskonałej dokumentacji historycznej, ikonograficznej i kartograficznej. Dlatego też spokojnie można ufać wnioskowi Autorki, której zarówno cechy charakteru, jak i umiejętność logicznego, bezbłędnego wyciągania prawidłowych wniosków – imponują!

Obiekty, świadomie wybrane, a prowadzące Czytelnika w tajniki tej sztuki, wyznaczone zostały nieprzypadkowo... i to również należy dostrzec i docenić.

I na końcu to co ubarwia tę książkę, nadając jej cechy prawdziwego autentyzmu, to strona ilustracyjna, prowadzona niesłychanie konsekwentnie i starannie, będąca dziełem autorskim samej Autorki – stanowi ten niezapomniany „dotyk” - jak moglibyśmy powiedzieć – jest ową „wisienką na torcie”.

Jestem pełna podziwu i uznania dla Pani Wiktorii Dziasek za umożliwienie zapoznania się z Jej wynikami pracy, a które pojawiają się w formie książki. Dlatego też z ogromnym zadowoleniem przekazuję je Państwu do zapoznania się i przeżycia wspaniałej przygody intelektualnej.

ZDZISŁAWA TOŁŁOCZKO

Wiktoria Dziasek, *W kręgu architektury narodowego romantyzmu w krajach nordyckich w XIX i na początku XX wieku Problemy architektoniczne, urbanistyczne i estetyczne*, Kraków 2022, Wydawnictwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS

JACEK ROMAŃSKI



FRESKI FRA ANGELICO Z KLASZTORU ŚW. MARKA WE FLORENCJI - PROBLEM ORYGINAŁU I KOPII



Freski Fra Angelico z klasztoru św. Marka stanowią ważny moment w malarstwie, nie tylko florenckim, ale również całego Quattrocenta. Równocześnie pozostają one w pewnym sensie dyskretne, czyli nie zmediatyzowane przez popkulturę charakteryzującą się bezustannym powielaniem, uwidacznianiem dzieł za pośrednictwem niezliczonych kopii, poprzez które dociera do nas informacja o istnieniu ukrytego gdzieś w muzealnej przestrzeni oryginału. Ten za sprawą ciągłych cytowań zdaje się gasnąć, tracić moc artystycznego oddziaływania na rzecz wspomnianych reprodukcji, które zyskując na znaczeniu sprawiają, iż jego istota ukazuje się w coraz słabszym świetle. Z rzeczonymi freskami jest nieco inaczej, położony na uboczu florenckiego centrum klasztor, nie przeżywa obłączenia podobnego do Galerii Uffizich, Pałacu Pittich, czy Galerii dell'Accademia, a ilościowo w kategorii nadruków na koszulkach, czy

kubkach anioły Fra Angelica zdecydowanie przegrywają konkurencję z listkiem figowym Dawida, czy wszechobecnym Dantem. Reklamowy szum i muzealny marketing zdają się w tym przypadku wybrzmiewać słabiej, taki też jest charakter tych dzieł – minimalistyczny i pełen spokoju, w tajemniczy sposób przyciągający raczej tych, którzy go szukają. Samo otoczenie oraz surowe wnętrza klasztoru, wraz z celami, na ścianach których namalowane są dzieła potęgują to wrażenie.

Przyjmując zatem definicję negatywną należałoby założyć, że oryginał znajduje się poza owym medialno-reklamowym szumem rozumianym jako stan, gdzie z powodu braku odpowiedniego dystansu, z którego sam omawiany problem mógłby być pojmowany, namysł zostaje zawieszony. Tymczasem wydaje się, że malarze w tym Fra Angelico pozostają wyczerpani na zagadnienia perspektywy, jak również kopii i oryginału oraz świadomości problemów teoretycznych, których przysparza ich pogłębiona analiza. W tym miejscu filozofia i malarstwo z pewnością odnalazłyby punkty wspólne. O tym, że zajmowały one również Fra Angelica, świadczyłby fresk „Wyszydzanie Chrystusa” znajdujący się w celi nr 7. Jest on w pewnym sensie obrazem w obrazie, co pozwala wnioskować, iż artysta pozostawał świadomy faktu, że jego dzieło jest jedynie przedstawieniem przedstawienia, kopią kopii (inaczej mówiąc ilustracją pewnej przypowieści biblijnej). Równocześnie dolna, wykraczająca poza ramy namalowanego obrazu część szaty Jezusa, zdaje się wskazywać tu na trudną do określenia granicę pomiędzy odwzorowaniem, a tym co realne, pomiędzy prawdą realności a dyskursem o niej.

Fresk ten byłby zatem dobrym przykładem dla zilustrowania omawianego tu problemu reprodukcji i wzorca. Na razie otwarte pozostaje pytanie, czy przez samo odpowiednie jego postawienie ów pierwowzór stawałby się nam poznawczo bliższy, czy nadal jedynie kopia byłaby jedyną dostępną dla nas możliwością zarówno myślenia o jak i postrzegania świata? W tym drugim przypadku potrzebny byłby zarówno wspomniany dystans jak i aparatura poznawcza umożliwiająca spojrzenie na odwzorowanie, które w ten sposób przyjmowałoby atrybuty oryginału. Analiza wskazuje zatem, że mamy do czynienia z pewnego rodzaju grą przedstawień, która choć uzmysławia nam omawiany problem, to nie jest w stanie



sięgnąć jego istoty. Ponieważ dystans jaki dzieli nas od oryginału nadal zdaje się w tym przypadku nie do przebycia, konieczne zdają się zatem odpowiednie pojęcia, a w zakresie malarstwa pewne zabiegi formalne, mogące nas ukierunkować, otworzyć na to, co nie jednak kopią nie jest.

Być może takim pojęciem (a zarazem cechą malarstwa) dającym nam nadzieję na ujrzeć Piękna w bardziej bezpośredni sposób jest przejrzystość. Byłoby tu ono rozumiane zatem po augustiańsku, nie jako to, co jest piękne, ponieważ się nam się podoba, ale ponieważ piękne jest samo w sobie. Wracamy zatem do kwestii użycia wspomnianych środków malarskich, w tym przypadku bardzo skromnych, co skutkuje wycofaniem się strefy przedstawieniowej i przyjmowaniem przez nią roli drugorzędnej, aby pozwolić wybrzmieć temu, co samo jest źródłem echa. W ten sposób widoczna w „Zwiastowaniu” (cela nr 3) świetlista biel tła jawi się jako przejrzysta, a w zasadzie półprzejrzysta granica przedstawienia, pierwszy i ostatni moment widzialności pozwalający wyrazić przecucie transcendencji, która mogłaby się za nią skrywać. O tym, że nie chodzi tu jedynie o to, co przedstawione świadczą właśnie użyte przez Fra Angelica oszczędne, wzmagające wrażenie owej przejrzystości środki wyrazu. Píše o nich Didi Huberman:

„Rozczarowanie dotyka czytelności: fresk wydaje się najuboższą, najbardziej skrótowo opowiedzianą historią. Żaden wyjątkowy detal, żaden szczegół nie zdradzi nam tego, w jaki sposób Fra Angelico „widział” Nazaret – historyczne miejsce, w którym anioł spotkał dziewicę. Nie ma tu niczego malowniczego- obraz nie mógłby mówić mniej (...) nie ma tu uczuć, działania, ani malarskiego teatru”¹.

Jedynym, co zdaje się na nas realnie oddziaływać to owa połączona biel - hipoteza nie do przyjęcia dla wielu historyków sztuki skupionych jedynie na narracyjnej warstwie fresku, poprzez co skłonni byli postrzegać Fra Angelica w kategoriach malarstwa naiwnego. Nie umniejsza to faktu, iż pewna historia zdaje się konieczna do opowiedzenia, nawet jeżeli mielibyśmy do czynienia z malarstwem o jeszcze większym stopniu abstrakcyjności czy minimalizmu.

Nieinterpretacyjne podejście do dzieła, pozostaje bowiem nadal jedynie idealnym założeniem.

Dzieło sztuki można interpretować zatem starając się dotrzeć za pomocą metodologii różnych czasów i prądów estetycznych do znaczenia, które pragnął nadać mu artysta, lub które przyjmowano, czy nad którym dyskutowano w danej epoce. Można również posłużyć się nim jako pretekstem dla ilustrowania idei czy tworzenia pojęć, dla których stanowiłoby ono tym samym rodzaj katalizatora. Najciekawsze zdają się jednak próby połączenia tych dwóch podejść, aczkolwiek warto podkreślić, że każda praca interpretacyjna jest również pracą twórczą. W tym kontekście należy zauważyć, że pierwszym przypadkiem może ona zostać utrudniona np. poprzez brak źródeł teoretycznych czy naturalną degradację materiału, z drugiej strony to właśnie niewyraźność będąca ich skutkiem otwiera szerokie pole twórczej egzegezy.

Z taką sytuacją mamy do czynienia w przypadku celi nr 40. Nie ma pewności, czy znajdujący się tam fresk jest dziełem samego Fra Angelica. Ten niemal zanikający, wypłowiały wizerunek Jezusa na krzyżu, kontrastuje z dramatyzmem Ukrzyżowania dziejącego się „tu i teraz”, które możemy oglądać na freskach w innych celach (należy równocześnie zauważyć, że jest to dramatyzm innego rodzaju niż ten obserwowany u Masaccia, bardziej stonowany jakby celowo pozbawiony ekspresji na rzecz kontemplacji). Wychodząc poza zwykłą reprezentację znanego motywu poprzez zniszczenia jakim uległ z biegiem czasu, może on uzmysłowić widzowi istotę pozostałych dzieł z klasztoru św. Marka. Wskazuje bowiem na to, iż wyłaniają się one na powierzchnię rzeczywistości dzięki wykraczającej poza nie, realnej i genetycznej korelacji pomiędzy destrukcją a twórczością. W ten sposób trzy główne tematy chrześcijaństwa nie tyle odnosiłby się do pewnych znanych nam z tradycji chrześcijańskiej zdarzeń, co wpisywały w rytm świata jako takiego, który bezustannie przemija (Ukrzyżowanie) i odradza na nowo (Zmartwychwstanie i Zwiastowanie). Inaczej mówiąc fresk ten już cały we władaniu kończącego się dla niego czasu zdaje się nieść nadzieję, że otchłań, w którą stacza się cielesność stanowi zarazem nieskończona możliwość, dzięki której dane nam będzie na nowo myśleć o świecie, kształtować go, czasem nawet jak w przypadku sztuki w taki sposób, aby móc zaznać tego, co na zawsze dając do myślenia pozostaje nie do pomyślenia, choć może jednak zostać odczute w ekstazie jako Piękno, lub trwode jako pustka, nicność.

To zatem nie naśladowanie rzeczywistości czy odzwierciedlenie biblijnej opowieści jest u Fra Angelica najważniejsze. Wieki później pisał o tym heglista F.T. Visser, dla którego sztuka poprzez swoją zdolność do tworzenia Piękna umożliwiały sięgnięcie poza to, co widzimy w nacechowanej przypadkowością, brzydota i nieładem rzeczywistości. Spojrzenie takie wymagałoby jednak odpowiedniej perspektywy, stanowiącej właściwą do namysłu przestrzeń². To właśnie ją pragnie ukazać malarz, posługując się w tym celu pretekstem pod postacią opowiedzianej raz jeszcze na nowo historii.

Wrażliwość metafizyczna niczym busola zdają się wskazywać na ciągle nie odkryty jeszcze ład, przy czym analiza znów prowadzi nas w to samo miejsce. Nie ustając w wysiłkach filozofia



podobnie jak sztuka bezustannie poszukuje sposobności do tworzenia oraz tropów tych, którzy myśleli lub doznawali podobnie. Stąd wizyta w klasztorze San Marco może stanowić źródło wyjątkowej satysfakcji, którą daje jedynie wzajemne zrozumienie oparte o współodczuwanie Piękna.

Przypisy:

1 Georges Didi-Huberman, *Przed obrazem*, Gdańsk 2011, s.14.

2 Por. Władysław Tatarkiewicz, *Dzieje sześciu pojęć*, Warszawa 2004, s. 337.

Bibliografia:

1. Magnolia Scudieri, *The frescoes by Angelico at San Marco*, Florence 2004.

2. Georges Didi-Huberman, *Przed obrazem*, Gdańsk 2011.

3. Arnold Berleant, *Przemysleć estetykę*, Kraków 2007.

4. Gunther Pöltner, *Estetyka filozoficzna*, Kraków 2011.

5. Władysław Stróżewski, *Dialektyka twórczości*, Kraków 2007.

6. Władysław Tatarkiewicz, *Dzieje sześciu pojęć*, Warszawa 2004.

7. Józef Lipiec, *Powrót do estetyki*, Kraków 2005.

Słowa kluczowe: kopia, oryginał, piękno, pustka, nicność
Keywords: copy, original, beauty, emptiness, nothingness



Renata Bonczar z Medalem Prezydenta Biennale, XIII Florence Biennale Florencja 2021

Renata Bonczar

mieszka i pracuje w Katowicach. Ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie Wydział Grafiki w Katowicach.

W 2004r. w Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach uzyskała stopień doktora sztuki. Zajmuje się malarstwem, rysunkiem, projektowaniem. Stypendystka Ministra Kultury i Sztuki. Otrzymała wiele nagród za twórczość artystyczną we wszystkich najważniejszych konkursach w Polsce. Na swoim koncie ma ponad 120 wystaw indywidualnych, brała udział w ponad 300 zbiorowych w świecie. W 2016 r. uhonorowana Brązowym Medalem Zasłużony Kulturze „Gloria Artis”. Jest członkiem Związku Artystów Plastyków, Stowarzyszenia Pastelistów Polskich, Stowarzyszenia POLART Towarzystwa Sztuk Pięknych w Krakowie oraz Towarzystwa Sztuk Pięknych Circolo degli Artisti - Casa di Dante we Florencji.



AGATA CHRZANOWSKA

MIĘDZY ABSTRAKCJĄ A FIGURĄ O MALARSTWIE RENATY BONCZAR

Od czasów pierwszych awangard europejskie malarstwo rozwija się na linii zawieszonyj pomiędzy dwoma biegunami: abstrakcją i figuratywizmem. Dla artystów działających w pierwszych dziesięcioleciach XX wieku radykalne zerwanie z akademizmem było szansą na przewartościowanie pojęć i na odnowienie języka sztuki. W 1912 roku Guillaume Apollinaire pisał w artykule *Du sujet dans la peinture modern (O tematyce w malarstwie nowoczesnym)*:

„Jeśli artyści wciąż obserwują naturę, już jej nie imitują, a wręcz unikają przedstawiania scen obserwowanych bezpośrednio w naturze lub rekonstruowanych poprzez studia”¹.

Narodziny malarstwa abstrakcyjnego były być może jedną z najbardziej radykalnych przemian w europejskiej kulturze wizualnej. Wszak mit sztuki jako imitacji natury, przejęty z antyku, stał się podstawową kategorią estetyczną, wedle której oceniane było malarstwo od czasów renesansu. Europejska sztuka wkroczyła na ścieżkę nieustającej pogoni za iluzją a malarstwo, jego materia i tekstura, stały się praktycznie niewidoczne. Zadaniem każdego artysty było ukrycie własnego warsztatu a faktura farby miała zachowywać się niczym kameleon, stając się na przemian drewnem, atłasem, perłą, marmurem czy ciepłą skórą, pod którą pulsuje krew.

Malarstwo abstrakcyjne uwolniło artystów od obowiązku opowiadania w sztuce o czymś innym, niż sztuka sama w sobie. Tak szybko jednak, jak zrodziła się abstrakcja, tak szybko podniosły się głosy sprzeciwu przeciwko nowemu (nie)porządkowi. W 1919 roku Giorgio de Chirico apelował o „powrót do rzemiosła²” a malarstwo figuratywne, wróciło do łask, udowadniając, że akademizm, realizm i iluzja nie stanowią dla niego jedynych kierunków rozwoju. Figuratywne były wszak obrazy surrealistów, szukających sposobów przedstawienia snów i podświadomości. Deformacja, porzucenie perspektywy, symboliczne i arealistyczne użycie kolorów pozwoliło artystom na przedstawianie światów wyobrażonych, utkanych z materii snów i fantazji.

Figuratywność i abstrakcja rozwijały się więc równolegle, oferując artystom dwie alternatywne drogi rozwoju własnego języka malarskiego. W momencie dotknięcia płótna pędzlem artysta miał niejako wypowiedzieć własne credo i wkroczyć na ścieżkę wiodącą w jednym lub drugim kierunku. Czy jednak na pewno jednoznaczny wybór pomiędzy abstrakcją a figurą jest konieczny?

Sztuka pogranicza

Na przekór sztywnym podziałom i kategoryzacjiom, Renata Bonczar, aktywna na polu malarstwa od lat osiemdziesiątych, zdecydowała się na eksplorację artystyczną tego cieniowego pasa pogranicza, który oddziela język abstrakcji od malarstwa figuratywnego. Obrazy Bonczar trudno jest wpisać w ramy gatunków malarskich. Na pierwszy rzut oka płótna



Renata Bonczar, *Zatoka WAGI*, olej na płótnie 92x120

te wydają się abstrakcyjnymi kompozycjami kolorów i form. Obsesyjny wręcz perfekcjonizm konstrukcyjny widać w zestawieniu przejść tonalnych, równowadze brył i dynamice form. Po chwili jednak, spod warstw farby wyłaniać się zaczynają bryły budynków, cienie okien, wieże gotyckich katedr, błyszczące tafle jezior i rzek. Może więc Bonczar maluje pejzaże?

Czerpanie pełnymi garściami z dwóch, wydawać by się mogło, przeciwstawnych nurtów, jest jednym z najciekawszych elementów twórczości malarki. Jej ciągłe poruszanie się po cienkiej jak ostrze noża linii zawieszanej pomiędzy figurą a formą jest gestem otwarcia w kierunku widza. Patrząc na obrazy Bonczar, odbiorca może użyć płótna niczym lustra i zobaczyć w nim część siebie, fragment własnej wyobraźni, wspomnienie odwiedzonego miejsca, zaułki znanych miast, pozostałości głęboko schowanych emocji.

Abstrakcyjna figuratywność lub figuratywna abstrakcja, tak można by zdefiniować to malarstwo. Strefa niedopowiedzenia, którą otwiera przed widzami Bonczar, jest być może otwarciem w kierunku intymnej przestrzeni wspomnień, emocji i fantazji samej malarki. Malarstwo Bonczar rozwija się poprzez serie; sekwencje płócien, które powstają jako wizualne opracowania

pewnych doświadczeń, odczuć, wspomnień z odwiedzanych miejsc. Jednak, pomimo tego otwarcia na świat zewnętrzny, praca nad każdym obrazem przenosi malarkę do wnętrza kompozycji, do zamkniętego świata obrazu, który rządzi się własnymi prawami i niesie ze sobą całą serię problemów czysto malarskich: balans tonalny, równowaga brył i rozłożenie punktów ciężkości, światła, cienie i faktura. Niekiedy poszukiwanie rozwiązania danego tematu podpowiada kilka alternatywnych koncepcji, co może doprowadzić do powstania bliźniaczych dzieł, różniących się od siebie jedynie jednym elementem układanki.

Malarstwo materii

Malarstwo Bonczar jest więc wynikiem kontaktu malarki ze światem. Zawiera ono zapiski emocji, ślady relacjonowania się z rzeczywistością. Jednocześnie, obrazy te są czystą opowieścią o malarstwie. Wizualne notatki Bonczar zapisane są olejem na płótnie z zachowaniem sztywnych zasad gramatyki malarskiej. Prace Bonczar przywiodły mi na myśl manifest najważniejszego teoretyka amerykańskiej awangardy, Clementa Greenberga, który w artykule *Towards a Newer Laoccon* opublikowanym w 1940 roku pisał:



Renata Bonczar, *Zatoka WAGI*, olej na płótnie 92x120

„Sztuki powinny być sprowadzone ponownie do własnego medium, tam wyizolowane, zogniskowane i zdefiniowane. To poprzez cechy własnych środków wyrazu, każda z dziedzin sztuk plastycznych jest unikalna i staje się sobą. Należy przywrócić tożsamość każdej ze sztuk i podkreślać nieprzeźroczystość jej środków wyrazu. Środki wyrazu sztuk wizualnych okazują się posiadać swoją fizyczność; a przez to czyste malarstwo i czysta rzeźba starają się przede wszystkim wpłynąć na widza w sposób fizyczny.³”

Twórczość Bonczar jest w pełni malarska właśnie dzięki materialnemu użyciu środków wyrazu: farby olejnej, która nie próbuje imitować niczego poza samą sobą. Fizyczność tego malarstwa wyraża się w fakturze powierzchni, pełnej rys, grudek, rozmyć i draśnień. Bonczar maluje pędzlem, ale też palcami. Każde narzędzie staje się przydatne, jeśli pozwala wyryć w farbie zamierzony kształt i uzyskać odpowiednią strukturę. Farba jest tu bohaterem pierwszoplanowym. Nie próbuje ona oddać tu ciepła drewna, miękkości aksamitu czy świetlistości brylantów. Obrazy Bonczar odkrywają przed widzem naturę samego malarstwa, jego aspekt fizyczny i warsztatowy.

Paradoksalnie, ta materialność malarstwa, postulowana przez Greenberga jako zerwanie z tradycją Renesansu, przenosi nas do samego serca tradycji europejskiej. Greenberg pisał „Motto Renesansowego artysty, *Ars est artem celare*, zamienione zostaje na *Ars est artem demonstrare*.⁴⁹ Jednak, oglądając prace artystki, widać od razu jej doskonałą znajomość tradycji, z której czerpie pełnymi garściami. Płótna przygotowane są na przyjęcie farby z poszanowaniem wszystkich niezbędnych elementów, kompozycje zbudowane są w pełni świadomie. Punkty ciężkości wzajemnie się równoważą a materia plastyczna tkana jest z dokładnością godną dawnych mistrzów. Twórczość ta udowadnia, że współczesność nie musi wiązać się z odrzuceniem tradycji, a jest raczej jej kontynuacją i ciągłym odnawianiem.

Po co nam malarstwo?

Moglibyśmy zapytać, po co nam to wszystko. Badając twórczość Bonczar, ma się wrażenie, że malarstwo jest potrzebne przede wszystkim jej samej. Bonczar maluje, bo musi. Równie dobrze mogłaby pisać, prowadzić dzienniki, a jednak dla zapisków swojego przeżywania wybrała malarstwo i to w tym medium oddaje sobie i nam własne impresje i powidoki.

Co zyskuje dzięki jej twórczości odbiorca? Kontakt z malarstwem Bonczar okazuje się być (ob)jawieniem i nauką patrzenia. Od czasów renesansu malarstwo starało się otworzyć przed widzom nowe, możliwe światy. Tak działały na przykład widoki na idealne miasta, które zapraszały obserwatora do wirtualnego spaceru po ulicach istniejących tylko i wyłącznie w wyobraźni artysty. Jeden z takich widoków, namalowany przez anonimowego artystę pod koniec XV wieku jest dziś zachowany w Galleria Nazionale delle Marche w Urbino. Obrazy te działają jak narzędzia optyczne, (ob)jawienia równoległych światów, które możemy odkrywać i poznawać wzrokowo.

Malarstwo Bonczar działa podobnie. Gdy już uda nam się wejść w jego głąb, przedrzeć się przez zasłonę abstrakcyjnych form i kształtów, przed naszymi oczami otwierają się fantastyczne widoki na (nie)idealne miasta. Widzimy przed nami niezmierną przestrzeń: jeziora, rzeki, katedry, wieże, góry, blokowiska i średniowieczne zamczyska. Wydaje nam się, że wszystko to istnieje jedynie w naszej i w malarki wyobraźni. Wystarczy jednak zacząć rozglądać się wokół siebie, aby po chwili ujrzeć w rzeczywistości fragment wizji z płócien Bonczar. Malarstwo Bonczar uczy nas sztuki patrzenia; jest prawdziwym ćwiczeniem z widzenia, któremu poddaje nas artystka.

W historii malarstwa prawdziwe rewolucje zdarzały się w dialogu z tradycją. Artyści, którym udało się przewartościować pojęcia i odnowić język sztuki byli doskonałymi znawcami malarstwa przeszłych wieków. W latach swojej długiej kariery Renata Bonczar wypracowała swój własny język, w którym świadomie łączy, przebudowuje i uaktualnia niektóre z najważniejszych zagadnień malarskich. Malarstwo jej nie ukrywa a wręcz waloryzuje materię, z której jest utkane, podkreślając materialność, trójwymiarowość i plastyczność farby olejnej. Poruszanie się na granicy abstrakcji i figuratywności uruchamia niezwykle ciekawą i inteligentną grę z widzem oraz z tradycją europejską. W malarstwie Bonczar spotykają się i współżyją te dwa przeciwległe bieguny, dwie tradycje, często sobie przeciwstawne, zdradzające dwie odmienne wizje malarstwa. Twórczość Bonczar jest dowodem na to, że rozwój spójnego języka artystycznego nie musi wiązać się z wyborem między figuratywnością a jej brakiem. Obalona zostaje w ten sposób jedna z najtrwalszych dychotomii sztuki post – awangardowej.

Prawie – figuratywność stylu Bonczar otwiera jej kompozycje na intymne, poetyckie wręcz interpretacje. Wskazują na to również tytuły jej dzieł: *Uśpiony czas*, *Nostalgia*, *Valles lacrimarum*, *Milczący świadkowie*. Podróż po świecie Bonczar to podróż po naszych snach, marzeniach, lękach i pragnieniach. Tylko do nas należy decyzja, czy damy się zaprosić do tej peregrynacji.

Przypisy:

1 G. Apollinaire, *Du sujet dans la peinture modern*, Les soirées de Paris, Luty 1912, cytat za *Art in Theory: 1900 – 2000. An Anthology of Changing Ideas*, ed. Ch. Harrison, P. Wood, 2nd edition, Malden 2007, p.186: “If painters still observe nature, they no longer imitate it, and they carefully avoid the representation of natural scenes observed directly or reconstituted through study.”

2 G. De Chirico, “Il ritorno al mestiere”, *Valori Plastici*, Listopad – Grudzień 1919, cytat za *Art in Theory*, op. cit., p. 237.

3 „The arts, then, have been hunted back to their mediums, and there they have been isolated, concentrated and defined. It is by virtue of its medium that each art is unique and strictly itself. To restore the identity of an art the opacity of its medium must be emphasized. For the visual arts the medium is discovered to be physical; hence pure painting and pure sculpture seek above all else to affect the spectator physically.” *Clement Greenberg*, “Towards a Newer Laocoon”, *Partisan Review*, New York, VII, nr 4, Lipiec – Sierpień 1940, pp. 296 – 310, cytat za: *Art in Theory*, op. cit., p. 566.

4 “The motto of the Renaissance artist, *Ars est artem celare*, is exchanged for *Ars est artem demonstrare*.”, *Clement Greenberg*, “Towards a Newer Laocoon”, *Ibidem*, p. 566.

Agata Anna Chrzanowska, historyczka sztuki i italianistka, absolwentka Kolegium MISH na Uniwersytecie Warszawskim. W 2017 roku uzyskała tytuł doktora na Durham University w Wielkiej Brytanii. W swoich badaniach skupia się na sztuce renesansowej Florencji. Współpracowała z licznymi instytucjami badawczymi i instytucjami kultury, takimi jak Peggy Guggenheim Collection w Wenecji czy Kunsthistorisches Institut in Florenz – Max – Planck – Institut. Obecnie wykłada historię sztuki na British Institute of Florence.

1

ANNA JELONEK-SOCHA



Anna Jelonek-Socha, *Ścięte drzewo III*,

Na ukształtowanie się oryginalnej wizji Anny i jej wyjątkowo szybki sukces, poza oczywistym talentem, złożyło się kilka przyczyn. Prace artystki zostały docenione niemal natychmiast po pojawieniu się na wystawach – nie były to jednak prace debiutantki. Zaczęła uprawiać grafikę jako człowiek dojrzały, mający za sobą długie doświadczenie pracy w dyscyplinach użytkowych, poważny bagaż przeżyć i przemyśleń, kumulujących się latami emocji, dla których wreszcie znalazła możliwość uzewnętrznienia. Ta wewnętrzna dojrzałość, gotowość do sformułowania i ujawnienia prawdy, znalazła dodatkowe instrumenty sprawcze w kontakcie z warsztatem, z techniką litografii, którą artystka musiała opanować od podstaw, odkrywając coraz to wspanialsze możliwości.

Fascynacja artystki kamieniem litograficznym, mozolna, jego obróbka znalazła wyraz w nasyceniu każdego centymetra odbitki ową szczególnie gęstość materii, zwiewnej przecież i delikatnej. Wydaje się, że sam proces realizacji grafiki, podejmowanie różnorodnych prób i poszukiwanie rozwiązań technicznie optymalnych, stanowi dla autorki wielką przygodę, której niezwykłością potrafi się ciągle cieszyć z całą żywiołowością i spontanicznością. Właśnie ta radość, przyjemność i satysfakcja płynąca z pokonywania a niekiedy poddawania się tworzywom, przydaje litografiom ciepła i blasku, stanowi podłoże, na którym dopiero rozwija się pełna poezji, czuła opowieść o człowieku i naturze. Jest to opowieść intymna, kameralna, chwilami sentymentalna, traktująca o sprawach codziennych i chyba dlatego najważniejszych; o dzieciach, o wodzie, o lesie o pejzażu za oknem.

(fragment wstępu z katalogu do wystawy indywidualnej w Warszawie)

WIESŁAWA WIERZCHOWSKA

ZYTA MISZTAL VON BLECHINGER



WOJNA O OBRAZ CZŁOWIEKA. WYSTAWA "CYTATY POEZJI POLSKIEJ W MALARSTWIE MARCINA TELEGI" GALERIA PRYZMAT

WPROWADZENIE

W epoce pośpiesznej powierzchowności rozkwitła intelektualna nieobecność. W pogoni za materialnym bogactwem, staliśmy się ubodzy duchowo. Z twarzy oraz serc wytransferowaliśmy emocje, przenosząc ich imitacje na ekrany smartfonów. Przestaliśmy bawić się wyobraźnią. Najbardziej ucierpiała poezja. A przecież to ona, dokonując syntez, potrafi budzić w nas najgłębsze treści podświadome i bogactwo uczuć.

Sztuka od zawsze mówiła dziwnym językiem, nie wyrażając się ani bezpośrednio, ani jasno. To za pośrednictwem niejednoznacznej mowy, gdzieś pomiędzy nawiązaniem, symbolem i kontekstem, ukazywała dobrodziejstwo jakim jest refleksja. Kręta i wyboista droga, wiodąca do samopoznania. Mową sztuki jest metafora. W swej naturze nieprzekładalna. Posiada szczególną własność wprowadzania dodatkowych sensów, które w inny sposób nie mogłyby w ogóle dojść do głosu, ponieważ dotyczą tego, co wyrazić najtrudniej. Jest jak chirurgiczny szew założony na strach¹, lęk przed tym, czego nie można nazwać. Język metafor działa niczym impuls, uruchamiając to, co prawdziwe i pierwotne, co zderza się z nami i co nas przekracza, wprowadza w zadziwienie i niesie nadzieję na porozumienie.

Żyli w życiu.

Podszyli wielkim wiatrem.

Przesądzeni.

Od urodzenia w pozęgalnych ciałach.

Ale była w nich jakaś wilgotna nadzieja,
własną migotliwością sycący się płomyk².

Odczytać wiersze mistrzów i nadać im nowe znaczenia. Interpretować słowo za pomocą malarstwa, nie ulegając lękowi o własną, twórczą tożsamość. Ukazać prawdy uniwersalne uzewewnętrzniając stany podświadome. I wreszcie – zaufać odbiorcy, pozostawiając mu swobodę dla jego własnych odczuć. Trzeba nie lada odwagi, aby porwać się na taki projekt.

MALARZ EGZEGETA

Ilu teoretyków tyle też teorii dotyczących fenomenu zjawiska jakim jest kreacja. Dla jednych, prowadzi ona do powstania nowych dzieł, dla innych jest procesem przetwarzania stanu świadomości. Dla jeszcze innych burzeniem zastanych układów i formowaniem w ich miejsce nowych i lepszych. W przypadku twórczości Marcina Telegi, abstrahując zupełnie od powyższych stwierdzeń, można śmiało powiedzieć, że kreacja jako proces jest po prostu afirmacją ludzkiego życia, wywodzącą się bezpośrednio z umysłu. Ogromną rolę w tym procesie odgrywa wrażliwość i wyobraźnia artysty – źródło twórczości, jej wewnętrzna struktura ale też zdolność niezbędna w rozumieniu faktu „bycia człowiekiem”.

Zmagania twórcze Marcina Telegi wykazują niebywałą wytrwałość, jakby chciały mieć znaczenie absolutne. Artysta wciąż poszukuje Ducha. Świadomie kroczy wąską ścieżką transcendencji, na której spotyka tajemnicze Obecności i portretuje ich stany istnienia³. Tym lepiej, że inspiracją jest tutaj wybitna poezja. Malarstwo jakie uprawia artysta – uważne, dogłębne i drobiazgowo – staje się czymś w rodzaju powrotu do podstaw procesu twórczego, którego nieodzownym elementem jest sacrum doświadczenia metafizycznego. W te rejony nie lubi zapuszczać się pośpieszna powierzchowność.



*To ja, Kasandra.
A to jest moje miasto pod popiołem.
A to jest moja laska i wstążki prorockie.
A to jest moja głowa pełna wątpliwości.
To prawda, tryumfuję.
Moja racja aż luną uderzyła w niebo.
Tylko prorocy, którym się nie wierzy,
mają takie widoki.
Tylko ci, którzy źle zabrali się do rzeczy,
i wszystko mogło spełnić się tak szybko,
jakby nie było ich wcale*⁴

Marcin Telega przygotowywał się do wystawy od wielu miesięcy. Nie mógł przypuszczać, że jej wernisaż odbędzie się w dniu, który przejdzie do historii, jako porażka humanizmu.

Dokonując wyboru wierszy, poprzedził go głębokim namysłem. Artystyczna intuicja kazała mu powrócić do słów klasyków takich jak Leśmian, Szymborska, Poświatowska, czy Baczyński. Jest w tym pewna romantyczna tkliwość, wyrażona w prawdzie szczerej tęsknoty za światem, który wciąż jeszcze można odczuć. Poezja ta wdarła się w sferę rozumienia filozofa i interpretatora, który wniósł w jej język swe własne życiowe doświadczenia i swoje niepokoje. To spotkanie tekstu i jego malarskiego odczytania, musiało prowadzić do wzajemnej przemiany ich obu. Zadziało jak intrygująca rozmowa, która całkowicie przekształca poglądy⁵.

Warto podkreślić, że żaden z obrazów w cyklu nie jest ilustracją fabuły wybranych wierszy, ani w żaden sposób ich nie odzwierciedla. Staje się raczej ich transpozycją, ożywioną alegorią. Artysta interpretując, bada a następnie tworzy zupełnie nową, wyobraźniową rzeczywistość. Odpowiadając obrazem na tekst, komponuje wizję rekurencji, wzmacniając wymowę jakże aktualnych dziś pytań, które niczym echo wybrzmiewają w nowej formie, domagając się indywidualnej, nieostatecznej i nieustannie zmiennej interpretacji. Dzieła te, pozostawiają każdemu kto zaczyna z nimi obcować, pewną przesłanną gry, którą on sam musi wypełnić ich stany istnienia⁶.

Potrzebujemy tej gry, bowiem otwiera przez nami bogaty i wieloraki świat różnic, wielość możliwych punktów widzenia oraz sposobów doświadczenia emocji. Tak poszerzają się horyzonty i buduje wspólnota.

*Rozcinam pomarańczę bólu
połową bólu karmię twoje usta
głodni tak dzielą chleb
spragnieni wodę
uboga jestem – mam tylko ciało
usta ściągnięte tęsknotą
ręce – jesienne liście*

*wyglądające odlotu
rozcinam pomarańczę bólu
sprawiedliwie na pół
gorzkim ziarnem karmię twoje usta*⁷

EPILOG

Ludzki umysł – składowisko wyobrażeń i pamięć ciała. Miejsce, gdzie „aktualne” przyciąga do siebie to, co „wydaje się być podobne” do wcześniej przeżytego, widzianego, wypowiedzianego, słyszanego, bądź czytanego. Treści i znaczenia, pojęcia i idee są tu korelatami mentalnych i fizycznych zdarzeń. Obraz nakłada się na inny, wcześniejszy ślad, stanowiąc tło dla kolejnego zapisu. Tak powstają poglądy. To, co przechowujemy w pamięci naszego trwania, przesądza o tym jak interpretujemy nowe doznania i tworzymy nowe konteksty. Najwyższa pora porzucić chciwość i pośpieszną powierzchowność i wyruszyć w podróż ku pokładom stworzenia, ku archetypom, ku mitom, wprost do sedna.

Nastaje nowy czas. Trwa wojna o obraz człowieka. Dzisiaj, stojąc pośrodku przerażającego chaosu rozpadającej się współczesności, musimy znaleźć w sobie siłę i nadzieję. Sztuka – ostatni bastion należący do świata wolności i pokoju, właśnie teraz ukazuje swą moc, rozwijając uczucia moralne i wyobraźnię, oddając utraconą zdolność do wzruszeń, pogłębiając wrażliwość i empatię, tak bardzo ludzką i tak bardzo potrzebną. Pamiętajmy, że jest efektem dyskusji prowadzonych przez wiele pokoleń artystów, którzy dążą do objawienia w niej prawdy życia⁸, gdyż „na tyle, na ile rozumiemy samych siebie, na tyle rozumiemy świat, który tworzymy”⁹.

Przypisy:

1 A. Baricco *Zamki na piasku*. Przeł. H. Kralowa. Warszawa 2006, str. 71
2 Wisława Szymborska „Monolog dla Kasandry” – fragment

3 Parafraza zdania Władysława Podrazika, z wykładu wygłoszonego w Pałacu Sztuki w związku z wystawą „Uczta u Mistrzów” w Krakowie w dniu 30 listopada 2012 r.

4 Wisława Szymborska *Monolog dla Kasandry* – fragment

5 Parafraza A. Wierciński „*Hermeneutics and the Indirect Path to Understanding* w: *The Task of Interpretation*. Hermeneutics, Psychoanalysis and Literary Studies, ed. D. Skórczewski, A. Wierciński, E. Fiała, Wydawnictwo KUL, Lublin 2009, s. 17

6 G. Gadamer „Aktualność piękna. Sztuka jako gra, symbol i święto” przeł. K. Krzemieniowa, Oficyna Naukowa, Warszawa 1993, str. 34

7 Poświatowska H., fragment

8 PB Szelleg, Obrona poezji w Manigest romantyzmu 1700-1830, op.ct str.11

9 Parafraza sentencji Marina Heidegera w *Byt i czas*



SZCZĘSNY WROŃSKI

GDYBYM BYŁ POCISKIEM

Do jednego, każdy człowiek, każdy naród powinien mieć bezwarunkowe prawo. Do własnego domu i ojczyzny „bez lokatorów stukających w ściany” jak w latach 80. śpiewał Leszek Wójtowicz.* My, jako naród, wielokrotnie w naszej historii doświadczaliśmy zniewolenia. To wielki ból, gdy agresywny najeźdźca chce wyzucić cię z własności, narzucić swój punkt widzenia, odciąć do korzeni. Albo, argumentując frazesami, dokonać takiego retuszu twojego wizerunku, żebyś nie był w stanie sam siebie rozpoznać. Wydawało się, że na przełomie lat 80. i 90., na bazie „pierestrojki” objawiła się nowa wiosna ludów. Jakież to było entuzjazm, kiedy w 1989 roku, po Okrągłym Stole, dostaliśmy kolejne życie i szansę odbudowania własnej, niezależnej państwowości i kultury. Wtedy też pojawił się w Krakowie ukraiński Teatr Zwierciadło (Zierkało). Ileż w nich było autentycznej radości w prezentowaniu spektakli nasyconych duchem Ukrainy. Teatr został znakomicie przyjęty i na wiele lat zadomowił się u nas dzięki opiekuńczym skrzydłom cafe-galery „Ariel” na krakowskim Kazimierzu. Grupa kijowskich artystów stworzyła tutaj m.in. kabaretowe show „Od Kijowa do Krakowa jednakowa nasza mowa” z pieśniami ukraińskimi, lwowskimi i kresowymi, które w liryczny, a zarazem zabawny sposób ukazywał wspólnotę ukraińsko-polskiej kultury. Na występy teatru „Zwierciadło” przyjeżdżali goście nie tylko z całej Polski, ale i z całego świata.

To był trudny czas, po spustoszeniach, jakich w naszej ojczyźnie dokonała sowiecka „opieka”. Zrujnowana gospodarka nie była w stanie zapewnić Polakom godziwych warunków życia, dlatego wielu z nas wyjeżdżało do nielegalnej pracy za granicę. Ja również pięć lat z przerwami spędziłem w Londynie pracując na budowach, a później w restauracjach. Wtedy przygarwał mnie artystycznie, działający w formule tzw. fringe, alternatywny The Tabard Theatre, który miał siedzibę w pubie nieopodal Turnham Green Tube Station. W międzynarodowym składzie zespołu znalazła się również sympatyzująca z Polską Brazylijka Martha Lima, jak się okazało córka Artura Moreira Limy, laureata II nagrody XVIII Konkursu Szopenowskiego w roku 1965. Jego subtelną grą zachwycam się jako nastolatek przymierzający się do pianistycznej kariery. W zespole Tabard pod kierunkiem Irlandczyka Sama Dowlinga zrealizowaliśmy spektakl „The Females” na podstawie sztuki mojego przyjaciela z Kielc, Henryka Jachimowskiego. Jakież było miłe zaskoczenie, gdy bodajże jesienią 1991 zjawił się w naszym londyńskim teatrze, znany mi z Krakowa Teatr Zwierciadło. Byli jak natchnieni, świeżutko po odzyskaniu przez ich ojczyznę niepodległości. Pragnęli podzielić się z nami swoim gorącym, jak dopiero co wyjęty z pieca chleb, spektaklem. Ich przesłanie było niezwykle radosne, wręcz promienne: Jesteśmy Ukraińcami i rozpiera nas duma, że w końcu odzyskaliśmy nasz dom. Po skończonym przedstawieniu kijowscy aktorzy wyszli na scenę z rozpostartą flagą Ukrainy. Do dziś pamiętam ich rozgorączkowane, spocone twarze i łzy spływające po policzkach.¹

Po powrocie do Krakowa w 1993 roku z sympatią kibicowałem Ukraińcom, którzy z determinacją budowali swoje młode państwo i walczyli o narodową tożsamość. Wszyscy pamiętamy wspieraną przez Polskę i Polaków „pomarańczową rewolucję” (2004/2005), Euromajdan zwany rewolucją godności, który sprawił, że utworzył się w Ukrainie pierwszy, proeuropejski rząd (2014). Kreml w odpowiedzi dokonał aneksji Krymu i pod presją



wojskową proklamował prorosyjskie republiki ludowe – Doniecką i Ługańską... Minęło niespełna 31 lat. 24 lutego 2022 roku Rosja Władimira Putina, jak na ironię laureata Pokojowej Nagrody Konfucjusza z 2010 roku, z brutalnością i okrucieństwem niespotykanym w Europie od czasów II wojny światowej, napadła na pokojowo usposobioną Ukrainę, która w ubiegłym roku święciła 30 lecie niezależnego istnienia...

Wspomniany już Henryk Jachimowski³ napisał w libretcie *Pieśni o Ziemi*: wojny są jak widowiska, a leitmotivem tego poruszającego spektaklu muzycznego była fraza: *Nikt nie wie jak postępuje zło / co zamierza / jak je zatrzymać...*

No właśnie. Czujemy bezradność oglądając na ekranach telewizorów obrazy postępującego z dnia na dzień unicestwiania narodu... Z niedowierzaniem i poczuciem bezsilnego buntu oglądamy ruiny osiedli, szkielety szpitali, ludzi błąkających się z reklamówkami i torbami w rekach, bezpańskie psy pośród zgliszczy i dymiących popiołów... I z wbitymi w dłonie paznokciami zadajemy sobie pytanie: Co zrobić? Jak to zatrzymać?

I odezwał się we mnie i wystrzelił w niebo wiersz - wyświetlony 22 marca 2022 roku (po polsku, ukraińsku i angielsku) na fasadzie kamienicy przy ul. Brackiej Krakowie⁴

Gdybym był pociskiem
zmieniłbym się w bukiet
rozświetlił Ukrainę
okrzykiem
love not war

Przypisy:

1 Leszek Wójtowicz, „Moja litania”, <https://www.youtube.com/watch?v=7hqMiZbizFo>

2 Ukraina przyjęła Deklarację niepodległości 24 sierpnia 1991 roku. 1 grudnia 1991 roku odbyło się referendum, w którym Ukraińcy opowiedzieli się za niepodległością. Dzień później Polska jako pierwsze państwo uznała niepodległość Ukrainę.

3 Henryk Jachimowski, poeta, prozaik, dramaturg (ur. 16.04.1938–zm.15.11.2014), „PIEŚŃ O ZIEMI”, z muzyką Marka Tercza, premiera 23.02.2002 roku, Scena Autorska Studio, Kielce



Z ŻALEM ŻEGNAMY ZOFIĘ GOŁUBIEW

cenioną historyczkę sztuki, wieloletnią dyrektorkę Muzeum Narodowego w Krakowie, która będąc członkinią naszego stowarzyszenia, gościła POLART w Muzeum Narodowym dwukrotnie: w nowo otwartej Galerii Sukiennice wiosną 2010 r. a następnie jesienią 2015 r. w Europeum, gdzie świętowaliśmy jubileusz 80. lecia Tadeusza Strugały. Wspominamy tamte, szczególnie udane pod każdym względem, spotkania z rozrzuwaniem.

(Red.)

**Redaktor Naczelny:**

Joanna Krupińska-Trzebiatowska
e-mail: joanna.kt@poczta.fm
tel. 12 429 70 40

**Sekretarz Redakcji:**

Barbara Korta-Wyrzycka
e-mail: wyrzycka@pk.edu.pl

**Sekretarz Redakcji:**

Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska
e-mail: trzebiatowska.izabela@poczta.fm

Wydawca:

Janusz Trzebiatowski
Stowarzyszenie Twórcze POLART
<http://polart-stowarzyszenie.pl/>

ISSN 1731- 9668

ISBN: 83- 8664855 -11- 6



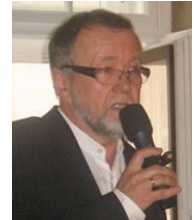
Józef Baran,



Bolesław Faron,



Ignacy S. Fiut,



Wacław Krupiński,

Kolegium Redakcyjne

Irena Kaczmarczyk,



Ferdynand Nawratil,



Tadeusz Skoczek,



Marek Sołtysik

Redakcja:

30 – 250 Kraków, ul. Gajówka 25
tel. 12 4297040

Korekta:

Barbara Korta-Wyrzycka
Małgorzata Bylica

Skład i łamanie tekstu:

Joanna Krupińska-Trzebiatowska

Okładka:

Grafiki Anny Jelonek-Sochy

Zdjęcia:

Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska
Benedykt Jeż
Radosław Kuliś
Andrzej Makuch
Jerzy Nowakowski
Dariusz Kołakowski
Konrad Pollesch
Yvette Popławska
Mariola Sternahl
Wojciech A. Sobczyński
Marta Walocha
Krzysztof Wojnarowski
Jan Zych
Andrzej Ziębliński

Druk:

Bikstudio Krzysztof Marek Szwaczka
Brzeście 30, 28 – 330 Wodzisław

Naukowa Rada Redakcyjna:

dr Edward Chudziński

prof. dr hab. Stefan Dousa

prof. dr hab. Bolesław Faron

prof. dr hab. Ignacy St.Fiut

prof. dr hab. Józef Lipiec

prof. dr hab. Ewa Okoń-Horodyńska

prof. dr hab. Jerzy Nowakowski

prof. dr hab Elżbieta Stefańska-Kłtyś

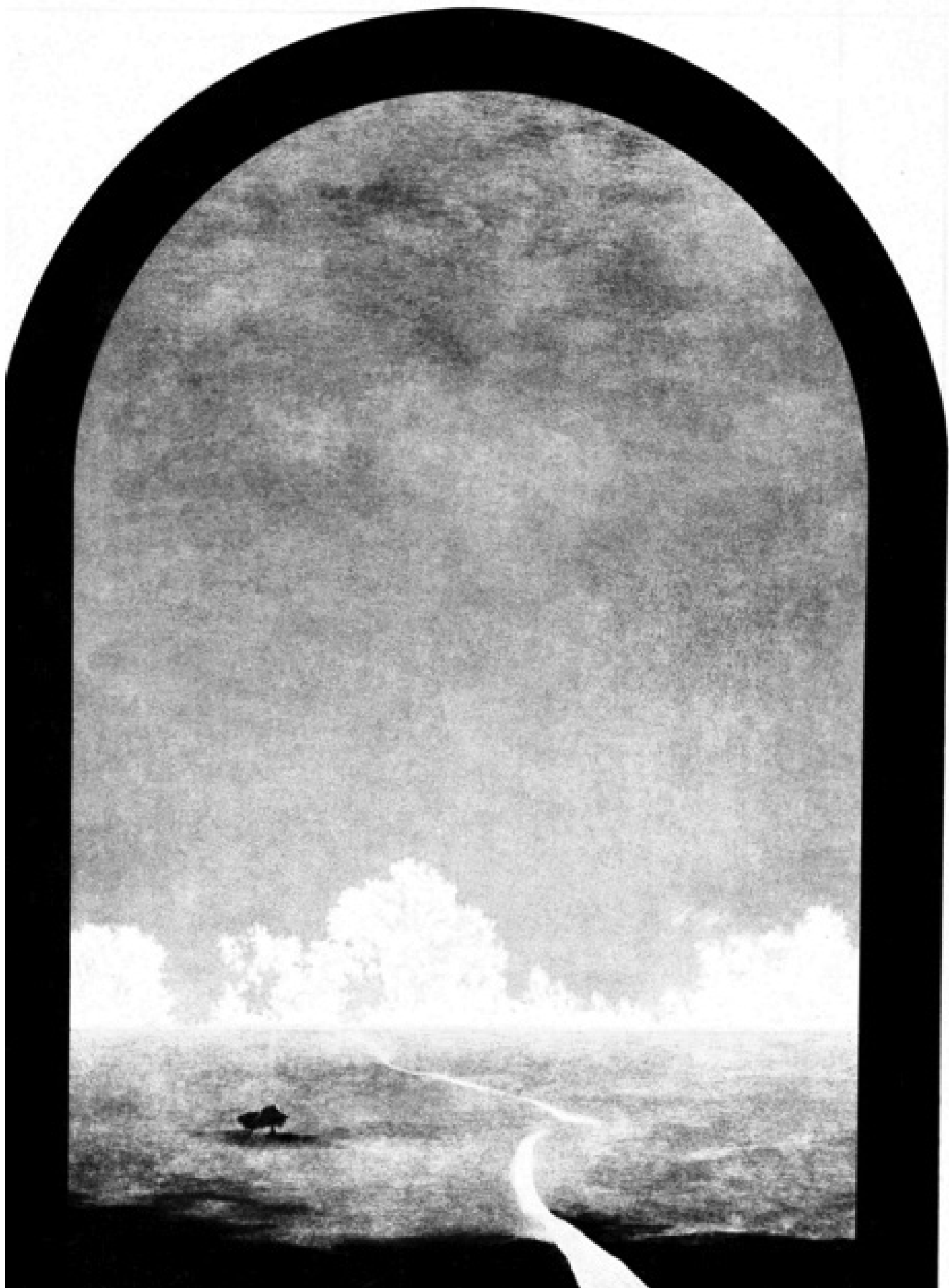
prof. dr hab. Zdzisława Tołoczko

prof. dr hab. Andrzej Ziębliński

Numer konta:

Stowarzyszenie Twórcze POLART
30-250 Kraków, ul. Gajówka 25 A
40 1240 4533 1111 0010 3142 4771





Anna Jelonek-Socha, *W słońcu*

